

Evelyn
Anthony

DOM
VANDEKARA

The house of Vandekar

przełożył
Miroslaw P. Jabłoński



Mojemu mężowi
Z miłością

1.

Dziewczynka otworzyła drzwi swojej sypialni; zrobiła to bezgłośnie, co nie było trudne. W korytarzu na zewnątrz świeciło się światło, a stojący tam wielki zegar wybił drugą w nocy. Wzdłuż korytarza bezszelestnie przemykała kobieta o rudych, połyskliwych włosach. Dziewczynka usłyszała, jak ktoś mówił szeptem: „Diano, kochanie, tutaj”.

Mężczyzna cały czas pozostawał w cieniu, podczas gdy kobieta była wyraźnie widoczna; uśmiechała się, rzucając ukradkowe spojrzenia, a zwiewny peniuar unosił się wokół jej szczupłego ciała niczym obłok. Nagle przystanęła, zasłaniając dłonią usta; coś musiało ją przestraszyć.

To był długi, bardzo długi korytarz, który - jak zwykle w sennych koszmarach - nie miał końca; miejsca, gdzie nie docierało światło, pokrywały łąty cieni.

Dziewczynka cofnęła się, nie zauważona, i kobieta przemknęła tuż obok niej. Nie widziała, że ktoś za nią podążał, ale dziecko tak. Wywołany promieniem światła poruszający się cień, niczym niosąca groźbę ciemna mgła, która tak przeraziła dziewczynkę, że aż chciała krzyknąć ostrzegawczo, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

*

Nancy obudziła się, ale przerażenie wywołane koszmarnym snem, który często ją nawiedzał, gdy była dzieckiem, nie ustąpiło. Serce tłukło się jak oszalałe; z trudnością oddychała sparaliżowana strachem.

Nie śniła tego od lat. Dlaczego teraz? Sen nigdy się nie zmieniał. Kiedy była mała, budziła się z krzykiem, przerażona widokiem uparcie pojawiającego się cienia bez twarzy. Wydawał się tak realny, jak kobieta, którą tropił tamtej nocy.

Z upływem lat zdarzało się to coraz rzadziej, gdyż czas oraz odległość zamknęły go w swoistej enklawie świadomości, a ona tłumiała w sobie owo wspomnienie, podobnie jak ukrywała przed światem swoją tożsamość.

Teraz właściwie wszystko było poza nią; nie pozostało nic oprócz koszmaru - jeżeli już przychodził. Nadal jednak czuła strach oraz poczucie winy. Tamtej nocy stojąc w korytarzu nie krzyknęła; ukryła się za drzwiami i przekradła z powrotem do łóżka; mała dziewczynka przerażona tym, co zobaczyła, a czego nikt nie powinien był widzieć.

Siedzący obok niej mężczyzna niczego nie zauważył. Był skoncentrowany na prowadzeniu samochodu, a jazdę utrudniała szalejąca burza.

- Davidzie, daleko jeszcze? - spytała. - Powiedz wreszcie, dokąd jedziemy.

- Nie ma mowy - odparł ściskając jej dłoń. - Trochę cierpliwości, wkrótce się

przekonasz. Spałaś chwilę. Już niedługo będziemy na miejscu.

Miała urodziny i jej kochanek przygotował jakąś specjalną niespodziankę.

Zabieram cię na weekend, powiedział wówczas. Nie powiem ci, dokąd pojedziemy. Spakuj tylko kilka ładnych kiecek, a ja wpadnę po ciebie o szóstej.

Byli ze sobą od pół roku. Po raz pierwszy od czasu nieszczęsnego epizodu w Nowym Jorku z żonatym mężczyzną, którego odejście bardzo przeżyła, pozwoliła sobie na poważniejszy romans. Po tamtej historii skoncentrowała się wyłącznie na pracy zawodowej i dopóki nie poznała Davida Renwicka, kariera stanowiła główny i jedyny cel, któremu wszystko podporządkowała. Takiego mężczyzny jak David nigdy dotąd nie spotkała. Światy, w których żyli, także bardzo różniły się od siebie. Jej przyjaciele zajmowali się antykami, należeli do świata sztuki, domów aukcyjnych, stanowili część środowiska ludzi z branży - dekoratorów wnętrz. Renwick był milionerem, zajmującym się nieruchomościami. Sukces i wielkie pieniądze zawdzięczał tylko własnej pracy. Agencje Nieruchomości Renwicka szybko stały się wielką i dobrze prosperującą firmą. A zaczynał od pośrednictwa na bardzo małą skalę, w co zresztą musiał zainwestować pożyczone pieniądze. W wieku trzydziestu pięciu lat był już dobrze znany, jego życiu dodawała pikanterii prasa bulwarowa, stanowił bowiem swego rodzaju zagadkę w świecie, w którym wypromowanie siebie stanowiło ważny czynnik powodzenia w biznesie.

Poznała go pewnego wieczoru podczas przyjęcia wydanego co prawda przez człowieka z konkurencji, ale jednocześnie przyjaciela.

Renwick zaangażował jego przedsiębiorstwo do urządzenia swego nowego domu w Holland Park. Przyjaciel powiedział, iż klient jest wymagający i zna się na cenach, ale kosztorys zamówienia opiewał na taką kwotę, że był szczęśliwy z powodu zawarcia owego kontraktu. Nancy spodziewała się spotkać jakiegoś aroganckiego nuworysza mającego o sobie wielkie mniemanie, który na pewno nie będzie sympatyczny. Zaskoczyło ją, gdy odkryła, że jest naprawdę miły, inteligentny i ma ujmujący sposób bycia. Władza i wielkie bogactwo mogą dodać atrakcyjności. W Davidzie Renwicku nie było nic sztucznego.

Przypadli sobie do gustu, czego on ze swej strony nie ukrywał. Nie tracił czasu: uparł się, że odwiezie ją do domu, potem co wieczór razem gdzieś wychodzili, aż kiedyś został u niej na noc. Odpowiada mi, myślała, i jest dla mnie dobry. Taka znajomość nie groziła komplikacjami; żadnej żony czy byłych żon. Zostali kochankami, bo tego chcieli, i zrozumiała, jak ważny stał się ich związek, kiedy pierwszy raz powiedział, że ją kocha. Zanim to nastąpiło, byli ze sobą prawie trzy miesiące. O małżeństwie nie wspominali. Nancy opierała się, gdy próbował ją namawiać, żeby przeniosła się do jego nowego domu w Holland

Park. Odpowiadała półzartem, że nie mogłaby mieszkać w domu urządzonym przez innego dekoratora wnętrz, a on zaakceptował jej odmowę. W przeciwieństwie do niego nie była jeszcze gotowa zaangażować się. Potrafił być cierpliwy. Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Nie należała do typu kobiet, które go pociągały. Lubił drobne, niezbyt mądre brunetki. Nancy miała jasnorude włosy, była wysoka i zdecydowanie inteligentna.

Postanowił, że z okazji jej urodzin wymyśli coś specjalnego, co uczyni ów dzień niezapomnianym wydarzeniem dla nich obojga. Dlatego wybrał ten niezwykły hotel. Cieszył się z utrzymania celu ich podróży w tajemnicy. Pragnął ją zaskoczyć i zachwycić. Wybrane miejsce pasowało do jej stylu - była niewątpliwie kobietą z klasą. Chociaż niewiele o niej wiedział, poznał to na pierwszy rzut oka. Uważał się za znawcę kobiet. Miał mnóstwo przyjaciółek. Lubił piękne dziewczyny, a piękne dziewczyny lubiły jego. Nie tylko z powodu bogactwa - jak nieopatrnie wyraziła się jedna z młodych dam - ale także dlatego, że jest świetnym kochankiem. Ta uwaga zakończyła ich romans. Od czasu poznania Nancy stracił zainteresowanie innymi kobietami.

Łowcy plotek znudzili się nim i przestali go obserwować. Już nie był postacią numer jeden w kronikach towarzyskich. David miał to w nosie. Nie dbał o rozgłos, zwłaszcza jeśli miałby go zawdzięczać kontaktom z dziwkami - chociaż one nazywały siebie modelkami czy kobietami należącymi do wyższych sfer - przy czym jedno nie wykluczało drugiego. Ale Nancy była inna. Nie chciała, by polujący na skandale dziennikarze chodzili za nią.

Zwolnił w ulewnym deszczu - niedaleko powinien znajdować się drogowskaz i nie chciał przeoczyć zakrętu.

- Mogłabyś mi zapalić papierosa, kochanie? - poprosił, chcąc odwrócić czymś jej uwagę.

Nie zauważyła napisu, gdy skręcił w ledwie widoczną bramę z kutego żelaza. Za nią znajdowały się na drodze specjalne garby, więc zwolnił do dwudziestu mil na godzinę. Gałęzie wielkich drzew, ociekające srebrnym deszczem, tworzyły łukowe sklepienie. Przez ponad milę reflektory wyszukiwały przed nimi krętą drogę. Nancy wpatrywała się przed siebie, starając się cokolwiek dojrzeć przez zalaną deszczem szybę. W końcu wyjechali zza ostatniego zakrętu i przed nimi wyrósł skąpany w powodzi światła dom. Dwa skrzydła ograniczały centralną część budynku, którego piękno oraz symetria zachwyciły Davida, kiedy pierwszy raz ujrzał go na zdjęciu. W rzeczywistości był jeszcze wspanialszy.

- Oto i jesteśmy, kochanie - oznajmił. - Ashton! Co za miejsce!

Samochód potoczył się przed front schodów prowadzących pod portyk.

- Tak - odparła Nancy.

Ktoś, trzymając parasol, otworzył jej drzwiczki; wysiadła. Usłyszała mężczyznę, mówiącego:

- Zaprowadzimy samochód do garażu, sir, i przyniesiemy państwa bagaże. Tędy proszę.

Poszli w górę schodami i poprzez otwarte dwuskrzydłowe drzwi do holu.

- Czy mógłby się pan wpisać do książki, sir?

Zrobiła kilka kroków przed siebie, podczas gdy David zatrzymał się przy recepcji. Światła w olbrzymim holu, a właściwie sali z wielkim ogniem na kominku, znajdującym się w drugim końcu pomieszczenia, były przyćmione. Wiatr poruszał zasłonami, jakby pod wpływem przeciągu, a pod każdą ze ścian stały metalowe zbroje - naoliwione i błyszczące. Jedna z nich, obok schodów, miała groteskowy germański hełm przypominający łeb zwierzęcia i zwykle bardzo przerażała dzieci. A dalej, obok kominka, wisiał portret.

David ujął Nancy pod ramię.

- Podoba ci się? Fantastyczne, prawda?

- Zostaliście państwo umieszczeni w apartamencie Fern. - Młody człowiek w liberii lokaja poprowadził ich w stronę głównej klatki schodowej, wielkiej i ciemnej, z rzeźbionymi figurami wartowników na każdym podejściu.

Nancy dotknęła słupka w balustradzie. Nawet tego nie zauważyła, ale wysforowała się przed tamtych dwóch, mijając ich i pokazując drogę.

- To tutaj - stwierdziła i po przejściu kilku jardów w głąb korytarza skręciła w prawo.

- Tak, *madame*. - Lokaj wydawał się zdziwiony; otworzył drzwi i stanął z boku.

Znaleźli się w wysoko sklepionym pokoju o wytwornym wnętrzu, z pięknym łóżem pod półbaldachimem, zwróconym w stronę okien. Były kwiaty i butelka szampana w kubku z lodem. David pomyślał o wszystkim. Dał napiwek młodemu człowiekowi, który podziękował mu, dodając, że za chwilę zostaną dostarczone ich bagaże.

Nancy podeszła do okna i rozsunęła zasłony. W dali widać było migoczące sztuczne jezioro oraz figury Kupida i Psyche, w objęciach padającego deszczu i aureoli światła reflektora.

Za sobą usłyszała głos Davida:

- Byłaś tu już kiedyś.

Odwróciła się, pozwalając opaść zasłonie. Stał, patrząc na nią. Nie ukrywał złości i rozczarowania.

- Byłaś tutaj. Hotel jest otwarty zaledwie od czterech miesięcy. Kto cię tu przywiózł?

- Nikt - oparła cicho. - Nikt, Davidzie. Urodziłam się tutaj. To sypialnia mojej ciotki

Fern. Ja naprawdę noszę nazwisko Vandekar; moją babką była Alice Vandekar.

*

Dzień zaczął się przyjemnie. Biuro znajdowało się w Culver Place. Kiedy przysła tego ranka do pracy, osobisty sekretarz przyniósł jej piękne doniczkowe kwiaty wraz z najlepszymi życzeniami urodzinowymi od wszystkich pracowników.

Zaangażowała tego młodego człowieka. Lubiła go i nie dochodziło między nimi do konfliktów. Jemu nie przeszkadzało, że polecenia wydaje kobieta. Zebrała wokół siebie niezły zespół projektantów i niewielką, ale dynamiczną grupę zajmującą się marketingiem. Zatrzymała nazwę firmy Becker, ponieważ miała prestiż, i dodała nazwisko, które przyjęła - Percival. *Becker & Percival Dekoratorzy Wnętrz*.

- Tim - powiedziała do sekretarza. - Połącz mnie z panem Rowlandem. Chciałabym z nim porozmawiać na temat tego zlecenia w Grosvenor. I z przyjemnością wypiłabym filiżankę kawy.

Poranek minął szybko, kwiaty na jej biurku wyglądały bardzo ładnie. Lunch zjadła z dwoma francuskimi klientami, nowymi, mającymi w swych notatnikach adresy dużych firm. Zamówienia na ekskluzywne projekty *Becker & Percival* sprawiłyby, że jej interesy na kontynencie stałyby się czymś naprawdę poważnym. Gdyby dobrze jej poszło podczas lunchu i popołudnia, mogłaby pobić na głowę nawet silniejszych rywali.

Lunch udał się bardzo dobrze. Nancy nauczyła się w Ameryce, że lepiej jest w ogóle nie podejmować gości posiłkiem, niż przejmować się wysokością rachunku. Jedli w Savoyu; upewniła się wcześniej, że dostanie dobry stół z widokiem na rzekę, a poza tym była tutaj dobrze znana. To się liczy, że jest traktowana z szacunkiem, należnym stałym klientom. Francuzi byli bardzo wyczuleni na konwenanse. Wyglądali na zadowolonych, co niewątpliwie ułatwiło prowadzenie rozmów, a fakt, że doskonale mówiła po francusku oraz nieźle władała niemieckim, także robił na nich wrażenie. Nie wyjaśniła im, iż zawdzięcza to francuskim guwernantkom, które zajęły się jej edukacją, gdy tylko skończyła dziesięć lat. Tę część swojego życia starannie ukrywała; tak jak i prawdziwe nazwisko. To nie miało nic wspólnego z Nancy Percival.

Z biura wyszła wcześniej. Jedno zlecenie było pewne. Zrobiła pierwszy duży wyłom na rynku, z uwagą obserwowanym przez brytyjskich projektantów. David przyjedzie o szóstej. Nigdy się nie spóźniał. Wykąpała się i przebrała. Była w pogodnym nastroju i podekscytowana. Zastanawiała się, cóż to za specjalne miejsce, do którego mają się udać? Powiedział, że będą jej potrzebne eleganckie stroje. Weekend à la szkoła przetrwania to nie był styl Davida. Miał inne upodobania: grał w squasha i tenis, ale już na początku znajomości

powiedział jej, że według niego piekło wygląda tak, jak typowy angielski weekend na wsi. Nienawidził spacerów, nie lubił być ubłocony, przemoknięty czy zmarznięty. Nie polował i nigdy nie włożył nogi w strzemię.

„Jestem człowiekiem miasta - pamiętała dokładnie wszystko, co wówczas mówił. - Jeżeli wyjeżdżam z Londynu, to do dobrego hotelu z centralnym ogrzewaniem i wielkim kolorowym telewizorem w sypialni. I nie chcę z nikim rozmawiać. Z wyjątkiem ciebie”.

Wybrała czarną sukienkę. Dzisiejsza urodzinowa kolacja miała być wyjątkowa. Często o tym wspominał. Czowała podniecenie; niecierpliwemu oczekiwaniu towarzyszyło wrażenie, jakiego nie doświadczyła od dzieciństwa; od czasów kiedy schodziła na dół odkrywając, iż jadalnia przybrana jest girlandami oraz balonami, a wszyscy tam zgromadzeni ubrani są w wieczorowe stroje. Dziwne, że o tym pomyślała, ale przecież były jej urodziny, a urodziny zawsze celebrowano z wielką pompą - nawet te dziecięce.

Sięgnęła za kredens, wyjęła zawinięty w bibułę pakiecik i otworzyła go. Rozbłyły brylanty. Czemu nie miałyby przypiąć broszki, skoro nadarzyła się tak szczególna okazja? Było to wszystko, co jej pozostało, ukryte w bucie schowanym za kredensem. Inne kosztowności zostały sprzedane, by zdobyć pieniądze na wykupienie Beckera. Ale nie broszka. Nie wiedziała, dlaczego ją zatrzymała. Te kamienie miały największą wartość. Zapomniała już, jak są wielkie i czyste. Broszka przyciągała uwagę - nadzwyczajny, kunsztowny okaz starej biżuterii. Klejnoty były jak kobieta, która pierwsza je nosiła. Zbyt duże, zbyt agresywne, by nie wprawiać swym widokiem w zażenowanie podziwiających je osób.

Nagle rozległ się dzwonek. Wiedziała, że to David już przyjechał, a ona nie jest jeszcze gotowa. Włożyła broszkę do torebki.

Za chwilę siedzieli już w samochodzie.

- Rozłóż fotel - powiedział. - Czeka nas długa droga. Miałś dobry dzień?

- Cudowny - odparła. - Rozmawiałam z Rowlandem; skomlał - chodzi o projekt przy Grosvenor.

- Stary, głupi pierdziel. Nie rozumiem, dlaczego go nie wylejesz? Jest mnóstwo ludzi wokoło, którzy z powodzeniem mogliby zająć jego miejsce.

- Możliwe - powiedziała. - Pewnego dnia posunie się za daleko i zwolnię go. Ale jeszcze nie teraz. Jest dobry, nawet bardzo dobry, w tym cały problem. A teraz pozwól, że powiem ci coś naprawdę fantastycznego...

I opowiedziała mu o francuskim zamówieniu.

- Nie przeholuj, to jedyne niebezpieczeństwo.

Udzielił dobrej rady, ale nie oszukiwał się co do kierujących nim motywów. Nie chciał, by odnosiła wielkie sukcesy; miał wobec niej inne plany.

- Posłuchajmy czegoś - zaproponowała i nastawiła kasetę.

Niezbyt rozumiał muzykę, lubił tylko spokojne, łatwo wpadające w ucho melodie. Nancy usadowiła się wygodnie w fotelu i przymknęła oczy. Tylko przez chwilę słyszała łagodnie brzmiące organy i szmer wycieraczek trących o szyby samochodu.

A potem zaczął się sen. Ukryta za drzwiami dziewczynka obserwowała, jak filigranowa kobieta frunęła w stronę kochanka, szepczącego swoje zaproszenie: „Tutaj jestem, kochanie...” Spojrzenie pełne winy, uśmiech znamionujący dziwne podniecenie. I ktoś, kto za nią podążał, ukrywając w mroku swe zło - cień skradał się pomiędzy cieniami. Dziewczynka chciała krzyknąć, lecz tego nie uczyniła.

*

- Jesteś mi winna pewne wyjaśnienia, Nancy - powiedział David szorstko. - Co to wszystko, do diabła, znaczy?

- Źle się stało, że mnie tutaj przywiozłeś - odparła. - Powinieneś był mnie uprzedzić.

- Skąd mogłem wiedzieć? - odparował. - Skąd mogłem wiedzieć, że nie jesteś tą, za którą się podajesz? Że coś cię łączy z tym miejscem?

- Przepraszam, naprawdę czuję się winna. Wracajmy, Davidzie. I niech wszystko pozostanie bez zmian, nie komplikujmy sobie życia - byliśmy tacy szczęśliwi.

- Żądam wyjaśnień - nie ustępował.

Po raz pierwszy zobaczyła, jak wygląda, gdy jest zły i zdenerwowany. Taki mężczyzna nie pozwoli, by go lekceważyć. Wyszedł na głupca. Czuł się oszukany. Przyznała mu rację; miał prawo znać prawdę o niej.

- Dobrze, Davidzie - powiedziała. - W porządku. To nie będzie dla mnie łatwe. Ale proszę, zostaw mnie na chwilę samą. Przebiorę się i niebawem wrócę.

Wyszedł bez słowa, nawet na nią nie spojrzawszy.

Podeszła do okna i znów rozsunęła zasłony. Deszcz przestał padać. Marmurowi kochankowie trwali zamknięci na zawsze w swoich ramionach; symbol miłości, kiedy wokoło było tyle nienawiści. Pokój zmienił się od czasów, kiedy ciotka Fern miała tutaj sypialnię; przez wiele lat dzieliła ją z mężem, pozostając w pozbawionym miłości związku. Nancy nie podobał się obecny wystrój wnętrza; za dużo rozmaitych ozdób i fotografii, w dodatku niegustownie rozmieszczonych. Inne apartamenty prezentowały się dużo lepiej.

Drżała z zimna i przenikały ją dreszcze. Cóż za ironia losu - w Ashton, gdzie było tyle cudownych pokoi, miała spędzić noc właśnie w tym! Wodziła wzrokiem dookoła,

zastanawiając się, czy zamieszkująca go dawniej kobieta pozostawiła jakiś niematerialny ślad swojej obecności. Jednak im dłużej przebywała w pomieszczeniu, tym wyraźniej sobie uświadamiała, że wraz z odejściem osoby ulotnił się również nastrój. Nic. Nowa aura nie sprzyjała przechowywaniu wrażeń z przeszłości. Nieszczęścia i gorycz najwidoczniej nie przeżyły. Tylko wspaniałe apartamenty babki mogły dostarczyć odpowiedzi. Alice. Na głos wypowiedziała to imię. Babka obserwowała ją z niszy w holu na dole. Nancy czuła jej powrót do życia. Jeżeli w Ashton był jakikolwiek duch, to wyłącznie Alice. Proszę, Boże, tylko nie tego nikczemnika, który przemknął cichaczem przez korytarz, tropiąc swoją ofiarę. Nie pozostawiła po sobie żadnych wrażeń.

- Może - powiedziała Nancy głośno - może myślą sprowadziłaś mnie z powrotem?

Nancy włożyła czarną suknię. Była blada, a rude włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste. Do ramienia przypięła wielkie brylantowe koło.

„Pasuje do ciebie... - odezwało się echo przebrzmiałego przed laty głosu. - Musisz być wysoka, żeby ją nosić”. Była wysoka tak jak ona.

David czekał na dole. Wyszła na korytarz, ten z jej nocnych koszmarów, teraz jasno oświetlony, wyłożony puszystym dywanem, zapraszający. Zamknęła za sobą drzwi i poszła na dół, by stawić czoło przeszłości.

*

David siedział w pobliżu kominka. Z portretu na górze spoglądała na niego słynna Alice Vandekar. Przyglądał jej się badawczo. Babka Nancy. Niewiele mu to mówiło. On nie spędził dzieciństwa w miejscu takim jak Ashton. Milioner, wywodzący się z peryferyjnych ulic Depford. Nancy nie była tego świadoma. Nigdy nie przejawiała chęci poznania historii jego rodziny. Teraz już wiedział, dlaczego. Nie zadawała pytań, na które sama nie miała ochoty odpowiadać. Zamówił whisky. Jakaś para w wieczorowych strojach przeszła obok; spojrzeli na niego i uśmiechnęli się, lecz David nie zareagował. Popatrzył przed siebie.

- W sali Francuskiej odbywa się prywatna kolacja - wyjaśnił kelner, stawiając przed nim drinka.

- Dzięki - rzekł. - Proszę mi przynieść z recepcji folder.

Broszurę przeczytał już wcześniej, ale wówczas interesowały go zdjęcia, warunki i ceny. Ominął historię domu i rodziny Vandekarów. Teraz zaczął od wstępu: słynny dom, zbudowany na początku osiemnastego stulecia, w miejscu gdzie dawniej znajdował się siedemnastowieczny królewski domek myśliwski. Kupiony w 1935 roku przez Hugo Vandekara po jego ślubie z amerykańską piękną, Alice Holmes Fry, podczas wojny przeznaczony na sanatorium dla oficerów RAF-u. Po wojnie stał się sławny ze względu na

odbywające się tam wystawne przyjęcia oraz spotkania znakomitości ze świata polityki i sztuki. Alice Vandekar była jedną z najszlachetniejszych dam okresu powojennego. W Ashton często bawili członkowie rodziny królewskiej, a fotografie z autografami króla i królowej, księcia i księżnej Gloucester, z wieloma znanymi aktorami czy politykami nadal - wypożyczone - znajdowały się w tym domu. Umeblowanie było w większości oryginalne; nabyte, kiedy dom został sprzedany przez wykonawców woli Vandekara.

Owe informacje niewiele mu wyjaśniły, natomiast wzbudziły wątpliwości. Rzetelnie odtworzono historię tego domu, ale nie powiedziano wszystkiego. Co stało się z milionami Vandekara? Dlaczego dom został sprzedany?

- Jestem - powiedziała Nancy. Pomyślała, że zbyt długo kazała mu czekać. - Staralam się wrócić jak najszybciej - usprawiedliwiła się.

Spojrzał na nią i opuścił folder. Brylantowa broszka zdobiąca jej suknię rzucała olśniewający blask.

- W porządku. Czego się napijesz?

- Tego samego, co ty.

Mieliśmy świętować, pomyślał. Szampan, specjalna kolacja; prezent, który zamierzałem jej podarować, nie zrobi wrażenia przy takiej broszce.

- Przeczytałem to - odłożył broszurę. - Nie ma w niej wiele.

- Tak sądzę - stwierdziła Nancy, chociaż jej nie czytała. - Oglądałeś portret?

Wstała i podeszła do obrazu. David podążył za nią. Ktoś z obsługi obserwował ich z drugiego końca holu, przyzwyczajony, że ludzie często podziwiają to płótno, jedno z piękniejszych w kolekcji. Wspaniałe dzieło sztuki, a także pamiątka po fascynującej kobiecie.

- Zachwycano się nią, mówiono, że jest bardzo piękna - powiedziała Nancy. - Ale to nie wbijało jej w dumę ani nie schlebiało próżności.

Postać na obrazie była niemal naturalnej wielkości - praca modnego portrecisty z lat pięćdziesiątych, który stwierdził, że przede wszystkim z inspiracji modelki stworzył najdoskonalsze spośród wszystkich swoich dzieł. Szczupłe zmysłowe ciało kobiety otulała niebieska suknia, podkreślająca krojem linię biustu i ud. Miała blond włosy i jasną karnację, ale najbardziej fascynowało spojrzenie, które zdawało się zmieniać. Łabędzia szyja mogła wywołać wrażenie, że malarz nieco przesadził w oddaniu jej smukłości, nadmiernie wydłużając linię. Biel nagich ramion ostro kontrastowała z ciemnym tłem obrazu. Kobieta wydawała się prowokująca i dumna. Nie widać było biżuterii; jednak błyszcząca plama światła, rozświetlająca suknię na piersi, wywoływała skojarzenie, że takim blaskiem mogą płonąć tylko brylanty.

- Jest w niej uderzające podobieństwo do ciebie - powiedział David. - Czy ona nie ma... tej samej broszki?

- Tak - odparła Nancy. - Dała ją mojej matce w prezencie ślubnym, a matka zostawiła klejnot mnie.

Stała patrząc na obraz.

- Nienawidziła tchórzy - stwierdziła nagle. - Nie byłaby dumna, gdyby wiedziała, w jaki sposób uciekłam. Usiądźmy, Davidzie.

Pił swoją whisky czekając, żeby Nancy zaczęła mówić. Istniało podobieństwo, uderzające podobieństwo pomiędzy pięknnością z portretu a kobietą, którą podczas tego weekendu zamierzał poprosić o rękę.

- Naprawdę nazywam się Vandekar. Alice Vandekar była moją babką.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że tak bardzo różnią się pochodzeniem.

- Dlaczego zmieniłaś nazwisko?

Spojrzała na niego i zrozumiał, że myślami odeszła daleko stąd.

- Vandekar to słynne nazwisko. Dlaczego uciekłaś z rodzinnego domu, Nancy?

- Nie widziałam innego wyjścia. - odparła. - Chciałam zacząć nowe życie, zapomnieć o wszystkim. Powiedziałam ci już, że stchórzyłam. Naprawdę chcesz się dowiedzieć wszystkiego o mojej rodzinie? O mnie?

- Tak. I nie zmienię zdania.

- To długa historia - powiedziała cicho - i niektóre rzeczy potem już nie będą dla nas takie same... Mieszkaliśmy tutaj wszyscy: moi kuzynostwo, Ben i Phyllis - dzieci ciotki Fern - oraz matka i ojciec. Tutaj był prawdziwy dom, niezależnie od tego, czy nasi rodzice posiadali domy w Londynie, czy nie. Alice lubiła swoje wnuki. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi, lubiła, bym znajdowała się blisko niej. Zawsze byłam jej pupilką, a mojego ojca po prostu uwielbiała. Nadal jesteś zły?

- Nie - odparł. - Tylko ciekawy. Jesteśmy razem od sześciu miesięcy i nic o tobie nie wiem. Dziwne uczucie.

- Przykro mi. Nie oszukiwałam cię. Przez wszystkie te lata usiłowałam okłamywać samą siebie. Jeżeli chcesz mnie zrozumieć, Davidzie, musisz dowiedzieć się jak najwięcej o mojej babce. Pozwól mi zacząć od Alice.

2.

W tym roku czerwiec był naprawdę wspaniały. Wszyscy uznali, że sezon rozpoczął się pod znakiem cudownej pogody. Maj też nie rozczarował - ciepły i zachwycający, zupełnie inny niż posępna, chłodna wiosna 1933 roku. Tak, rok 1934 zapowiadał się jako dobry rok dla ludzi, którzy chcą się bawić. Debiutujące w towarzystwie dziewczęta zachwycaly urodą. Niektóre, jak młoda piękność z Bostonu, Alice Holmes Fry, stanowiły dar niebios dla gazetowych kolumn towarzyskich. Co tydzień odbywały się bale, koktajle i lunche. Derby, Royal Ascot, Henley, Cowes; przyjęcia w domach na wsi podczas weekendów - nie było niczego na całym świecie, co dawałoby powody do zmartwień, wyjąwszy sprawy serca i rozważań, które zaproszenie należy przyjąć. Tak było, jeśli chodzi o bogatych.

Lecz Alice Holmes Fry, która przybyła we właściwym stylu na *Queen Mary*, z matką jako przyzwoitką oraz ze służącą, miała pieniądze wystarczające, by spędzić w Anglii tylko rok. Gdyby nie udało jej się znaleźć bogatego męża, musiałaby wrócić do Bostonu i poprzestać na tym, co mogłaby dostać na miejscu. Amerykanki cieszyły się powodzeniem i popularnością; wiele z nich było bogatych, a mniej zamożni kawalerowie, których źródła dochodu już się wyczerpały, lecz na utrzymaniu pozostawały kosztowne domy, krążyli wokół małego grona panien na wydaniu niczym głodne krokodyle; skrywając ostre zęby pod przymilnymi uśmiechami. Oni nie zaprzęтали uwagi Alice. Holmesowie Fry stanowili bostońską arystokrację - wśród swoich przodków mieli dobrze udokumentowanego uczestnika Konwencji Konstytucyjnej z 1787 roku - ale nie byli bogaci, z winy ojca Alice. Hazard i kobiety pochłonęły to, co pozostało z odziedziczonej wielkiej fortuny. Kiedy umarł, Alice miała dwadzieścia dwa lata.

Ona wpadła na pomysł wyjazdu do Anglii. Przyjaciele domu widzieli w jej matce kobietę miłą, lecz słabą, bowiem pozostawała ze swym rozwiązłym mężem, i niezbyt mądrą, skoro nie dostrzegała zbliżającej się ruiny finansowej. Jednak Alice wiedziała lepiej. To nie była słabość ani głupota. Jej matka kochała go. I w rozmowie z córką zawsze mówiła o nim „twój drogi ojciec”, mimo iż nawet umarł w łóżku innej kobiety.

Matka i córka różniły się, ale były sobie bardzo bliskie. Phoebe Holmes Fry, niska, ciemnowłosa kobieta miała skłonności do tycia. Myślała z dumą, że Alice jest taka jak jej ojciec - odziedziczyła po nim smukłą sylwetkę, wysoki wzrost, jasnoblonde włosy i zdumiewająco niebieskie oczy. Nic dziwnego, że kobiety uganiały się za nim - to nie była wyłącznie jego wina. Alice także miała w sobie pewien magnetyzm powodujący, iż mężczyźni otaczali ją gromadnie.

- Dlaczego do Anglii, moja droga? Przecież tutaj pełno jest miłych młodych mężczyzn, którzy aż się palą do oświadczyć; wszystko zależy od ciebie.

- Mamo - powiedziała Alice - są głupi i nie jestem zakochana w żadnym z nich. Pragnę poślubić kogoś wyjątkowego. A nikogo takiego tu nie ma.

Przynajmniej nikogo zainteresowanego mną - pomyślała Alice. Finałowe zejście tatusia ze sceny też nie zwiększyło jej szans, ale nie zamierzała tego powiedzieć. Nie chciała ranić matki. Ten bastard wystarczająco ją krzywdził przez całe życie. W Anglii na pewno spotka mężczyznę, jakiego pragnie. Wierzyła, że tak będzie.

Zatrzymały się w Ritzu.

- Ależ, moje złotko - protestowała matka - nie stać nas na pobyt w takim miejscu.

- Nie stać nas na to, by nie zatrzymywać się w takim miejscu - odparła Alice. - Wszystko musimy robić z klasą albo w ogóle nie robić. Trzeba wynająć dom, w którym mogłybyśmy przyjmować gości, i musi on znajdować się w odpowiedniej części miasta. Mamy pieniądze; na pewno wystarczy na roczny pobyt. Nie martw się, ja wierzę, że będzie dobrze. Musi być.

- Zachodzę w głowę, skąd czerpiesz to przekonanie - odparła Phoebe. - Ja nie mam takiej pewności. Może twój drogi ojciec...

Alice odwróciła się tyłem i powiedziała:

- Możliwe.

Nie chciała, by matka dostrzegła wyraz jej twarzy.

Miały listy polecające i część wydatków stanowiło honorarium dla pewnej damy, przedstawicielki niegdyś znakomitego starego rodu, a teraz bardzo zubożałej, która wykorzystując swoje koneksje zarabiała na utrzymanie; promowała i przedstawiała na dworze takie młode kobiety, jak na przykład Alice. Spotkały się z nią w Ritzu drugiego dnia po przyjeździe. Lady Margaret zachowywała się nieco wyniośle w stosunku do nich. Phoebe była onieśmielona, a Alice zirytowana. Mogła być córką księcia, ale musiała zapłacić.

Kiedy plany zostały ułożone, a kanapki, herbata i małe ciasteczka sprzątnięte, znalazła okazję, by jej o tym przypomnieć. Kwartet muzyczny grał melodie z ostatniego przeboju musicalowego z West Endu. *Evergreen*, z Jessie Matthews w roli głównej. Alice pragnęła zobaczyć to przedstawienie.

- Sądzę, że omówiliśmy już wszystko - powiedziała lady Margaret, biorąc swoje rękawiczki i torebkę.

Była wysoką, smukłą kobietą, niegdyś przystojną na swój kościsty sposób. Prezentację u dworu aranżował ambasador amerykański. Lady Margaret miała towarzyszyć

Alice do Buckingham Palace, by ta złożyła dworski ukłon przed królem Jerzym i królową Marią. Zdobyć zaproszenia na bal do Ashton stanowiło pewną trudność, ale Rushwellowie byli dawnymi przyjaciółmi rodziny lady Margaret, która ręczyła za pannę Holmes Fry.

- Bardzo to miłe z pani strony - powiedziała Phoebe uprzejmie. - Ale sprawia sobie pani wiele kłopotu.

Lady Margaret odpowiedziała lodowatym uśmiechem. Ci bogaci Amerykanie albo - najgorsze ze wszystkiego - ich wspinający się po drabinie społecznej angielscy odpowiednicy nie dowiedzą się nigdy, jakie czuła upokorzenie i przygnębienie, sprzedając w ten sposób swoje przyjaźnie oraz rodzinne koneksje.

- Istotnie, sprawia sobie pani kłopot - powiedziała Alice, a jej uśmiech był niezwykle słodki. - Jeśli zrobię naprawdę dobrą partię, będziemy musiały podwoić pani honorarium.

Potem pożegnały się i zaprowadziła matkę z powrotem do ich apartamentu.

- Zachowałeś się nietaktownie - zauważyła Phoebe. - Czy nie zauważyłaś, jak się zaczerwieniła, kiedy powiedziałaś o wynagrodzeniu? Nie powinnaś być o tym wspominać, Alice. Ludzie tacy jak lady Margaret nie lubią, by im przypominać o pieniądzach. To ambarasujące!

- Przykro mi, mamó. Ale tylko dlatego, że ciebie wprowadziłam w zakłopotanie. Nie przejmuj się. Ona nie zrezygnuje, pamiętaj, nie możesz pozwolić, by ludzie po tobie deptali. Nie robią nam żadnej łaski. Czyż nie wydaje ci się wspaniałe, że będziemy na balu w Ashton, najpiękniejszym domu w całej Anglii?!

Znowu nastąpił niepohamowany wybuch entuzjazmu. Phoebe nie mogła powstrzymać uśmiechu. Doprawdy, Alice miała charakterek. Zadzwoiła później do lady Margaret i była dla niej nadzwyczaj miła.

- Kto ci powiedział, że to najpiękniejszy dom? - spytała Phoebe. - Czy już się z kimś spotkałaś?

- Nie, ale tak jest napisane w każdej książce na temat wielkich posiadłości wiejskich. I widziałam zdjęcie domu. Jest olbrzymi. Widzisz, czytałam o tych wszystkich miejscach oraz o zamieszkujących je rodzinach, więc nie wydaje mi się, bym była ignorantką. Oni sądzą, iż wszyscy Amerykanie są wieśniakami. Ale nie ta jedna! Mamó - wiadomość telefoniczna - zapomnieliśmy! Sprawdź, czy nikt do nas nie dzwonił.

- Nikt nie wie, że tutaj jesteśmy - odparła Phoebe. - Mieszkamy w Ritzu zaledwie od dwóch dni.

Ale córka miała rację. Były dwie wiadomości, z których jedna spowodowała, że Alice, roześmiana i podniecona, zaczęła klaskać.

- Koktajl u lady Furness? Mamo, czy ona nie jest...

Phoebe podniosła rękę.

- Tak, ale nie powinnaś tego mówić.

Kochanka księcia Walii. Amerykanka, którą Phoebe знаła, kiedy były dziewczętami.

- To bardzo miło z jej strony - powiedziała. - Nie spodziewałam się, że tak szybko o niej usłyszymy. Będzie dla ciebie wielce pomocna, moja droga. Ma szerokie znajomości.

- Nie mogę się doczekać spotkania - rzekła Alice. - Nawet jeśli nie wolno mi powiedzieć, dlaczego.

Schylła się i objęła matkę.

- Pomyślałaś o napisaniu do niej. Ja robię tylko zamieszanie, a ty mądrze działasz i nie mówisz ani słowa. Wszystko ułoży się wspaniale, odniosę wielki sukces. Sprawię, że będziesz ze mnie dumna.

*

Hugo Vandekar nudził się. Nie odpowiadała mu atmosfera przyjęcia w tym zimnym wiktoriańskim domu, piętnaście mil od Ashton. Jedzenie było nijakie, a dziewczęta nieinteresujące. Wyrzucał sobie, że przyjął zaproszenie. Przedkładał interesy ponad towarzyskie spędy. Jednak matka nalegała, by poznał jakieś nowe młode kobiety. Uważała, że syn, który ma trzydzieści jeden lat i od czasu śmierci ojca jest głową rodziny, jak najprędzej powinien się ożenić. Swoim przyjaciółkom wyznała w sekrecie, iż ogarnia ją śmiertelna trwoga na myśl, że mogłaby go omotać jakaś sprytna rozwódka. Moralność w dzisiejszych czasach jest taka rozluźniona!

Hugo stanowił bardzo dobrą partię. Nie rościł sobie prawa do arystokratycznego pochodzenia - jego dziadek przybył z Amsterdamu i zbudował imperium okrętowe, które powiększyło się o kopalnie węgla i fabryki. Ojciec Hugona był równie sprytny. Jego domenę stanowił rynek papierów wartościowych. Zbił niewiarygodną fortunę podczas krachu na Wall Street w 1929 roku; skupował za bezcen akcje i cierpliwie czekał, aż amerykańska giełda podniesie się z upadku, po czym otworzył w Londynie prywatny bank. Umarł trzy lata temu, ale Hugo został wprowadzony w rodzinne interesy, kiedy ukończył Oxford. Był gotów do przejęcia władzy. Miał młodszego brata, Phillipa, który pracował razem z nim.

Po kilku obowiązkowych tańcach Hugo odłączył się od gości i z kieliszkiem szampana usiadł w małej bibliotece obok głównego holu. Orkiestra miała przerwę, więc dochodziły do niego głosy rozmawiających osób; dźwięki niczym z kolonii ptaków, jak postrzegał owe trzy setki zgromadzonych tutaj ludzi, nie mających nic ważnego do powiedzenia.

- Czuje się pan samotny czy tylko znudzony?

Podniósł szybko wzrok. Była bardzo piękną blondynką i miała w sobie śmiałość, która go zdumiewała. Stała z jedną ręką opartą na biodrze i patrzyła z rozbawieniem w dół.

- Z pewnością nie jestem samotny - zaprzeczył.

Amerykanka - rozpoznał bostoński akcent.

- A zatem musi pan być znudzony. Albo pijany. Czy jest pan pijany?

- Dobry Boże! Oczywiście, że nie jestem pijany. Cóż za przypuszczenie!

- No cóż, mój partner się upił. A to naprawdę jest nudne. Freddie Cavendish - wysoki, ciemnowłosy, z wąsami. Nie widział go pan czasem?

Znał Freddie'ego Cavendisha z reputacji, jaką się cieszył. Zwykle był pijany na przyjęciach.

- Niestety, nie.

Roześmiała się.

- Nie szkodzi. Spróbuję go odszukać.

Po czym zniknęła w tłumie za jego plecami. Wstał i poszedł za nią.

Nie znalazła Cavendisha, ale zauważył, że rozmawia otoczona grupką młodych mężczyzn.

- Witaj, Hugo - powiedział ktoś. - Jak się masz? Nie wiedziałem, że tu jesteś...

- Bardzo dobrze - odparł, nie odrywając wzroku od blondynki. - Nie wiesz, kto to jest... ta dziewczyna, w niebieskiej sukni?

- Och, masz na myśli Alice Holmes Fry. Super, nieprawdaż? Naprawdę pierwszorzędną. Często gości na łamach różnych gazet, wiesz.

- Nie czytuję rubryk towarzyskich - odparł Hugo; był rozczarowany.

Nie wyglądała na osobę umizgującą się do gawiedzi. Każda amerykańska dziewczyna mówiła, jak emocjonujący jest pobyt w Londynie i jakie wszystko tutaj jest boskie.

- Wstrętna mała żmija - ciągnął jego towarzysz. - Mówi wszystko, co jej przyjdzie na myśl.

- Zauważyłem - odparł Hugo.

- Jesteś zainteresowany? Chcesz ją poznać?

- Już to zrobiłem. Przepraszam.

Alice zauważyła, że Hugo idzie w jej stronę, ale udawała, że go nie widzi, dopóki nie stanął tuż obok. Wtedy odwróciła się i powiedziała:

- Witaj.

- Hugo Vandekar - przedstawił się.

- Alice Holmes Fry - wyciągnęła do niego dłoń.

Uścisk jej ręki był mocny; niemal jak witającego się mężczyzny.

Hugo Vandekar. Miliony milionów. I przystojny.

- Nie znalazłam Freddie'ego - powiedziała. - Może poszedł do domu?

- Bardziej prawdopodobne, że gdzieś usnął. Zatańcz ze mną, proszę.

Wsunął rękę pod jej ramię, by uprzedzić każdego, komu zaświtałby ten sam pomysł.

- Okay - powiedziała. - Zatańczmy.

Znakomicie tańczyła, ale i on także. Przetańczyli większość wieczoru i przed kolacją poprowadził ją do stołu. Mówiła i śmiała się z zaraźliwą wesołością. Hugo był raczej poważny, co uważał za niewątpliwą zaletę. W towarzystwie tej dziewczyny nagle wszystko zaczęło się wydawać zabawne.

- A dom, czyż nie jest wspaniały? - mówiła podczas kolacji. - Odkąd przyплыnęliśmy, byłam na wielu przyjęciach - w Belvoir czy Clivedon, na przykład - ale to jest najpiękniejsze miejsce, jakie widziałam. Nie sądzisz?

- Nie zastanawiałem się nad tym - przyznał.

Była piękna. Nie wyobrażał sobie, by oczy mogły mieć barwę aż tak nasyconego błękitu. Zachwycony patrzył na jej złotawe włosy, zaplecione z pozorną niedbałością i upięte w zgrabny kok. Zastanowił się nagle, jak by wyglądała naga, z rozpuszczonymi włosami, przysłonięta nimi jak welonem.

- Byłaś już na tarasie?

- Nie.

- Zaprowadzę cię tam. Powinien być oświetlony; wywołuje to niesamowite wrażenie.

- Och, tylko spójrz na to! - Przez moment zapomniała o nim.

Stali na szerokim tarasie. Księżyc nie było widać - błyszczał tylko w wielkiej płaszczyźnie wody daleko przed nimi, a rzeźbę nagich kochanków obejmował samotny promień światła. Nie było w tym nic erotycznego. Hugo nigdy nie odnosił takiego wrażenia, kiedy patrzył na rzeźbę dziesiątki razy w towarzystwie innych kobiet. Teraz tak bardzo pragnął dotknąć stojącej obok niego dziewczyny, że odsunął się nieco na wypadek, gdyby stracił nad sobą panowanie i objął ją.

- Ktoś mówił, że sprawy finansowe Rushwellów nie stoją najlepiej. Może nawet będą musieli sprzedać dom.

- To dotyczy wielu ludzi. Wydają pieniądze, a nie pomyślą, że należałoby też dokładać. Brak rozwagi i ostrożności zawsze słono kosztuje.

Pomyślała, że dosyć ostro ocenia, ale postanowiła nic nie mówić.

- Przykra sprawa - rzekła. - Chyba pękłoby mi serce, gdybym miała stracić podobny dom. Wrócimy na przyjęcie?

- Oczywiście. Zanim jednak to zrobimy, chciałbym spytać, czy zjesz ze mną obiad w Londynie?

Nie próbował jej pocałować, nie zachowywał się nachalnie. Do tej pory nie spotkała takiego dżentelmena. I podobał jej się. Naprawdę.

- Będę zachwycona. Do czasu aż znajdziemy jakiś dom, zatrzymałam się z mamą w Ritzu. Zadzwoń do mnie.

Dwa miesiące później oświadczył się jej i został przyjęty. Gazety przytaczały słynną wypowiedź Alice Holmes Fry komentującą ów fakt:

„Jedynie nadzwyczajny mężczyzna mógł mnie zdobyć. Nadzwyczajnie przystojny, nadzwyczajnie mądry i nadzwyczajnie bogaty!”

Pani Johnowa Vandekar wpadła w furię, a Hugo ryczał ze śmiechu.

*

Był dzień jej ślubu. 18 kwietnia 1935 roku. Obudziła się dosyć wcześnie. Ostatni dzień, kiedy mieszka w wynajętym domu i śpi w łóżku należącym do kogoś innego. Dzień, który uczyni ją najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. Wstała i odsunęła zasłony. Pogoda także sprzyjała radości.

- Słońce wita szczęśliwą pannę młodą - powiedziała Alice i roześmiała się.

Jakże ekscytujące przeżycie; nie była zdenerwowana z powodu samego wydarzenia, tylko czuła uniesienie. Obiecała matce, że dostarczy jej powodów do dumy, i nie zawiodła. To będzie najwspanialszy ślub roku. U świętej Małgorzaty, w Westminster. Przyjęcie weselne w Londonderry House, wynajętym im przez markizę, co było wielką uprzejmością z jej strony wobec Vandekarów. I najważniejsze - przybędzie przyszły król Anglii. Otworzyła drzwi do garderoby. Jej suknia ślubna - długa otoczka z białej satyny, przesadnie skromna, a mimo to prowokująca, gdyż leżała na niej jak własna skóra - spowijała manekin. Uszył ją Hartnell. Nie przysłano rachunku. Nadejdzie, kiedy zostanie panią Hugonową Vandekarową. Prosta tiulowa woalka i girlanda konwalii. Żadnych pożyczanych diademów, żadnych brylantowych naszyjników. Tylko koło z doskonałych kamieni, które dała jej matka Hugona. Niechętnie, jak podejrzewała Alice, ale miała poślubić najstarszego syna, a to stanowiło rodzinną tradycję.

Dopiero ósma rano. Jeszcze wiele godzin do przeczekania - jak inni mogą spać, skoro ona już wstała i aż ją roznosi energia i podniecenie? Była głodna. Zadzwoiła, by podano jej śniadanie.

Phoebe zeszła później. Cieszyła się szczęściem swojej kochanej córeczki, ale ogarniał ją smutek, gdy pomyślała o sobie. Bez Alice będzie się czuła samotna, lecz Hugo był tak miły, odpowiedzialny i czuły, i tak bardzo zakochany, że patrząc na nich oboje nie mogła oprzeć się wzruszeniu. On potrafi zatroszczyć się o Alice - pod jego opieką nic złego córce nie grozi. Zaś Alice, Bogu dzięki, zawsze będzie oświetlać jego życie. Jest nadzwyczajna, pomyślała Phoebe, widząc pustą tacę po śniadaniu i pogodną, jasną twarz dziewczyny bez śladu nerwowego napięcia. Potrafiła wydobywać z ludzi energię i obdarzać ich swoim optymizmem. Hugo powiedział kiedyś: „Widzi pani, Alice sprawia, że zawsze czuję się tak, jak w słoneczny dzień. Ma cudowny dar cieszenia się życiem i przekazywania tej radości innym. Nie znajduję słów, by podziękować pani za jej wspaniałą córkę”.

Pochylił się i pocałował Phoebe w policzek. Okazanie takiej serdeczności przez człowieka zawsze utrzymującego dystans, wstrzeźliwego w okazywaniu swych uczuć, stanowiło niewątpliwie dowód wielkiego uznania. Zarumieniła się z zadowolenia.

- Wstałaś bardzo wcześnie - powiedziała. - I już po śniadaniu? Ja nie mogłabym nic przełknąć!

- Nie denerwuj się, mamo. Jeśli nic nie zjesz, poczujesz się słabo w kościele. Nie ma powodu do niepokoju. Chcę, żebyś cieszyła się wszystkim tak bardzo, jak ja. - Alice ścisnęła dłoń matki. - Nie zrobiłabym nic bez ciebie. Pozbyłaś się swojej biżuterii, by zdobyć pieniądze na wyjazd do Anglii... Wiem o wszystkim. Zamierzam odkupić ją dla ciebie - naszyjnik babci, kolczyki i wszystkie precjoza, które sprzedawała Tiffany'emu. Nie, nie patrz tak na mnie, znalazłam rachunek za klejnoty, zanim wyjechałyśmy z Ameryki. Nie powinnaś być tak nieostrożna, zostawiając rzeczy na wierzchu!

Zachichotała niespodzianie.

- Do czasu aż z nim skończę, biedny Hugo będzie splukany. Zadzwoń teraz do niego i powiedz: cześć?

Phoebe była zszokowana.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie możesz zatelefonować ot, tak, po prostu i rozmawiać, jak w zwyczajny dzień. Musi cię zobaczyć idącą wzdłuż rzędów ławek w kościele i wyglądającą niczym królowa. Nie myśl o dzwonieniu do niego.

- Prawdopodobnie wisi na telefonie i usiłuje się dodzwonić do swego brokera - powiedziała Alice.

- Och... nie wolno ci mówić takich rzeczy.

- Mówię mu to prosto w oczy. Wszystko, o czym myśli, to pieniądze i ja, albo - mam nadzieję - ja i pieniądze. Śmieje się wówczas. Mamo kochana, gdybym była kolubryną i

mówiła półsłówkami, nigdy nie zainteresowałby się mną. Oddaję cios za cios, a on uważa, że tak jest cudownie. Uwielbia to. A ja go kocham.

Zrzuciła koszulę nocną, włożyła szlafrok i wsunęła stopy w pantofle. Miała piękne stopy i długie, zgrabne nogi.

- Naprawdę go kochasz? - spytała Phoebe. - A może zaimponowało ci, że jest bogaty, i dałaś porwać się emocjom?

Podobne pytania zadawała, kiedy się zaręczyli. Alice ubóstwiała ją za to. Ileż matek, mogących mieć za zięcia milionera i zapewnione przez to bezpieczeństwo finansowe, ryzykowałyby dociekanie podobnych kwestii?

- Naprawdę go kocham - odparła. - I nie jestem z tych, które dają się ponieść emocjom; uwierz mi. On spełnia wszystkie moje marzenia. Jest mądry, interesujący i ma tak wspaniałe poczucie humoru, że nigdy nie przestajemy się śmiać; zawsze będzie mnie zachwycał. Chce mieć rodzinę; ja pragnę być najlepszą żoną na świecie. Będziemy szczęśliwi, wiem to. Teraz kochana mam, idę się wykapać. Zobaczymy się później. I pomyśl o zjedzeniu czegoś.

*

To był dzień ślubu Hugona. Obudził się o siódmej, kiedy służący przyniósł herbatę; Hugo zapytał go o pogodę.

- Zapowiada się przyjemny dzień, sir.

- Bardzo dobrze. Nie potrzebujemy dzisiaj deszczu, nieprawdaż?

- Z całą pewnością nie, sir. Czy przynieść panu śniadanie później, czy też ma pan na nie ochotę już teraz?

- Teraz. I aspirynę.

Lokaj uśmiechnął się.

- Jest na tacy z herbatą, sir. Na wypadek gdyby jej pan potrzebował.

Jego kawalerski wieczór przeciągnął się dobrze po północy i skończył w nocnym klubie; Hugo nie uczcił swej ostatniej nocy wolności spędzeniem jej z ładną tancerką, ale wypił mnóstwo szampana, podlanego brandy, i bolała go głowa. Była to fatalna kombinacja trunków. Zwykle postępował bardziej rozważnie, by nie zaczynać następnego dnia od kaca. Nie chciał przespać się z tamtą dziewczyną. Poszedł z nią jego przyjaciel, zaś on stał się ofiarą dowcipów całego towarzystwa, ale zlekceważył to, nie mógł jednak wytłumaczyć, iż żądze budzi w nim tylko jedna kobieta, inne w ogóle go nie pociągają. Gdyby ta żalonna dziewczyna rozebrała się przed nim, też nie czułby pożądania. Obsesyjnie myślał o Alice. W wyobraźni trzymał ją w ramionach, widział Alice naga, z rozpuszczonymi włosami, w które

zanurzał dłonie. Pragnął jej niemal chorobliwie. Od owego momentu na tarasie w Ashton rosła w nim namiętność, jakiej nie doświadczył nigdy wcześniej. W jego życiu było wiele kobiet. Zdarzało mu się także zakochać. Miał duży temperament, lubił seks i bez skrupułów folgował swoim zmysłowemu zachciankom. Wiedział, że jego pieniądze - a jeszcze bardziej status kawalera - stanowią dla kobiet magnes. Uganiał się za kobietami i był przez nie ścigany, ale nigdy nie dawał się złapać. Alice nie usiłowała go schwytać. Został usidlony przez jej niezależność oraz niezwykle pogodne usposobienie. I przez otaczającą tę dziewczynę aurę erotyzmu, której zdawała się całkiem nieświadoma.

Jego matka nie lubiła przyszłej synowej i Hugo wiedział o tym. Phillip podziwiał ją, ale taki maminsynek nie zasłużył sobie na życzliwe spojrzenie szwagierki. Hugo nie dbał o ich opinie. W ogóle nie obchodziło go, co inni myślą o Alice, ponieważ była dziewczyną, którą zamierzał poślubić - i to decydowało o wszystkim. Dostrzegł jej silną osobowość. Obserwował walkę pomiędzy swoją matką a narzeczoną, którą ta ostatnia wygrywała bez większego trudu. Kochał matkę, ale jego ojciec zaledwie tolerował głupie kobiety, a matka Hugona była bardzo głupia. Cenił sobie roztropność Alice. Miała silną wolę, reagowała impulsywnie, posiadała nieprzeciętną inteligencję. Dla niego było to wyzwanie, któremu postanowił sprostać w ich wspólnym życiu.

Dzisiaj miał ją poślubić. Rytuał i snobizm ceremonii nie wzbudzały w nim emocji. Ani nabożeństwo. Nie był religijny. Przypuszczał, że ona także nie. Wiedział, że jest dziewicą. I chociaż mu tego nie powiedziała ani nie doszło wcześniej do zbliżenia między nimi, miał pewność, że się nie myli. Alice była niewinna na swój własny sposób.

Nawet nie myślał o tym, by przed ślubem pójść z nią do łóżka. Wolał zachować wstrzeźliwość, by później móc doznać silniejszych wrażeń spełnienia. Uważał też, że tym podsyci namiętność Alice. Nie chciał, by zwykłe uwiedzenie zepsuło nastrój ich ślubu. Sam sobie pragnął dowieść, że potrafi zapanować nad zmysłami. I nad Alice. Potem ofiaruje jej świat.

*

To rzeczywiście było wesele roku. Dziennikarze zyskali niewyczerpane źródło materiałów na kolumny towarzyskie. Zachwycali się suknią panny młodej, wytwornością pana młodego oraz znakomitymi gośćmi; na wspaniałym przyjęciu w Londonderry House bawiło się tysiąc dwieście osób. Było wystawnie, promiennie od blasku klejnotów i romantycznie. Komplementy płynęły jak szampan. A potem wielka bomba: przyjęcie zaszczylił swoją obecnością książę Walii.

Alice i Hugo stali przyjmując gratulacje; kolejka składających życzenia wreszcie się

skończyła. Alice uścisnęła tyle dłoni, że nie czuła własnej ręki. Księżę przybył późno; matkę Hugona ogarnęła panika na myśl, że mógłby się w ogóle nie zjawić. Ale oto był, zmierzając w ich kierunku. Alice wykonała głęboki ukłon. Nie miała okazji, by dokładnie mu się przyjrzeć. Lady Furness, która okazała tyle uprzejmości na początku ich pobytu w Londynie, nie była już jego kochanką.. To miejsce zajęła jej dobra przyjaciółka, Wallis Simpson.

Wymruczał kilka słów - miał monotony, metaliczny głos. Obserwowała, jak wchodzi pomiędzy gości, którzy rozstępowali się przed nim. Podszedł do drobnej, bardzo szczupłej kobiety w mocno wydekoltowanej niebieskiej sukni.

- Co ci powiedział? - chciała wiedzieć Alice.

- Niewiele - odparł Hugo. - Stwierdził tylko, że czarująco wyglądasz, i życzył nam szczęścia.

- Powiedział to do mnie. A więc tylko ja wyglądam czarująco. Czy dama w niebieskiej sukni to jego...

- Tak. Nie patrz na nich, kochanie. Powinniśmy obejść salę i porozmawiać z gośćmi. A on nie ma racji. Nie wyglądasz czarująco. Wyglądasz przepięknie. - Podniósł jej dłoń i ucałował.

Spotkali się wzrokiem i odczytał wyraz jej oczu. Wstrząsnął nim dreszcz. „Moja dzika”, nazywał ją. Patrzyła z prawdziwą miłością. To spojrzenie obiecywało wszystko.

- Dlaczego zdrząłeś, kochanie? - spytała. - Musiałeś być niegrzeczny podczas kawalerskiej kolacji zeszłej nocy!

- Pomyślałem o dzisiejszej nocy - szepnął.

- Ja także - powiedziała Alice. - Czyż nie cudownie, że będziemy razem, tylko we dwoje? Sądzę, że teraz powinniśmy dołączyć do gości. Wkrótce nadejdzie pora krojenia tortu.

Hugo śledził ją wzrokiem, kiedy się oddalała. Był z niej taki dumny. Nie straciła odwagi przez całą długą ceremonię ślubną. Nosila się z godnością i miała dużo wdzięku; nigdy nie zapomniał tego spojrzenia, dużo cenniejszego od wszelkich przyrzeczeń.

Apartament dla nowożeńców został zarezerwowany w hotelu Amstel. Amsterdam to piękne miasto, jedno z najbardziej romantycznych na świecie. A dla niego zupełnie szczególne. Pragnął pokazać jej mały domek obok mostu Zeeden, w którym rodziły się i umierały pokolenia Vandekarów, zanim Adam zdecydował się przenieść do Londynu i zaczął budować swe imperium handlowe. Alice spodoba się to. Widział ją, jak rozmawia z grupą młodych mężczyzn. Potrafi sobą zafascynować. Będzie musiał uważać na nią. Tylko głupiec mógłby pozostać bez troski.

- Hugo.

Odwrócił się. Obok niego stał Phillip. Młodszy brat i jego najlepszy pracownik. Nigdy nie rywalizowali ze sobą. Dominacja Hugona była akceptowana, nawet już w dzieciństwie.

- Dopiąłeś swego - stwierdził brat. - W końcu zaprowadziłeś ją do ołtarza! Muszę przyznać, że jest oszalamiającą dziewczyną. Przysłano mnie tutaj, by ci przypomnieć, że pora pokroić tort. Mama i ja rozmawialiśmy z La Simpson. Następca tronu nadskakuje jej jak pieprzony kelner. Mam notatki do naszych toastów. Te dla ciebie położę na stole.

- Pójdę po Alice - powiedział Hugo.

Rozumiał obsesję swego przyszłego króla. On także pragnął, by Alice była z nim cały czas.

To było cudowne wesele, kończące się tak, jak powinny kończyć się cudowne wesela - odjazdem nowożeńców wśród śmiechów, sypiącego się ryżu i płatków róż. Pani Johnowa Vandekar i Phillip pomachali im na odjezdnym, po czym pani Vandekar pożegnała się z matką swojej synowej. Wyjaśniła, że czuje się trochę zmęczona, a jej lekarz nalega, by udała się do domu w Sussex i położyła wcześniej do łóżka.

Phoebe przyjęła to kłamstwo ze swoją zwykłą prostodusznością. Przyznała, że dzień rzeczywiście był emocjonujący. Ale czyż nie cudowny? Czyż młodzi nie stanowili najpiękniejszej pary? I tak bardzo w sobie zakochanej? Łzy napłynęły jej do oczu.

Pani Vandekar przyznała jej rację, ale przeprosiwszy, szybko skończyła rozmowę, wymawiając się tym, że kierowca już czeka, a ma przed sobą długą drogę. Jechała nie dalej niż do domu przy St. James Square, gdzie od dawna planowano kolację dla trzydziestu osób spośród najbliższych krewnych oraz przyjaciół. Nie lubiła sentymentalizmu, a wilgotne oczy tej głupiej kobiety irytowały ją. Pani Vandekar była osobą praktyczną, krzepką i niezbyt mądrą. Żywiła przekonanie, iż Hugo dokonał fatalnego wyboru, ale był głową rodziny i musiała robić dobrą minę do złej gry. Chciała, by poślubił miłą angielską dziewczynę. Uważała, że Amerykanki są zbyt stanowcze. Spojrzała szybko na młodszego syna. Phillip był dobrym chłopcem. Jego ojciec nazywał go zerem, ale zawsze bardzo krytycznie oceniał synów. Phillip to kochany chłopak; nie poślubiłby dziewczyny, której ona by nie zaaprobowała. Była tego całkiem pewna. Wsunęła dłoń pod jego ramię.

- Będę tęsknić za Hugonem - stwierdziła - ale, dzięki Bogu, mam ciebie. Nie lubię jej, Phillipie. Nie wiem, co w niej jest takiego, ale jest coś... Naprawdę mam nadzieję, że Hugie będzie z nią szczęśliwy.

- Mamo - Phillip usiłował ją uspokoić - nie martw się o Hugona. Potrafi o siebie zadbać. Daj szansę Alice. Jest bardzo amerykańska. Jest szczerą. Nie da się zawojować, i bardzo dobrze. A teraz głowa do góry - dziś w nocy czeka nas naprawdę niezłą zabawę.

*

Lot był podniecający. Samolot wpadał w dziury powietrzne i wówczas Alice chwyciła się kurczowo męża, ale nie traciła humoru. Nic jej nie przerażało. Nie denerwowała się, nie przewidywała nieszczęść. Dla niej wszystko miało posmak przygody. Patrząc na jej płonące policzki i błyszczące oczy, gdy wpadli w naprawdę nieprzyjemne turbulencje, Hugo pomyślał, jakim wspaniałym byłaby mężczyzną; a potem podziękował Bogu, że nim nie jest. Kiedy się uspokoiło i podchodzili do lądowania, pokazał jej błyszczącą sieć przecinających miasto kanałów, lśniących niczym wstążki.

- Uwielbiam Amsterdam - powiedział. - Przylatuję tutaj trzy razy do roku. Mam wrażenie, że zostawiłem w nim część siebie. Ten widok zawsze powoduje, że czuję się tak, jakbym wracał do domu.

- Więzy krwi łączą cię z Holandią, mój drogi, zatem nic dziwnego - odparła Alice.

Nie powiedział jej, dokąd udają się w podróż poślubną, dopóki nie znaleźli się na lotnisku. Ona przypuszczała, że to będzie Paryż. Amsterdam sprawił, że pomyślała o tulipanach i tacy pełnej okrągłych, oblanych czerwonym woskiem serów, ale Hugo twierdził, iż Amstel zalicza się do największych hoteli w Europie, więc powinno być bardzo miło.

I nie rozczarował jej. Ani urocze stare miasto, które widziała, kiedy przez nie przejeżdżali. Nie mogła powstrzymać entuzjastycznych okrzyków na widok osobliwych domów o ostrych, spadzistych dachach, stojących frontem do kanałów z majestatycznie płynącą w nich wodą. We wszystkich oknach wisiały skrzynki z tulipanami - jakżeby inaczej? - a kwiaty miały przepiękne barwy i były tak wykwintne, jak te prezentowane w albumie.

Amstel naprawdę robił wrażenie okazałością budowli i luksusem. Mieli apartament z widokiem na kanał, a w pokojach stały wielkie wazony pełne kwiatów. Wniesiono kufry i walizy. Hugo nie pozwolił jej zabrać służącej, gdyż hotel oferował możliwość zaangażowania odpowiedniej osoby, i tak też zrobili. Miła Holenderka z przyzwoitą znajomością angielskiego przyszła pomóc jej się przebrać. W salonie czekał na nich szampan.

Hugo także się przebrał. Miał na sobie krótki, jedwabny szlafrok. Nappełnił kieliszki.

- Za nas, kochanie - wzniosł toast. - Zamierzam uczynić z ciebie najszcześniejszą dziewczynę na świecie.

*

Wreszcie mocno zasnął. Oddychał głośno, czego nie potrafiła znieść. Trzymał ją w objęciach, ale jakoś zdołała się uwolnić i ostrożnie przesunąć na brzeg łóżka. Nie mogła ścierpieć jego dotyku. Był nagi i ona także, chociaż tak rozpaczliwie protestowała. Kiedy zasnął, mogłaby krzyknąć. Pozwoliła, by łyzy płynęły jej po twarzy, aż zagłębienie u nasady

szyi wypełniło się wilgocią.

Nie czuła bólu. Był niezwykle delikatny, zapewniając bez końca, że ta okropna rzecz, którą robi, będzie cudowna także i dla niej.

„Po prostu rozluźnij się przy mnie, kochanie, nie broń się przede mną”.

Chciała otworzyć się przed nim, rozewrzeć, ale nie mogła. To obrzydliwe doświadczenie miało więc być ową tajemniczą, upojną nocą poślubną! Hugo nie był szorstki ani egoistyczny, ale jego delikatność i opanowanie uczyniły wszystko jeszcze gorszym. Pobudzając ją, przedłużał tylko udrękę. Wcześniej całowała się z różnymi mężczyznami, którzy chcieli pozwolić sobie na więcej. Pierwszym wielbicielem był kuzyn i on też pchał się z łapami pod jej sukienkę, kiedy miała siedemnaście lat, za co dostał w twarz.

Dawniej łatwiej mogła bronić się przed tym, czego nie lubiła: zważała na swoją reputację, bowiem chciała dobrze wyjść za mąż. Nie była ignorantką. Na temat seksu miała wyrobione zdanie. Właściwie podchodziła do tych spraw bez entuzjazmu, ale i bez paniki. Inne dziewczęta twierdziły, że to, co mężczyzna robi z kobietą, jest przerażające; ona uważała, iż dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, ponieważ niektórzy robią z siebie głupców, przypisując erotyce zbyt wielkie znaczenie. „Seks wprawia w ruch ten świat”. Przypomniała sobie owo powiedzenie i zrobiło jej się niedobrze. Pobieгла do łazienki; pochyliła się nad miednicą, ale nie zwymiotowała.

Z lustra patrzyła na nią obca, naga kobieta. Teraz poczuła, że usta ma obolałe, zobaczyła policzki i szyję podrażnione przez jego szorstką skórę. Miała rozczochrane włosy, czerwone plamy na piersiach i znaki na całym ciele. Czuła się brudna, pokryta potem i splugawiona, bo wytrysnął w głąb jej ciała.

- Niech to szlag! - powiedziała głosem pełnym złości. - Muszę się wykąpać!

O czwartej nad ranem nie było ciepłej wody. Weszła do wanny i szorowała się w lodowatej wodzie.

Nadal będzie chciał to robić. Znowu i znowu. Dwa tygodnie miodowego miesiąca - przypomniała sobie, jak ją przeproszał, że tak krótko, ale ma wiele spraw związanych z interesami. Boże, gdyby to miało trwać cały miesiąc, tak jak u większości nowożeńców... Wytarła się do sucha i rozgrzała. Lodowata kąpiel pozwoliła jej wziąć się w garść. Nie panikowała. Nie może pokazać, jak bardzo nienawidzi tego, co on z upodobaniem nazywał „uprawianiem miłości”. Obiektywnie stwierdziła, że Hugo nie jest winny. Po prostu ona tego nie lubiła. I w swych reakcjach nie była wyjątkiem. Wiele kobiet cierpliwie spełniało ów obowiązek, a niektóre były wręcz zadowolone, kiedy mąż nawiązywał romans i przestawał upominać się o swoje prawa.

„Zamknij oczy i myśl o Anglii!” Jakże ją to kiedyś rozśmieszyło!

Ach, te wszystkie nudne kobiety z wystającymi zębami i ze swymi śmierdzącymi psami lub końmi! Czy jakiś atrakcyjny mężczyzna mógłby chcieć obudzić się i zobaczyć którąś z nich na poduszce obok siebie? Wszystko wydawało się takie proste. Trzeba tylko być piękną, inteligentną, dowcipną i mieć trochę tupetu - właśnie tak, jak ona - a Hugo Vandekar wpadnie ci prosto w ręce niczym lecące z drzewa dojrzałe jabłko. Tak właśnie się stało.

Zostawiła ręczniki na podłodze i poprzez ciemność powędrowała z powrotem do łóżka. Koszula nocna leżała na podłodze. Włożyła ją na siebie. Jedwabna żorzeta wydawała się zimna w zetknięciu z ciałem, ale przykrywała jej nagość. Ponownie poczuła się bezpieczna. Hugo spał. Uważając, żeby go nie dotknąć, przycupnęła zwinięta w kłębek, chcąc się ogrzać.

Będiesz musiała to znosić. Nie mogę. Musisz. Musisz pogodzić się z faktami. Jest twoim mężem. Nie możesz mu odmawiać. Możliwe, ale mogę pomyśleć o jakiejś wymówce. Na litość boską, przynajmniej czasem wolno mi powiedzieć „nie”. Czymże ja jestem - kawalkiem mięsa?

Leżała w ciemności z szeroko otwartymi oczyma, aż spoza krawędzi zasłon zaczęło przesączać się światło.

Kiedy Hugo obudził się, łóżko obok niego było puste. Usiadł na nim, wołając ją. Biedne maleństwo; wiedział, że było to dla niej trudne. Ale chciał ją przekonać, że teraz już będzie łatwiejsze. Wyszła z łazienki otulona w białą żorzetę z koronkami, a jej włosy spływały na plecy złocistą rzeką.

- Alice - spytał podchodząc do niej - co robisz? Jak samopoczucie?

Spoglądała mu prosto w twarz. Ogarnął ją lęk, że cały ten cholerny kontredans zaraz znowu się zacznie.

- Och, kochanie - powiedziała. - Bardzo mi przykro. Nie wiem, jak to się stało, ale dostałam okres!

*

Przyjął kłamstwo. Kochał ją, więc sam siebie przekonywał, że prawdopodobnie oczekiwał zbyt wiele. Była pruderyjna. Wyobrażanie sobie, jak uczyłby ją przyjemności uprawiania seksu, podniecało go, ale ona nie odczuwała rozkoszy, przez co czuł się winny. To poczucie winy dało jej trochę czasu.

Miała w sobie tyle energii. Śmiała się, rozmawiała i nie mogła usiedzieć na miejscu. Chciała wszędzie pójść i wszystko zobaczyć. W nocy pozwalał jej usypiać obok siebie, a potem delikatnie brał ją w ramiona. Postanowił, że będzie cierpliwy. Po pewnym czasie wróci

do niego. Musi wzbudzić w niej zaufanie do siebie.

Pojechali do domu, w którym urodził się jego dziadek. Dom stanowił teraz czyjąś prywatną własność, ale pozwolono im go obejrzyć. Hugo trzymał Alice za rękę. Wydawało mu się, że jest spokojniejsza, bardziej zrelaksowana.

- Stary, cwany diabeł - powiedział. - Ledwo go pamiętam, kiedy się urodziłem, był już bardzo wiekowy. Nie znałem swojej babki, ale ojciec mówił mi, że byli do siebie bardzo przywiązani. Jeśli urodzi się nam syn, chciałbym mu dać na imię Adam, właśnie na cześć dziadka, starego drania. Masz coś przeciwko temu?

- Imię bardzo mi się podoba - odparła Alice.

Pomyślała, że dom jest ciemny i ciasny, a zbyt ciężkie meble przeładowane ozdobami, ale nie dała nic po sobie poznać. Wszystko go zachwyciło, bo stanowiło przecież część jego korzeni. „Syn”, powiedział. Nie chciała o tym myśleć. Kolejne trzy dni spędzili bardzo intensywnie. Wiezorami pił sporo. Czasami uważała, że jest nieszczęśliwy. To samo mogła powiedzieć o sobie. Przykro jej było, że cierpi. Kochała go i pragnęła dawać mu szczęście, ale ta jedna rzecz, na której mu tak bardzo zależało, wywoływała w niej mdłości z obrzydzenia. Poszli do Rijksmuseum i celowo zaczęła przekomarzać się z nim, licząc, że obojgu poprawi to humor.

- Nie wiem, o co tyle hałasu? Nie uważam, by Rembrandt był taki niezwykły. O, tam, kochanie, popatrz... właśnie to nazywam malarstwem!

- Tak - powiedział. - Uważam, że większość ludzi zgodziłaby się z tobą.

Obraz Vermeera z dziewczyną czytającą list był tak żywy i świeży, że Alice stwierdziła:

- Można by sięgnąć i dotknąć jej, tak jest realna. I ma w sobie tyle spokoju. Wywołuje cudowne wrażenie. Chciałabym być taka.

Uśmiechnął się do niej.

- Nie sądzę, by to do ciebie pasowało. Możliwe, że kiedy będziesz starą kobietą, otoczoną przez dzieci i wnuki, mogłabyś siedzieć w jednym miejscu, starając się osiągnąć pogodę ducha. Ale nie na długo, kochanie. Wracajmy już, dobrze? Zwiedzaliśmy cały dzień.

Kolację zjedli w hotelu. Zamówił szampana do pokoju. Kiedy poszli na górę, nalał jej kieliszek.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Cóż, nieco... no wiesz.

- Wypij to, poczujesz się lepiej.

Nie mogę już dłużej udawać, pomyślała Alice. Widzę, jak na mnie patrzy. Widziałam

to przez cały czas trwania kolacji. Jeżeli wypiję, może rzeczywiście będzie lepiej...

Posadził ją sobie na kolanach, głaskał piersi i uda.

- Hugo - zdążyła powiedzieć, ale nie chciał słuchać, zamykając usta pocałunkiem; jego ręce krążyły pod spódnicą, szarpał bieliznę, chcąc ją obnażyć. Odepchnęła go z wściekłością i skoczyła na równe nogi. Kiedy ruszył w jej kierunku, straciła głowę. Wpadła na stolik, kieliszek z szampanem spadł na podłogę i roztrzaskał się.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Nie zbliżaj się do mnie! Powiedziałam ci, że nie mogę!

Nie widział w jej oczach strachu; słyszał tylko paniczny, pełen odrazy krzyk i stracił panowanie nad sobą.

- Możesz - powiedział. - I, Bóg mi świadkiem, zrobisz to!

Jego fantazje stały się rzeczywistością. Zapanował nad nią tylko dzięki swej przewadze fizycznej. Podrapała go - nawet tego nie zauważył. Kiedy było po wszystkim, szlochała tak długo, aż usnęła. Uwiedzenie, które wiele razy sobie wyobrażał, przerodziło się w gwałt; oboje zaciekle walczyli. W pewnej chwili zawołała: „Nienawidzę cię! Nienawidzę!”

Kiedy obudziła się następnego ranka, łóżko było puste. Ciało miała obolałe i posiniaczone. Pomyślała z mściwą satysfakcją, spojrzawszy na połamane paznokcie, że chyba go poraniła. Wybuchnęła płaczem, roztrzęsiona i nieszczęśliwa.

- Och, Boże, mój Boże, co mam począć?

Zachowywał się jak zwierzę; rzucił ją na łóżko i zmusił do uległości. Wpadła w histerię, płakała, miotając się po poduszkach. Nie mogła tu zostać, nie mogła stanąć z nim twarzą w twarz.

- Mamo, mamoo! - krzyknęła jak przerażone ciemnością dziecko.

Alice uspokajała się powoli. W końcu wyczerpana przestała płakać. Wiedziała, że najpierw musi się opanować, by móc spokojnie pomyśleć. Nie mogła uciec. Tak po prostu stąd wyjść i wrócić do Londynu. Ileż to dni minęło od czasu ich ślubu, a ona i Hugo, grający przed światem rolę gwiazd - wracają i przyznają, że to była tragiczna pomyłka. Za plecami, po cichu obmawiani, wyśmiewani, ponieważ prawda wyjdzie na jaw.

„Ona nie znosi seksu, rozumiesz... Biedny Hugo. Słyszałem, że nie skonsumował małżeństwa...”

Dokładnie wyobrażała sobie, co będą mówić. Taki skandal to nie lada gratka, zwłaszcza dla prasy, dziennikarze będą węszyć, nie dadzą im chwili spokoju.

Zebrała się w sobie, wstała i głośno mówiła to, co myśli:

„Nie. Nie mogę się poddać. I nie poddam. Do diabła, nie mam pojęcia, co zrobię, ale nie ucieknę. A teraz, Alice Holmes Fry, wykąpiesz się i zejdziesz na śniadanie”.

*

Hugo spacerował. Wyszedł z Amstel wcześniej rano i wybrał się na przechadzkę po mieście. Dzień był jasny i pogodny. Pracowite holenderskie gospodynie zamykały już progi swoich domów. Kiedy przechodził, mówiły mu dzień dobry. Otwierano sklepy, kanałami przepływały barki, a towarzyszyły im stada skrzeczących mew. W powietrzu czuło się zapach morskiej bryzy.

Zapowiadał się wspaniały dzień, a on nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy, jak tego poranka.

Było mu wstyd. Na frustrację i odrzucenie zareagował agresją i brutalnością. Kiedy się obudził i ujrzał śpiącą obok siebie Alice, nie mógł pozbyć się wyrzutów sumienia, rozumiejąc, jak bardzo ją skrzywdził. Nie dotknął żony. Nie znalazł odpowiednich słów przeprosin, nie próbował niczego wyjaśniać. Wiedział, że nie ma już powrotu do tego, co było. Musiał wyjść, pochodzić po ulicach i wszystko rozważyć.

Wmieszał się w tłum ludzi śpieszących do swych porannych zajęć. Wracając myślami do przykrych wydarzeń, zaczął rozumieć, że dziewczyna, którą kocha, jest oziębła. Zbuntowana przeciw miłości fizycznej i niezdolna do ukrycia tego. Osobowość Alice oraz zalotny i prowokujący sposób bycia mogły sugerować coś zupełnie innego. Jednak tak naprawdę była kobietą zimną, pełną zahamowań. Stosunek seksualny postrzegala jako straszliwe doświadczenie. Na pewno nie wiedziała o tym przed ślubem. Oboje byli nieświadomi.

Wszedł do małej kafejki. Promienie słońca tańczyły na powierzchni wody w kanale. Obok niego przemknął gruby portowy kot, po którym było widać, że ryb ma chyba pod dostatkiem. Hugo wypił kawę zastanawiając się, jak może wyglądać spotkanie z Alice, kiedy staną twarzą w twarz.

Mogliby się rozwieść, co zabrałoby sporo czasu i ze względu na przyczynę byłoby bardzo krępujące. Nie można więc podać rzeczywistego powodu. Nie zrobiłby tego ani Alice, ani swojej rodzinie. Żadnego skandalu. Odsunął filiżankę i poprosił o rachunek. Spacerował prawie dwie godziny. Musiał wracać. Może będzie chciała z nim porozmawiać. Może nawet teraz dałoby się jeszcze coś uratować; przecież ją kocha i, pomimo wszystko, wierzył, że Alice kocha jego.

*

Wrócił do hotelu. Bał się spotkania z Alice. Z przykrością pomyślał, że nie należy do odważnych. Zaskoczył go własny brak odwagi. Wszedł do jadalni, by opóźnić nadejście chwili, której tak bardzo się obawiał, i zobaczył siedzącą przy stole Alice.

- Dzień dobry - powiedziała. - Już zamówiłam śniadanie.

Podszedł do niej powoli.

- Alice... Spacerowałam...

- Tak sądziłam, że musisz być na przechadzce - odparła. - Nie będziesz jadł śniadania?

Świeże powietrze na pewno zaostrzyło ci apetyt.

Usiadł.

- Co mogę powiedzieć? Co mamy zrobić?

Nie odpowiedziała od razu. Otworzyła torebkę i wyjęła papierosy. Nie widział wcześniej, by paliła przed wieczorem. Zaciągnęła się, wypuściła kłąb dymu, a potem stwierdziła:

- Nie zamierzam niczego robić. Jesteśmy małżeństwem. Koniec, kropka. Będę się starała dostosować, jeżeli ci to odpowiada.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał.

Była tak opanowana, że zaczynał czuć złość. „Nienawidzę cię”, powiedziała wcześniej. Teraz nie miała w sobie zaciętości. Wydawała się całkowicie spokojna.

- Dostosować do życia małżeńskiego - odparła. - Nie lubię tego, ale jeżeli nie chcesz rozwodu i nasze sprawy nie wyjdą na jaw, powinniśmy pójść na kompromis.

- Rozumiem - stwierdził. - Masz na myśli pewien układ handlowy?

- Nie wolno ci mówić w ten sposób. Popelniliśmy błąd. Albo przyznamy się do niego i poniesiemy konsekwencje, albo postaramy się jakoś wszystkiemu zaradzić. Tak uważam, lecz chciałabym usłyszeć twoje zdanie.

Zdusiła papierosa z taką siłą, że złamała go na pół.

- Alice - powiedział - jesteś moją żoną i kocham cię. Bardzo mi przykro z powodu ostatniej nocy.

Przerwała mu.

- Nie mówmy o tym. Nigdy, proszę. Dlaczego nie możemy się zachowywać, jakby nic się nie stało? Planowaliśmy, że pojedziemy dzisiaj do Hagi. I powinniśmy pojechać.

- A po powrocie co zrobimy? Poprosimy o oddzielne pokoje? Nie chcę tego. Nie chcę udawać przed światem, a kiedy jesteśmy sami słuchać, jak mówisz „nie”.

Kiedy popatrzyła na niego, zauważył mocny makijaż tuszujący czerwone obwódki wokół pięknych oczu Alice. Przez chwilę widział jej cierpienie, które porównywalne było z jego własnym.

- Nie będę mówić „nie” - rzekła. - Ale to wszystko, co mogę ci obiecać.

*

Dwa dni później, kiedy przebierali się do kolacji, Alice powiedziała:

- Amsterdam jest przyjemny, ale chciałabym spędzić kilka dni w Paryżu.

- Pojedziemy jutro - rzekł Hugo. - Zatelegrafowałem do hotelu Crillon, by zarezerwowano nam apartament.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Dziękuję, kochanie. Jesteś aniołem.

Wycarterowali samolot i wylądowali na Orly następnego popołudnia. Rano udali się po zakupy; kupił jej futro z soboli od Revilliona oraz brylantową bransoletkę u Cartiera. Na kolację i dancing poszli do Maxima. Alice dotrzymała obietnicy. Do zbliżeń dochodziło tak często, jak Hugo pragnął, co zdawało się podsycać jego żądzę.

Im bardziej go unikała, im większa ogarniała go namiętność, tym gorliwiej zaspokajał jej zachcianki i obdarzał uprzejmościami. Nigdy nie mówili o tym, co się stało. Pokazywali się publicznie na wyścigach i w operze, zawsze uśmiechnięci, szczęśliwi i zakochani. Nikt by nie pomyślał, że ich małżeństwo jest fikcją.

Pojechali na południe Francji, bo tak chciała Alice. Grali w kasynie w Cannes, gdzie Hugo wygrał, a ona przegrała.

- Zawsze miałeś nieprawdopodobne szczęście do pieniędzy, kochanie - stwierdziła.

Kiedy lądowali na Croydon, czekali tam na nich dziennikarze. Poranna prasa zamieściła ich zdjęcia: „Państwo Hugonostwo Vandekar, bankier-milioner i jego piękna żona, wrócili wczoraj z podróży poślubnej”. Alice przeczytała gazety następnego ranka, leżąc w łóżku. Beatrice, matka Hugona, przeniosła się do rodzinnego domu w Sussex, pozostawiając młodemu lokum przy St. James Square, podczas gdy oni rozglądali się za czymś odpowiednim dla siebie.

Hugo wyszedł, zanim się obudziła. Ostatniej nocy powiedział, że będzie spał w swojej garderobie.

- Mam mnóstwo pracy, kochanie, więc wstanę bardzo wczesnie i nie chciałbym cię budzić.

Alice roześmiała się.

- Siódma rano to dla mnie środek nocy. Idziesz do swojego dusznego banku, kochanie, a ja będę tęsknić za tobą, dopóki nie wrócisz.

Położyła się do łóżka, zapadając w długi, głęboki sen.

Zadawała sobie sprawę, jak bardzo się zmieniła. Żyła w kłamstwie i grała cudzą rolę, a jej ciało nie należało do niej. Należało do kogoś innego. Już nie płakała, kiedy Hugo zasypiał. Teraz znoszenie tego było możliwe, ponieważ nie starał się jej pobudzić i nie

oczekiwał z jej strony żadnej odpowiedzi. Zasady ich współżycia zostały jasno określone - ona dawała mu, czego chciał, w zamian za co on spełniał wszelkie jej ekstrawaganckie zachcianki.

Zadzwoiła po śniadanie. Na tacy stał srebrny wazonik z różą. Bez wątpienia, pomysł Hugona. Zirytowało ją to. Spojrzała na służącą.

- Kto wydał polecenie, żeby postawić ten głupi wazonik z kwiatkiem?

Dziewczyna poczerwieniała.

- Gospodyni, *madame*. Pani Vandekar zawsze miała wazonik z różą na swej tacy ze śniadaniem.

- Teraz ja jestem panią Vandekar - stwierdziła sucho Alice - i nie chcę żadnych kwiatów. Proszę zabrać!

Jak długo tutaj pozostaną, ona będzie wydawać polecenia. Jeżeli komuś się to nie spodoba, może sobie iść do diabła. Było jej przykro, że okazała się niemila dla służącej. Rozpoznała w niej pokojówkę i zastanawiała się, dlaczego ona przyniosła śniadanie. To nie był jej obowiązek.

Alice postanowiła nie marnować czasu. Zadzwoi do matki, ale będzie musiała kłamać i udawać, że wszystko układa się wspaniale. Nie chciała o tym myśleć. Kilka słów upewni Phoebe - jest przecież najbardziej łatwowierną osobą na świecie - że nie powinna się martwić. Potem zatelefonuje do pośredników nieruchomości i puści maszynę w ruch.

Po jednej zaledwie nocy spędzonej w domu Vandekarów Alice stwierdziła, że działa on jej na nerwy. Ślady obecności tej starej, głupiej kobiety dostrzegała wszędzie, począwszy od ponurych ściennych obić, na ciężkich meblach i obrazach kończąc. Jej brakowało tu światła, wdzięku i elegancji; chciałyby móc urządzić dom wedle swojego gustu. Oczywiście Hugo wyłoży pieniądze na dom, a ona nada mu odpowiedni styl.

Ponownie zadzwoiła i pojawiła się ta sama dziewczyna.

- Mogłabyś mi przygotować kąpiel?

- Oczywiście, *madame*. Jaką wodę pani lubi?

- Ciepłą, ale nie gorącą. I nie dodawaj żadnych soli kąpielowych ani olejków. Jak się nazywasz?

Dziewczyna miała spokojny, bezpośredni sposób bycia, który podobał się Alice. Służalczosć irytowała ją.

- Parker.

- Chodzi mi o twoje imię.

- Lily, *madame*.

- Okay, będę cię nazywała Lily. Od jak dawna tutaj pracujesz? - wypytywała Alice, a w jej głowie świtał już pewien pomysł.

- Osiem miesięcy. Jestem pokojówką, ale młoda dziewczyna, którą zaangażowała pani Cooper, wymówiła przed państwem powrotem. Dlatego ja przyniosłam pani śniadanie.

- Chciałabym, żebyś robiła to codziennie - powiedziała Alice. - Potrafisz dbać o stroje? Umiesz szyć?

- Jestem dobrą krawcową. Jak moja matka.

O co jej chodzi, zastanawiała się Lily Parker, udając, że nie jest zaskoczona.

- Chciałabym zatem, żebyś się mną zajmowała - oświadczyła Alice. - Powiem pani Cooper, że cię zabieram. Przynajmniej na tak długo, jak zostanę w tym domu.

- Dobrze, *madame* - powiedziała Lily i poszła sprawdzić temperaturę wody.

„Zabieram cię... Nawet nie zapytała. Co by się stało, gdybym odmówiła? Zwolnienie, najprawdopodobniej”.

- Sądzę, że woda jest już dobra - stwierdziła.

- Dziękuję, Lily.

Służąca wyszła, zamykając za sobą drzwi. Robiła wszystko spokojnie, nawet z godnością, która podobała się Alice. Patrzyła prosto w oczy, ale w jej spojrzeniu nie dostrzegła zuchwalstwa czy poufałości.

Lily nie śpieszyła się idąc na dół. Co na to powie pani Cooper? Na pewno nie będzie zadowolona; pomyślała też, że jeśli będzie dobrze pracować i okaże się niezbędna dla pani Hugonowej, może wiele zyskać. Poza gospodynią i niańką największy prestiż ma osobista służąca.

Ani Lily Parker, ani Alice, która właśnie wchodziła do ciepłej kąpieli, nie wiedziały, że drogi ich życia splecą się na ponad pół wieku.

*

- Nie może pani tracić nadziei, pani Vandekar.

- Jeżeli prawdą jest to, co pan mówi, sir John, co zatem może ulec zmianie?

Potrząsnął głową. Do jego gabinetu przychodziło wiele bogatych i sławnych osób, lecz zaledwie kilka spośród nich uznałby za trudniejsze do leczenia przypadki niż ta młoda, piękna kobieta. A on, postawiwszy diagnozę, nie był w stanie jej pomóc.

- Mogłaby pani iść do psychoanalityka - powiedział - ale terapia zapewne potrwa lata i nie ma żadnej gwarancji, że przyniesie pożądane skutki. Wielu moich pacjentów stwierdziłoby, że ich symptomy są jeszcze gorsze. Inteligentna osoba, taka jak pani, jest w stanie zrobić bardzo wiele, by sama sobie pomóc. Ma pani wstręt do seksu. Dochodząc do

ładu z własnymi uczuciami może pani zmniejszyć towarzyszące temu napięcie. I, co wielce prawdopodobne, po pewnym czasie inaczej spojrzysz pani na ojca. To także powinno pani pomóc.

Alice wstała.

- Jeżeli sugeruje pan, że bym wybaczyła swemu ojcu, to proszę się nie trudzić. Dziękuję, że mnie pan przyjął.

- Do widzenia, pani Vandekar. Proszę przyjść ponownie, jeśli pani uzna to za wskazane.

Podali sobie dłonie. Zwrócił uwagę, że ma silny, niekobiecy uścisk ręki.

- Do widzenia, sir John.

I ten znamionujący zdecydowanie kształt szczęki. Niewiele odziedziczyła po swej łagodnej, uległej matce, o której mówiła z wielkim uniesieniem. Jak na ironię, bardziej podobna była do ojca, którego nienawidziła; owa nienawiść spowodowała zaburzenia w rozwoju psychoseksualnym młodej kobiety. Było mu szczerze żal Alice Vandekar, a chyba jeszcze bardziej jej małżonka. Pomyślał, że ciąża może korzystnie na nią wpłynąć, ale nie był tego pewien.

Po wyjściu z gabinetu Alice zatrzymała się przy rejestratorce.

- Chciałabym zapłacić teraz, jeżeli to możliwe.

- Tak, oczywiście.

Wielu pacjentów sir Johna nie chciało, by rachunki od niego przychodziły do ich domów.

Wypisała pokwitowanie, a Alice czek.

- Dziękuję pani, pani Vandekar. Czy mam zapisać kolejną wizytę?

- Nie, dziękuję.

Rejestratorka patrzyła za wychodzącą. Kto by pomyślał? Bogata, znana. Jaki ma problem, zastanawiała się. Z pewnością nie alkoholizm. Tacy pacjenci wyglądają inaczej. W niektórych kręgach istniała moda na zażywanie kokainy. Na pewno nie była jedną z tych osób. Nie wyglądała również na znerwicowaną. Och, dobrze - pomyślała niemal z zadowoleniem - pieniądze i uroda nie zawsze oznaczają szczęście. Weszła do poczekalni, by poprosić kolejnego pacjenta.

Alice przyjechała tutaj taksówką. Kiedy wyszła na Wimpole Street, padała mżawka. Nie miała parasolki i nie było nigdzie taksówek. Szła szybko, z postawionym kołnierzem. Czuła teraz lekkie mdłości, kiedy miała już za sobą tę ciężką próbę. Wyjaśnienia sir Johna poniekąd uznała za słuszne, ale nie ze wszystkim się zgadzała. Dlaczego ona była dotknięta

nieszczęściem? Inne kobiety miały za sobą rozbite domy, niegodziwych rodziców, skandale, i nie wpłynęło to negatywnie na ich życie. Prawdopodobnie wiele z nich cierpiało. Ale ona nie wiedziała. Nigdy więcej nie chciała o tym myśleć. Cieszę się, że poszłam do sir Johna, powiedziała sobie. Byłabym tchórzem, postępując inaczej. Ale teraz wolałabym, żeby to się nie stało. Chciałabym móc zapomnieć o wszystkim, co on powiedział i co ja powiedziałam. Czuję się źle jak cholera, mam mdłości i dreszcze. Nie mogę powiedzieć o tym Hugonowi, nikomu nie mogę powiedzieć. Och, jest taksówka...

- Taxi!

Nie chciała jechać do domu. Jeszcze nie. Nie wiedziała, dokąd iść, żeby się uspokoić.

- Do Guntera, proszę - powiedziała.

Pierwsze, co przyszło jej na myśl. Mogła tam usiąść i wypić herbatę. Ze względu na wczesną porę powinno być jeszcze pusto. Ale tylko zdążyła usiąść przy stoliku, gdy do eleganckiej sali herbaciarni weszły dwie kobiety, które знаła, weszły i spostrzegłszy Alice pośpieszyły w jej kierunku. Nie mogła stamtąd uciec, więc z uśmiechem na twarzy przyjęła ich towarzystwo. Podczas niefrasobliwych pogaduszek na temat sukien, przyjęć i wspólnych przyjaciół, jedna ze znajomych spytała:

- Słyszałaś, że Johnny Rushwell postanowił sprzedać Ashton? Czyż to nie wstyd? Ale powiedział mojej matce, że nie są w stanie go utrzymać.

- Ashton? - powtórzyła Alice; nie mogła w to uwierzyć. - Chcesz powiedzieć, że jest na sprzedaż?

- Tak, kochanie. Mówiłam ci. Rodzina nie ma dosyć pieniędzy, a utrzymanie go jest bardzo drogie. Przy okazji, czy znaleźliście już dom dla siebie?

- Nie - powiedziała Alice. - Jeszcze nie. Nic takiego, co by nam odpowiadało.

Rozmowa już jej nie interesowała, zaczęła się niecierpliwić. Nagle poczuła nieznośne podniecenie, a przecież tak niedawno miała mdłości i była w depresji. Zapomniała o wizycie u sir Johna Edge. Nie mogła uwierzyć, że ten cudowny dom, który tamtej nocy rozpałił jej wyobraźnię, został w końcu wystawiony na sprzedaż.

- Kochane - powiedziała. - Muszę lecieć. Mogę prosić o rachunek?

Deszcz przestał padać i zza chmur wyrzało słońce. Przed najsłynniejszą herbaciarnią w Londynie podjechała taksówka, z której wysiedli mężczyzna i kobieta. Alice uśmiechnęła się i wsiadła na ich miejsce. Ashton. To było przeznaczenie. Kiedy Hugo wrócił do domu, pobięła mu naprzeciw, by jak najszybciej podzielić się nowinami.

- Zgadnij, co się stało - ten przepiękny, historyczny dom, w którym po raz pierwszy się spotkaliśmy - został wystawiony na sprzedaż! Czyż nie byłoby cudowne kupić go i

zamieszkać tam? Och, Hugo, czy to nie nadzwyczajne!?

Entuzjazm Alice rozwiął wszystkie jego obiekcje. A poza tym, od dawna nie widział jej tak ożywionej i szczęśliwej. Oczywiście, to daleko od Londynu, ale z pewnością mogliby kupić mniejszy dom w mieście, może nawet mieszkanie...

- Och, czy nie można by zatelefonować do Rushwellów i przynajmniej upewnić się, że to prawda, a potem pojechać do nich?

Nie miał serca, by powiedzieć cokolwiek ponad:

- Tak, kochanie, zadzwoń, skoro tego pragniesz.

Natychmiast pognała do telefonu. Wyczuwając możliwości szybkiego rozwiązania swoich finansowych problemów, lordostwo Rushwellowie zaprosili do siebie Alice i Hugona na najbliższy weekend.

Kiedy zajechali za dnia przed posiadłość, Hugo musiał przyznać, że Alice miała rację przynajmniej pod jednym względem - dom rzeczywiście był wspaniały i robił wrażenie. Biel kamienia niemal oślepiła w słońcu czystością barwy, a wysokie okna świeciły diamentowym blaskiem. Symetrii budowli dopełniały dwa obszerne skrzydła, zaś majestatyczny portyk w centrum głównego budynku wznosił się na wysokość trzech pięter. Wyżwirowany podjazd nie był porządnie utrzymany - gdzieś zauważył wyboje, a frontową ścianę w pobliżu dachu znaczyła rysa groźnego pęknięcia. Przeprowadzenie samego remontu byłoby więc bardzo kosztowne; nic jednak nie mogło przytłumić entuzjazmu Alice.

„Pomyśl o tych wspaniałych przyjęciach, jakie moglibyśmy wydawać” - szeptała, kiedy w towarzystwie gospodarza zwiedzali pokoje.

W pobliżu, w Leicestershire, znajdowały się znakomite tereny łowieckie... i oczywiście, dom wymaga całkowitej zmiany wystroju, ale jeżeli zostawi jej wolną rękę, to ona stworzy tutaj cuda...

Istotnie, mogli wydawać wystawne przyjęcia; mogli zrobić wrażenie na jego przyjaciółach ze Stanów Zjednoczonych i nawiązać sporo kontaktów korzystnych w interesach. Wierzył w amerykańską gospodarkę i dowodził korzyści przeniesienia wielu rodzimych przedsięwzięć poza Europę. Nie ufał politycznym trendom w Niemczech i lekceważonej Francji, którą uważał za niepewną i skorumpowaną.

Posiadanie tak wytwornego domu, zawsze otwartego dla osób znaczących i wpływowych, na pewno by się opłaciło; dom w Ashton z pewnością zarabiałby na sobie. A wiedział także, z jaką determinacją Alice dąży do jego nabycia. Nawet nie próbowała ukryć swych uczuć. Chwaliła wszystko i lady Rushwell błogosławiła ją za to. Wystarczająco przykro jest opuszczać stary, wielki dom, do którego przybyła jako panna młoda. O ileż

bardziej bolesne jest wysłuchiwać wówczas krytycznych uwag, co zwykle czyni kupujący, by zbić cenę.

Dano im jedną z najładniejszych sypialni, z cudownym widokiem na klomb i jezioro. Hugo wziął Alice w ramiona.

- Tak, kochanie - odpowiedziała na nie zadane pytanie. - Oczywiście.

Kochał się z nią, a potem usiadła i zapaliła światło. Tak bardzo się starała. Myślała o wszystkim, co powiedział jej ten stary, mądry specjalista, ale cud się nie zdarzył.

- Wiesz, myślę, że gdybyśmy tu zamieszkali, bylibyśmy bardzo szczęśliwi.

Hugo nie odpowiedział. Ogarnęło go przygnębienie. Starła się; udawała tak dobrze, jak tylko potrafiła, ale nie zdołała go oszukać. Nie był w stanie jej rozbudzić, chociaż próbował rozmaitych sposobów. Doznawał osobliwego wrażenia, że zawsze trzyma w ramionach i wykorzystuje jej puste ciało, bowiem ona ucieka, by powrócić dopiero wówczas, kiedy jest już po wszystkim. Teraz mówiła o byciu szczęśliwą, jakby ten dom mógł ją zmienić. Jeżeli usiłowała go przekupić, żeby go nabył - nigdy jej nie wybaczy.

- Dlaczego tutaj mamy być szczęśliwsi niż gdziekolwiek indziej? - zapytał.

Alice spojrzała na niego.

- Ponieważ możemy zrobić z niego nasz dom, razem coś stworzyć. Potrzebujemy czegoś takiego, kochanie, co by mocniej nas związało. Sądzę, że to mogłoby pomóc.

- Porozmawiamy jutro - powiedział. - Dobranoc.

Rano, po śniadaniu i nabożeństwie w zimnym, małym normańskim kościółku, poprosili Rushwellów o wybaczenie, ale chcieliby pójść na przechadzkę tylko we dwoje. Była połowa września i przepiękne czerwienie oraz złota jesieni pokrywały krajobraz ognistymi barwami. Nie poszli daleko. Zatrzymali się nad jeziorem. Dwa wieki wcześniej przodek Rushwella wybagrował, pogłębił i zmienił bieg rzeki na swojej posiadłości, by przed okna domu sprowadzić ten cudowny widok.

„Mógłbym nauczyć tutaj chłopaka żeglować” - pomyślał Hugo niespodziewanie.

- I co? - Alice pociągnęła go za ramię. - Nie wytrzymam ani minuty dłużej. Niepewność zabija mnie. Co powiesz?

Spojrzał na nią. Ciągle tak młodą, ogarniętą zapalem, pełną energii, a do tego ze smutną mądrością dużo starszej od siebie kobiety.

„Potrzebujemy czegoś takiego, żeby się bardziej do siebie zbliżyć”. To nie było przekupstwo ani fałszywa obietnica, lecz szczere przekonanie.

- Proszę - powiedziała. - Proszę, zgódź się, Hugo. Och, oszaleję z radości, kiedy tu zamieszkamy!

- Jeżeli tak bardzo pragniesz i sądzisz, że będziemy tutaj szczęśliwi, kupię go.

- Och, kochany! - objęła go i nagle jej oczy wypełniły się łzami. - Jesteś dla mnie taki dobry. Przykro mi...

Trzymał ją przez chwilę.

- Nigdy więcej tego nie mów - powiedział cicho. - Teraz wyjmij chusteczkę i nie zachowuj się jak głupia dziewczynka. Wracajmy powiedzieć Rushwellom, co zdecydowaliśmy. Prawdopodobnie oni także umierają z niepewności!

*

Alice nadzorowała urządzenie domu. Wszystko wymagało modernizacji. Zajęła czteropokojowy apartament i kierowała pracami budowniczych, elektryków, hydraulików oraz malarzy, by zrobili dokładnie to, czego wraz z Hugonem sobie życzyli. I zabrała ze sobą Lily Parker.

Lily usługiwała jej od owego dnia, kiedy się poznały. Protesty ochmistrzyni zostały odrzucone - dziewczyna została jej osobistą służącą i to był koniec dyskusji. Jest mnóstwo pomocniczych panien służących - gospodyni może zaangażować którąś z nich. A narzekania swej teściowej Alice oddaliła, posyłając jej miły list z wyjaśnieniami, dlaczego zmienia dotychczasowe porządki. Atak, o czym Alice wiedziała, stanowi najlepszą metodę obrony. Hugo był bardzo zajęty; życie stało się teraz mieszanką towarzyskich spotkań i absorbujących prac związanych z projektowaniem Ashton. Pozwolił jej robić, cokolwiek chciała. Wieczorami studiowali plany, omawiali wygląd pokoi, nawet kolor projektów.

- To potrwa co najmniej z rok! - zauważył Hugo.

- Och, nie; nie powinno! Prace na pewno postępowałyby szybciej, gdybym pozostała tutaj i pilnowała robotników, żeby nie siedzieli i nie lenili się. Miałbyś coś przeciwko temu? Mógłbyś przyjeżdżać na weekendy. Jestem pewna, że odpowiadałoby ci to.

- Jeśli uważasz, że dasz sobie radę - odparł. - Czy nie będzie ci okropnie niewygodnie z całym tym hałasem i bałaganem wokoło?

- Wolę być tutaj i dopilnować robotników, by skończyli wszystko w pół roku, niż krążyć pomiędzy dwoma domami, tak jak teraz - stwierdziła.

Jakiś czas temu wyprowadzili się z St. James Square od pani Beatrice Vandekar, przeprowadzając się do umeblowanego domu przy Berkeley Street.

- Mogę zabrać ze sobą Lily. I kogoś do gotowania. Ty będziesz przywoził ze sobą Claya na weekendy. Poradzę sobie. I zamierzam przyjeżdżać do Londynu, gdyby zdarzyło się coś ważnego.

- Może byliby lepiej zostawiać Claya w mieście - powiedział Hugo.

Jego służącego nie cieszyłaby perspektywa piknikowania w na wpół umeblowanym domiszczu.

- Okay, Lily zajmie się także tobą.

- Nadzwyczajna dziewczyna, prawda? Nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi.

- Poza mną - roześmiała się Alice. - Ja ją denerwuję cały czas.

Hugo podniósł wzrok.

- Nie chciałbym, by wasze wzajemne stosunki stały się zbyt zażyłe. Tak nie należy postępować z angielskimi służącymi.

Podeszła bliżej i usiadła na oparciu jego fotela.

- Wiem, ale ona nigdy sobie za dużo nie pozwala. Nie jest także służalcza, co bardzo mi się podoba. Od czasu do czasu mówię jej po prostu, żeby się zamknęła, i to wszystko. Mój Boże, zobacz, która godzina - spóźnimy się. Kurtyna idzie w górę o ósmej trzydzieści. Muszę lecieć na górę i przebrać się.

Poszedł za nią, udając się do swojego apartamentu. Jego wieczorowy garnitur leżał przygotowany. Wybierali się do teatru. Pomyślał, że teraz Alice chyba czuje się szczęśliwa; wszystko wokół tak bardzo ją absorbowало, a dom rzeczywiście zbliżył ich do siebie - miała co do tego rację. Nie starczało czasu na bycie nieszczęśliwym; co jednak zdarzało się; po zaspokojeniu pożądanego ogarniała go frustracja i naprawdę cierpiał. Alice dotrzymała słowa. Nigdy nie powiedziała „nie”. Nigdy nie kłamała czy nie szukała wymówek. Uczciwie przestrzegała warunków ich umowy, co sprawiało, że nie wiedział, czy powinien ją za to wielbić, czy nienawidzić. Jednak za bardzo jej pragnął, by zrezygnować z owego układu; dlatego też bezcelowe było zadreczanie się analizowaniem istniejącej sytuacji.

Chciał uwierzyć, że pewnego dnia rozbudzi jej zmysły, i narzucał swe erotyczne pragnienia wyobraźni, przez co jeszcze bardziej się podniecał. Może to będzie najlepsze wyjście, by pojechała do Ashton? Wówczas on lepiej skoncentruje się na własnych zajęciach. Brał także pod uwagę możliwość, że inna kobieta uczyni to łatwiejszym...

- Nie mam czasu na kąpiel - oświadczyła Alice.

- Jest już gotowa - sprzeciwiła się Lily. - Nie może pani wyjść bez kąpieli, *madame*; jest pani zgrzana i cała się lepi.

Musiała przyznać jej rację. Wbiegając po schodach spociła się. To była bardzo szybka kąpiel. Lily trzymała wielki płaszcz i pomagała jej się wytrzeć. Alice nie miała żadnych zahamowań przed pokazywaniem się nago swej służącej. Kobiety nie zawstydyły jej. Nawet lubiła głaskanie rącznikiem.

- Proszę pani - odezwała się Lily - mam wrażenie, że przybrała pani na wadze.

- Och, zamknij się, Lily. Oczywiście, że nie.

Ubrała się i zrobiła makijaż. Lily zarzuciła jej na ramiona oblamowany futrem płaszcz.

- Wygląda pani bardzo pięknie, *madame* - stwierdziła.

Wychodząc z pokoju, Alice uśmiechnęła się do niej.

- Dzięki. Nie czekaj na mnie; na szczęście mogę się sama z tego rozebrać.

Kiedy Alice wyszła, Lily zabrała się za porządkowanie łazienki i sypialni. To nie był jej obowiązek, ale nie chciała, by ktoś inny przychodził tutaj i dotykał ubrań jej pani, nawet pokojówka, która przygotowywałaby łóżko, a najpewniej gmerała pośród przedmiotów na toaletce. To było jej dominium.

Usługiwała Alice od pół roku i teraz pani nie mogła się bez niej obejść. Lily czuła się dumna z jej wyglądu, ponieważ miała świadomość własnej w tym zasługi. Praca dla Alice łączyła się z osobistym zaangażowaniem. Pani dzieliła się z nią swoimi ekscytacjami i traktowała inaczej niż zwykłą służącą.

- Lily - powiedziała. - Kupujemy najpiękniejszy dom w Anglii! I chcę, żebyś przeniosła się tam ze mną.

Jej życie nabrało barw dzięki niesłychanej aktywności pani.

„W co mam się dzisiaj ubrać, Lily?” - stale zadawała podobne pytania.

„To zależy, dokąd się pani wybiera, *madame*”.

Mogło to dotyczyć obiadu w Kensington Palace, lunchu z przyjaciółkami u Claridge’a lub innych okoliczności.

A potem była jeszcze pani Holmes Fry. Lily lubiła ją. Była łagodna i spokojna, zupełnie inna niż *madame*, która przypominała petardę. Raz czy dwa Lily zrobiła jakąś przeróbkę, a podziękowano jej tak wylewnie, że nie miała nic przeciwko temu, jeśli była wzywana w ostatniej chwili. „Zrobiłaś to dla mojej matki, prawda, Lily? Poza wszystkim, należysz teraz do rodziny...” Była z niej prawdziwa diablica, naprawdę, przyznawała Lily. Wiedziała, jak wykręcić ci ramię, a potem sprawiała, że czułaś się tak, jakby wyrządziła ci przysługę. Pracowała długie godziny, słysząc w podzięce, że ma się zamknąć, jeżeli protestowała w jakiegokolwiek sprawie, ale nie potrafiła już sobie wyobrazić powrotu do swojego poprzedniego, monotonnego życia. Była nawet podniecona przeprowadzką do Ashton. Wiedziała, że iskry będą latały w powietrzu, kiedy jej pani zacznie nadzorować robotników.

I mam rację, mówiła sobie w duchu, że utyla. Sukienka nie była tak luźna, jak

powinna być. Sprzątając pokój, zatrzymała się w połowie drogi do drzwi. Oczywiście. Że też wcześniej na to nie wpadła! Powinna była poznać, zajmując się bielizną Alice i piorąc osobiście wszystkie delikatne rzeczy. Alice nie miała ostatnio okresu. Prawie dwa miesiące. I była tak bardzo zaabsorbowana nowym domem, że nawet o tym nie pomyślała, uznała Lily. No cóż, będzie musiała nieco zwolnić tempo codziennego życia. Ciągłe w napięciu, bez chwili odpoczynku. Rano często wyglądała na zmęczoną, naprawdę mizernie. Lily uważała, że pan Hugo jest dosyć miły, ale musi być trochę świnią w tych sprawach albo jej pani uważa, że nie musi być uśmiechnięta od samego rana. Do czasu - ożywiła się Lily. Dobra, powiedziała do siebie ponownie. Tutaj nigdy nie można się nudzić.

*

Tydzień później Alice zaczęła źle się czuć. Phoebe pośpieszyła na ratunek.

- Och, kochanie, dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Jak długo to trwa?

- Nie wiem, mam - odparła niecierpliwie. - Przed wizytą u doktora Harrisa nie mam pewności; na razie tylko przypuszczam.

- Nie jesteś zadowolona? - spytała Phoebe delikatnie. - A Hugo, nie szaleje z radości?

- Nic jeszcze nie wie. Powiem mu, jak będę całkowicie pewna. Przy odrobinie szczęścia może nie być za późno.

- Alice, czyżbyś nie chciała tego dziecka? O co chodzi? Mówiłaś, że pragniesz mieć rodzinę?

- Nie teraz. Czeka nas przeprowadzka! Mam, na miłość boską, chcę mieć gotowy Ashton. Jak mam to zrobić, kiedy mnie cały czas mdli i będę rzygać jak kot?!

Phoebe nie spierała się z nią. Wyraźnie było widać, że Alice jest zdenerwowana, biedne dziecko. Pamiętając, jak sama cierpiała podczas ciąży, matka współczuła córce, ale większy niepokój wzbudzało w niej coś innego. Nie chodziło tylko o dom i całe zamieszanie; Alice w ogóle się z tego nie cieszyła.

- Alice - zapytała Phoebe. - Czy chodzi o coś jeszcze?

Zaprzeczenie było zbyt gwałtowne i zbyt szybkie.

- O czym ty mówisz? Układa się nam cudownie - mamy wspaniały dom, którego urządzenie bardzo nas absorbuje, i wszystko jest w porządku. Jedno, czego chcę, to popychać całą sprawę naprzód i żeby mi w tym nie przeszkadzano...

Zapaliła papierosa. Denerwowała ją rozmowa z matką, lepiej, żeby sobie poszła. „Nie mogę jej powiedzieć. Nie mogę się zwierzyć, ponieważ po prostu nie zrozumiałyby tego. Mój ojciec zawsze nią pomiatał, a ona nigdy nie zareagowała buntem. Nie chcę, by czuła się z mojego powodu nieszczęśliwa. Będzie się martwić i zadrećcać mnie pytaniami”. Uśmiechnęła

się.

- Przykro mi - powiedziała. - Nie chciałam być nieprzyjemna. Źle się czuję i wszystko spadło na mnie tak nagle, jeżeli to rzeczywiście ciąża. Nie martw się, kochana. Ze mną będzie w porządku... Jutro rano mam umówioną wizytę u Harrisa. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę coś wiedziała. A teraz zjedźmy lunch. Chciałabym, żebyś dziś po południu poszła ze mną do Partridgesa. Mają komplet krzeseł, które znakomicie wyglądałyby w Ashton.

*

- Nie mogę go urodzić - powiedziała Alice. - To niemożliwe.

- Pani Vandekar, obawiam się, że nie rozumiem. Dlaczego jest niemożliwe, by miała pani dziecko?

Doktor Harris był uprzejmy, ale wyraz twarzy miał nieprzyjazny. „Co mówi ta bogata, zepsuta młoda kobieta, ciesząca się doskonałym zdrowiem? Niemożliwe?” Przeczuwał, co zaraz usłyszy.

- Nie mogę mieć dziecka teraz - powiedziała Alice bezbarwnym tonem; niemal czuła wrogość tamtego. - Przeprowadzamy się, dokonujemy renowacji domu, prace są w toku i długo jeszcze potrwać. Jestem w to osobiście zaangażowana i tak będzie przez następne sześć miesięcy. Muszę być wolna, by wszystkiemu podołać. Bardziej przez wzgląd na mojego męża niż na cokolwiek innego.

Była zła i przerażona, więc jej usiłowania, by wyjaśnienia brzmiały przekonująco, a nawet patetycznie, zawiodły.

- Nie ma ważniejszych zobowiązań niż macierzyństwo - stwierdził. - Gdyby w niebezpieczeństwie było pani życie albo istniało prawdziwe zagrożenie dla pani zdrowia, mógłbym pani posłuchać, ale pani jest nadzwyczaj zdrowa i silna, zatem przebieg ciąży nie powinien być kłopotliwy. Wszystko, co musi pani zrobić, to nie przemęczać się przez kilka najbliższych tygodni. Potem może pani dalej zajmować się swoim domem i prowadzić aktywne życie.

- Nie chcę - rzekła. - Pan może mi pomóc.

Odsunął swoje krzesło i wstał. Nadal był bardzo uprzejmy.

- Przykro mi - stwierdził. - Nie mogę pani zaoferować tego rodzaju pomocy. Natomiast proszę nie wahać się mnie wezwać, jeżeli coś panią zaniepokoi w jej samopoczuciu. I proszę spojrzeć na całą sprawę przez pryzmat przyszłości. Znam wiele kobiet, które dałyby wszystko, by być na pani miejscu, pani Vandekar.

Alice wstała.

- Chciałabym, żeby były - powiedziała. - Dziękuję panu, doktorze. Do widzenia.

Wyszła na zewnątrz; mokro i chłodno - ponura zimowa pogoda, wpływająca depresyjnie na stan ducha. Nie chcę tego dziecka, nie będę go miała... dlaczego powinnam je mieć? Nie chcę czuć się źle, być gruba ani przywiązana do jednego miejsca. Być ostrożną przez kilka tygodni. Och, Boże!, krzyknęła w samochodzie jadąc do domu.

Na stoliku w holu ujrzała kapelusz i laskę Hugona. Nie chciała go widzieć. Nic o tym nie wiedział i nadal nie powinien niczego wiedzieć na wypadek...

Pobiegła na górę. Gdzie jest Lily? Musiała z kimś porozmawiać. Poszła korytarzem do prasowalni. Lily prasowała jej wieczorową suknię. Zobaczywszy Alice przerwała pracę.

- Stało się coś złego? Dobrze się pani czuje, *madame*?

- Wiesz, do cholery, że nie. - Alice oparła się o drzwi. - Zostaw to i przynieś mi filiżankę herbaty.

Lily pomogła Alice położyć się i zdjęła jej buty.

- Nie może się pani denerwować - powiedziała. - To nie przyniesie nic dobrego.

Filozofia przetrwania była dla niej czymś absolutnie naturalnym. Cięża, ubóstwo, choroba - wszystko to stanowiło część życia jej samej oraz rodziny. Dźwigasz jego brzemień i postępujesz najlepiej, jak się da. A dzieci są błogosławieństwem. W każdym razie niektóre z nich. Nie byłoby dobrze podzielić się tymi myślami z jej panią, kiedy ma ona zły humor.

- Przyniosę pani jeszcze jedną filiżankę herbaty - zaproponowała Lily. - Musi pani nieco odpocząć przed kąpielą. Zaraz dokończę prasować sukienkę, pamiętam o niej.

- Do diabła z nią - rzekła Alice. - I nie chcę więcej herbaty. Lily, co ja mam począć? Ten przeklęty lekarz nie chce mi pomóc.

- Pomóc w czym, *madame*?

- Uwolnić się od tego. - Alice podniosła się na łóżku. - To ostatnia chwila, kiedy mogłam do niego pójść. Gdybyś go tylko słyszała - „nie ma ważniejszych zobowiązań ponad macierzyństwo!”

- To dlatego, że mężczyźni nie rodzą dzieci - zauważyła Lily.

Alice spojrzała na nią.

- Lily, znasz kogoś, co?

Pokojówka zaczerwieniła się.

- Nie, *madame*. Nie znam! Co? Jakież pokątne akuszerki będą wpychać w panią igły?! Mam szczerzy zamiar zawołać pana Vandekara!

- Jeżeli to zrobisz, wiedz, że przed upływem pięciu minut znajdziesz się na ulicy!

- Nie pięciu, *madame* - odparła Lily. - Więcej czasu zabierze spakowanie rzeczy.

- Och, zamknij się, Lily!

- Tak, proszę pani - rzekła pokojówka. - Wrócę, kiedy skończę prasować suknię. Czy przygotować kąpiel o zwykłej porze?

Alice odwróciła się.

- Tak. Nie masz prawa nikomu powiedzieć o tym ani słowa. Nikt nie może wiedzieć przed czasem. W przyszłym tygodniu jedziemy do Ashton i zabieramy się ostro do dzieła.

Lily wiedziała, kiedy może sobie pozwolić na spieranie się, a kiedy nie. Teraz nie był to odpowiedni moment.

- Tak, *madame* - rzekła. - Może pani na mnie polegać.

*

- Wyniszczasz się - powiedział jej Hugo. - Jesteś całkowicie wyczerpana. Nalegam, żebyś wróciła do Londynu.

- Nie - odparła Alice. - Czuję się doskonale. Jeśli teraz wyjadę, zwolni się tempo robót. Święta Bożego Narodzenia tak mnie zmęczyły.

- Alice, jeżeli nie myślisz o sobie, to na litość boską, pomyśl o dziecku. Powiedziano ci, że masz się oszczędzać.

- Och, rzygać mi się chce od tego mówienia, co mogę, a czego nie. Dostyc mam połajanek Lily i telefonów matki, a teraz jeszcze ty! Dziecku nic się nie stanie. Doprawdy śmieszne, żeby robić tyle zamieszania. Zrób mi drinka i przestać mnie męczyć.

Odwróciła się od niego ze złością. Dziecku nic nie mogło zaszkodzić. Ponad trzy miesiące biegła w górę i w dół po schodach, zażywała gorących kąpeli i pracowała ponad siły w Ashton; dekorator, którego zaangażowała, zrezygnował twierdząc, że doprowadziła go do załamania nerwowego. Ale nic się nie stało. Poranne wymioty minęły, dziecko nieustannie rosło wewnątrz niej i nie dawało się wysiedlić. Kiedy powiedziała Hugonowi, że jest w ciąży, był zachwycony i doprowadzał ją do szaleństwa czynioną wrzawą. Pragnął dziecka. Mówił o chłopcu, jakby nie miał żadnych wątpliwości co do płci potomka. Święta spędzili w Sussex u jego matki i brata, w tym okropnie zimnym, brzydkim, potwornie wielkim domu. Utyła i była opuchnięta, a dziecko kopało ją w brzuchu i budziło w środku nocy. Była zła i wymagająca. Odreagowywała swoje niezadowolenie na Lily, która nie brała tego poważnie, oraz na robotnikach, którzy brali.

Ashton rósł, tak jak dziecko. Ona brzydła, Ashton stawał się coraz piękniejszy. Widząc, jak plany przybierają coraz bardziej realne kształty, Alice odnawiała swoje siły życiowe. Nawet wyciszyła się wewnętrznie i była spokojniejsza. Ostatnie metry zasłon zostały zawieszane, obrazy i meble znajdowały się już na swoich miejscach.

Z Londynu przyjechał Hugo. Objęci ramionami szli od pokoju do pokoju. Przez

wspaniały hol do długiego, zielonego salonu, który uważała za swoje dzieło sztuki; cudownie jasne, przestronne pomieszczenie z portretem pędzla Gainsborougha wiszącym w miejscu, gdzie oblewało go światło.

- Podoba ci się? - spytała Hugona. - Czy naprawdę jesteś zadowolony z tego, co zrobiłam?

- Wspaniały - odparł. - Bałem się, że urządzając go zapracujesz się na śmierć, ale rzeczywiście wszystko jest w nim doskonałe.

- Poczekaj, aż zobaczysz jadalnię - rzekła. - Zostawiłam ją na koniec. Och, Hugo, nie mogę doczekać się narodzin dziecka i powrotu do normalności. Pomyśl o przyjęciach, które będziemy tutaj wydawać.

Nie odezwał się. Wiedział, że nie chciała tego dziecka. Może potem, kiedy stanie się ono czymś realnym, zrozumie, że jest ważniejsze od domu.

Urodziła w pierwszym tygodniu maja. Miała długi i ciężki poród. Na świat przyszła dziewczynka, której na chrzcie nadano imię Fern.

Ashton było zbyt odległe, więc Alice zgodziła się, aby chrzest odbył się w Londynie u św. Jakuba, przy Piccadilly. Fern miała sześcioro rodziców chrzestnych.

- Nie ma pośród nich ani jednego zwykłego człowieka - oświadczyła Alice matce. - Na pewno pomyślisz, że jestem snobką.

- Mam nadzieję, że nie jesteś, kochanie - odparła Phoebe.

Alice bardzo zmizerniała i czuła się wyczerpana. Poród przebiegał z komplikacjami, a biedny Hugo szalał z niepokoju; za to dziecko było słodkie; mała, biedna istotka. Fern Alexandra. Piękne imiona.

- Jestem taka zadowolona, że to dziewczynka. Zawsze pragnęłam wnuczki, a ona jest już taka ładna.

Alice otoczyła matkę ramieniem.

- Cieszę się, że ty się cieszysz - powiedziała. - Mając ciebie, będzie szczęśliwa. Wiem, bo ja byłam. Trochę tylko szkoda, że to nie chłopiec.

- Hugo nie czuje się rozczarowany. Szaleje na jej punkcie. Z pewnością zauważyłaś, jak się zachowuje?

- Oczywiście. Wisi przy łóżeczku, gaworząc jak idiota. Nie uważasz, mam, że to znaczy, iż nie muszę mieć kolejnego dziecka? Dziewięć miesięcy potwornej męki i wyglądanania jak straszdyło, a na koniec ten okropny poród...

Zapaliła papierosa. Popielniczka była pełna niedopałków. Odkąd urodziła, nie wyjmowała papierosa z ust. Twarzy matki wyrażała zaniepokojenie.

- Och, nie powinnam tak mówić. Nie zważaj na mnie, jestem jeszcze podenerwowana chrzciniami. Setki ludzi i wszystkie ustalenia, które trzeba było zrobić. Chciałabym, żeby mogły odbyć się w Ashton.

Tam wyglądała na szczęśliwą i bardziej zrelaksowaną. Dom zawsze pełen był ludzi i Alice uwielbiała oprowadzać po nim gości, których wszystko zachwycało. Phoebe uważała, że córka ma na jego punkcie obsesję, ale i tym razem nic nie powiedziała. Hugo był czułym i troskliwym mężem, a Alice kobietą piękną, bogatą i mądrą, o niepospolitej osobowości. Los obdarzył ją wieloma zaletami, ale nie szczęściem. Phoebe dostatecznie wycierpiała się w życiu, by to wiedzieć.

- Mamo, mam przymiarkę dziś po południu - muszę się zbierać. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Idź, kochanie - powiedziała Phoebe. - Zajrzę tylko do małej Fern i pójde sobie.

Był to najładniejszy pokój dziecienny, jaki można sobie wyobrazić. Różowo-biały, z łóżeczkiem spowitym w tiule i kokardy. Zaangażowana przez Alice niania miała nieskazitelne referencje i duże doświadczenie w opiekowaniu się dziećmi, także niemowlakami. Takiej piastunce Alice mogła bezpiecznie powierzyć córkę.

- Dzień dobry, pani Holmes Fry.

- Dzień dobry, nianiu. Śpi?

- Leży sobie cichutko. Jest takim miłym dzieckiem, nigdy nie płacze.

Phoebe pochyliła się nad kołyską. Mała spojrzała na nią spod baldachimu białych i różowych falbanek. Dziewczynka miała ciemne włoski, jak Hugo, i okrągłą, raczej pełną twarzyczkę z wielkimi niebieskimi oczyma, które zmieniały już kolor. Nie płakała często. Spokojna, cicha istotka.

- To mały skarbek - stwierdziła piastunka. - Jedno z najmilszych dzieci, z jakimi miałam do czynienia.

Pochyliła się i dotknęła policzka dziewczynki. Dziecko uśmiechnęło się. Jej matka nigdy się do niej nie zbliżała, wyjąwszy momenty, kiedy przychodził tam pan Vandekar. Babka okazywała więcej uczucia niż ona. Typowa zepsuta, egoistyczna młoda kobieta. „Nie mam pojęcia o opiekowaniu się dziećmi, a poza tym prowadzimy takie ruchliwe życie”.

Biedne maleństwo; przy matce, która nawet nie przychodzi go zobaczyć. Wynagradzała jej to. Dawała małej dziewczynce mnóstwo miłości, tak jak i innym „swoim” dzieciom. Odprowadziła babcie do drzwi. Miła kobieta, chociaż jest Amerykanką. Wróciła do łóżeczka.

- A teraz, moja śliczna, przewróćmy się na bok i utniemy sobie małą, wspaniałą

drzemkę.

To była bardzo prestiżowa praca, z wysokim wynagrodzeniem i utrzymaniem. Podniosła dziecko i na chwilę przytuliła do siebie.

- Kto jest moją ukochaną dziewczynką? - zamruczała.

Mała popatrzyła na nią i uśmiechnęła się.

*

Do czasu kiedy Fern Alexandra skończyła dwa lata, następca o złotych włosach abdykował i poślubił swą amerykańską rozwódkę. Przyjęcia z jazzem stały się niemodne, niczym grzechotanie shakera do koktajli. Należący do następcy tronu Fort Belvedere wyzionął ducha. Błyszczące i kruche życia straciły swój polor; krajowi i Imperium nie zagrażał kryzys. Był nowy król, który miał żonę oraz dwie córeczki - i Brytania znowu czuła się silna.

Państwo Vandekarowie cieszyli się wielkim zainteresowaniem dziennikarzy kroniki towarzyskiej. Często publikowano zdjęcia Alice i rozpisywano się o niej, cytując dowcipne powiedzonka niezwykle popularnej kobiety; wraz z tym jak rósł splendor przyjęć, które wydawali, zaproszenia do Ashton szły ciągle w górę na towarzyskiej giełdzie.

W chmurnych latach, przynoszących pogłoski o zbrojeniu się nazistowskich Niemiec i coraz większej potędze ich armii, dom Vandekarów stanowił prawdziwą oazę beztroskiego życia. Dla Alice rozmowy o zagrażającej wojnie były nudne, a nade wszystko irytujące swoim pesymizmem. Ktokolwiek poruszył ów ponury temat i zakłócił zabawę w Ashton, nie był ponownie zapraszany. Także Hugo nie rozmawiał o tym z żoną, gdyż w jego życiu pojawiła się inna kobieta, z którą mówił o wszystkim.

Fern Alexandra rosła w swoim pokoju dziecięcym pod opieką niani. Była szczęśliwym dzieckiem. Cichym i może nieco ślamazarnym, ale pojętym i o miłym charakterze. Otaczała ją miłość piastunki; widywała ludzi nazywanych mamusią i tatusiem, ale zjawiali się w jej życiu na tak krótko, że wydawali się nierealni. Ojciec bawił się z nią i rosła lubiąc zapach oraz dotyk mężczyzny. Dawał pewność. Mama wpadała i wypadała niczym jaskrawy promień słońca, który za chwilę zniknął. Fern nie znała ani jej zapachu, ani dotyku, ponieważ stawała na kolanach niani, przywierając do niej, żeby mama nie wzięła jej na ręce. Były babcie, które głaskały ją i przynosiły pluszowe zabawki. Zwykle trzymała się kurczowo niani na wypadek, gdyby chciano je rozdzielić. Ale była bardzo szczęśliwa.

Pucz monachijski miał swój finał podczas jednego z najwspanialej zaplanowanych przez Alice weekendowych przyjęć w Ashton. Dwaj ministrowie gabinetu z żonami, długo urabiani przez Hugona i w końcu złowieni przez Alice, w ostatniej chwili wymówili się od

przybycia. W czwartek Hugo przyjechał z Londynu wcześniej.

Kierowanie przez niego interesami było możliwe dzięki znajomości obiegu wewnętrznej informacji na najwyższym poziomie władzy. Mając to na względzie, umizgiwał się do kolegów Chamberlaina, a ponieważ Alice zdawała sobie sprawę z wagi problemu, starała się pozyskać ich żony. Swym urokiem łatwo zjednywała sympatię nawet tak wysoko postawionych kobiet. Była piękna, zyskała wielką popularność i należała do grona najbogatszych. Ale najbardziej ujmowała osobistym czarem. Kobiety i mężczyźni ulegali jej w równym stopniu, miała nieskazitelną reputację. Flirtowała i bawiła się, ale nie pojawiały się żadne szeptaki o ewentualnym kochanku czy romansie, w przeciwieństwie do Hugona. Niektórym z jej przyjaciółek było przykro z tego powodu, co sympatyzowanie z nią czyniło jeszcze łatwiejszym.

- Co mam zrobić? - natarła; rzuciła telegramy na podłogę i spojrzała na Hugona. - Przyjdą Adamsowie i Reedlandowie oraz ambasador Hiszpanii - co oni sobie pomyślą, kiedy się okaże, że dwóch najważniejszych gości odwołało swoje przybycie? To najbardziej kurewska rzecz, jaka mogła się zdarzyć!

Hugo spojrzał na nią. Miała dwadzieścia siedem lat, była dojrzałą i piękną młodą kobietą, ale nagle dostrzegł w niej rozdrażnioną, głupią dziewczynkę. Czy to ja sprawiłem, zastanowił się, widząc jej nachmurzoną minę i rzucone na podłogę, zmięte telegramy. Czy zmieniłem tę inteligentną, oryginalną dziewczynę, obdarzoną ową amerykańską śmiałością i poczuciem niezależności w zepsute, bezużyteczne stworzenie, które nie widzi niczego ponad swoje weekendowe przyjęcie? Był bardziej zły na siebie niż na nią.

- Odmówili, ponieważ premier postanowił polecieć do Niemiec na spotkanie z Hitlerem. Stara się odsunąć groźbę wojny. Jest możliwe, że Charlie i Rachel Adamsowie, Reedlandowie oraz ambasador Hiszpanii - którego, nawiasem mówiąc, nie chciałem zapraszać - zrozumieją to. Chciałbym tylko, żebyś i ty pojechała.

Alice gapiała się na niego.

- Mój Boże, Hugo! Kto, przez niemal cały rok, zarzucał przynętę na tych dwóch starych nudziarzy? Ty! „Chcę ich tutaj zaprosić”, tak mi powiedziałaś. „Chciałbym, żebyś była szczególnie czarująca dla lady Tritton - zastanów się, spróbuj, czy nie mogłabyś jej zaprosić na lunch”. Boże, Hugo, jakież z ciebie hipokryta. Jesteś po prostu tak samo wściekły jak ja, tylko że nie chcesz tego przyznać. I to ja przedsięwzięłam wszelkie starania. Nawiasem mówiąc - dlaczego premier jedzie do Monachium w ten weekend? Przyszły tydzień jest równie dobry.

Sięgnęła po papierosa do jednego z pudełek, które znajdowały się w każdym pokoju, i

zapaliła. Hugo przestał winić siebie za cokolwiek. Ostatnia uwaga stanowiła wyrachowaną prowokację. Nadal z nią sypiał - nie był w stanie całkowicie powściągnąć tego nieszczęsnego pragnienia, kiedy była blisko - ale szybciej niż ktokolwiek inny potrafiła pozbawić go humoru. Chwycił ją za ramię.

- Zanosisz się na wojnę. Nie rozumiesz? Nie obchodzi cię to? Chciałem, by ci dwaj starzy nudziarze, jak ich nazwałaś, przyszli, ponieważ prowadzę interesy na całym świecie i muszę się o nie troszczyć. Dlatego jestem rozczarowany. Ty natomiast jesteś zirytowana, gdyż rozmija się z planem twoje pieprzone przyjęcie!

Wyrwała mu rękę.

- Chronić interesy, dobre sobie. Masz na myśli pieniądze! Nie obchodzi mnie ani Monachium, ani Chamberlain i nie wierzę w to, że będzie wojna! A jeśli nawet, to staniesz się dzięki niej jeszcze bogatszy.

Odsunął się od niej o krok.

- Jeżeli wybuchnie wojna, ja będę walczył, podczas gdy ty będziesz coraz bogatsza. Idę teraz na górę zobaczyć się z Fern.

- Powodzenia. - Alice wzruszyła ramionami. - Miłej rozmowy z piastunką. Zapytaj ją, co sądzi na temat Monachium!

Trzasnął drzwiami, a ona zapaliła kolejnego papierosa.

- Powiem Lily - rzekła na głos.

Co znaczyło: gdzie jest Lily, chcę jej powiedzieć, co się stało. Ale, oczywiście, do tego nie mogła się przyznać.

- Na pani miejscu, aż tak bym nie przeżywała - stwierdziła Lily.

- Nie jesteś na moim miejscu - odparła Alice. - Nie robiłaś tych wszystkich planów ani nie pisałaś listów z zaproszeniami, ani nie układałaś menu.

Lily przechyliła na bok głowę.

- Tere-ferre. Ma pani gospodynię i mistrza kucharskiego, i Bóg jeden wie ilu służących, mających nad wszystkim pieczę. Dlaczego nie odmówi pani pozostałych gości?

- Och, zamknij się, Lily! Idź, przynieś mi drinka i przestań marudzić!

- Nie sarkam - odcięła się Lily. - Dlaczego pani tego nie zrobi? Wyglądałoby lepiej. W takim czasie nie powinno się wydawać przyjęć.

- Jesteś dziwaczką - stwierdziła Alice; wiedziała, że trywialność zaboli Lily. - Zachowujesz się tak, jakbyśmy znajdowali się już w stanie wojny z Niemcami. Co masz na myśli mówiąc, że „wyglądałoby to lepiej”? Kogo obchodzi, co ja robię?

- Przypuszczalnie nikogo. Po prostu lepiej by było, gdybyście państwo traktowali

sytuację poważnie. Tak jak reszta ludzi.

- Masz na myśli siebie? Co to ma, do diabła, wspólnego z tobą? Nie bądź afektowana.

- Mam trzech braci, madame. Jeżeli wybuchnie wojna, pójdą na nią, by walczyć. A Anglia jest moją ojczyzną. Pamiętam o tym.

Alice potarła ramię. Hugo ścisnął ją tak mocno, że będzie miała siniak. Powróciły przykre wspomnienia owej wstrętnej nocy w Amsterdamie.

- Prosiłam o drinka - powiedziała. - Prawie jestem skłonna przyjąć twoją radę. I niemal zdecydowana odwołać przyjęcie. To powinno dać mu nauczkę.

- Proszę wziąć pod uwagę wszystko razem i tak zrobić, jak mówię. Przygotuję pani wspaniałe martini.

Alice dalej masowała ramię. Nagle straciła ochotę zabawiania ludzi. Przepadł główny motyw jej działania.

Możliwe, że Lily miała rację. Posiadała tę bezpośrednią, gminną zdolność dostrzegania oczywistości. Możliwe, że powinna odwołać przyjęcie nie dlatego, by zrobić na złość Hugonowi, ale dlatego, że w tych okolicznościach tak właśnie wypadało uczynić. Zadzwoił telefon; podniosła słuchawkę.

- Och, tak, tak, wasza ekscelencjo. Och, tak, oczywiście, rozumiem. Nie może pan być tutaj, poza Londynem, w tak szczególnej chwili. No cóż, wyznam panu szczerze, że zamierałam właśnie zatelefonować do pana oraz do pozostałych naszych gości i zasugerować, byśmy się spotkali w innym czasie, kiedy, miejmy nadzieję, sprawy lepiej się ułożą. Będę się modliła, żeby powiodła się misja premiera. Tak wiele od tego zależy... Oczywiście, powiem mojemu mężowi. Do widzenia.

Wróciła Lily, niosąc na tacy wytrawne martini. Wiedziała, jak przygotować ulubionego drinka pani, i potrzebne składniki trzymała w szwalni.

- Rozmawiałam z ambasadorem - powiedziała Alice. - Także odmówił. Podaj mi to, Lily, i przynieś notes z numerami. Muszę obdzwonić resztę gości, zanim ktokolwiek inny zdąży do nas zatelefonować.

- Tak, *madame* - powiedziała Lily; uśmiechnęły się do siebie niczym konspiratorki.

Alice upiła łyk martini, stwierdziła, że jak zwykle jest doskonale, i sięgnęła po telefon. Następnego dnia w porannej prasie ukazało się doniesienie, że znana w wyższych sferach pani Vandekar odwołała wystawne przyjęcie ze względu na kryzys w stosunkach angielsko-niemieckich. Tak zrodziła się opinia o jej patriotyzmie.

*

- Nie płacz, kochanie. - Phoebe objęła ją.

Alice prawie krzyczała; nie mogła nad sobą zapanować.

- Muszę jechać do domu - powtórzyła matka. - Jeżeli dojdzie do wojny, może się okazać, że przez całe lata nie będę mogła wrócić. Proszę, nie utrudniaj mi tego.

- Nie będzie wojny - upierała się Alice. - Ludzi po prostu ogarnęła panika! Dlaczego nie mogłabyś zostać jeszcze trochę? Będę taka samotna bez ciebie, mamo...

Phoebe otoczyła jej plecy ramionami.

- Kochanie, posłuchaj mnie. Odkąd wyszłaś za męża, starałam się być blisko ciebie. Zawsze przyjeżdżałam do Ashton i uwielbiam tu być, ale teraz już okrzepłaś. Masz Hugona i kochaną, małą Fern oraz cudowny dom, który dzięki tobie stał się tak niezwykle piękny. Jesteś słynną osobą, moja droga. Twoje życie jest wypełnione. Już mnie nie potrzebujesz i nie powinnaś potrzebować. Chcę wrócić do domu. Tęsknię za Stanami. Popłynęłabym już wcześniej, gdybyś się nie sprzeciwiała.

- Nie obwiniaj mnie - powiedziała Alice. - To nie w porządku. Wiem, że tęsknisz za domem. Do diabła, ja też czasami tęsknię. - Ze złością wytarła oczy. - Okay, mam bogate życie, ale takim je uczyniłam. Jestem ciągle zajęta, nie znajduję czasu, by spokojnie o czymś pomyśleć. Ale zawsze miałam ciebie. Wystarczyło tylko podnieść słuchawkę i już tutaj byłaś.

- Tak - przyznała Phoebe. - Jadłyśmy razem lunch albo szłyśmy na wystawy czy pokazy mody, lecz właściwie nigdy ze mną nie rozmawiałaś, nigdy się przede mną nie otworzyłaś, czyż nie mam racji? Alice, wiem, że coś jest nie tak. Masz wszystko, czego mogłaby pragnąć każda kobieta, lecz nie jesteś szczęśliwa.

Jeżeli powiem jej prawdę, pomyślała Alice, na pewno nie wyjedzie, ale będzie przeze mnie cierpiała. To zniszczy wszystko. Ona po prostu nie zrozumie. Lepiej nic nie mówić.

- Chodzi o Hugona? - spytała matka. - Nie kochasz go?

Pomyślała, że może zdobyć się na odrobinę szczerości.

- Sądzę, że go kocham, ale nie w tym rzecz. Wszystko jest dobrze, wiesz przecież, lecz on jest tak zajęty interesami, a na dodatek cały czas mamy jakichś gości.

- Przykro mi - powiedziała matka; łzy napłynęły jej do oczu - ale masz jeszcze Fern, kochanie... Jest taka słodka...

- Mamo - przerwała jej Alice - dla mnie to jest tłusta klucha, która krzyczy, kiedy chcę ją wziąć na ręce. Może inaczej byłoby z chłopcem, nie wiem. W każdym razie, mała ma się dobrze. Jest niania, a Hugo ma kręcka na punkcie Fern. Ona mnie nie potrzebuje.

- Zamierzacie mieć niebawem kolejne dziecko?

- Biorąc pod uwagę bezustanne gadanie o wojnie, byłoby to trochę głupie - powiedziała Alice pośpiesznie. - Mamo, dlaczego nie zaczekasz do lata? Chciałabyś, żebym z

tobą pojechała? Hugo nie będzie miał nic przeciwko temu. Może, jeśli pobędziesz w domu miesiąc czy dwa i odwiedzisz wszystkich znajomych, zmienisz zdanie i wrócisz ze mną do Anglii?

Nie, pomyślała Phoebe. Nie, to nie jest odpowiedź. Ucieka od swoich problemów i jest zbyt dumna, by się do nich przyznać. Nie wolno mi jej w tym pomagać.

- Alice - powiedziała łagodnie - wyjeżdżam i jadę sama. Mam zarezerwowane miejsce na *Queen Mary* i wypływam dwudziestego czerwca. Bardzo pragnę, żebyś była szczęśliwa. Zaslugujesz na to. Chciałabym, żebyś go kochała; on z pewnością kocha ciebie.

- Wiem - odparła Alice; odwróciła się. „Może nigdy nie zrozumiem, co tracę. Może jestem po prostu zepsuta”.

Kiedy ponownie spojrzała na matkę, była w stanie uśmiechnąć się.

- Nie sądzę - powiedziała Phoebe. - Miłość jest najważniejszą sprawą w życiu kobiety. I pewnego dnia odkryjesz to.

W noc wyjazdu matki Alice wydała bal w Ashton. Wytlumaczyła ową ekstrawagancję: jest to jej łabędzi śpiew, jeżeli ma dojść do wojny, na co rzeczywiście się zanosilo. Wszyscy chcieli przeżyć najwspanialszy wieczór i zachować w pamięci coś, co podtrzymałoby ich na duchu, kiedy trzeba będzie podjąć wyzwanie. Uwaga ta pochodziła z Fleet Street¹, ale zawładnęła wyobraźnią publiczności. Ludzie postrzegali to przyjęcie jako rękawicę, rzuconą czyhającemu wrogowi. Alice rozpuściła pogłoskę, iż nieistotne są ogromne koszty balu, bowiem wydała go, aby złagodzić ból rozstania z matką.

Lily widziała rano jej zaczerwienione oczy i rozumiała, że gorączkowe przygotowania stanowią formę samoobrony. Pani Holmes Fry była miłą i łagodną kobietą - Lily darzyła ją coraz większą sympatią. Alice będzie okropnie za nią tęsknić, kiedy przeminie całe to zamieszanie związane z balem.

W noc balu pomagała pani ubrać się. Suknię uszył Hartnell. Była w kolorze morskiej zieleni, haftowana perełkami i kryształkami rozrzuconymi pomiędzy fałdami atlasowej spódnicy.

- Stanik musi być gładki - uparła się Alice.

Opierając się zapędom projektanta do przesadnego ozdabiania, stwierdziła:

- Nie chcę wyglądać jak wróżka przy bożonarodzeniowym drzewku.

Gdyby ktoś inny powiedział coś takiego, mistrz mógłby odmówić wykonania

¹ Fleet Street - popularne określenie londyńskiej prasy (od nazwy ulicy, gdzie mieszczą się redakcje wielu gazet). Przep. tłum.

zamówienia, lecz Alice to uchodziło. Żadnego diadem.

Diademy nie są dla zwyczajnych ludzi. Żadnej biżuterii, oprócz broszki z brylantami i kolczyków.

Nigdy nie wyglądała pięknie, pomyślał Hugo, kiedy stali po kolacji, przyjmując swoich gości. Miała obciętą grzywkę i włosy układały jej się gładko, modnie ostrzyżone na pazia. Brylantowe kolczyki i broszka rywalizowały z olśniewającym blaskiem rozsiewanym przez jej spódnicę, kiedy poruszała się z ożywieniem, ścisnęła dłonie i uśmiechała się pozdrawiając przybyłych, w miarę jak nadchodzili.

Teraz patrząc na nią nie mógł pohamować dumy z posiadania takiej żony. Wiedział, jak bardzo cierpiała po rozstaniu z Phoebe; nigdy nie był zazdrosny o ich wzajemną miłość. I chociaż wyraził ubolewanie, pozwolił jej, by zrobiła wedle swojej woli i wydała ostatni wielki bal, jaki będzie miał miejsce w Anglii przed wypowiedzeniem wojny - gdyż był pewien, że do niej dojdzie. Z Ashton nic nie mogło się równać. To jej dzieło. Szkoda tylko, że dom miał przede wszystkim olśniewać gości, a nie służyć wygodzie domowników; ale w tym była cała Alice. Przekora, ekscytacja czy ekstrawagancja stanowiły jej obronę przed bólem. Był dumny ze wspaniałego domu, jarzącego się światłami, widocznymi na wiele mil wokoło, niczym wielki biały pałac. Ale także i smutny. Wolałby raczej spędzić ten wieczór w spokoju, razem z nią.

Tańczono do muzyki Carrola Gibbonsa. Alice uwielbiała tańczyć; ilekroć Hugo na nią spojrzał, zawsze była na parkiecie, w objęciach jakiegoś mężczyzny - roześmiana i czarująca. Nagle przypomniał sobie tę noc, kiedy poznali się w tym właśnie domu. Na balu wydanym mniej więcej o tej samej porze roku. Pamiętał, jak potwornie się nudził, zanim weszła do pomieszczenia, które wówczas było biblioteką. Teraz także nie tańczył i oddając się wspomnieniom poszedł do tamtego pokoju. Czuł taką potrzebę, ale nie miał pojęcia, dlaczego. Możliwe, że zginę na wojnie, pomyślał i ze zdumieniem stwierdził, że wcale go to nie przeraża.

Oczywiście, pomieszczenie wyglądało zupełnie inaczej. Otoczony rzędami książek podniszczony pokój Rushwellów był teraz eleganckim buduaem, o ścianach pokrytych szarym jedwabiem i o pięknym, zdobnym w sztukaterie stropie, uwydatniającym piękno niebieskiej angielskiej porcelany. Pokój Alice - jej biurko, jej krzesła i fotografie: ona i Hugo w dniu ślubu, a także Phoebe oraz Fern w ubranku do chrztu...

- Hugo? Kochanie, wszędzie cię szukałam.

Stał przy oknie, patrząc na zatopiony w powodzi światła ogród; słynna rzeźba Kupidyna i Psyche wydawała się śnieżnobiała na tle nocnego nieba. Odwrócił się. Zobaczył

Celię Forbes; była jego kochanką przez ostatnie dwa lata, ciemnowłosa, z gładko uczesаныmi włosami, chuda jak kij od miotły. Miała piękny uśmiech i nosiła naszyjnik z brylantów, który jej ofiarował. Wytworna, dowcipna kobieta, mająca doświadczenie oraz duże potrzeby seksualne. Alice znała Forbesów, ale nie żywiła żadnych podejrzeń. Forbesowie nie należeli do bliskiego kręgu ich przyjaciół, co miało pozytywne znaczenie.

- Co tu robisz w samotności? - spytała. - Chodź i zatańcz ze mną. Żle się bawisz? Przyjęcie jest cudowne.

Podeszła do niego, wsuwając mu rękę pod ramię. Była tuż po trzydziestce, zamężna po raz drugi. Nigdy mu nie powiedziała, że go kocha, ani nie oczekiwała, że on wyzna jej miłość. Nie był to układ handlowy, a raczej namiętny związek przyjacielski. Dał jej klejnoty i jako prezent urodzinowy kupił samochód marki lagonda. Była mądrą i dyskretną kochanką, której zwierzał się z absolutnym zaufaniem, wyjąwszy kwestię jego osobistych układów z Alice. Nigdy nie starała się nawet wypytywać go o to. Nudziła się śmiertelnie z Forbesem, jak go zawsze nazywała, i przypuszczała, że amerykańska żona przyjaciela także zaczyna go nużyć. Lubiła mieć kochanka i potrzebowała skupionej na sobie uwagi mężczyzny.

- Muszę powiedzieć, że Alice przeszła samą siebie. Wszystko zostało przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Doprawdy fantastyczne, że sprowadziła Carrola. Uwielbiam jego muzykę, a ty? Co z naszym tańcem?

- Żle byś się czuła, gdybyśmy nie zatańczyli? - spytał. - Możemy zamiast tego wypić w samotności po kieliszku szampana.

- Czemu nie? - zgodziła się. - Zaczekam tutaj. Jaki ładny pokój. Nigdy w nim nie byłam.

- To buduar Alice - wyjaśnił. - Przyniosę drinki; zaraz wracam.

Usiadła i założywszy ręce za głowę oglądała wystrój pomieszczenia. Bardzo piękny. Ale dużo przejaskrawień. Te jedwabie na ścianach i na pewno zbyt mocny niebieski kolor. Nie lubiła Alice. Forbes uważał, że jest cudowna, ale to jego sprawa. Cóż za głupota nie zadowalać takiego męża, jak Hugo. Nie była zainteresowana w odbijaniu go; szczerze mówiąc dlatego, iż wiedziała, że nie byłaby w stanie tego dokonać. Któregoś dnia może się jednak znaleźć jakaś inna kobieta, bardziej ambitna... Zapaliła papierosa.

Zanosilo się na wojnę. Czula to. Atmosfera byla napięta, pełna niepokoju; panowała niemal ogólna frustracja, spowodowana narastającym zagrożeniem; Forbes oczekiwał wybuchu wojny. Mówił o wstąpieniu do swego dawnego regimentu. Jako kapitan Gwardii Królewskiej wyglądał nadzwyczaj atrakcyjnie. Ten mundur czynił cuda. Szkoda, że nie był w czynnej służbie. Uważała, że jest dobrym mężem. Dostyc miłym i niewymagającym. Nie

zapytał o pochodzenie klejnotów, tylko raz, kiedy zobaczył naszyjnik od Hugona, powiedział: „Och, mamy za dużo forsy, co?” „Nie, kochanie, to po prostu coś, w co postanowiłam zainwestować”. Nigdy więcej nie uczynił na ten temat żadnej wzmianki.

- Przepraszam, że trwało aż tak długo. - Hugo wrócił z dwoma kieliszkami. - Nie mogłem znaleźć kelnera, a wokół obu barów jest przerażający tłok. Proszę.

Usiadł obok niej. Stuknęli się kieliszkami.

- Za nasz następny lunch w Londynie. Stęskniłam się za tobą.

- Byłem bardzo zajęty - odparł Hugo. - Ale w przyszłym tygodniu możemy się spotkać. Brakuje mi naszych wspólnych popołudni.

- Tak jak i mnie - powiedziała Celia.

Odstawiwszy kieliszek z szampanem pochyliła się nad Hugonem, całując go w usta. I właśnie to zobaczyła Alice, kiedy otworzyła drzwi. Celia miała zamknięte oczy; Hugo podniósł wzrok i ujrzał swoją żonę patrzącą na nich. Nie wiedział, ile czasu to trwało, ale drzwi nagle trzasnęły i Celia odskoczyła od niego.

- Mój Boże, co to było?

Hugo wstał. Wytarł usta i na jego chusteczce pozostała czerwień szminki.

- Obawiam się, że to była Alice.

- O mój Boże - powtórzyła Celia i roześmiała się. - Niezręcznie wyszło. Czy narobi zamieszania? To tylko niewinny pocałunek... Z pewnością potrafisz jej wytłumaczyć, prawda? Powiedz, że byłam pijana, zresztą obojętne co. Nie chcę, byś miał kłopoty, kochanie.

- Wyjaśnianie nic nie da - stwierdził. - Nie powinniśmy byli tutaj siedzieć. Przychodzi do tego pokoju, kiedy chce trochę odpocząć. Och, pieprzyć to. Chodźmy; spróbuję znaleźć Alice.

- Oczywiście. Znajdę sobie partnera i wrócę na parkiet. Naprawdę mam nadzieję, że nie zrobi awantury. Przepraszam, kochanie.

- Nie musisz - powiedział. - To również moja wina.

Nie widział nigdzie Alice. Szukał jej na parkiecie i w jadalni, gdzie znajdował się bufet, a także pod płóciennym namiotem, w którym podano kolację, rozpiętym z jednej strony budynku. Nigdzie jej nie było. Zawahał się. Jeżeli pójdzie na górę, ta wścibska pokojówka zobaczy go. Nie miał zaufania do Lily. Alice bardzo na niej polegała. Postanowił poczekać, aż skończy się przyjęcie. Zobaczymy, co powie. Może po prostu zignoruje incydent. W tych szczególnych okolicznościach postąpiłoby tak wiele żon. Wierność z jego strony nie stanowiła warunku umowy zawartej w Amsterdamie.

Zapytał żonę ministra spraw zagranicznych, czy nie zechciałaby z nim zatańczyć, i za

chwilę płynęli po parkiecie w rytm romantycznej, spokojnej muzyki, tak charakterystycznej dla repertuaru Carrola Gibbonsa. Dostrzegł z ulgą, że zielono-srebrna suknia, której usilnie wypatrywał, powiewa między tłumem gości, i sterował w jej stronę. Alice nie spojrzała na niego - zajęta była rozmową z bardzo przystojnym młodym politykiem z Partii Konserwatywnej, słynnym ze swoich kapeluszy oraz z tego, że zrezygnował z członkostwa w rządzie po kapitulacji Chamberlaina w Monachium. Kiedy taniec się skończył, Hugo przeprosił swoją partnerkę i podszedł do żony.

- Szukałem cię, Alice - powiedział. - Anthony, musisz mi wybaczyć, ale od początku wieczoru ani razu nie zatańczyłem ze swoją żoną. Jest rozchwytywana!

- Nie dziwi mnie to. Wydajecie wspaniałe przyjęcia! - Anthony ucałował dłoń Alice.

Bardzo podobał się kobietom. Alice uważała go za czarującego, zachwycona jego błyskotliwą inteligencją. Natomiast on uważał, że wówczas kiedy bawił ją i obsypywał komplementami, w ogóle nie była nim zainteresowana. Przypuszczał, że musi być szaleńczo zakochana w swoim mężu. Szczęśliwy ten bydlak, Vandekar.

Alice i Hugo tańczyli. Przez chwilę nie odzywali się do siebie. Potem on powiedział:

- Przepraszam. To nic ważnego. Szukałem cię wszędzie.

- Poszłam się przejść - odparła Alice. - Ogrody wyglądają cudownie. Powinniśmy je zawsze oświetlać.

- Nie złość się na mnie - szepnął. - Zapewniam cię, ona dla mnie nic nie znaczy.

- Celia jest największą dziwką w całym Londynie - powiedziała uśmiechając się do kogoś, kto przechodził obok nich. - Jak mogłeś wskoczyć do tej kolejki, Hugo? Płacisz jej rachunki? Witaj, Joan, cudownie wyglądasz...

- Alice, w ten wieczór wszystkich wieczorów nie chcę cię denerwować. Wyjdźmy razem do ogrodu. Proszę, kochanie, pozwól mi ze sobą porozmawiać.

Muzyka ucichła i rozległ się grzmot oklasków. Największy przebój tego roku - żaden pianista nie grał go tak, jak Carrol Gibbons.

Hugo ścisnął mocno jej dłoń; nie mogła odejść od niego tak, by nikt nie zwrócił na nich uwagi. Czuł, jaka była wściekła. Złość kryła się w olśniewającym uśmiechu i pośpiesznym kroku, kiedy zmierzali na taras. Tam Hugo zatrzymał się.

- Pamiętasz, jak stałaś tutaj ze mną pierwszej nocy, kiedy się poznaliśmy? Wtedy zakochałem się w tobie. Byłaś wówczas oczarowana wszystkim, co widziałaś dokoła, prawda?

- I kupiłeś mi to - dokończyła za niego.

- Nie wiem, czy mam być zadowolony, czy powinno mi być przykro.

Spojrzała na niego.

- Co masz na myśli? Czy sam tego nie chciałeś?

- Nie - odparł. - Nie chciałem domu, nawet najpiękniejszego. Chciałem ciebie, Alice. Zawsze cię pragnę. Celia Forbes nic dla mnie nie znaczy. Nigdy więcej się z nią nie spotkam. Przyrzekam. Ale czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

- Co takiego? - powiedziała wolno. - Co chcesz, żebym zrobiła?

- Idź do lekarza i porozmawiaj z nim o naszym problemie. Musi być jakiś powód. Czy nie widzisz, że to jedyna rzecz, która stoi pomiędzy nami a naszym szczęściem? Prawdziwym szczęściem. Ashton nam go nie da. Ani dzieci. Wiem, że Fern nic cię nie obchodzi. Nie sprawią tego ani pieniądze, ani przyjęcia, takie jak dzisiejsze. Będzie wojna. Bóg jeden wie, jaki okaże się jej rezultat. Ludzie mówią, że potrwa sześć miesięcy, może rok. Ja nie wierzę w podobne pogłoski. Jestem przekonany, że nadchodzą straszne czasy. Możemy nawet jej nie wygrać. Alice, kochanie, to nasza jedyna szansa. Pójdiesz do lekarza?

Powiał wiatr i dostała dreszczy. Odwróciła się i ujrzała, że płacze. Ostre światła reflektorów uczyniły jej twarz twardą i szarą.

- Mój ojciec umarł pieprząc się ze zwykłą kurwą. Oto, czym jest dla mnie seks. I niepotrzebne mi wyjaśnienia lekarza.

Był zszokowany. Stała uczepiona balustrady, jakby toczyła walkę z samobójczymi myślami.

- Nie jestem idiotką, Hugo. Ani oszustką. Uważasz, że nie próbowałam czegoś z tym zrobić? Jak myślisz, co ja przeżywam, gdy pozwalam ci wchodzić na siebie i czuję, że muszę biec do łazienki, bo chce mi się wymiotować? Mając Fern i wiedząc, że będziesz chciał kolejnego dziecka? Oczywiście, poszłam do psychiatry. Powiedział, że nic nie może poradzić. Stwierdził, że przyczyną takich reakcji jest mój ojciec. Czy rozmowa o tym pozwoli rozwiązać problem? No cóż, nie uzdrowiła mnie. Nie porzucaj Celi. Pasujesz do niej. Przez moment poczułam się zazdrosna i zraniona, ale nie mam żadnego przekłętego powodu, by tak było. Wracam teraz do tego, co jeszcze pozostało z naszego przyjęcia.

Odeszła zostawiając go samego. Nie próbował jej zatrzymać ani nie poszedł za nią.

Kiedy odjechali ostatni goście, wstał świt i złote słońce ukazało się nad dachami.

- Dobranoc, Hugo - powiedziała Alice i poszła na górę.

Nie budziła Lily; rozerwała zapięcie z tyłu zielono-srebrnej sukni, by się od niej uwolnić, i kopnęła ją w kąt.

Nie spała; leżała nasłuchując odgłosów budzącego się do życia domu, podczas kiedy służba zaczynała doprowadzać do porządku pokoje. Później mieli przyjechać dostawcy

żywności i zwinąć namiot, w którym wydano kolację. Pomysł ów bardzo się wszystkim spodobał; wewnątrz namiotu oświetlały tkwiące w lichtarzach świece, zaś jego ściany zdobiła cudowna, zielono-biała kompozycja kwiatowa. „Przypomina kwietny ogród, kochanie...” Wydarzenia minionej nocy odżywały w jej wyobraźni, jakby oglądała poszczególne klatki na taśmie filmu; słyszała wyśmiewające ją głosy i widziała uśmiechnięte twarze, wyrzucające z siebie komplementy. „Cóż za sukces! Jakie cudowne planowanie! Miałaś czas na zorganizowanie tego wszystkiego?” Znakomite osobistości, od których było gęsto jak od stokrotek na łące. „Te koszty, moja droga...” Słyszała owe szepty, krążąc wśród gości. „To musiało pochłonąć fortunę... Ale w końcu oni są nieprzyzwoicie bogaci”.

Usiadła na łóżku wiedząc, że niebawem Lily przyniesie herbatę.

„Zaproponuję rozwód - powiedziała głośno. - Nie możemy dalej tak żyć. To jest nie w porządku wobec niego”.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, już była w stanie uśmiechać się; wzięła z rąk Lily filiżankę i opowiedziała pokojówce, jakie cudowne było przyjęcie.

Ubrała się i zeszła na dół, by odszukać Hugona i porozmawiać z nim. On musi odzyskać wolność. Może także zabrać Fern, jeśli chce. Zamierzała prosić go tylko o to, by pozostawił jej dom i zapewnił środki na jego utrzymanie. Ale Hugona nie było. Majordomus powiedział, że pan Vandekar wyjechał wcześniej rano do Londynu. Kiedy zatelefonowała do banku, poinformowano, że jest zajęty i nie odpowie na jej telefon. Może zechce zadzwonić ponownie? Wczesnym wieczorem zatelefonowała jego sekretarka. Pan Vandekar poleciał do Paryża w niecierpiących zwłoki interesach. Zadzwoni do niej z hotelu Credillon. Alice nie czekała na to. Poprosiła o numer i zatelefonowała. Zawsze brał ten sam apartament. Zatrzymali się w nim na kilka dni podczas ich miodowego miesiąca. Słyszała dźwięk wewnętrznego telefonu w pokoju, a potem rozległ się kobiecy głos:

- Halo?

I znowu:

- Halo...

Jego interesem w Paryżu była Celia Forbes. Alice odłożyła słuchawkę.

Kiedy wrócił trzy dni później, nie poprosiła go o wyjaśnienia ani on nie pośpieszył z nimi. Nie było mowy o rozwodzie, natomiast przeprowadził się na stałe do swojego apartamentu z łazienką oraz garderobą. Alice nie skomentowała tego ani słowem. Pokazała mu listy od najbardziej znamienitych gości, z wyrazami podziękowania za wspaniały bal w Ashton. Dla wszystkich, jak to wyraził jeden z piszących, był on symbolicznym zakończeniem pewnej epoki. Pozostało piękne wspomnienie, które powinno dodać im odwagi

przed nadchodzącą próbą.

*

Trzeciego września 1939 r. Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. Tego dnia w Londynie przez kilka minut wyły syreny. Był to próbny alarm, zapowiedź okresu bezczynności na froncie zachodnim, który wkrótce rozgorzał ogniem walk, kiedy jesienią 1940 roku Niemcy zajęły Belgię oraz Francję.

Wielu przyjaciół Vandekarów zginęło pod Dunkierką. Hugo wstąpił do Gwardii Grenadierów i został skierowany do Ministerstwa Wojny. Kiedy Alice pytała go, co tam robi, powiedział, iż zajmuje się pracą administracyjną i czyni wszystko, żeby wydostać się stamtąd jak najszybciej. Phoebe pisała ze Stanów pełne niepokoju listy, prosząc Alice, by wraz z Fern przyjechały jak najszybciej. W Europie dzieją się straszne rzeczy i jeżeli Niemcy opanują Anglię, ludzie tacy jak Vandekarowie będą szczególnie prześladowani. Alice odpisała, że ani jej, ani Fern nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Czyżby matka nie wiedziała, że bogaci zawsze mogą się wykupić? Ten cynizm zakłopotał Phoebe, więc zaatakowała Hugona. Jego odpowiedź była uprzejma, ale zdecydowana.

Żona i dziecko są bezpieczne w Ashton, nietkniętym przez naloty niszczące Londyn oraz miasta portowe. Nie musi się martwić ani o córkę, ani o wnuczkę, jednak nie może być mowy o tym, by ktokolwiek z jego rodziny miał lecieć do Ameryki.

Na weekendy przyjeżdżał do domu. Mąż Celii Forbes zginął w tej przeklętej akcji osłaniającej odwrót z Francji. Wszyscy wiedzieli, że Hugo jej pomaga. Wstąpiła do Korpusu Sanitarnego i pozostała w Londynie, jeżdżąc przez ogniste piekło nocnych nalotów.

Alice spędzała czas w Ashton, patrząc z obojętnością, jak Fern rośnie otoczona troską i miłością piastunki. Trwająca wojna wydawała się bardzo odległa, jakby w ogóle nie dotyczyła mieszkańców Ashton - oazy spokoju i bezpieczeństwa. Hugo w mundurze wyglądał jak aktor w kostiumie teatralnym szykujący się do występu. Nie opowiadał o swojej pracy, ponieważ Alice nie okazywała zainteresowania. Od czasu do czasu goście przyjeżdżali na weekendy, ale było niewiele beztrioskiej zabawy. Alice przyłączyła się do lokalnego oddziału Żeńskiej Służby Pomocniczej, zwijając bandażę i tocząc błahe rozmowy z innymi kobietami. Nuda i frustracja powodowały, że stawała się coraz bardziej nerwowa i nie zawsze potrafiła panować nad emocjami. Pewnego dnia powiedziała do Hugona:

- Nie będę siedzieć bez sensu i tracić czasu. Mam dość prowadzenia głupich rozmów z tymi megierami z miasteczka. Jestem tak znudzona, że mogłabym krzyknąć. Chcę pojechać do Londynu. Chcę coś zrobić. Coś dobrego, co mogłoby pomóc.

- Nie pojedziesz do Londynu - powiedział cicho. - Nie możesz narażać siebie na

niebezpieczeństwo tylko dlatego, że się nudzisz. Jesteś potrzebna Fern.

- Fern nie odróżnia mnie od kostki mydła! - oświadczyła. - Ty nie potrzebujesz mnie z powodu Celii! Jeśli o nią chodzi, to wszystko w porządku, że odgrywa cholerną bohaterkę, prowadząc ambulans podczas nalotów, ale ja muszę siedzieć tutaj i nic nie robić!

- Celii nic nie wiąże. Ma powód, by być cholerną bohaterką, jak określiłaś. Pamiętaj, że Forbes został zabity. Ona cierpi z tego powodu.

- Doprawdy? Dobrze jej tak. Myślałam, że raczej powinna odczuć ulgę. To oczyściło drogę przed wami obojgiem. - Alice zapaliła papierosa. - Nie żebym się tym przejmowała, nie myśl sobie. Powiedziałam kiedyś, że pasujecie do siebie, pamiętasz?

- Tak - odparł Hugo. - Powiedziałaś, a ja ci uwierzyłem. Nadal jestem gotów odejść od niej w każdej chwili, jeśli mnie o to poprosisz.

Odwrócił się nie chcąc, by widziała jego twarz ani poznała, że ciągle jeszcze potrafi go zranić.

- Och, nie zaczynaj znowu. Nie chciałam być złośliwa. Po prostu stoję na krawędzi. Uwielbiam przebywać w Ashton, ale chcę robić coś użytecznego; nie mogę tylko siedzieć tutaj. Jestem pewna, że ludzie mnie krytykują. Na pewno to robią za plecami.

- Dobrze - powiedział Hugo po chwili. - Jeżeli mówisz poważnie, jest coś, co mogłoby rozwiązać problem. Nie wspominałem o tym wcześniej, gdyż nie sądziłem, żeby ów pomysł ci się spodobał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Co to takiego? No, dalej; powiedzże wreszcie.

- Sugerowano mi, bym przeznaczył nasz dom na sanatorium dla rekonwalescentów wojennych - stwierdził.

- Ashton? Zrobić tutaj szpital i oddać ludziom, którzy by go przejęli i prowadzili?

- Sądziłem, że tak właśnie zareagujesz. Pragnę cię jednak ostrzec, że może tak się stać nawet wówczas, gdy nie wyrazisz zgody. Zamierzam spotkać się z kimś w szpitalu w Horton. Dlaczego nie miałabyś pojechać tam ze mną, Alice? Może zmieniałabyś zdanie i zaoferowalibyśmy Ashton, zanim zostanie zarekwirowany?

*

Alice nienawidziła chorób. Zdrowa i silna, okazywała zniecierpliwienie wobec tych, którzy tacy nie byli. Wystarczyło wspomnieć o jakichkolwiek dolegliwościach, a od razu ogarniało ją znużenie. Lecz sala szpitalna w Horton wywoływała zupełnie inne wrażenie. Przyjaciel Hugona, mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkała, był pilotem hurricane'a; złamał obie nogi po wyskoczeniu z samolotu na spadochronie. Mimo to nie

stracił humoru i bez przerwy opowiadał dowcipy. Jednak byli tam również inni. Okropnie poparzeni mężczyźni, spowici bandażami niczym egipskie mumie. Ludzie półprzytomni z bólu, niektórzy zasłonięci parawanami; nie musiano jej tłumaczyć dlaczego - wiedziała, co to znaczy. W większości piloci RAF-u, wyjaśnił Hugo. Wśród lotników jest mnóstwo ofiar. Zataczające się w powietrzu bombowce wracają z rannymi i umierającymi członkami załogi na pokładzie.

Kiedy siedzieli w samochodzie jadąc do domu, długo milczała. Widział, że wyjmuje z torebki chusteczkę i wyciera oczy; nie mogła dojść do siebie po tym, co zobaczyła. Sięgnął i uściśnął jej dłoń. Tak wiele razy mówił sobie, że nienawidzi żony, a nadal nie mógł znieść widoku jej łez.

- To było okropne, ale przynajmniej wiesz, w co jesteśmy wplątani.

- Są tacy młodzi - powiedziała Alice. - Niektórzy z nich wyglądają jak dzieciaki. Teraz mogę o sobie powiedzieć, że jestem egoistyczna i zepsuta, po prostu kreatura. Skamlałam, że mi się nudzi! Boże, Hugo, w co ja się przemieniłam? Co się ze mną stało?

- Nie wiem - powiedział cicho. - Zmieniłaś się, Alice. Oboje się zmieniliśmy.

Spojrzała na niego.

- Do diabła, przecież chcę być inna! Urządzimy w Ashton najlepsze pieprzone sanatorium w Anglii. To będzie mój wkład w tę kurewską wojnę.

- Dziękuję - powiedział. - Cieszę się. Znajac cię, zrobisz dokładnie to, co powiedziałaś.

*

- Uważam, że jest zdumiewająca - powiedziała salowa.

Pociągnęła łyk herbaty.

- Może trochę - przyznała Lily. - Jestem przy niej od pięciu lat i mnie nic już nie zaskoczy.

- Kiedy powiedziała do siostry przełożonej, że pragnie pomagać, wszystkie pomysłyśmy, że chce chłopcom czytać czy przystanąć przy którymś, żeby z nim pogadać; takie rzeczy. Przełożona zasugerowała to, a ona odebrała jej słowa jak policzek. „Chodzi mi o prawdziwą pomoc - powiedziała - a nie wygłupianie się, udawanie samarytanki”. Nie widziałam zbyt wielu ludzi zdolnych przeciwstawić się siostrze przełożonej, ale pani Vandekar osiągnęła, co chciała!

- Zawsze osiąga - zgodziła się Lily. - Powiedziałam jej, że jest wyniosła, a ona po prostu, żebym się zamknęła. U mojej pani nie wchodzi w grę żadne półśrodki. Jeżeli zacznie coś robić, to już robi.

Lily była bardzo dumna z pani. Od momentu kiedy przybyli pierwsi pacjenci, Alice sprawowała władzę po stronie niemedycznej. Oficer ze służb medycznych RAF-u uznał, że lepiej współpracować z tą pełną energii i determinacji młodą kobietą, niż walczyć z nią. A ona pracowała, nie szzczędząc czasu ani kosztów. Pisała listy do domów za mężczyzn, którzy byli ciężko ranni czy apatyczni i nie mogli zrobić tego osobiście. Telefonowała do ich krewnych, organizowała koncerty oraz pokazy filmowe, zakupiła nawet projektor i urządziła w jednym z pomieszczeń salę kinową. A, co oczywiste, dzięki swoim wpływom zawsze mogła mieć najnowsze filmy, najlepszych pianistów koncertowych czy słynnych komików, którzy chociaż nie występowali nigdy za darmo, zwykle ulegali jej naciskom czy pochlebstwom. Często spędzała noce czuwając przy chorych. Niektórzy nie mogli spać, cierpiąc wskutek doznanych obrażeń, więc siadywała przy nich; rozmawiali lub grali w karty, do czasu aż rano pojawiła się dzienna zmiana pielęgniarek. Szczególnie troskliwie opiekowała się chorymi powracającymi do zdrowia, zwłaszcza tymi po oparzeniach. Często, kiedy lekarz miał zdejmować bandaż, pacjent prosił, by pani Vandekar była przy tym. Nieważne, jak okropne były to rany, Alice nie wzdragała się. Młodzi mężczyźni, którzy stracili wzrok, nalegali, by powiedziano im, jak wygląda. Siostry mówiły szczerze, że jest bardzo piękną blondynką. Przypomina gwiazdę filmową.

Hugo także czuł się z niej dumny. Zwykle podczas weekendów była tak zmęczona, że w ciszy i spokoju spędzali ten czas w przeznaczonym dla nich skrzydle domu. Zdarzało się, że nawet wtedy biegła, by zobaczyć, czy z jakimś rannym wszystko jest w porządku. Hugo był z niej dumny, ale między nimi nic się nie zmieniło. Sypiali oddzielnie, a ich jedyne dziecko rosło samotnie w swoim pokoju. Hugo zaczął spędzać z córką coraz więcej czasu. Fern była słodkim dzieckiem, a on ją uwielbiał. Pojętna i ufna, może nieco zbyt zależna od starej niani, która nie była temu przeciwna. Jak tylko Fern będzie odpowiednio duża, powinni zaangażować guwernantkę i pozwolić piastunce roztopić się w tle. Jeżeli nie wyperswaduje Alice, że to okrucieństwo odmawiać Fern brata czy siostry, nie będą mieli więcej dzieci. Nie spodziewał się, że go wysłucha, zbyt była zaabsorbowana pracą. Miłością, którą przeniosła z niego, obdarzała hojnie okaleczonych i bezradnych.

W tym samym czasie on cierpiał, a ich córka miała jeszcze słabszy kontakt z matką. Ale ciągle był dumny z Alice, której działalność nabierała rozgłosu. Gdyby ją kontynuowała, Alice Vandekar stałaby się legendą, zanim wojna dobiegłaby końca. Lecz nic nie zapowiadało, by miała się rychło skończyć.

*

Boże Narodzenie 1941. Niemcy dokonały inwazji na Rosję, działania wojenne w

północnej Afryce szły źle, a Hugo załatwił sobie w końcu powołanie do czynnej służby wojskowej. Nie powiedział o tym Alice. Była zbyt zajęta przygotowaniem do świąt, które miały stać się niezapomnianym przeżyciem.

W holu ustawiono olbrzymie drzewko, wycięte z terenu ich posiadłości. Wraz z kilkoma młodymi lotnikami spędziła dwa dni na jego dekorowaniu. Na każdego czekał prezent. Luksusy, takie jak czekolada czy whisky, zostały przez nią wyżebrane u jej przyjaciół, a zaopatrzenie w kulinaria wykraczało daleko poza skromne, wojenne racje żywnościowe. Nikt nie zapytał, skąd się to wzięło, ale wszyscy wiedzieli, kto pokrywa koszty. W Wigilię było uroczyste nabożeństwo z kolędami. Hugo otrzymał dziesięciodniowy urlop. Wszyscy zgromadzili się wokół cudownie przybranej choinki - młodzi mężczyźni w granatowych mundurach Sił Powietrznych, niektórzy z nich w fotelach na kółkach, inni stojąc o własnych siłach. Był to poruszający widok, smutny i jednocześnie podnoszący na duchu, ponieważ nadzieja i radość panowały nawet pośród tych, dla których życie stało się parodią. Hugo patrzył na Alice, myśląc sobie, że właśnie ona stworzyła dla nich to wszystko. Siłą swego charakteru dała im nadzieję i radość. Będą ją pamiętać do końca swego życia. Niektórzy z nich kochać ją do końca życia. I oni nie przeżyją rozczarowania.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia spędzili z Fern i nianią. Nie było kosztownych prezentów, za wyjątkiem zabawek dla córki, która zachowywała się niespokojnie, spoglądając nerwowo na swą matkę. Alice zdawała się tego nie zauważać. Czynili pewne wysiłki, by okazywać wesołość, ale wyglądało to sztucznie. Hugo obserwował, jak stara kobieta zagarnia dla siebie jego dziecko. Alice zdawała się odczuwać ulgę, że nie musi zajmować się córką. Fern potrzebowała towarzystwa rówieśników, rodzinnej atmosfery. Postanowił porozmawiać o tym z Alice przed końcem swego urlopu. W Nowy Rok jego oddział miał wypłynąć do Afryki Północnej.

Kiedy Fern z naręczem zabawek udała się wraz z nianią do swego pokoju, napełnił dla siebie i Alice kieliszki drogocennym alkoholem, postanawiając przejść do rzeczy. W tym jednak momencie zadzwonił telefon, który odebrała Alice.

- To do ciebie - powiedziała. - Pułkownik lotnictwa Wallace.

- Tak? Ciekawe, czego chce.

Pułkownik Wallace był jego kolegą z pracy.

- Halo? Tak, dzięki. Bardzo miło. Doprawdy? Dobrze. Co mogę dla ciebie zrobić, Jim?

Alice podniosła wzrok. Widziała, że Hugo słucha ze zmarszczonymi brwiami. Nazwisko pułkownika nic jej nie mówiło.

- Oczywiście. Tak, nie martw się, zajmiemy się nim. Powiem żonie. Dobrze. Do widzenia.

- Powiesz mi: co? - spytała.

- Pojutrze przybędzie do nas „specjalny przypadek”. Jeden z naszych ludzi. Jest raczej w złym stanie i Jim Wallace prosił mnie, by go otoczyć nadzwyczajną opieką.

- Dlaczego jest kimś szczególnym? I co oznacza: „jeden z naszych ludzi”? Nie rozumiem.

- Zrzucamy we Francji agentów - wyjaśnił Hugo. - Jest to pewnego rodzaju próba możliwości zrealizowania większego przedsięwzięcia, nad którym pracujemy. Ten człowiek był jednym z nich. Niestety, został schwytany. Uciekł, ale przeżył straszne chwile. Potrzebuje dobrego wypoczynku, więc przysyłają go tutaj.

- Masz na myśli szpiega? - Alice spojrzała na niego. - Tym się zajmujesz? Wywiadem? Twierdziłeś, że pracujesz w administracji.

- Tak mi powiedziano na początku. Nie szpieg. Sabotażysta. Wyszkolony saper. Nazywa się Nicholas Armstrong. Zajmij się nim, Alice, dobrze? Nie jest taki, jak inni. Także nie może mówić o tym, czym się zajmuje.

- Oczywiście. Poproszę, żeby mnie powiadomiono, kiedy go przywiozą. Co miałaś na myśli mówiąc, że przeżył trudne chwile?

- Został schwytany przez gestapo - powiedział Hugo. - A teraz, Alice, chciałbym porozmawiać z tobą o Fern.

Lily czekała na panią. Jej rodzina mieszkała zbyt daleko stąd, by mogła pojechać do nich na święta. Przez cały czas, aż do tej pory, mieszkała z dala od nich. Mówiła i myślała inaczej niż oni; nawet nie zdawała sobie sprawy, jak wiele przejęła ze sposobu bycia i zwyczajów swej pani. Pośród krewnych czuła się nieswojo i od śmierci matki odwiedzała ich coraz rzadziej. Wojna stanowiła dobrą wymówkę.

- Może wypije pani szklankę gorącego mleka, *madame*? To pozwoli szybciej zasnąć.

- Dziękuję, Lily, dobry pomysł. A może i ty byś wypiała?

Lily patrzyła na nią przez moment.

- Nie mogę - stwierdziła w końcu. - Nie mogę usiąść tutaj z panią. To byłoby nie w porządku.

- Och, zamknij się, Lily. Przynieś dwa kubki mleka i nie bądź taką przekłętą snobką!

- Powinniśmy odprawić piastunkę - powiedział.

Nie oponowała.

- Tak, w porządku, jeśli tylko uda się znaleźć guwernantkę do dziecka; ale to nie

będzie młoda osoba, ponieważ wszystkie młode kobiety zostały powołane do służb pomocniczych - zauważyła.

Uznał, że powinni mieć dziecko. Siedziała w milczeniu, zaszokowana. Jego twarz nie ujawniała żadnych uczuć, ton głosu również pozbawiony był emocji.

- „Dziecko” - powtórzyła za nim. - Z pewnością nie wybrałeś najwłaściwszej chwili, by o tym myśleć. Jak można planować ciążę, kiedy teraz w Ashton mam tyle pracy?

- To nie jest w porządku wobec Fern - przerwał jej. - Rośnie tutaj samotna i w całkowitej izolacji. Lepiej, żeby nie była jedynaczką.

Powiedział też, że jest gotów natychmiast zakończyć romans z Celią. Alice dostrzegła w tym możliwość uniku i chwyciła się jej.

- A czy uważasz, że byłoby to w porządku wobec niej? - zapytała. - Porzucić ją po tak długim czasie?

- Mam swoje zasady, Alice - odpowiedział. - I ona je ma. Od początku wojny bardzo się zmieniła. Sądzę, że utrzymuje ten związek bardziej ze względu na mnie niż na siebie. Jeżeli dowie się, że zamierzamy zacząć wszystko od nowa, będzie szczerze zadowolona.

- Istotnie? - spytała Alice. - Z pewnością się zmieniła. Hugo, uważam, że robisz zbyt wiele zamieszanie z powodu Fern. Sądzę także, że ona zaczyna już tobą rządzić. Zgadzam się, że potrzebuje kogoś nowego w swoim otoczeniu - niania biega wokół niej niczym stara kwoła koło kurczęcia. To ją ogłupia i powoduje, że ma zbyt wysokie mniemanie o sobie. Zobaczę, co mogę zrobić. Musimy spensjonować piastunkę, wiesz o tym.

- Tak - przytaknął, nie patrząc na nią. - Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Już wkrótce opuszczę Anglię. Bóg jeden wie, kiedy znowu wrócę do domu.

Nie dodał: jeżeli w ogóle wrócę. Unikał powiedzenia czegoś, co mogłoby wzbudzić jej litość.

- Pomyślisz o dziecku? Po prostu zastanów się nad tym, zostało nam jeszcze kilka dni.

Alice zawahała się. Zmroziło ją to. Zacząć od nowa. Przez tyle lat nie była niepokojona, a teraz ma znowu przechodzić przez to nieszczęsne, okropne doświadczenie. Niemal wpadła w panikę. *Nie mogę. Nie mogę zacząć... Nie chcę kolejnego dziecka. Nie lubię nawet tego, które już mam...*

- Czy nie możemy zaczekać, aż skończy się wojna? Wtedy spróbujemy. Przysięgam ci, Hugo. Nie prosź mnie teraz.

*

- Przyniosłam mleko, proszę pani - powiedziała Lily. - Dodałam do niego łyżeczkę miodu. Wypiłam już swoje, bo ostygło - dodała. - Wygląda pani na zmęczoną. Czemu nie

wyśpi się pani do rana?

- Nie jestem zmęczona - uparła się Alice. - Pan Hugo prosił mnie, bym zastąpiła kimś nianię.

- Cieszę się - powiedziała Lily. - Tłamsi to biedne stworzenie. Zabrania jej cokolwiek robić i ciągle traktuje jak małe dziecko, bo chce zatrzymać swoją posadę!

Alice wiedziała, że Lily i piastunka nie lubią się, ale nie przypuszczała, że aż tak bardzo.

- Dobrze wiesz, że nie widzi świata poza Fern. To będzie dla niej ciężki cios. Muszę znaleźć guwernantkę do dziecka, choć Bóg jeden wie, gdzie. Wspaniałe mleko. Uważasz, że Fern czuje się samotna? Moim zdaniem, sprawia wrażenie szczęśliwej.

- Myślę, że potrzebuje towarzystwa innych dzieci, zamiast tej starej kobiety, która niepotrzebnie ją rozpieszcza. Szybko wyrosła. W miasteczku jest dobra szkoła. Chyba można zaprowadzić tam Fern na jedno czy dwa przedpołudnia i pozwolić jej poznać inne dzieci? Na pewno to byłoby dla niej dobre. Jeżeli nawiąże jakieś przyjaźnie, czasem mogłaby zapraszać dzieci na herbatę tutaj.

- Pan Hugo nie brał tego pod uwagę - przyznała Alice.

Ale w końcu za kilka dni wyjedzie. Stwierdziła też, że pomysł pokojówki jest sensowny. Można ufać Lily, jeśli chodzi o wymyślenie czegoś praktycznego. Gdyby Fern miała koleżankę, a ona znalazłaby miłą kobietę, która uczyłaby ją i zajmowała się pokojem dziecięcym...

- Sądzę, że możemy coś takiego zrobić - powiedziała. - Dobranoc, Lily. I żadnych nonsensów z wczesnym budzeniem mnie. Herbata o zwykłej porze.

- Dobranoc, *madame*. Miłych snów.

Lily sprawdziła zasłony i zgasła górne światło. Widziała, że Alice układa się wygodnie i przykrywa, a kiedy zamykała za sobą drzwi, zgasła lampka obok łóżka. Była zadowolona, że ta stara suka zostanie odprawiona. Gdyby pani wiedziała, jak krytykuje ją i wyśmiewa się z niej za plecami, już dawno zostałaby wyrzucona. Ale Lily nigdy tego nie powiedziała. Jej pani miała dosyć spraw na głowie, chociażby wszystkich tych chłopców, którymi się opiekowała; dlatego nie doniosła jej o tym, co mówiono: że jest złą matką i mała jest przerażona, ilekroć musi się z nią widzieć.

Właściwie dlaczego powinna lubić Fern? Lily jej nie lubiła. Uważała, że jest to szczywany dzieciak, zepsuty i rozpieszczony, i wiecznie skamlący, by wzbudzić współczucie. Ale ojcem szybko zawładnęła.

Lily poszła do łóżka i zanim zgasła światło, przez godzinę czytała książkę.

Uwielbiała wojenne romanse.

3.

- Pani Vandekar?

- Tak, siostrzo?

- Chciała pani zobaczyć porucznika Armstronga, kiedy tylko przybędzie. Przywieziono go dziś rano. Doktor Ferguson go zbadał i został przyjęty.

- Ach, tak. - Alice przypomniała sobie niepokój Hugona, gdy mówił jej o tym szczególnym pacjencie. - W której jest sali? Zajrzę do niego w porze herbaty.

- W sali Spencera - odparła siostra.

Alice była zaskoczona. Pokoje w południowym i północnym skrzydle Ashton przeznaczono dla najciężej poszkodowanych, którzy wymagali specjalnej opieki.

- Dlaczego tam? - spytała. - Czy jest ciężko ranny?

- Tylko ręce ma zmasakrowane. On cierpi na zaburzenia psychiczne - dyrektor Princess Mary przypuszcza, że zmiana otoczenia dobrze mu zrobi. Prawdopodobnie nie będzie chciał z panią rozmawiać. Zamknął się w sobie. Powiem pielęgniarce, że przyjdzie pani około czwartej, dobrze?

- Tak, dziękuję pani - odparła Alice.

*

Siostra towarzyszyła jej do specjalnej sali.

- Obawiam się, że niewiele pani wskóra - powiedziała. - Odkąd się tu znalazł, nie powiedział słowa. Dłonie ma całkiem zmiążdżone. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Był w niemieckim obozie dla jeńców wojennych, powiedziała siostra przełożona. Oto jesteśmy.

Zapukała i otworzyła przed Alice drzwi.

- Dzień dobry - powiedziała, a jej głos wzniósł się do pogodnego tonu. - Ma pan gościa. Pani Vandekar zechciała pana odwiedzić.

Spojrzała na Alice i zrobiła minę, którą wyraziła swoje przekonanie, że niemożliwe jest nawiązanie z nim kontaktu, po czym wyszła.

Siedział na krześle przy oknie, odwrócony plecami do pokoju. Nie poruszył się ani nie obejrzał. Przez chwilę Alice zawahała się, ale potem podeszła i stanęła przed nim.

- Witam - powiedziała, obdarzając go swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - Nazywam się Alice Vandekar.

Powoli podniósł głowę. Był bardzo mizerny; miał ziemistą cerę i wielkie ciemne plamy pod oczami. Wyglądał jak martwy. Nigdy wcześniej nie widziała takiej pustki

wyrażonej spojrzeniem ani człowieka tak otepiałego. Poranione dłonie ukryte w białych, bawełnianych rękawicach leżały bezwładnie na udach. Patrzył na nią i nic nie mówił.

- Nie przywita się pan ze mną? - spytała Alice.

Żadnej odpowiedzi, tylko ten okropnie obojętny wzrok.

O Boże, powiedziała do siebie, co mam teraz zrobić? Odejść? Powiedzieć do widzenia i zostawić go? To byłoby przyznaniem się do porażki. W końcu musi kiedyś odpowiedzieć.

Przyniosła krzesło i usiadła.

- Okay - rzekła. - Jest pan bardzo chory i nie chce pan mówić. Ale pozwoli pan, żebym ja trochę pogadała, co? Może to pana podniesie na duchu. Siedzenie w samotności jest cholernie przygnębiające.

Wyszła po godzinie. Siostra siedziała w korytarzu, czytając coś.

- Udało się? - spytała.

Jej zachowanie irytowało Alice. Kusiło ją, by powiedzieć: tak, poszło nam dobrze, ale nie zrobiła tego.

- Jeszcze nie - odparła. - Na pewno się uda, potrzeba tylko więcej czasu. Przyjdę tu jutro.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami i wróciła do swojej książki. „Była taka pewna siebie, ponieważ wie, że podoba się chłopcom. Teraz będzie tracić czas z tym jednym”.

Alice nie mogła przestać o nim myśleć.

- Jest bardzo zagubiony - powiedziała do Lily. - Nie potrafię tego wytłumaczyć. Bóg mi świadkiem, że widziałam ludzi płaczących i znerwicowanych, rozhisteryzowanych, ale nigdy kogoś takiego jak on. Jakby nie chciał przyznać, że w ogóle żyje. Ktoś jednak musi w końcu przebić się przez to... Na personel pielęgniarski nie ma co liczyć. Sądzę, że spisali go już na straty.

- Chodzi pani do niego od tygodnia - przypomniała jej Lily - a on nie powiedział jeszcze do pani ani słowa. Czyż nie?

- Niestety - przyznała. - Ale wie, że tam jestem. Porusza się, kiedy słyszy, że wchodzę. To już coś. Jestem przekonana, że zmuszę go, by się do mnie odezwał.

- No cóż - stwierdziła Lily - jeżeli ktokolwiek jest w stanie doprowadzić do zmiany sytuacji, to tylko pani. Ale nie trzeba tak się zamartwiać. Niektórym z poszkodowanych może pani pomóc, a niektórym nigdy się nie poprawi. Dzisiaj w miasteczku widziałam pannę Prince. Nadmieniłam jej, że panienka Fern zamierza udać się pewnego ranka do szkoły, a ona powiedziała, że to bardzo miło. Będą zachwyceni, jeśli ją pani przyprowadzi. Mam nadzieję, iż nie uzna pani za niewłaściwe, że wspominam o tym?

- Nie, oczywiście, że nie - uspokoiła ją Alice. - Zapomniałam zupełnie. Powiem jutro niani. Może iść z Fern.

Lily zajęła się szyciem. Alice równie często przychodziła do jej pokoju porozmawiać, co i posyłała po nią. To je bardzo zbliżało do siebie.

- Nie spodoba się piastunka - orzekła Lily, nawlekając igłę bawełnianą nicią. - Gdyby mnie pani spytała, powiedziałabym, że nawet będzie obrzydzać panience. Czy nie mogłabym ja z nią pójść, jeżeli pani jest zbyt zajęta?

- To dopiero zdenerwowałoby piastunkę - zauważyła Alice.

- Sądzę, że istotnie - zgodziła się Lily. - Mogłaby nawet złożyć wymówienie, gdyby pani upierała się przy swoim.

Alice spojrzała na nią i wybuchnęła śmiechem.

- Ty szelmo! Lily, zdumiewasz mnie. Podsunęłaś wspaniały pomysł! Musiałyby zostać do momentu, aż znalazłabym kogoś innego, ale w ten sposób można by się od niej uwolnić. Powiem jej jutro rano. Mój Boże, jesteś przebiegła. Muszę bardziej na ciebie uważać!

I ponownie się roześmiała, podczas gdy Lily tylko się uśmiechnęła i dalej szyla.

*

- Witaj - powiedziała Alice. - To znowu ja. Słuchanie mojej paplaniny musi wywoływać mdłości. Jeżeli nie chce pan, żebym przychodziła, wystarczy, że powie pan słowo.

Czy w jego oczach naprawdę pokazał się jakiś błysk? Wstrzymała na chwilę oddech, bojąc się w to uwierzyć. Jeżeli naprawdę ma pan mnie dosyć, wystarczy skinąć głową - mówiła. - Pójdę sobie i więcej nie wrócę. Tylko poruszenie głową; wykonanie jednego ruchu, nic więcej. Obiecuję panu, że nie będzie mi z tego powodu przykro, chociaż będę tęsknić. Przyzwyczaiałam się do przychodzenia tutaj. Mam odejść?

Codziennie od dwóch tygodni, przez godzinę, a czasami dłużej, starała się do niego dotrzeć. Nie skinął głową. Pokręcił nią. Alice napłynęły do oczu łzy. Nie próbowała ich ukryć. Pozwoliła, by je widział, i po raz pierwszy dotknęła go. Na moment oparła dłoń na jego ramieniu.

- Tak się cieszę - powiedziała. - Tak się cieszę, że chce pan, żebym przychodziła. A pewnego dnia sam mi pan powie. Od tej chwili będę do pana mówiła Nicholas. Znam twoje imię, a ty znasz moje. Nazywam się Alice. Jestem twoją przyjaciółką i chcę ci pomóc wyzdrowieć. Niech to szlag, nie mogę przestać płakać! Jestem taka szczęśliwa, że potrzęsnałeś głową. Poczekaj, jak powiem o tym pielęgniarsce, tej o końskiej twarzy!

Hugona nie było w domu od świąt. Telefonował do niej, a ona opowiadała mu o

Nicku Armstrongu. Powiedział, że to tragiczna sprawa, ale nie chciał mówić o szczegółach.

- Rzecz dotyczy tajnych służb - usłyszała. - Musieliśmy podać pewne dane urzędowemu lekarzowi w Princess Mary, ale nie mogę takich spraw omawiać z tobą, kochanie. Po prostu dalej odwiedzaj biednego Nicka, jestem pewien, że mu to pomoże.

- Pomogłoby dużo bardziej, gdybym wiedziała, co mu się przydarzyło. Jeżeli zostali o tym poinformowali lekarze wojskowi oraz, jak sądzę, doktor Ferguson, dlaczego ja nie mogę wiedzieć?!

- Ponieważ to jest tajne. Jak się ma Fern?

- Dobrze. Przy okazji, niania złożyła wymówienie, a Fern chodzi do szkoły w miasteczku, dopóki nie znajdę dla niej guwernantki.

Przeprosiła go i rozłączyła się, zanim mógłby zaprotestować.

Tajna informacja, do diabła - powiedziała głośno sama do siebie, wyłamując niecierpliwie palce rąk. Jeżeli nie zechce mi powiedzieć, znajdę jakiś inny sposób.

Oczywiście! Doktor Ferguson musi mieć szczegółowe dane w swojej kartotece. Jego gabinet był zamknięty w nocy oraz w ciągu dnia, kiedy z niego wychodził, ale w pokoju ochmistrzyni znajdowały się zapasowe klucze do wszystkich pomieszczeń w domu. Biuro zostało urządzone na parterze w spiżarni, obok dawnej przechowalni naczyń stołowych. Zatem wystarczyło tylko wziąć klucz i zajrzeć do karty Nicholasa Armstronga.

Była trzecia nad ranem, ale nie mogła zasnąć. Doktor Ferguson trzymał kartoteki w zielonej, metalowej szafce. Alice otworzyła zapasowym kluczem drzwi do biura, zamknęła je za sobą i zaczęła się przedzierać przez literę „A”. Było tylko trzech Armstrongów i znalazła to, czego szukała: Nicholas François Armstrong, wiek dwadzieścia osiem lat, przyjęty do Princess Mary Hospital z powodu niedożywienia, wyczerpania i depresji, w następstwie torturowania go po aresztowaniu przez gestapo. Mnóstwo medycznych terminów, których nie zrozumiała. Zerwane paznokcie z obu dłoni. Wzdrygnęła się. Zespół psychoz pourazowych. Czytała te okropne zdania ciągle od nowa. Suche zestawienia faktów, które skazywały Nicholasa François Armstronga na dożywocie w zamkniętym zakładzie.

Z pewnością starali się u Princess Mary. Leczenie farmakologiczne, terapia elektrowstrząsowa. Powodowało to, że coraz bardziej oddalał się od życia.

Pobyt w Ashton stanowił jego ostatnią szansę. Przebywanie w innym niż szpitalne środowisku mogło obudzić jego samoświadomość. Zakratowane okna były dla niego tym samym, czym w celi przy alei Focha. Przerwała czytanie, chwyciły ją dreszcze. Znała aleję Focha z przedwojennych pobytów w Paryżu. Okazały, szeroki bulwar ograniczony rzędami drzew i rezydencjami udającymi miejskie domy. Bywała na eleganckich przyjęciach przy alei

Focha. Teraz jeden z tych cudownych starych budynków stał się miejscem tortur... Jeżeli Armstrongowi nie pomoże terapia w Ashton, wróci na dalsze leczenie do Princess Mary, a w przyszłości czeka go zapewne długi pobyt w cywilnym szpitalu psychiatrycznym.

Alice zamknęła teczkę i odłożyła ją na miejsce. Reagował, ale zbyt wolno. Niewystarczająco szybko, by móc umknąć przed ścigającym go fatum. Potrząśnięcie głową czy poruszenie się, kiedy do niego podchodziła - nie mogło go ocalić. Musi nastąpić jakiś przełom, zanim upłyną krytyczne trzy miesiące. Postanowiła mu pomóc, bez względu na skalę ryzyka. Poza tym i tak nie miał nic do stracenia.

Resztę nocy spędziła na zastanawianiu się, jaki przyjęć sposób postępowania. W karcie choroby kryła się wskazówka. Wstawał świt, kiedy zrozumiała. „Wstrząsnąć nim, by wróciła mu samoświadomość”.

O to chodziło. Postawić go twarzą w twarz z panicznym lękiem, przed którym próbował uciec, a nie pozwalać mu, by siedział w dobrowolnym milczeniu, odcięty od wszystkiego. Nie czekała do swej normalnej pory odwiedzin, tylko poszła do sali Spencera rano. Wchodząc spotkała pielęgniarkę.

- Dzień dobry, pani Vandekar, nie spodziewaliśmy się pani tak wcześnie.

Było to wypowiedziane jak pytanie i z miłym uśmiechem, lecz Alice zauważyła w jej oku błysk. Personel pielęgniarski uważał, że zbyt wiele czasu spędza z tym jednym pacjentem, a jej uporu także nie pochwalono.

- Postanowiłam przychodzić częściej. Dziękuję, siostró - powiedziała Alice i weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Siedział na krześle przy oknie w tej samej pozycji, co zawsze. Miała pewien pomysł. Wszyscy zwracali się do niego po angielsku. Przez kilka ostatnich miesięcy słyszał te same słowa wypowiedziane w tym samym języku i odmawiał na nie odpowiedzi.

- Spróbujemy francuskiego - powiedziała do siebie. - Zobaczymy, co to da.

Mówiła płynnie po francusku, chociaż Hugo wyśmiewał się z jej amerykańskiego akcentu. Stała obok Armstronga i ponownie oparła dłoń na jego ramieniu. Kiedy przemówiła do niego, podskoczył.

- Oczywiście, to jest twój drugi język, Nick. Jakaż jestem głupia, powinnam była zorientować się wcześniej. Właśnie dlatego znalazłeś się we Francji, prawda? Mogłeś uchodzić za Francuza - przysunęła się bliżej do niego. - Dokonałeś czegoś naprawdę wspaniałego - powiedziała miękko. - Jesteś bardzo odważny. Zamierzam ci pomóc. Chcę rozmawiać z tobą o Francji.

Wieczorem poszła poszukać Lily. Na twarzy miała wypieki, a oczy szeroko rozwarte i

błyszczące z podniecenia. Lily spojrzała na nią i przestraszyła się, poczuła dziwne dreszcze. Nigdy wcześniej nie widziała swojej pani w takim stanie. Nigdy.

- Proszę usiąść, *madame* - odezwała się. - Zrobię pani herbatę.

- Nie chcę herbaty - odparła Alice. - Mam ci coś wspaniałego do powiedzenia. Sądzę, Lily, że on wyzdrowieje.

Lily nie musiała pytać, kogo Alice ma na myśli. W ostatnich dniach nie mówiła o nikim innym.

- Dlaczego pani tak uważa? - spytała. - Coś się wydarzyło? Przemówił?

- Tak - oświadczyła Alice. - Powiedział właśnie: „tak”. Pierwsze słowo, które padło z jego ust od Bóg wie jak dawna. Mówiłam o wakacjach, o poznanych miejscach, o ludziach, których spotkałam, a potem dorzucałam mimochodem coś, o czym wiedziałam, że to zrozumie. Nie był zadowolony. Czasami wydawał się tak zaniepokojony i wzburzony, biedne kochanie, że nie mogłam dalej mówić. Więc wracałam do opowiadania o operze, wyścigach i podobnych głupstwach. A potem już musiałam iść, Lily, i powiedziałam coś, co powtarzałam za każdym razem niemal nałogowo: „Mam przyjść jutro?” A on odpowiedział: „Tak”. To wszystko. *Oui*. Och, mało nie umarłam, bo doświadczyłam niezwykle silnych emocji.

- I co pani zrobiła? - dociekała Lily.

Alice klasnęła w dłonie.

- Nic. Po prostu nic. Zachowałam się, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. A potem wyszłam i natknęłam się na dyżurującą pielęgniarkę - siedziała nowa w korytarzu - i powiedziałam jej, by zawiadomiła doktora Fergusona. Lily, dziś w nocy czuję się niewyobrażalnie szczęśliwa!

- Powinna pani - zgodziła się z nią Lily. - Zawsze mówiłam, że nikt nie jest w stanie pomóc tej biednej duszy, tylko pani.

- Jestem zmęczona - nagle powiedziała Alice. - Sięgnęłam szczytów ekstazy i nie mogę tak od razu wrócić do rzeczywistości. Nie byłam jeszcze powiedzieć Fern dobranoc. Pójdę, bo inaczej jutro będę musiała znosić pełne wyrzutu spojrzenia starej wiedźmy. Boże, nie mogę się doczekać, kiedy stąd odejdzie!

- Mówi, że nie zostawi swojego kochanego maleństwa, dopóki nie zobaczy, kto przyjdzie na jej miejsce; musi to być ktoś odpowiedzialny - rzekła Lily. - I tak nastawiła panienkę w kwestii pójścia do szkoły, że płakała przez całą drogę, kiedy tam szłyśmy!

- Zamknij się, Lily - powiedziała zdecydowanie Alice. - Nie stwarzaj problemów. Wiem, że jej nie znosisz. Pójdę na górę powiedzieć dobranoc. I nie miałabym nic przeciwko temu, żeby czekało na mnie mocne martini, kiedy zejdem na dół.

Niania siedziała przy ogniu, robiąc na drutach coś w kolorze granatowym. Zawsze dziergała dla marynarzy. Wstała powoli i powiedziała:

- Och, pani Vandekar, Fern jest już w łóżku. Zrobiło się późno, myślałyśmy, że pani nie przyjdzie.

- Tak czy inaczej zajrzę do niej. Fern? Spisz już?

- Nie, mamusiu.

Ostatnio jej głos brzmiał jękliwie, co irytowało Alice. Weszła do sypialni córki; dziewczynka leżała pod przykryciem równo i cicho niczym jedna z jej lalek. Miała duże, ciemne oczy Hugona, które uważnie patrzyły na matkę. Alice podeszła i usiadła na brzegu łóżka.

- Przyszłam pocałować cię na dobranoc - powiedziała. - A potem bądź grzeczną dziewczynką i zaśnij.

- Tak, mamusiu.

- Dobrze się dzisiaj bawiłaś?

Boże, przydałoby mi się to martini, jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa. Tylko jedno słowo wypowiedziane chrapliwym głosem. Dotąd nigdy nie słyszałam żadnego jego słowa...

- Nienawidzę tego, mamusiu - usłyszała córkę i wróciła do rzeczywistości. - Dzieci nie bawią się ze mną. Muszę tam iść?

Spojrzawszy na nią Alice zobaczyła wzbierające łzami przestraszone oczy i wygięte w podkówkę usta, które nigdy nie budziły w niej współczucia.

- Tak, musisz - stwierdziła. - Nie możesz uciekać przed czymś tylko dlatego, że tego nie lubisz. Powinnaś się starać, chcąc być z ludźmi, Fern. Dzieci są nieśmiałe. Będzie inaczej, kiedy się lepiej poznacie. To dla twojego dobra.

- Niania mówi, że są wulgarne i wstrętne - szepnęła Fern.

- Tak mówi? - spytała cicho Alice. - Posłuchaj, coś ci powiem. Nieważne, co mówi niania. Będiesz rano chodziła do szkoły i nauczysz się bawić z innymi dziećmi. Wystarczająco długo byłaś zamknięta w tej twierdzy. Muszę już iść. Dobranoc, kochanie. Śpij dobrze. - Pochyliła się i wycisnęła na czole dziecka energiczny pocałunek.

Fern nie podniosła rącek ani się nie poruszyła. Odprowadzała wzrokiem matkę, aż ta zamknęła za sobą drzwi. Niania odchodzi. Fern płakała bez końca, kiedy piastunka o wszystkim jej powiedziała, a potem biedna niania płakała także. Matka jest zbyt zajęta doglądaniem młodych mężczyzn w tym domu, by zajmować się swoją własną, kochaną dziewczynką, powiedziała niania w długim i cierpkim monologu, który Fern usłyszała. I ta jej

zadziorna służąca, ciągnąca biedne dziecko do tego wstrętnego miasteczka, do szkoły pełnej plebejskich dzieci. Z pewnością niektóre z nich mają wszy i Fern może je od nich złapać. Codziennie wieczorem czesała jej włosy gęstym grzebieniem i Fern zastanawiała się w strachu, czego niania szuka.

Moja mama jest okropna, pomyślała; połykała łyżę, patrząc na zamknięte drzwi. Nie lubi niani. W swojej sypialni słyszała ich głosy. Biedna niania, musi odejść. Nienawidzę jej, pomyślała o matce i wślizgnęła się głębiej pod kołdrę przejęta strachem podszytym głębokim poczuciem winy za popełnioną zbrodnię, którą była tak niegodziwa myśl. Szkoda, że nie ma taty. Nie pozwoliłby, żebyśmy chodziła do tej okropnej szkoły.

- Pani Vandekar, mam nadzieję, że nie zrozumie mnie pani opacznie.

Alice założyła nogę na nogę. Obdarzyła doktora Fergusona lekkim uśmiechem i zimnym spojrzeniem.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym pana źle zrozumieć?

- Wykonuje pani tutaj nieocenioną pracę - zaczął. - Wszyscy ci faceci są pani niezwykle oddani. Nikt nie zrobił więcej od pani, pomijając już sam fakt przekazania na nasze potrzeby swojego domu. Obawiam się jednak, że porucznik Armstrong jest przypadkiem innym od pozostałych. Chciałbym z panią o nim porozmawiać.

- Tak sądziłam - powiedziała Alice; zapaliła papierosa. - Proszę, niech pan mówi.

Odchrząknął. Była niestrudzenie oddana ludziom pozostającym pod jego opieką, ale z Armstrongiem przebrała miarę. Musiał być grzeczny, ale zdecydowany. Czuł, że nie ułatwi mu tego.

- Stanowi szczególny przypadek - powiedział z naciskiem. - Cierpi na chorobę psychiczną, jeśli pani woli. Jest pierwszym tego rodzaju pacjentem i muszę stwierdzić, iż nie byłem zachwycony, że przywieziono go tutaj. Ma jednak w swojej formacji dosyć wpływowych przyjaciół, którzy zdają się nie postępować według zwyczajowych zasad RAF-u. On potrzebuje specjalistycznej opieki medycznej. Obawiam się, że pani wizyty pogarszają jego stan.

- Doktorze Ferguson - powiedziała Alice zimno - kiedy porucznik Armstrong przybył tutaj, nie powiedział od chwili swej ucieczki z Francji ani słowa. W końcu odezwał się do mnie, wie pan o tym.

- Wypowiedział pojedyncze słowo. To wielki hołd złożony pani wytrwałości. Zdaje mi się jednak, że usiłuje pani głęboko sięgać w jego przeszłość. Czy myślę się sądząc, że stara się pani uwolnić go od przeżytych kiedyś doświadczeń, przez powrót emocjonalny do zdarzeń, które je wywołały?

Alice spojrzała na niego ostro.

- Nie sądziłam, że pańskie pielęgniarki podsłuchują pod drzwiami - stwierdziła.

Poczerwieniał, ale nie zaprzeczył.

- Proszę pozwolić mi wytłumaczyć - czuł się dotknięty, ale nadal pozostawał uprzejmy. - Armstrong trafił do szpitala Princess Mary z objawami katatonii. Zapewne wie pani, co to znaczy.

Skinęła głową; kontynuował.

- Nie reagował na żadne bodźce. Pewna raczej bolesna terapia nieco pomogła, ale pacjent nadal znajduje się w stanie bardzo chwiejnej równowagi emocjonalnej. Jego odmowa komunikowania się z otoczeniem stanowi dlań zawór bezpieczeństwa. Zdumiewające jest, że zmusiła go pani do wypowiedzenia choćby jednego słowa. Na dłuższą metę może się okazać, że jest dla niego nadzieja, ale ryzykuje pani jego zdrowie psychiczne, pani Vandekar. Wiem, że kieruje się pani najbardziej szlachetnymi motywami, ale muszę panią prosić, by zaprzestała pani leczenia go na własną rękę. Zaprzestała swych wizyt; przynajmniej na jakiś czas.

- Chce pan powiedzieć, że wyrządzam mu krzywdę?

- Tego się obawiam. Ingeruje pani w coś, czego pani nie rozumie. Mógłby całkowicie zapaść się w siebie i cała terapia, rozpoczęta w szpitalu, pójdzie na marne.

- Rozumiem jedno - rzekła Alice. - Jego ucieczka w siebie jest spowodowana czymś, czemu nie chce stawić czoła. Nie zrobiliście wiele, by mu pomóc. Powinien przebywać na ogólnej sali, a nie być izolowanym od otoczenia. Potrzebuje kontaktu z ludźmi, nie tylko z wpadającymi i wypadającymi pielęgniarkami. I właśnie ja mu to daję.

Przerwała na moment; tyle już powiedziała, lecz nie wywołało to pożądanego skutku. Nie mogła powiedzieć Fergusonowi, że oglądała kartę choroby.

- On potrzebuje czasu - stwierdził doktor. - Nie jest jeszcze gotowy, by mierzyć się z czymkolwiek.

Czas, jak to Alice wiedziała, ale także nie mogła powiedzieć, był tym, czego Nick Armstrong nie miał.

- Nigdy nie będzie gotowy - odrzekła - jeżeli nie znajdzie się ktoś, kto go weźmie za rękę i będzie mocno trzymał, kiedy nadejdzie kryzys. Wierzę, że ja jestem tą osobą.

Miał twarz jakby wykutą z kamienia.

- Nalegam - wycedził. - Pani wizyty muszą się skończyć. Pielęgniarki zauważyły, jak bardzo wzburzają one chorego. Widziałem to na własne oczy. Przykro mi, pani Vandekar, ale dobro moich pacjentów stawiam na pierwszym miejscu.

- A co się stanie, jeśli zapyta o mnie?

- Nie zapyta - stwierdził Ferguson. - Niczego nie zauważy. Patrzy tylko w swoje wnętrze, ochraniając je.

- Ale jeśli pan się myli i on zapyta - napierała - powie mi pan? Pozwoli mi pan go zobaczyć?

- Tak, obiecuję pani. Ale bez złudzeń. To się nie stanie.

Alice wstała, zduszając papierosa.

- Dobrze, będę trzymała się z dala. Ale pamiętam o pańskim przyrzeczeniu.

- Istotnie, obiecałem to pani - potwierdził. - Dziękuję, że okazała pani tyle wyrozumiałości.

Pomyślał, że wygląda tak, jakby za chwilę miała zalać się łzami. Nie chciał tego - byłoby zbyt kłopotliwe.

- Ponieważ akceptuję pańskie żądanie, nie ma znaczenia, czy się z tym zgadzam - powiedziała i wyszła z biura.

Wysypał niedopałki do kosza na śmieci. Nie był przyzwyczajony do współzawodniczenia z kobietami. Uznał, że Alice Vandekar trzeba silnego mężczyzny, który pokazałby, gdzie jest jej miejsce. Nie wzbudzała w nim sympatii, chociaż przyznaje, że wykonała wielką pracę. Poza tym jest oczywiste, że czuje się emocjonalnie związana z Armstrongiem. Nie zdawała sobie sprawy, ale była to silniejsza motywacja od chęci przyniesienia ulgi choremu. Bardzo niebezpieczna sytuacja, szczególnie kiedy w grę wchodzi ostra neuroza. Im szybciej będzie się mógł pozbyć Armstronga i przywrócić w tej placówce normalny stan, tym lepiej. Przynajmniej ma kilka dni spokoju, by wszystko zorganizować. A ona nie złamie danego słowa, nie jest osobą tego typu.

Każdy kolejny dzień zdawał się nie mieć końca. Alice pracowała do wyczerpania, ale nie mogła spać ani przestać myśleć o Nicku. Raz złapała się na tym, że coś kazało jej przyjść do długiego, krętego korytarza w południowej przybudówce i przejść obok jego drzwi. Musiała się zmusić do przyśpieszenia kroku. Myśl o nim, załamany z rozpacz, siedzącym tam samotnie przed oknem, była torturą. Tyle razy widziała go pogrążonego w mroku winy i strachu. „Nawet nie zauważy”, upierała się ta doktorska Świnia. „Bez złudzeń”. Jakże go nienawidziła, z tymi szczeciniastymi rudymi wąsami, mówiącego do niej mentorskim tonem. Nie powinna się była zgodzić; należało walczyć... Winiła się i cierpiała katusze z powodu tego zagubionego mężczyzny, teraz siedzącego samotnie w swym pokoju. Ale nie była w stanie niczego zmienić. Powstrzymywała ją groźba Fergusona. „Mógłby się zapaść w siebie całkowicie...” Musiała wytrzymać cierpienie i prosić Boga, by doktor nie miał racji, a Nick to udowodnił. Nic się jednak nie działo. Pod koniec tygodnia, nie mogąc już dłużej znieść

nerwowego napięcia, zwierzyła się Lily. Tonęła we łzach.

Lily patrzyła przerażona. Nie mogła uwierzyć, że owa szlochająca dziewczyna to jej uparta, niezależna pani. Była dumna z jej odporności, z odważnego stawiania czoła problemom i smutkom. Nigdy nie widziała Alice tak zrozpaczonej; nawet wówczas, kiedy jej matka odpływała do Stanów. Lily zastanawiała się, dlaczego ów biedak stał się dla jej pani ważniejszy niż którykolwiek pacjent spośród tych beznadziejnie zeszpeconych albo kalekich. Była zaszokowana i nie miała pojęcia, co ma robić. Ale widziała bladą, zalaną łzami twarz Alice i nie mogła pogodzić się z jej cierpieniem.

- Lily, on pójdzie do szpitala psychiatrycznego i zostanie tam do końca życia, jeżeli nikt mu nie pomoże. Co mam począć?

Lily zastanowiła się chwilę. Potem powiedziała:

- Skąd pani wie, że nie pytał o panią, *madame*?

- Co? Przecież Ferguson mi obiecał.

- A kto ma powiedzieć o tym Fergusonowi? - powątpiewająco spytała Lily. - Ta pielęgniarka, która biegła z donosami, cholerka?! - użyła ulubionego powiedzonka Alice, zanim była w stanie się powstrzymać, ale żadna z nich tego nie zauważyła.

- Obiecałam, że nie pójdę do niego - przypomniała Alice. - Nie mogę złamać słowa.

- Pani nie może iść, ale mnie nic nie powstrzymuje - oświadczyła Lily. - Proszę pozwolić mi pójść i zobaczyć, jak on się ma. Nie boję się żadnej pielęgniarki.

- Och, Lily, zrobiłabyś to? Poszłabyś do niego dzisiaj? Zaraz?

Pokojówka spojrzała na zegarek - urodzinowy prezent od Alice.

Był złoty, na cienkim, ładnym paseczku.

- Jest pora lunchu - powiedziała. - Zaczekajmy do czasu popołudniowego odpoczynku. Zajrzę tam. I proszę przestać się martwić, *madame*.

Alice usiadła przy oknie. Za nim roztaczał się cudowny widok; marmurowi kochankowie trwali w swoim wiecznym uścisku.

- Nigdy ci tego nie zapomnę - odezwała się, nie patrząc na Lily. - Nie masz pojęcia, jaka byłam nieszczęśliwa przez kilka ostatnich dni. Nie widząc go. Martwiąc się o niego. Mógł pomyśleć, że znudziły mnie wizyty.

- Powiem mu, że to nieprawda - obiecała Lily. - Proszę się nie martwić - powtórzyła. - Może pani na mnie polegać.

Pora odpoczynku trwała od czternastej do piętnastej trzydzieści. Kiedy Lily zapukała do drzwi w południowym skrzydle, w pobliżu nie było nikogo. Nikt nie odpowiedział, więc otworzyła je i weszła. Siedzący na krześle mężczyzna spojrział na nią szybko, a potem

odwrócił wzrok. Dziwnie wyglądający typ; nie taki, jakiego się spodziewała. Ciemny jak Hiszpan, czarne włosy, oczy i wszystko. Chudy jak strach na wróble. Zabawne, że jej pani tak się w to zaangażowała.

- Dzień dobry - powiedziała. - Mam panu coś przynieść?

- Nie. - Głos był bezbarwny; odwrócił głowę.

Lily wzięła głęboki oddech.

- Jestem służącą pani Vandekar. Przysłała mnie, żebym zapytała, jak pan się czuje?

Stała tam - zdawało się niemożliwe czekać dłużej. Potem obrócił głowę w jej stronę.

- Gdzie ona jest? Dlaczego nie przychodzi?

- Co, do diabła, tutaj robisz? - Tuż przy niej wyrosła pielęgniarka.

Złapała Lily za ramię. Ta strząsnęła jej rękę.

- Zamknij się - warknęła. - Nie powiedziałaś doktorowi, co? No cóż, w takim razie ja mu powiem, skoro ty nie uznałaś za stosowne. A teraz, proszę pana, czy chce pan, aby pani Vandekar przyszła tutaj?

- Tak - powiedział bardzo cicho.

Podniósł rękę i otarł oczy. Lily zobaczyła łzy, płynące niepowstrzymanie po jego twarzy. Posłała pielęgniarcze jadowite spojrzenie.

- Och, ty suko! - szepnęła. - Ty suko. Niech tylko moja pani się dowie!

*

- Pani Vandekar, postanowiłem przenieść porucznika Armstronga z powrotem do Princess Mary. Tak będzie dla niego najlepiej.

Alice wzięła głęboki oddech.

- A oni odeślą go do hospicjum. Och, nie, doktorze Ferguson. Nie zrobi pan tego.

Ton jej głosu doprowadzał go do szału, a złośliwy donos na służbę pielęgniarską stanowił ostatnią kroplę. Przede wszystkim nigdy nie powinno było dojść do umieszczenia tutaj Armstronga. Jest człowiekiem chorym umysłowo.

- Już poczyniliśmy odpowiednie przygotowania.

Alice oblała się szkarłatem.

- A zatem proszę je odwołać - powiedziała - jeżeli nie chce pan stracić tego wygodnego przydziału. Nie sądzę, żeby trudno mi było to osiągnąć. Jeden telefon do mojego przyjaciela lorda Warringtona ze skargą na pańskie zachowanie, a on pana załatwi. Na dobre!

- Jak pani śmie traktować mnie w ten sposób?! - wykrzyknął. - Jak pani śmie mnie szantażować?!

- Nie obchodzi mnie, jak pan to nazwie, ale nie grożę niczym, czego nie byłabym w

stanie sprawić. Czy nie chciałby pan dla odmiany, doktorze, pojechać do północnej Afryki i zobaczyć wojnę z jej drugiej, brzydszej strony?

- Nie do wiary! Pani zwariowała. - Wstał. - Proszę wyjść z mojego biura! - krzyknął.

- Czyż to nie jest moje biuro, na dodatek w moim własnym domu?

- Głos jej brzmiał ostro. - Zostawi pan Armstronga w spokoju. Będę odpowiedzialna za niego. Zaopiekuję się nim i jeżeli stanie się coś złego, mnie pan obwini. On stąd nie odejdzie. A teraz proszę zadzwonić i odwołać przygotowania.

- Prędzej szlag panią trafi, niż to zrobię!

- Bardzo dobrze - stwierdziła Alice.

Podeszła do biurka i podniosła słuchawkę telefonu. Wybrała numer i po chwili powiedziała:

- Mówi Hugonowa Vandekar. Chciałabym rozmawiać z lordem Warringtonem. Dziękuję. Peter - miło cię słyszeć... Och, w porządku, jestem zapracowana, jak wiesz. Przebywa w tej chwili bardzo dużo pacjentów. - Obrzuciła Fergusona wyzywającym spojrzeniem. - Ani trochę, to wielki przywilej. Mam pewien problem z jednym z lekarzy wojskowych... - Usłyszała, jak za nią zatraskują się drzwi, kiedy doktor Ferguson opuścił pomieszczenie. - Wiesz, to nieco kłopotliwe, ale zastanawiam się, czy nie mógłbyś pomóc w tej sprawie. Mamy tutaj pacjenta, bardzo miłego chłopca, który przeżył straszne chwile. Obawiam się, że ten doktor Ferguson nie wnika w przypadki, które można by określić zespołem wyczerpania wojennego. Uważa, że wszyscy dotknięci tym powinni iść do przytułków. Tak, poważnie, błagałam go, żeby tego chłopca nie odsyłał stąd, ale nawet nie chciał słuchać, co mnie strasznie zdenerwowało. Peter, on jest dla mnie kimś bardzo ważnym, spędziłam z nim cudowne chwile czytając mu i starając się, by zaczął nabierać chęci do życia. Teraz wszystko to ma zostać zmarnowane. Mógłbyś przemówić gdzieś słówko w mojej sprawie? Bardzo proszę. Och, jesteś kochany. Serdecznie ci dziękuję. Porucznik Armstrong - pójde powiedzieć temu biedakowi, że nigdzie go nie zabiorą - poczuje ogromną ulgę. Wszyscy są tym bardzo zasmuceni. Naprawdę to zrobisz? Och, dziękuję ci, Peter. Jesteś wspaniały.

Odłożyła słuchawkę na widelki. Peter Warrington był ich dawnym przyjacielem, jednym z przedwojennego kółka, który spędził w Ashton wiele cudownych weekendów. Jako minister zdrowia wizytował sanatorium wkrótce po jego otwarciu sześć miesięcy temu i powiedział Alice, że wspomni premierowi, jaką wspaniałą pracę tutaj wykonała. Jeżeli Peter Warrington powiedział jej, że będzie interweniował, to znaczy, że szeregi Służby Medycznej wojska wpadną w dygot.

- Witaj, Nick - powiedziała.

Spojrzał na nią wzrokiem bez wyrazu.

- Nie przywitasz się ze mną? - podpowiedziała mu. - Jeżeli nie zechcesz się do mnie odzywać, nie będzie mi wolno tutaj przychodzić, by się z tobą spotkać. Wiesz o tym. Tęskniłeś za mną?

- Tak.

- Och, dzięki Bogu - powiedziała prawie bez tchu. - Mnie także ciebie brakowało. Jak się czujesz? Lepiej?

- Tak.

- Nie, nieprawda. Siedziałeś tutaj pogrążony w smutku, litując się nad sobą. Trzeba z tym skończyć. Od dzisiaj ja przejmuję nad tobą opiekę. Pielęgniarka będzie potrzebna tylko do zmiany opatrunków na rękach, ale jeżeli chcesz, ja mogę ci zmieniać. Pewnego dnia przestaniesz nosić te głupie rękawiczki.

Westchnął gwałtownie i schował dłonie pod pachy.

- Nie - powiedział. - Nie.

- Wiem, że wyglądają fatalnie - odezwała się Alice łagodnie. - To nie ma znaczenia. Goiłyby się szybciej, gdybyś ich nie ukrywał. Nic nie ma znaczenia, najważniejsze, żebyś wyzdrowiał.

Podeszła bliżej i uklękła obok krzesła.

- Nie wiesz - zaczął, a jego usta skrzywiły się w cierpieniu. - Nie wiesz...

Alice wyciągnęła ramiona i objęła go.

- Och, wiem - wyszeptła. - Wiem wszystko. Po prostu zaufaj mi - będzie dobrze. Obiecuję.

Nowy lekarz wojskowy przybył przed upływem tygodnia. Alice nie widziała Fergusona przed jego wyjazdem. Personel pielęgniarski wiedział, że został odwołany z powodu kłótni z panią Vandekar; nie przydało jej to popularności, ale im kazało mieć się przed nią na baczności. Objęła pieczę nad Armstrongiem. Robiła przy nim wszystko osobiście; przeniosła się na dół do południowego skrzydła domu, aby być bliżej niego.

Wśród personelu zaczęły krążyć dziwaczne i złe plotki. Cierpiał na chorobę psychiczną, mówiono, ale Jej Wysokość postanowiła go wyleczyć. Nie mogli powiedzieć, że zaniedbuje pozostałych; w jakiś sposób Alice znajdowała czas, by robić wszystko to samo, co przedtem. Czytała pacjentom, którzy mieli uszkodzony wzrok, grała z chorymi w karty, organizowała cotygodniowe pokazy filmów i była dla każdego, kto ją poprosił. Ale większość wolnego czasu spędzała w pokoju Armstronga, jedząc razem z nim posiłki i czytając mu

wiersze, kiedy odkryła, że lubi poezję. Odkryła, ponieważ czasami sam zaczynał recytować. Były dobre dni, które dodawały jej nadziei, oraz złe, kiedy ukrywała przed nim swą twogę. Nie istniała potrzeba przyspieszania biegu rzeczy, żadnej groźby w postaci powrotu Armstronga do szpitala psychiatrycznego. Kochany Peter Warrington zatroszczył się o to.

Alice nie sięgała do jego wojennych doświadczeń. Chciała przywrócić go do stanu normalności, wzbudzić w nim potrzebę kontaktu z ludźmi, a potem - trzymając go mocno za rękę - doprowadzić do kryzysu, kiedy nastąpi właściwy moment.

- Nick - powiedziała pewnego dnia - dzisiaj świeci słońce i na dworze jest dosyć ciepło. Mam ochotę pospacerować po ogrodzie. Pójdiesz ze mną?

Kiedy nie odpowiedział, ciągnęła dalej, żeby uprzedzić jego ewentualny sprzeciw:

- Wezmę dla ciebie ciepły płaszcz, jest tutaj jeden w szafie. Przejdziemy się niedaleko i wrócimy. To ci dobrze zrobi. Chodź, włóż go.

Pomogła mu przy ubieraniu. Wydawał się niższy od niej i tak słaby, niepewny swoich ruchów, że kiedy szli, Alice cały czas go trzymała.

Na początku kwietnia było już bardzo ciepło; Ashton zdobyła szata cudownych wiosennych kolorów. Wielkie rabaty żonkili, łaty prymulek pod drzewami. Gdyby tylko mógł docenić ich piękno, pomyślała. Gdyby tylko mógł zapomnieć o swoim koszmarze, spojrzeć i zrozumieć, jak wspaniałe może wydać się życie z powodu jednego cudownego dnia.

W ogrodzie otoczonym murem było zacisznie i bezpiecznie - nikt obcy nie mógł tam wejść. Usiedli w słońcu na ławce.

- Powinieneś był widzieć to miejsce przed wojną - odezwała się. - Teraz nie jest ono takie piękne, bo mamy za mało ludzi do pracy w ogrodzie. Są albo kulawi albo jeszcze gorzej - zaśmiała się i wzięła go pod rękę.

Nadal nosił rękawiczki, ale postara się go przekonać, by je zdjął.

- Ten ogród tonął w różach - ciągnęła. - Kiedy zaczynały kwitnąć, zapach był niemal nie do zniesienia. Gdy wszystko wróci do normy, doprowadzę go do porządku. Nie będzie w nim więcej chwastów, Nick, tylko masa kwiatów.

- Chciałbym je zobaczyć - powiedział.

- Zobaczysz - odparła Alice. - Obiecuję.

Ma bardzo dobry dzień, pomyślała, czując w sercu wielką radość. Nigdy dotąd jego spojrzenie nie było tak jasne.

- Nie mogę zostać tutaj na zawsze - stwierdził.

- Możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz - rzekła.

- Chciałbym.

- Więc zostań. - Nie wolno jej było pokazać, jak bardzo jest poruszona. Wzruszyłyby go i zmartwiło, gdyby zrozumiał, że jest nieszczęśliwa.

- Nie chcę wracać do szpitala. Słyszałem, jak mówili...

Jasność przepadła. Znowu się bał. Alice zareagowała gwałtownie.

- Nikt nie będzie za ciebie decydował. Nigdzie nie pojedziesz, bo tego nie chcesz - oświadczyła. - Zostaniesz ze mną, w Ashton. Do końca życia, jeśli o mnie chodzi.

Zapadło długie milczenie. Pomyślała, że może powinni wracać. Tego dnia zrobił bardzo wiele. Jego wyjście do ogrodu było niemal cudem. Ale zdarzył się jeszcze jeden.

- Troszczysz się o mnie, prawda?

- Tak - przyznała. - Bardzo.

- Nie zasługuję na to.

- Uważam, że zasługujesz.

To nie mogło dłużej trwać, było zbyt dobre. Zaczął mówić o sobie. Od czasu kiedy płakał w jej ramionach, mamrocząc coś o winie, do tej pory nie podejmował tego tematu. Czasem tylko wypowiadał jakieś urywane myśli. „Lubię Browninga”. To ją skierowało ku poezji. „Muzyka klasyczna”; „budynie o smaku jabłkowym”. Strzępy biografii, luźne skojarzenia, ale powierzchowne. Zawsze krył się za gardą. Może nadszedł właściwy moment.

- Nick - powiedziała. - Pójdziemy teraz do domu; prawda, że mieliśmy cudowny poranek?

Skinął głową. Wyglądał na nieszczęśliwego, ale usiłował się do niej uśmiechnąć.

- Przeżyjemy jeszcze mnóstwo cudownych poranków i pięknych dni - rzekła cicho. - Chcę, żebyś w to uwierzył. A pewnego dnia poproszę cię, byś zrobił coś bardzo śmiałego. Tylko dla mnie.

Pomogła mu wstać.

- Zrobisz to?

Trzymała go pod ramię, patrząc na niego.

- Postaram się - odparł.

Jedna z pielęgniarek ujrzała ich, jak wolno szli w kierunku domu. Opowiedziała o tym przy lunchu.

- Musicie jej przyznać - rzekła - że przywróciła go do życia; nie ma co do tego wątpliwości. Szli obok siebie, pod rękę. Kiedy nastalam tutaj, był jak zombie.

- Tak - stwierdziła jedna z fizykoterapeutek. - Naprawdę zdumiewające, czego może dokonać prawdziwa miłość.

- Mów dalej - zachęciła ją siostra. - Słyszałam też inne głupstwa, że śpi w pokoju

obok, ale to stek nonsensów.

- Nie mówię o seksie - upierała się tamta dziewczyna. - Twierdzę, że jest w nim szaleńczo zakochana. Życzę jej powodzenia. Miejmy nadzieję, że kiedy już wyzdrowieje, nie powie jej dziękuję i cześć, po czym wróci do żony.

- Jest żonaty? Żona nigdy go tutaj nie odwiedziła.

- Oni wszyscy są żonaci - stwierdziła fizykoterapeutka kwaśno.

Miała złe doświadczenia, jeśli chodzi o przystojnych wojskowych, wymagających leczenia.

- Podaj mi chleb. I łapkę na myszy. Dzięki.

*

- Dzisiaj, Nick, wypijemy dla odmiany herbatę tutaj. To jest mój buduar - co za głupie, afektowane słowo. Powoduje, że myśli się o kimś przewracającym się cały dzień w łóżku. Mój salonik; lepiej brzmi, prawda?

Rozejrzał się wokoło; popielate jedwabne ściany i zimna niebieskość porcelany działały na niego uspokajająco.

- Jest piękny - pochwalił.

Poprowadziła go do głębokiej sofy, ekstrawagancko zarzuconej stosami haftowanych poduszek.

- Siadaj - powiedziała. - Rozpalę ogień.

- Nie, ja to zrobię.

Podowała mu zapalki.

- W porządku. Lily przyniesie nam herbatę.

Ukląkł przy palenisku; luźne rękawiczki utrudniały mu zapalenie zapalki. Chciała zrobić to za niego, ale każde jego samodzielne działanie stanowiło postęp. Nie pozwolił jej uklęknąć, by rozpałała ogień, a jeszcze nie tak dawno siedział nieruchomo, podczas gdy ona to robiła.

- Dobrze - rzekła. - Już się zajęło. Uwielbiam ogień o tej porze dnia. Zaczyna robić się chłodno. Chodź, usiądź obok mnie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Lily, niosąc tacę.

- Dzień dobry panu - powiedziała. - *Madame*, przygotowałam kilka kanapek i przyniosłam herbatniki. Myślę, że nie ma pani nic przeciwko temu.

Alice błysnęła uśmiechem.

- Doskonale. Dziękuję.

Siedząc obok niego wydawała się tak zadowolona, tak szczęśliwa. Wyglądają jak

stare, dobre małżeństwo, pomyślała Lily i zganiła siebie w duchu za to porównanie.

Alice nalała herbaty do ulubionych filiżanek z delikatnej porcelany. Pomyślała, że trudno mu będzie utrzymać naczynie. *Przyprowadziłam Nicka tutaj; dobrze, że nie siedzi w swoim pokoju i nie ma żadnych z nim skojarzeń. Może nadeszła właściwa chwila, żeby to zrobić?*

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Zaróżowił się nieco; nadal mizernie wyglądał, ale twarz nie była już upiornie blada i oczy zaczynały nabierać wyrazu. To duże ryzyko; opuściła ją odwaga. Jeżeli źle pójdzie... Jesteś tchórzem, pomyślała. Tchórzem, gdyż boisz się o siebie.

- Nick - odezwała się - nie możesz trzymać mojej najlepszej porcelany, mając te przekłete rękawiczki. Zdejmij je, proszę.

To była dla niej najdłuższa chwila w życiu. Zdawało się, jakby wszystko wokół zamarło. Zegar przestał tykać, ogień nie trzaskał. Wstrzymała oddech. Spojrzał na swoje dłonie i wyciągnął przed siebie.

- Nie sądzę, żebyś chciała je oglądać - powiedział.

- Nie dbam o to - odparła Alice. - Zdejmij rękawiczki.

Powoli, palec po palcu, ściągnął tę z lewej dłoni. Alice tak mocno zagryzła wargi, że poczuła w ustach delikatny smak krwi.

- Teraz drugą - powiedziała miękko. - Zdejmij drugą, kochany.

Nie zauważyła nawet, że tak go nazywa.

- A teraz - rzekła - teraz nie rozbijesz mojej ulubionej filiżanki.

Szlochał w jej ramionach, a ona kołysała go tak, jak tuli się dziecko, czego ona nigdy nie robiła, chociaż była matką.

- Cicho - szeptała. - Cicho, nie płacz. Wszystko w porządku, będzie dobrze, zobaczysz.

- Mówiłem im - powtarzał bez końca. - Nie mogłem tego znieść. Staralem się, ale oni przychodzili i zaczynali wszystko od nowa.

Składając w całość te strzępy myśli, z fragmentów ułożyła cały obraz, a jej wyobraźnia odbierała nawet dzwoniące krzyki bólu. Alice przyłgnęła do niego mocno. Te biedne zmaltretowane dłonie zaciskały się na niej. Paznokcie miał zdarte, a palce powykęcane i połamane.

- Byłem na wpół utopiony - mówił. - W wannie... a kiedy starałem się utopić, wtedy mnie wyciągali. Zgniatali mi dłonie.

Odsunął się od niej i przykucnąwszy kiwał się w przód i w tył, przeżywając ponownie cierpienie i ból.

- Poddąłem się - powiedział przez histeryczny płacz. - Zdradziłem pozostałych. Zdradziłem własną żonę. O Boże, chciałbym nie żyć. Chciałbym nie żyć!

Osunęła się na podłogę i uklękła obok niego. Otoczyła go ramionami. Przez moment stawiał opór i ogarnęła ją panika. Jeżeli odrzuci ją teraz, jeżeli pod ciężarem tej przerażającej winy ponownie zamknie się w sobie... Ale poczuła, jak poddaje się jej i opiera o nią; płakała cicho, gdyż wiedziała, iż została wygrana najważniejsza bitwa o jego życie.

- Kochanie - odezwała się. - Kochanie. Zaufaj mi i pozwól sobie pomóc. Zrobię wszystko, wszystko na świecie.

Nie słyszała pukania; nie usłyszała, jak drzwi się otwierają. Kołysała go w swych ramionach, podczas gdy Fern z piastunką stały w progu. Kolano Fern obwiązane było bandażem. Została przewrócona na boisku i niania zeszła na dół, by pokazać pani Vandekar dobrodziejstwa uczęszczania do takiej szkoły.

Piastunka stała cała w pąsach, niezdolna uwierzyć własnym oczom. Kocha się z jednym spośród tych młodych mężczyzn. W swym własnym saloniku! Westchnęła głęboko i pociągnęła Fern, by ją wyprowadzić, ale dziewczynka także to widziała. Miała rozcięte kolano, na które założono dwa szwy. Z bólu czuła mdłości, coraz silniejsze, gdyż niania zrobiła zamieszanie i krzyczała, podczas gdy lekarz opatrywał skaleczenie. A teraz mamusia obejmuje kogoś ramionami i całuje go. To było skandaliczne i grzeszne, i niania powiedziała to, tracąc dech. Fern wybuchnęła jeszcze większym płaczem.

- Będę wymiotować - ostrzegła.

I zrobiła to.

Alice nie zauważyła ich. Nie usłyszała, jak zamykały się drzwi. Taca z herbatą stała nietknięta, ogień płonął spokojnym płomieniem i w końcu Nick uspokoił się na tyle, by spojrzeć na nią i powiedzieć:

- Jakim cudem możesz mi wybaczyć? Zapomnieć o tym, co zrobiłem?

- Nie zrobiłeś tego - odparła Alice cicho. - Nikogo nie zdradziłeś. Myślałeś, że tak się stało, bo po prostu ci wmówili.

- Kłamstwo - powiedział. - Sama tak mówiłaś. Powiedzieli mi w szpitalu. Wiem, co się zdarzyło. Wiem, że zabili Janine...

- Nick - odezwała się. - Ufasz mi? Czy uważasz, że mogłabym cię okłamywać?

- Gdyby miało mi to pomóc, to tak.

- Nie pomogłam ci - odparła. - Tylko prawda może ci pomóc. Nie rozumiesz, co się stało? Pokonałeś złą moc zaklęcia! Wiedzieliś, co nastąpi, jeżeli zdejmiesz rękawiczki, i zdjąłeś je. Chcesz stawić czoło swoim okrutnym doświadczeniom i to pozwoli ci wyzdrowieć.

Posłuchaj mnie teraz. Posłuchaj i uwierz w to, co mówię. - Podniosła dłoń i dotknęła jego twarzy. - Jeżeli coś powiedziałeś, kiedy cię torturowali, nie dbam o to. Nie okłamywałam cię. Chciałam, żebyś zaakceptował przeszłość i zapomniał o niej. Odporniejsi od ciebie także załamywali się. Ale w twoim wypadku tak nie było i mogę to udowodnić.

- Jak? - zapytał.

- Daj mi kilka dni - poprosiła Alice. - Staraj się dojść do ładu ze sobą, a ja dowiodę, że cała ta historia jest kłamstwem.

Po chwili dodała:

- Herbata prawie wystygła.

- Nie zostawiaj mnie - odezwał się. - Nie chcę być sam.

- Nie będziesz - obiecała. - Zabieram cię na górę i zostaniesz u mnie na noc.

*

- Lily, wyjeżdżam do Londynu. Dzisiaj będziesz się opiekować Nickiem.

Wchodząc do swojej pani z poranną herbatą, Lily zastała ją śpiącą w fotelu, a porucznika Armstronga w jej łóżku. Ani przez moment nie wątpiła w wyjaśnienia Alice. Protestowała jedynie, że nic jej nie powiedziano. Oddałyby swoje łóżko *madame*, a porucznika doglądała podczas nocy. Alice podziękowała jej.

- Było mi całkiem wygodnie - przysypiałam od czasu do czasu. Możesz mu dzisiaj dotrzymywać towarzystwa. Muszę się spotkać z kimś z biura Hugona.

- Och?! Czy pan Hugo może pomóc?

- On nie - stwierdziła krótko. - Ale może tam być ktoś inny, kto pomoże. Człowiek, który przysłał tutaj Nicholasa. On sam jest w RAF-ie. Jeżeli uda mi się go odszukać... Lily, nie wolno ci patrzeć na jego dłonie. I nic nie mów, na litość boską! Po prostu opowiadaj coś, czytaj i dopatrz, by jadł. Lepiej, żeby został tutaj, dopóki nie wrócę.

- Czy znowu z nim gorzej? - spytała Lily.

Zmęczona twarz Alice wyjaśniała.

- Nie, Lily. Wraca do zdrowia. Jest znowu sobą. Zobaczysz. Ale muszę zrobić dla niego jeszcze coś istotnego, a potem będzie w stanie znowu normalnie żyć. Och, to nie nastąpi szybko, ale w końcu wydobrzeje.

Lily skinęła głową.

- Powiedziałam, że tylko pani może mu pomóc. Proszę się o nic nie martwić. Zaopiekuję się nim.

- Wiem, że to zrobisz - przyznała Alice. - Zawsze o mnie dbałaś. Teraz przygotuj kąpiel i znajdź coś, w co mogłabym się ubrać. Coś ładnego. Muszę zrobić wrażenie.

Kiedy wprowadzono ją do biura pułkownika przy Baker Street, Alice była zdumiona, widząc starszego mężczyznę, po pięćdziesiątce, i całkiem siwego.

Telefon pod dawny numer Hugona sprawił, że przełączono ją dalej. Wallace był bardzo przyjaźnie nastawiony i powiedział, że oczywiście, mogą się spotkać, jeżeli wydaje jej się, iż mógłby pomóc Nickowi Armstrongowi. Nie urzęduje w Ministerstwie Wojny, tylko w starym budynku przy Baker Street. W pobliżu Muzeum Figur Woskowych, powiedział, dodając dowcip na ten temat.

Zaskoczyło go, że jest tak bardzo piękna. Nie był człowiekiem, który przed wybuchem wojny czytywałby kronikę towarzyską o frywolnym życiu wyższych sfer. Wykładał w Oksfordzie. Pod koniec pierwszej wojny światowej służył w Królewskim Korpusie Lotniczym; ranga odzwierciedlała jego starszeństwo w nowo sformowanej organizacji wywiadowczej, której utworzenie zaproponował Churchill. SOE - Dowództwo Operacji Specjalnych. „Utopcie Europę w ogniu”, polecił premier. W tym celu ludzie tacy jak Nicholas Armstrong wysyłani byli do okupowanej Francji. I wielu z nich, także kobiety, zostało schwytyanych. Od Wallace'a więcej dowiedziała się o tym, co się naprawdę stało. Armstrong był członkiem grupy, która wylądowała w feluce na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Jego zadanie polegało na nawiązaniu kontaktu z ludźmi z Francuskiego Ruchu Oporu i organizowaniu grup, mających sabotować ważne dla Niemców cele, tworzyć inne grupy konspiracyjne w całej Francji i ścierpieć tortury, gdyby ich wzięto żywcem. Armstrong był bardzo doświadczonym agentem i owo zadanie stanowiło już trzecią jego misję we Francji. Tym razem został ujęty przez gestapo, wraz z kilkoma innymi członkami grupy. Znajdował się w pociągu, którym wieziono ich do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, kiedy ludzie z ruchu oporu wykoleili skład. W zamieszaniu udało mu się zbiec i, podjęty przez felukę, dotarł w końcu do Anglii. Z pewnością musiała widzieć, że po tych przejściach był wrakiem człowieka.

- Tak - powiedziała Alice. - Widziałam. A także i to, że nie zrobiono dla niego nic pozytywnego. Stoczyłam walkę z naszym lekarzem wojskowym, ponieważ chciał odesłać Nicka do Princess Mary. Po tym czekał go szpital psychiatryczny. Prawdopodobnie do końca życia. Nie dopuściłam, by tak się stało. Jest prawie zdrowy, pułkowniku Wallace. Podjął trudną walkę o powrót do normalności.

- Mam wrażenie, że zrobiła pani bardzo dużo, walcząc o niego - stwierdził Wallace.

Jakaż piękna kobieta i jak bardzo zdeterminowana. Przejrzał ją momentalnie. Podziwiał, że nie poddała się w beznadziejnej sytuacji; wzbudziła jego sympatię. On sam także łatwo nie rezygnował. Zastanawiał się, co też może o tym myśleć jego kolega, surowy i

poważnie myślący Hugo Vandekar - o jej poświęceniu się dla innego mężczyzny.

- Czy jego żona była z nim we Francji podczas tej misji?

Uniósł brwi.

- Jego żona? Dobry Boże, nie! Dlaczego pani pyta?

- Ponieważ on uważa, że tak - odparła Alice. - Sądzi, że wydał ją gestapo. Powiedział mi... „Oni zabili Janine”. Tak dokładnie stwierdził!

Wallace skrzywił się.

- Ma chorą wyobraźnię. Żona znajduje się w Anglii. Dokładniej mówiąc - w Londynie.

Teraz Alice zrobiła wielkie oczy.

- W Londynie? Dlaczego nigdy go nie odwiedziła?

- Ponieważ odeszła od niego - wyjaśnił. - Mieszka z jednym z naszych amerykańskich sprzymierzeńców. Pułkownik Chuck Wallace. To samo nazwisko, ale nie jesteśmy spokrewnieni, zapewniam panią.

- Czy ona wie, co się z nim stało?

- W istocie. Oczywiście, nikt nie wiedział, że schronił się w tak przerażającą iluzję. Jak pani do tego doszła? - obrzucił ją zimnym, taksującym spojrzeniem, jakim zwykle oceniał potencjalnych rekrutów dla swojej organizacji.

Nie tylko bardzo zdecydowana kobieta, ale obdarzona wielką intuicją, skoro odniosła sukces tam, gdzie zawiedli wojskowi psychiatrzy.

- Powiedział mi, kiedy przeszedł kryzys - odparła wolno. - To był straszny widok. Bez przerwy płakał. Nigdy nie widziałam tak rozbitego człowieka, a byłam przy ludziach poparzonych, którzy pierwszy raz po zdjęciu bandaży spoglądali w lustro. Wyrzucił z siebie wszystko - mówił o tym, jak go topili i jak potem poszarpali mu dłonie na kawałki. Powiedział mi, że wszystko wyznał, wydał wszystkich, łącznie ze swoją żoną. Umarła, twierdził. Dlaczego? Dlaczego on tak uważa?

Wallace zastanawiał się przez moment.

- Bóg jeden wie. Bóg jeden wie, co mu nagadali, żeby go udręczyć. Mogli powiedzieć, co chcieli. A kiedy ktoś jest na wpół oszalały z bólu, uwierzy we wszystko.

- Wydał innych? - cicho zapytała Alice.

- Nigdy się nie dowiemy - odparł. - On jeden uciekł z pociągu. Ja myślę, że nie. Dobry Boże - powiedział ze złością - gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, moglibyśmy zaoszczędzić biedakowi wielu cierpień.

- Obiecałam mu, że udowodnię jego niewinność - odezwała się. - Nie wiem, jak

mogłabym zdobyć jakikolwiek dowód. Ale przyrzekłam. Przeglądając jego akta, zorientowałam się, że coś przywiodło go do szaleństwa, ale nie wiem, co to dokładnie było.

- Jestem zdumiony, że pozwolono pani zapoznać się z nimi.

- Nie pozwolono. Znalazłam je i po prostu zajrzałam.

- Rozumiem - stwierdził. - Sądzę, że byłoby najlepiej, gdyby pani skontaktowała się z jego żoną i zapytała, czy nie zechciałaby go odwiedzić. Co prawda, nie paliła się do odwiedzenia go w Princess Mary. Z pewnością nie nalegała, kiedy lekarze uznali wizyty za niewskazane. Ale teraz to inna sprawa.

- Jeżeli w ogóle jest człowiekiem - powiedziała Alice - jutro przyjedzie do Ashton.

- Mam nadzieję - potwierdził. - Ale poczucie winy wywołuje u ludzi dziwne reakcje. Zwykle powoduje w nich chęć ucieczki. Dziękuję, że mnie pani odwiedziła. I dziękuję również za wszystko, co zrobiła pani dla Nicka Armstronga. Ponieważ właśnie ja go zwerbowałem, więc czułem się w pewnym sensie winny. Jest wspaniałym człowiekiem. Nie zawiedzie się pani na nim, pani Vandekar.

Jadąc z powrotem do domu przypomniała sobie, co powiedział, i zastanowiła się, co przez to rozumiał?

W kolano Fern wdało się zakażenie. Spuchło i dziewczynka dostała gorączki. Tym należało tłumaczyć wymioty, tak przynajmniej powiedział lekarz. Alice stała z nim przy łóżku córki; opiekowanie się Fern stanowiło z jego strony uprzejmość, bowiem miał mnóstwo zajęć i wielu innych pacjentów. Był to starszy już człowiek, powołany z rezerwy, i lubiła go tak bardzo, jak mocno nienawidziła Fergusona.

Niania cały czas krążyła w pobliżu, chociaż już została zwolniona. Nauczycielka z miejscowej szkoły miała siostrę, również nauczycielkę, teraz już emerytowaną, którą Lily sprowadziła i po rozmowie Alice zaangażowała ją. Wyglądała miło i wydawała się kompetentna, dosyć stara, niestety, ale nie sprawiała wrażenia, by chciała tłamsić Fern i zachować ją tylko dla siebie. Fern usłyszała, że ona przychodzi, i ponownie dostała mdłości.

- Trzeba stosować kataplazmy - polecił doktor Banks. - Dużo ciepłych napoi i wypoczynku. To tylko miejscowe zakażenie, ale nie wolno go zlekceważyć. Wymioty ustaną, kiedy spadnie temperatura. Bądź grzeczną dziewczynką, a wkrótce wyzdrowiejesz.

Uśmiechnął się do Fern i pogłaskał ją po głowie. Miał własne wnuki i widok dziewczynki, leżącej w łóżku z wypiekami na twarzy i zapadniętymi oczami, poruszył jego serce.

- Chcę tatusia - zamruczała.

- Oczywiście, że chcesz, ale mama jest tutaj - powiedział. - Tatuś wkrótce się zjawi,

jak sędzę.

Spojrzał na Alice, która wyglądała na zniecierpliwioną. Szkoda, pomyślał. Wielka szkoda, że nie ma zrozumienia dla małej, ale dzisiejsze młode matki... zupełnie jakby jakaś inna rasa. Szczególnie te z wielkimi pieniędzmi i służbą, zdejmującą z nich odpowiedzialność. Westchnął.

- Czy spodziewa się pani, że major Vandekar przyjedzie na urlop?

- Telefonował i powiedział, że będzie pod koniec tygodnia - powiedziała Alice; odeszła od łóżka Fern, by córka nie mogła słyszeć. - Myślę, że to urlop przed zaokrętowaniem się.

- No, cóż; nie możemy pozwolić, żeby młoda dama dowiedziała się - oświadczył doktor Banks zdecydowanie. - Sędzę, że dobrze by było, gdyby posiedziała pani z nią dzisiaj w nocy, zamiast pielęgniarki. Proszę jej poczytać.

- Oczywiście - zgodziła się Alice; rzuciła okiem na Fern.

Dziewczynka patrzyła na nią, ale spotkawszy wzrok matki, zacisnęła mocno powieki.

- Nie byłoby lepiej, żeby po prostu usnęła? - podsunęła Alice.

- Proszę spróbować poczytać jej chwilę. Zajrzę do niej jutro sprawdzić, jak się miewa. A gdyby coś panią niepokoiło, proszę zadzwonić. Dobranoc, Fern. Dobranoc, pani Vandekar.

Alice zdławiła westchnienie zniecierpliwienia. Dwa dni oczekiwania, dwa dni powstrzymywania się, by nie powiedzieć Nickowi. To Wallace poradził, by nie mówiła mu, że jego żona żyje, ale by postawić go przed faktem dokonanym, przywożąc ją do Ashton lub jechać z nim do Londynu. Więc Alice dotrzymywała tajemnicy i czekała na wiadomości od pułkownika. Nadeszły dziś po południu. Janine Armstrong została powiadomiona i była gotowa odwiedzić swego męża. Jedynym warunkiem było to, by jej amerykański pułkownik mógł przyjechać wraz z nią. Inaczej nie dostanie benzyny na drogę. Jutro. Przyjadą jutro.

Alice odwróciła się do córki. Nick był na dole, w jej saloniku, czekając, by do niego przyszła. Jeżeli zostanie sam, zacznie się wahać, znów będzie siebie obwiniał. Jeszcze tylko jeden dzień i dostarczy mu żywy dowód jego niewinności.

- Fern, co chciałabyś, żebym ci poczytała?

- Jeżeli jest pani zajęta, pani Vandekar, ja to mogę zrobić. - Niania jeżyła się wrogością.

Podczas ostatnich dni spoglądała na Alice złym wzrokiem, nawet nie starając się ukrywać, że jej nie lubi. Wręcz nienawidzi - był to gniew z powodu konieczności odejścia i zapomnienia o wszystkim.

Propozycja była kusząca, ale odmówiła. Zaniedbywała Fern i poczuła wyrzuty

sumienia. Stara wiedźma wprost umierała z chęci krytykowania jej do ostatniej chwili pobytu pod tym dachem.

- Nie, dzięki. Proszę mi tylko podać książkę i zostanę przez pół godziny. Nie chcę jej zmęczyć.

Alice usiadła przy łóżku. *Co zrobiła Katy*. Pamiętała, że i jej to czytano. Na Boga, chyba jest w pokoju dzieciennym coś bardziej nowoczesnego... Znalazła założone zakładką miejsce i zaczęła czytać.

Fern leżała cichutko i obserwowała matkę spod przymrużonych powiek. Nie słuchała wcale opowieści. Nie mogła wyrzucić ze swego umysłu tego okropnego obrazu - matki, klęczącej na podłodze. Obejmował ją obcy mężczyzna, a ona go całowała. Nie widziała nigdy, by matka całowała się z ojcem. Sama otrzymywała energiczne pocałunki w policzek czy czoło i widziała, co działo się z tamtym mężczyzną. Potem niania tuliła ją do siebie. Nawet nie skrzyczała jej za to, że zwymiotowała w korytarzu. Cokolwiek jej matka robiła, było to tak straszne, że niania trzymała ją, pieszcząc, na kolanach i mówiła przerażające rzeczy: „Nie martw się, moje biedactwo... Musisz udawać, że nic nie widziałas...”

Matka wcale nie chciała tutaj zostać, żeby jej poczytać przed snem. A i Fern nie chciała, żeby przy niej była. Znała całą książkę na pamięć i nie lubiła jej. Czyż to nie cudowna książka, powiedziała niania, i czytała ją ciągle od nowa. Z chłodną, przedwczesną dojrzałością jedynaczki Fern zrozumiała, że to dlatego, iż piastunka sama lubiła tę książkę. Nie podobała jej się energiczna bohaterka, która zawsze udawała chłopca i pakowała się w rozmaite kłopoty. Podobne do niej dziewczęta spotkała w szkole; one popychały ją i ciągnęły za włosy przy każdej okazji. Pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby mama sobie poszła. Wiedziała, co zrobić, żeby tak się stało. Uniosła głowę i powiedziała:

- Chyba będę wymiotować.

Alice przestała czytać. Popatrzyła na córkę i po raz pierwszy dostrzegła w niej coś przebiegłego, niedzielnego.

- Nie - stwierdziła. - Nie będziesz. Tylko udajesz. Co z tobą, Fern? Czy to dlatego, że niania odchodzi? Powiedz mi, nie będę się gniewać.

- Nie. - Głos małej zniżył się do szeptu. - Po prostu czuję mdłości.

- Jeżeli będziesz tak mówić, to naprawdę zwymiotujesz - odparowała Alice. - Posłuchaj mnie, kochanie. Potrzebny ci jest ktoś, kto będzie weselszy, kto nauczy cię różnych rzeczy. Okay, miałaś paskudny upadek w szkole i rozciąłaś sobie kolano, ale już się goi. Czy nie ma tam jakiejś dziewczynki, którą byś lubiła i chciałabyś zaprosić tutaj, by się razem bawić?

Fern potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała płaczliwie. - Wszystkie są okropne. Podaj mi miskę. Proszę!

Alice wstała, zamykając książkę.

- Poszukam czegoś innego do czytania. Przy takich starociach musisz się nudzić jak mops. Tak naprawdę nie będziesz wymiotować, co? Pocałuję cię na dobranoc i otulę, a zaraz uśniesz. Jutro poczujesz się lepiej.

Spulchniła poduszki i poprawiła koldrę, podwijając ją pod brzeg materaca. Fern poczuła, jakby została czymś przywalona, i nawet nie mogła drgnąć.

- Oto - powiedziała Alice - co robię dla tych biednych żołnierzy, którzy nie mogą się ruszyć. Przyjdę do ciebie jutro. Dobranoc, Fern.

Pocałowała ją w czoło. Było gorące i spocone. Poczowała, że dziewczynka cofa się przed nią, i była tym zdziwiona. Zwykle ona starała się unikać kontaktu z Fern; nie udawała, że tulenie małej sprawia jej przyjemność. A teraz córka wzdrygała się przed nią. Ku jej zaskoczeniu, Fern zadała pytanie:

- Mamusiu, czy całujesz na dobranoc rannych żołnierzy?

Cóż za dziwaczne pytanie.

- Wielkie nieba! Nie! - odparła Alice zdecydowanie. - Skąd ci to przyszło do głowy? Nie całuje się dorosłych, głuptasie. Tylko dzieci. A teraz śpij.

Zamknęła drzwi i pobiegła na dół. Fern wierciła się i przewracała tak długo, aż wyciągnęła koldrę spod materaca. Leżała i patrzyła w sufit. Zaraz powinna przyjść niania. Zapomniała już o wymiotowaniu. Powiedziała do siebie wolnym, wystudiowanym szeptem:

- Mama kłamie. Spoliczkowała mnie kiedyś, bo zostałam przyłapana na kłamstwie. Ale sama kłamie.

*

- Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy pani kłopotu, *madame Vandekar*.

- Ani trochę - powiedziała Alice.

Nie spodziewała się, że będzie tak wyglądać. Wysoka, elegancka Francuzka, smukła niczym trzcina, o smagłej twarzy, podobnie jak mąż, którego porzuciła.

Pułkownik Chuck Wallace trzymał się niezgrabnie z tyłu. Był to krępy, jasnowłosy mężczyzna po czterdziestce, przystojny na nordycki sposób. Alice była zdecydowana okazywać łaskawość. Wszystko zależało od tej kobiety.

- Bardzo miło z waszej strony, że przyjechaliście - powiedziała. - Pani mąż nic jeszcze nie wie. Zastanawiam się, jak najlepiej zaaranżować to spotkanie.

Janine Armstrong wyglądała na zaskoczoną.

- Czy to nie będzie dla niego zbyt wielkim szokiem, kiedy tak po prostu wejde, skoro uważa, że nie żyję?

- On musi doznać szoku - wyjaśniła Alice. - To rada pułkownika Wallace'a, który bardzo dobrze zna pani męża.

- Doprawdy zdumiewające. - Jej francuski akcent był bardzo mocny. - Nieprawdopodobne, że stworzył sobie taką iluzję.

Alice pilnowała się, by w jej głosie nie zabrzmiał chłód.

- Straszliwie go torturowali, pani Armstrong. Ma okaleczone ręce.

- Wiem - skinęła głową. - Wiem, co mu zrobili. Pracowałam dla Ruchu Oporu. Wówczas poznałam Nicholasa. Bardzo mi przykro z powodu tego, co go spotkało, jednak wszyscy podejmowaliśmy ryzyko; ja straciłam krewnych i przyjaciół.

- Okropne - powiedziała Alice. - Nie wiedziałam.

Janine Armstrong wzruszyła ramionami.

- Skąd miałaby pani wiedzieć? Zostałam ściągnięta do Anglii, ponieważ poszukiwało mnie gestapo. Nick wpadł podczas swej misji. Mógł myśleć, że nadal jestem we Francji. Rozdzieliło to nas. Jeżeli mój widok ma wywołać szok, może nie powinniśmy dłużej zwlekać?

Niezwykle chłodna, opanowana osoba, zahartowana w ogniu walki bardziej, niż Alice to sobie wyobrażała. Na krótką chwilę ich osobowości zderzyły się, zadźwięczały i odsunęły od siebie.

- Zaprowadzę panią do niego - odezwała się. - Pułkowniku, proszę usiąść i czuć się jak u siebie. To nie potrwa długo.

Alice zatrzymała się przed salą Spencera. Zapukała do drzwi; otworzyła i stanęła w progu, a Janine Armstrong skryła się za jej plecami. Nicholas wstał i ruszył w stronę Alice. Powiedziała szybko:

- Masz gościa. Obiecałam ci coś, pamiętasz?

Potem odsunęła się w bok, pozwalając jego żonie wejść do pokoju. Zamknęła drzwi i z bijącym sercem wracała do saloniku, by czekać. Kiedy weszła, pułkownik zerwał się na jej widok.

- Nie, nie. Proszę siedzieć. Ma pan ochotę na herbatę albo drinka?

- Raczej na drinka, *madame*. Chyba bardziej się tym denerwuję niż Janine.

- Mam tylko dzin - powiedziała Alice. - Zużyliśmy już nasze przydziały whisky.

Pochodzi pan z Południa, prawda?

- Moim ojczystym stanem jest Kentucky - odparł. - A skąd pani pochodzi?

- Z Bostonu.

Podowała mu szklaneczkę i naląła także sobie.

- Jest tam teraz moja matka. Od jak dawna przebywa pan w Anglii?

- Od prawie roku. Służę w Ósmym Pułku Lotnictwa. Nie latam, jestem za stary, nie nadaję się do samolotów, które teraz mamy. Zamiast tego fruвам na swoim biurku.

Miał ujmujący uśmiech; Alice poczuła do niego sympatię.

- Ciekawe, co się tam dzieje - powiedziała. - Zastanawiam się, czy mogłabym wejść i zobaczyć. On jest tak rozpaczliwie cierpiący. Zupełnie rozbity psychicznie. Pułkowniku, mogłabym na chwilę zostawić pana samego?

- Może poszedłbym z panią? Ja także się denerwuję, bo sprawa jest dla mnie bardzo ważna. Kocham Janine. Nie wiem, jak to spotkanie może wpłynąć na nasz związek.

Albo na mnie, pomyślała nagle Alice. Nie powinnam go zatrzymywać, gdyby zdecydował się do niej wrócić.

Spotkali ją w korytarzu, zmierzającą w ich kierunku. Była bardzo blada, a usta miała zaciśnięte. Wallace wysforował się przed Alice i szybko do niej podszedł.

- Janny, wszystko w porządku?

- Och, tak, czuję się dobrze, bądź spokojny. On także, pani Vandekar. Bardzo szybko wyszedł z szoku. Popłakał minutę czy dwie, a potem nazwał mnie dziwką i kazał się wynosić. Teraz już szybciotko wyzdrowieje!

Alice nie miała już więcej powodów, by cokolwiek udawać.

- Dzięki za to Bogu - powiedziała.

- Pojedziemy już - odezwał się pułkownik, obejmując Janine Armstrong ramieniem. - Nie chcę, by Janine więcej się denerwowała. Cokolwiek tamte bydlaki mu zrobiły, nie przestał być draniem.

Alice otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Nick czekał na nią. Nic nie powiedział, ale wyciągnął w jej stronę ramiona. Podeszła do niego. Przyciągnął ją bliżej i poczuła, że całuje jej włosy.

- Nie chcę nic mówić. Nie chcę o niej mówić.

- Nie musisz - szepnęła. - Odeszła. A ty jesteś teraz wolny. Wolny! Możesz odzyskać zdrowie i cieszyć się życiem.

- Kocham cię - powiedział. - Pocałuj mnie.

*

Nie stał się cud, nie doznała objawienia. Oddała mu się bez żadnych oczekiwań. Teraz

potrzebował jej tak bardzo, jak wówczas, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy - milczącego i poza wszelką nadzieją. Kochała go, dlatego łatwiej mogła ulec namiętności, której nie podzielała. Nie czuła silnej odrazy. Żadnego uczucia obrzydzenia czy upodlenia, kiedy się z nią kochał. Tylko tkliwe zadowolenie, że była w stanie dać mu szczęście. Żadnego wstydu ani poczucia winy. Tylko radość z jego spokojnego snu. Potem poszli na górę do pokoju, a Lily wiedziała, że jej pani nie będzie spać w fotelu.

- Nie przynos rano herbaty - powiedziała Alice. - Chcę, żeby się wyspał.

- Tak, *madame* - odrzekła Lily widząc, jak na siebie patrzy.

Cieszę się, pomyślała. Cieszę się, że jest szczęśliwa.

Pod koniec tygodnia telefonował Hugo, by powiedzieć, że przyjeżdża na urlop przed wypłynięciem do Afryki.

- To nie potrwa długo - stwierdziła Alice. - Tylko dziesięć dni.

- To jak dziesięć lat - odparł Nick. - Będzie z tobą, będzie cię obejmował...

Alice pogłaskała go po włosach. Nie przeszkadzało jej, że trzymał głowę na jej nagich piersiach.

- Nie martw się o to. Nie sypiamy ze sobą od lat. Właściwie od czasów niemowlęctwa Fern.

Podniósł głowę.

- Nie wierzę... Żaden mężczyzna, który by mieszkał z tobą pod jednym dachem, nigdy nie wyzbyłby się pożądania; pragnąłby ciebie co dzień i co noc.

- Nie chciałam go - wyznała. - Nie jest winien Hugo, lecz ja. Wiesz, kochanie, nie jestem w tym dobra. Ty się po prostu nie skarżysz, tak wygląda prawda.

- Jesteś cudowna - upierał się. - Potrzebujesz tylko czasu, skarbie, i kogoś, kto by cię tego nauczył. Za każdym razem zbliżasz się do mnie coraz bardziej. Chyba się nie mylę?

- Mam nadzieję - szepnęła. - Chcę tego. Bardziej, niż czegokolwiek innego na świecie, pragnę uczynić cię szczęśliwym.

- Dajesz mi szczęście - powiedział. - Dzięki tobie żyję. Przykro mi z powodu twojego męża, ale jestem o niego także cholernie zazdrosny. Będziecie razem przez dziesięć dni; wiem, że nie mogę cię wówczas widywać.

- Och, będziesz mógł - obiecała. - Znajdę na to czas. Przyjdę do ciebie zawsze, kiedy tylko będę mogła. Ale nie pójdziemy do łóżka. Nie wtedy, kiedy on będzie w domu. Nie chcę go oszukiwać bardziej niż muszę, Nick, i nie chcę czuć się winna z powodu tego, co robimy. Nie obchodzi mnie ani trochę, co ktokolwiek sobie myśli, ale nie zamierzam ranić Hugona. Już wystarczająco go skrzywdziłam. Ma walczyć w północnej Afryce. Może zginąć.

Wyjeżdżając powinien czuć się szczęśliwy, kochanie. Jestem mu to winna. Potem będziemy mieli dla siebie cały czas tego świata.

*

- W następny weekend przyjadą mama i Phillip - powiedział Hugo. - On także ma urlop przed wymarszem. Biedna mama jest taka niespokojna! Pomyślałem, że byłoby jej miło, gdy spędziła trochę czasu z synami i z Fern. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Nie chcę tracić swego urlopu na wyjazd do Sussex.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Będę szczęśliwa goszcząc ich oboje. Czy wiesz, dokąd jedzie Phillip?

Hugo potrząsnął głową; był zdumiony reakcją Alice. Nie lubiła matki, zaś brata zawsze pogardliwie nazywała maminsynkiem. A wiedział, że nigdy nie udawała. Uśmiechnęła się do niego, jakby odgadła, o czym myśli, i powiedziała:

- Zrobię co w mojej mocy, żeby wizytę uczynić miłą dla wszystkich. To musi być straszne dla biednej Beatrice stracić was obu jednocześnie.

Bardzo się zmieniła, pomyślał. Egoizm, który stanowił niszczącą siłę jej charakteru, wyparły serdeczność i współczucie. Ostre krawędzie zostały spłótkowane, a zrozumienie kruchości życia i jego istoty spowodowało przełom w jej sposobie myślenia. Stała się inną kobietą. Wydawało mu się, że przemiany, które zaszły w Alice, odzwierciedliły się również na jej twarzy. Jest piękniejsza, niż wówczas, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. I kocham ją tak bardzo, jak jeszcze nigdy. Mogę przyznać to teraz, kiedy odjeżdżam - być może na zawsze, jeżeli nie będę miał szczęścia.

- Alice - odezwał się. - Pomiędzy mną a Celią wszystko skończone. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Tak? - Spłonęła rumieńcem. - Dlaczego? Był jakiś szczególny powód?

- Nie chciałem, żeby owa sprawa stała między nami podczas naszego pożegnania - odparł.

Alice zawahała się.

- Obeszło ją to?

- Nie. Wszystko zrozumiała. Nigdy mnie nie kochała. A ja nigdy nie kochałem jej. Mieliśmy tylko pewien układ.

- Och! - powiedziała Alice.

Wiem, co to oznacza, pomyślała, i ogarnęła ją panika. Wiem, do czego on zmierza i dlaczego zerwał z nią teraz, po tylu latach...

- Zadzwoń do Beatrice i powiem jej, jak bardzo się cieszę na ich przyjazd -

powiedziała szybko, wstając. - To chyba będzie dla niej miłe?

Wstał także i podszedł do niej. W wyrazie jego twarzy dostrzegła coś tak bezbronnego, że - chociaż chciała uciec - zatrzymała się jednak. Nie dotknął jej.

- Alice, czy wrócisz do mnie... zanim wyjadę? Tak wiele dla mnie znaczysz.

- Bo chcesz kolejnego dziecka - odparowała. - Nie możesz nic do mnie czuć po tak długim czasie, kiedy bardzo źle cię traktowałam.

- Nie obchodzi mnie teraz dziecko - powiedział. - O tym możemy porozmawiać, jak wrócę i skończy się wojna. Pragnę ciebie, Alice. Kocham cię - nigdy nie przestałem cię kochać. Żadna inna kobieta nigdy nic dla mnie nie znaczyła ani nie będzie znaczyć.

Był taki dumny, pomyślała, zawsze z dystansem... teraz żebrał; nie potrafiła tego znieść. Kiedy go objęła, siłą powstrzymywała łzy.

- Oczywiście, że będziemy razem - powiedziała. - Tak długo, dopóki znowu cię nie rozczaruję.

Wziął ją w ramiona, ale nie pocałował. Nie widziała jego twarzy.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedział tylko.

*

W końcu nadeszło rano. Nie spała. Dziesięć dni minęło, jego matka i brat wyjechali. Coś z tego wydawało się snem. Jakby poszczególne ujęcia z planu filmowego. Nagle Beatrice Vandekar wyglądała tak staro, zaś Phillip w mundurze był zupełnie innym człowiekiem. Został pilotem, miał skrzydełka na uniformie i śmiesznie wyglądał z wąsami. Patrzyła na niego nie przestając myśleć, że odchodzi po to, by dać się zabić. Coś przeczuwała. I Hugo, schodzący do piwnicy po szampana, i otwierający go, by spełnić rodzinny toast. „Za nas wszystkich i za koniec tej przeklętej wojny”.

I Fern siedząca sztywno na sofie, obok swojej babci, zamykająca się w sobie za każdym razem, kiedy tylko Alice odzywała się do niej. Wówczas zrozumiała, że córka jej nienawidzi, i było to szokujące odkrycie. Lily wyjęła suknie, których ona nie miała na sobie od wybuchu wojny, gdyż Hugo pragnął, by wyglądała najpiękniej i by udawać, że nic się nie zmieniło i zawsze jest i będzie tak samo. „Chcę cofnąć zegar - powiedział. - Chcę widzieć ciebie i Ashton takimi, jakimi was zawsze znałem”.

A zatem wyjęto i wyczyszczono srebra, otworzono jadalnię i zdjęto pokrowce z mebli. Udawali, wszyscy. Stali w swoich niemodnych strojach wieczorowych i wznosili toasty, potem całowali się nawzajem jak wędrowcy wyruszający w podróż, której kresu nie znali.

Hugo kochał się z nią i mówił jej o swojej wielkiej miłości, opętany nienasyconą żądzą i zbyt gwałtowny w swej męskości. Nic się między nimi nie zmieniło. Alice zniosła

wybuch namiętności bez żalu czy poczucia winy, ale stanowiło to dla niej ciężką próbę.

Wstała ostrożnie, by go nie obudzić. Dom zalegała cisza; było przed szóstą i dzienna zmiana pielęgniarek nie zaczęła jeszcze swojego dyżuru. Alice otworzyła drzwi balkonu. Czowała chłód, a nad odległym jeziorem unosiła się mgiełka. Stała chwilę, trzęsąc się z zimna; widok był tak piękny i urzekający spokojem.

Pomyślała nagle, że może już nigdy nie zobaczy Hugona. *Nie mogę sobie tego wyobrazić. Nienawidzę go, albo staram się znieawidzić, i nienawidzę siebie za to, że sprawy między nami tak się ułożyły. I zdradziłam go, tak jak i on mnie. A nadal nie mogę myśleć o życiu bez niego. Nie wiem, co nas jeszcze czeka, ale nie chcę, żeby został zabity - dobry Boże, nie pozwól, żeby tak się stało. Albo by został ranny, jak ci biedni chłopcy, którym staram się pomagać. Nie może być okaleczony, ponieść uszczerbku. Już nigdy nie byłby Hugonem Vandekarem.*

Mgliste powietrze niesło chłód, więc weszła do środka, zamykając za sobą balkonowe drzwi. Wróciła do łóżka, ale nie mogła się rozgrzać. W końcu usnęła.

Obudziła się przed południem. Zadzwoiła na Lily.

- Popatrz, która godzina! Na litość boską, dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Pan Hugo powiedział, żebym pozwoliła pani spać. A tu jest pani herbata, *madame*, i proszę przestać na mnie krzyżeć; wykonałam polecenie. Zostawił to dla pani.

Napisał krótki liścik. Usiadła w łóżku, nadal czując w sobie chłód.

„Kochanie, nie chciałem cię obudzić. Nie chciałem pożegnać. Dziękuję, że przez te ostatnie dni uczyniłaś mnie szczęśliwym. Kocham cię. Hugo”.

Odjechał. Bóg jeden wie, kiedy znowu usłyszy coś o nim czy go zobaczy.

*

- Niech pan wejdzie na chwilę - powiedziała Lily. - Ale nie może pan zostać długo. Nie wyszła jeszcze z kryzysu.

Otworzyła drzwi i stanęła z boku, pozwalając Nickowi Armstrongowi wejść do pokoju Alice.

- Niezbyt długo - przypomniała. - Nie można jej męczyć.

- Nie martw się, Lily, nie będę dłużej niż kilka minut. Chcę ją tylko zobaczyć, to wszystko.

Przybywa mi obowiązków, burknęła do siebie Lily, ciągle biegiem. Teraz zajmuję się tak samo nim, jak i panią. Prowadzę go na górę, by się z nią zobaczył, i znoszę jej wołania w malignie, by przyszedł... Była wyczerpana tyleż pielęgnowaniem Alice oraz walką z siostrą szpitalną, przyslaną do opieki nad chorą, co i troską o Nicka, żeby nie zwariował z niepokojem

o ukochaną. Dobrana z nich para, nie ma co. Jeżeli na tym polega miłość, musi dziękować Bogu, że nigdy jej nie doświadczyła.

Alice siedziała oparta o stos poduszek. Była bardzo chuda i blada, ale kiedy go ujrzała, podniosła się i wyciągnęła ramiona.

- Och, Nick, Nick, kochany! Nie, nie całuj mnie... mógłbyś się zarazić.

Nie słuchał jej. Lily widziała, że się obejmują, i zamknęła za sobą drzwi. To był okropnie niespokojny okres. Na początku miała kaszel i gorączkę. Nie położyła się do łóżka, nic sobie z tego nie robiąc. Nie przyznała, co typowe dla niej, że jest bardzo chora, dopóki nie zemdląca w pokoju Armstronga; wynieśli ją stamtąd i posłali po doktora Banksa. Natychmiast zaczęto plotkować. Dzięki Bogu tej starej suki, niańki, już dawno nie było. Guwernantka nie okazała się dużo lepsza - w opinii Lily tak samo wścibska, ale przebieglejsza, zawsze podlizująca się pani i mówiąca, jakimż to słodkim, małym skarbem jest panienka Fern. Lily nie zносиła dzieciaka. Nawet nie zapytała o matkę. Kiedy przysłała na dół, do pokoju chorej, stała tam jak głupia i gapiła się. Zapalenie płuc, orzekł doktor Banks. Zapalenie obustronne, dodał później, i wyglądał na bardzo zmartwionego. Szczęściem, była nadzwyczaj zdrowa i silna. Ale kiedy zostają zaatakowane płuca, nigdy nic nie wiadomo na pewno.

Lily siedziała przy niej noc po nocy, słuchając chrapliwego oddechu Alice i zastanawiała się, co pocznie, jeżeli jej pani umrze. Nie stwarzała sobie złudzeń. Wiedziała, co to znaczy obustronne zapalenie płuc. Zmarła na to jej matka. A była silną kobietą, która wcześniej nie przechorowała w życiu ani jednego dnia.

Przyjechała matka pana Hugona. Nie mogła wszystkiemu podołać, zwłaszcza że mając obu synów na froncie, sama potrzebowała psychicznego wsparcia. Przez kilka dni robiła zamieszanie i wprowadzała nerwową atmosferę, po czym wróciła do domu. Bardzo się postarzała i sprawiała wrażenie ciągle zdenerwowanej. Lily było jej żal, ale czuła zadowolenie, że długo u nich nie zabawiła. Spędzała wiele czasu z wnuczką i zdawało się, że to ją wzrusza i uspokaja.

Matka Alice telegrafowała i pozostawała z nimi w stałym kontakcie. Lily cieszyłaby się, gdyby przyjechała. Pan Hugo był gdzieś na morzu. Jego żona mogła umrzeć, o czym on nawet by się nie dowiedział. Ale na razie nie umierała. Doktor Banks oświadczył, że rzęzenie w piersiach zmniejsza się, a temperatura spada.

- To twarda sztuka. Jest nadzieja, powiem ci. W zeszłym tygodniu naprawdę myślałem, że ją stracimy. Czas, żebyś i ty trochę odpoczęła albo wkrótce zostaniesz moją pacjentką.

Lily poszła do swojego pokoju i w samotności długo płakała z ulgi. Tak, była

zmęczona do ostatnich granic. Od czasu kiedy Alice zaniesiono na górę, nie przespała ani jednej całej nocy. A teraz mogła wybawić Armstronga z jego żalości. Najgorsze, co mogłoby się przydarzyć, to nawrót choroby u niego, podczas gdy Alice wracałaby do zdrowia.

No cóż, pomyślała, znowu są razem. Na pewno obojgu dobrze to zrobi. Spojrzała na swój mały złoty zegarek. Tylko dziesięć minut, po czym wróci tam i wyrzuci Armstronga. Doktor Banks był nieugięty, wciąż przypominając, że jego pacjentce nie wolno się męczyć; musi mieć absolutny spokój i relaks, przynajmniej jeszcze przez tydzień, aż temperatura będzie się utrzymywać na normalnym poziomie.

- Tak bardzo martwiłam się o ciebie - szeptała Alice. - Lily mówiła mi, że wszystko w porządku, ale i tak się martwiłam.

- Myślenie o tobie doprowadzało mnie do szaleństwa - powiedział Nick. - Czułem się tak kurewsko beużyteczny, siedząc tylko i nie mogąc ani cię zobaczyć, ani w niczym pomóc. Ale teraz dochodzisz już do siebie, kochanie, i najważniejsze, że niebezpieczeństwo minęło.

Tak mocno ścisnął jej dłonie, że aż ją zabołało. Wygląda na chorego, pomyślała z niepokojem. Chorego i bardzo mizernego, takie ma cienie pod oczami.

- Kochanie, zabraniam ci martwić się o mnie. Czuję się dobrze, potrzebuję tylko trochę czasu, żeby nabrać sił. Teraz musisz myśleć o sobie. Nie możesz popadać w przygnębienie; nigdy bym ci nie wybaczyła. I na pewno poczułabym się gorzej - postraszyła go.

- Będę nad sobą panował - zapewnił ją pośpiesznie. - Obiecuję. Codziennie chodzę na spacer i gram w karty lub rozmawiam w nocy z chłopakami. Ale bardzo tęsknię za tobą. Gdybym tylko mógł coś zrobić.

- Może pan - oświadczyła dziarsko Lily. - Może pan pozwolić wypocząć *madame* i wrócić tu jutro, sir.

Alice odwróciła głowę i spojrzała na nią. Ku swemu zadowoleniu dostrzegła przebłysk dawnego, niepokornego ducha pokojówki.

- A ty możesz się zamknąć, Lily, i nie mówić do pana Armstronga w ten sposób!

Patrzyła, jak Lily pogania go, i nie protestowała już więcej. Czuła się tak cholernie słabo. Spotkanie z Nickiem dostarczyło silnych wzruszeń, ale i wyczerpało ją.

- Przepraszam, Lily - powiedziała. - Nie myślałam tak. Jesteś dla mnie naprawdę cudowna.

Lily zaczerwieniła się mocno.

- Ktoś musiał dopatrzeć, czy ta prostytutka pielęgniarza nie zabiła pani - powiedziała. - Nie wiedziała, jak należy panią kąpać. Złapałam ją na tym, jak używała karbolowego mydła!

Proszę sobie tylko wyobrazić!

Alice roześmiała się i zaczęła kasłać.

- Och, Boże. Nic dziwnego, że mając takich ludzi jak ty, Brytyjczycy wygrywali wojny...

- Pani też jest niezła, *madame*. Doktor Banks mówi, że sama zwalczyła pani chorobę. Wielu innym nie udało się.

Przez chwilę spoglądały na siebie. Nie było potrzeby cokolwiek mówić. Alice zamknęła oczy.

- Chyba zdrzemnę się nieco - powiedziała.

Zasnęła, a Lily usiadła na krześle, doglądając swej pani.

*

- Z płucami wszystko w porządku - oświadczył doktor. - Zbadałem panią tak dokładnie tylko po to, by się ostatecznie upewnić.

Potem przykrył ją i stanąwszy obok zapytał z uśmiechem:

- Kiedy pani miała ostatni okres, pani Vandekar?

Westchnęła głośno.

- Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ sądzę, że owa chwila słabości ma szczęśliwe wyjaśnienie. Chcę powiedzieć, że jest pani w ciąży.

Przez resztę dnia nie pozwolił jej wstać. Została uwięziona w łóżku, z Lily warującą przy niej jak pies, aż wrzasnęła na nią, by się wyniosła i zostawiła ją samą. Potem odrzuciła koldrę i podeszła do dużego lustra. Zrzuciła koszulę nocną i z przerażeniem przyglądała się swemu nagiemu ciału. Nie było czego pokazywać - stała się przeraźliwie chuda. Z wyjątkiem piersi, teraz bardzo nabrzmiątych i wrażliwych na dotyk. Na jednym sutku zauważyła wyciek wodnistego mleka.

- Och, Boże! - krzyknęła. - Co ja zrobiłam? To nie może być prawda. Nie może!

Stosowali z Nickiem środki ostrożności. Z Hugonem również. Nie mogła być w ciąży. A potem przypomniała sobie ten pierwszy raz; dzień, kiedy przyjechała Janine Armstrong. To musiało się stać wtedy; oczywiście, oczywiście, powtarzała. Ubrała się i zrozpaczona usiadła na łóżku. Nosила dziecko Nicka, które urodzi się jako Vandekar.

Nic nie powiedziała Nickowi. Nadal był zbyt słaby, by go niepokoić. Nie powiedziała także Lily, a oszukiwanie jej było możliwe, ponieważ tym razem - w przeciwieństwie do pierwszej ciąży - nie wymiotowała. Choroba stanowiła dobrą wymówkę, kiedy chciała odpocząć czując się zmęczona; a gdy przybrała nieco na wadze, wszyscy się z tego ucieszyli.

Tylko doktor Banks znał prawdziwy powód, ale nalegała, by zachował dyskrecję. Powiedziała, że nie chce robić zamieszania, a w końcu i tak wraca do zdrowia. Po trzech, czterech miesiącach ogłosi szczęśliwą wiadomość. Szczęśliwą. Dla nikogo nie jest ona szczęśliwa, pomyślała z rozpaczą. Nie chciała tego dziecka. Nickowi nie powinna o tym mówić, żeby go nie martwić, a Hugo zostanie obdarowany dzieckiem innego mężczyzny. Rozmowa z doktorem Banksem na temat aborcji byłaby bez sensu. Nie miała pojęcia, co robić. Czuła się jak w potrzasku, podobnie jak wówczas, kiedy była w ciąży z Fern.

- Nie będę się nad tym zastanawiać - powiedziała, przypominając sobie sposób na życie bohaterki słynnej powieści². - Nie będę myśleć o tym dzisiaj, pomyślę o tym jutro.

Ale było to podejście sprzeczne z jej naturą, więc nie mogła się uwolnić od obsesyjnych myśli. Przyćmiewały one radość szczęśliwych dni, które spędzała z Nickiem, przywracając mu siłę i pewność siebie. Zły stan psychiczny niekorzystnie wpływał również na pracę z pacjentami, ponieważ czuła się zmęczona i zirytowana, a nie mogła nikomu powiedzieć, dlaczego tak jest. Odczuła również zmianę w stosunkach łączących ją z Lily. Nigdy dotąd jej nie okłamywała i nie wyobrażała sobie, by Lily mogła ją okłamać. Nie mogła jednak wtajemniczyć jej w swoje sprawy, ponieważ wiedziała, iż domyśli się, kto jest ojcem dziecka.

Pisała do Hugona długie listy, nie wspominając nigdy o dziecku, które trzepotało się już w jej wnętrzu niczym ptak. Spoglądała czasami na Nicka Armstronga i kusilo ją, by zrzucić ciężar z serca; teraz on powinien jej dodawać siły i otuchy. Jednak to nie byłoby w porządku, pomyślała, tak wiele wycierpiał. Potrzebował spokoju i bezpieczeństwa, podobnie jak miłości, którą go hojnie obdarowała. A on w widoczny sposób się zmieniał. Połamane palce zostały nastawione, a nawet zaczęły odrastać paznokcie. Odnalazł sens istnienia, a przez to wzbudził w sobie entuzjazm do życia. Coraz częściej przebywał w towarzystwie innych pacjentów i czasem Alice czuła niegodne ukłucie zazdrości, gdy schodząc na dół znajdowała go pochłoniętego grą w brydża, kiedy miał na nią czekać. Śmiał się i było to niezwykle dziwne, gdyż przez wiele ponurych tygodni nie widziała jego uśmiechu.

Pewnego jasnego dnia na początku lipca powiedział:

- Kochanie, napisał do mnie Jim Wallace. Przyjeżdża, bo chce się ze mną spotkać.

- Jim Wallace? - Przez moment nie mogła sobie przypomnieć, o kogo chodzi.

- Mój dawny szef - powiedział Nick. - Z Baker Street. Możemy podjąć go lunchem?

² Aluzja do postaci Scarlett O'Hara, bohaterki „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell. (Przyp. tłum.)

- Oczywiście. Jak najbardziej. Załatwię to. Kiedy przyjeżdża?

- zaproponował piątek - odparł. - Miło będzie go widzieć. Nigdy ci o nim nie mówiłem, prawda? - Nick promieniał radością i nie krył entuzjazmu. - Jest nadzwyczajnym facetem.

- Tak - zgodziła się Alice.

Na chwilę ponownie znalazła się w gabinecie Jima Wallace'a, siedząc po drugiej stronie biurka. „Znałem Nicka od dawna. Zwerbowałem go”.

- Czego on chce? - spytała powodowana nagłym impulsem.

- Tylko spotkać się ze mną i pogadać.

- Miło z jego strony - powiedziała. - Dobrze ci to zrobi.

Zawahał się chwilę. Potem ścisnął jej dłoń.

- Nie jestem już inwalidą, jak wiesz - powiedział. - Dzięki tobie, kochanie.

*

To był miły lunch. Tak wiele czasu minęło od chwili, kiedy Alice mogła była zamawiać zaopatrzenie, że kiedy pułkownik wyjął wędzoną szynkę, ich lunch zamienił się w święto.

- Prezent - oświadczył. - Ojciec jednej z moich młodych dam jest rzeźnikiem. Nielegalne, ale przyjemne.

Spojrzał na Alice i Nicka z radosnym uśmiechem, jak ojciec przyglądający się swoim dzieciom. To sprawiło, że Alice poczuła się niezręcznie. Jadła szynkę i była zaskoczona swym apetytem, ale kiedy tak siedzieli przy stole i on zaczął rozmawiać zażyłe z Nickiem o ludziach, których nie знаła, owładnęło ją dziwne i przerażające przeczucie. *Strzeż się Greków...*³

- Co pani powiedziała? - przerwał Wallace i Alice zaczerwieniła się.

Najwidoczniej wypowiedziała swoją myśl na głos.

- Och, nic takiego...

Znowu stał się jowialny.

- Proszę na nas nie zważać, droga pani Vandekar. Po prostu odrabiamy zaległości w plotkach o starych przyjaciółach. Bardzo nudne dla pani, więc proszę mi wybaczyć. Może przeszlubiśmy się po lunchu i dokończyli rozmowę o naszych sprawach zawodowych? - Odwrócił się od niej do Nicka i dokończył szybko: - Właściwie, dlaczego nie?

³ *Timeo Danaos et dona ferentes* (łac.) - „Strzeż się Danajów (Greków) składających ci dary”, Homer, *Odyseja*.

Po lunchu poczuła mdłości. *Na pewno przez tę cholerną szynkę. Juniorowi nie posmakowała.* Poszła na górę i położyła się, próbując o niczym nie myśleć.

To nie była szynka ani dziecko, które w tej chwili zachowywało się spokojnie. To instynkt, że pułkownik przybył tutaj w pewnym celu, a tym celem było zabranie jej Nicka. I że Nicholas czuł się gotów do odejścia. Wstała i pospieszyła na dół. Za późno. Skończyli już rozmowę o swoich sprawach, cokolwiek to miało być. Pułkownik odjechał. A oto i Nick, uśmiechający się do niej i ożywiony pragnieniem podzielenia się z nią cudownymi wieściami.

- Chce, żebym wrócił - powiedział. - Wrócił na Baker Street. Jestem do tego wystarczająco przygotowany i powiedział, że byłbym niezwykle cennym nabytkiem. Mam wiedzę z pierwszej ręki, kochanie. Naprawdę mogę okazać się pomocny ludziom, którzy tam jadą, ucząc ich w sposób, w jaki nikt inny nie byłby w stanie, ponieważ nie przeszedł przez to, co ja. I zwrócił uwagę na bardzo istotną sprawę - przerwał dla większego efektu. - Stanowię dowód, że można stamtąd wrócić.

- Innym się nie udało - odrzekła wolno Alice. - Tym, którzy zostali złapani.

Pokiwał głową.

- Ale to jest wojna. Giną żołnierze. My też jesteśmy żołnierzami. Och, Alice, postaraj się zrozumieć. Chcę być użyteczny. Chcę coś robić. Nie mogę próżniaczyć się tutaj, podczas gdy ludzie, z którymi byłem szkolony, potrzebują mojej pomocy.

Otoczył ją ramionami. Nie widział wyrazu jej twarzy.

- Kocham cię, Alice - powiedział. - Ocaliłaś mnie. Mógłbym zostać z tobą na całe życie i być absolutnie szczęśliwy; ale nie czułbym się mężczyzną, gdybym stał z boku i pozwolił moim przyjaciółom, by walczyli zamiast mnie. Nie byłbym ciebie wart.

Spojrzał na nią i dostrzegł łzy w jej oczach.

- Nie płacz, kochanie - poprosił. - To nie jest prawdziwe rozstanie. Będę w Londynie. Będę tutaj przyjeżdżał, a ty możesz przyjeżdżać do mnie. Dostanę świadectwo zdrowia. Jim mówi, że będę musiał wrócić do Princess Mary i stanąć tam przed komisją lekarską, ale to nie będzie stanowić problemu. I jest jeszcze jeden powód.

- Nie musisz wyjaśniać - powiedziała. - Po prostu okazałam się egoistką. Przepraszam.

- Chcę ci jeszcze coś wyjaśnić - nalegał. - Wspomniałaś o tych innych, którzy nie wrócili. Byłem na wpół szalony; na tyle, by uwierzyć, kiedy mnie torturowali, że wydałem Janine. Nie wiem, ile powiedziałem tym draniom. Jim twierdzi, że nasza siatka została spenetrowana, więc nie zdradziłem nikogo. Ale nie jestem tego pewien, Alice. Nigdy nie będę. Dlatego muszę wrócić.

- Tak - powiedziała. - Musisz. Ale obiecaj mi coś.

- Jeżeli tylko będę mógł spełnić - powiedział łagodnie.

- Nie możesz dać się przekonać, żebyś wrócił do Francji. Musisz mi to przyrzec.

Pocałował ją, trzymając blisko siebie, głaskał po włosach.

- Nie mogą mnie wysłać - odparł. - Jestem tam spalony. Moje aresztowanie byłoby kwestią godzin, więc nie muszę ci obiecywać, najdroższa. To się nie zdarzy. Chciałbym, by to było możliwe.

Kiedy cofnęła się i spojrzała na niego, uśmiechnął się.

- Widzisz, jaką cudowną pracę wykonałaś dla mnie? Przywróciłaś mi odwagę oraz nadzieję. Dzięki tobie mogę stawić temu czoło. Bądź więc z siebie dumna i nie płacz już więcej.

Po tym wszystkim nie mogła mu powiedzieć, że jest w ciąży. Musiał być wolny. Nie chciała stawiać go przed faktem, który mógłby zmienić jego terapię.

Przez następne dwa tygodnie żyła jak w transie. Przeżywała momenty nadzwyczajnego szczęścia, kiedy byli razem - nawet zbliżenia fizyczne stały się przyjemne - i wielkiego cierpienia, kiedy myślała o życiu bez niego. Wiedziała, że go straci, kiedy tylko Nick opuści Ashton. Im więcej snuł planów na temat powrotu czy jej przyjazdów do Londynu, tym wyraźniej sobie uświadamiała, że nie będzie to możliwe bez wyznania mu prawdy. Kłamstwo byłoby gorsze - gorsze, gdyby uwierzył, że po wielu latach separacji spała z Hugonem i zaszła z nim w ciążę. Więc nie odstępowała go przez te dni, które im pozostały, i starała się nie myśleć o nadchodzących miesiącach.

Pojechał do szpitala Princess Mary, a ona posmakowała nadchodzącej samotności. Bez niego Ashton przerażał pustką; nie mogła spać, bo dziecko było nad wyraz ruchliwe i mocno dawało jej się we znaki.

Wizyty doktora Banksa w ogóle się nie spodziewała.

- Tylko żeby panią zbadać - powiedział wesoło.

Sprowadziła go Lily. Martwiła się o Alice. Jej pani nie jadła i źle wyglądała. Lily nie była dopuszczona do tajemnicy, o czym doktor wiedział, ale zbliżała się pora, kiedy stanu pani Vandekar nie da się już dłużej ukrywać. Alice przyznała to niechętnie.

Wysłuchał bicia serca dziecka i oświadczył, że wszystko jest w porządku; zaniepokoił go mizerny wygląd Alice. Zganił ją, że zbyt dużo pracuje, czemu zaprzeczyła.

Przy okazji podzielił się dobrą wiadomością: telefonował kolega z Princess Mary. Od niego dowiedział się, że porucznik Armstrong przeszedł z powodzeniem badania lekarskie. Nie przyznano mu oczywiście A1, ale wypadł na tyle dobrze, by móc podjąć niezbyt trudne zadania. Na pewno ją to ucieszy, bowiem wielce przyczyniła się do odzyskania przez

porucznika zdrowia. Alice przyznała, że to naprawdę wspaniałe wieści, i natychmiast pomyślała, że jeżeli Banks zostanie jeszcze minutę, ona wybuchnie płaczem.

*

- Mam nadzieję, pani Vandekar, że przyłączy się pani do nas dziś wieczorem.

Starszy stopniem, chociaż młody wiekiem - miał dwadzieścia sześć lat - oficer RAF-u był dowódcą eskadry. Kiedy wracali po bombardowaniu Zagłębia Ruhry, wyskoczył na spadochronie z samolotu nad Morzem Północnym. Dostał cztery rany postrzałowe i nabawił się zapalenia płuc, przebywając dwie godziny w lodowatej wodzie, zanim zabrał go samolot ratownictwa morskiego. Spędził w Ashton trzy miesiące i w końcu uznano, że może wrócić do służby. Wytypowano kilku młodych mężczyzn, mogących szykować się do odjazdu. Niektórym zmieniono kategorię zdrowia, innym przyznano niezdolność do służby i przeniesiono ich do rezerwy. Kiedy Alice dowiedziała się o wysokości rent wojskowych, była przerażona. Przed wojną za równowartość rocznej zapomogi inwalidzkiej kupowała nową suknię wieczorową.

- Planujemy wydać na pani cześć małe przyjęcie - powiedział kapitan. - Chcieliśmy, żeby to była niespodzianka, ale tutaj nie da się niczego utrzymać w tajemnicy. A zatem, czy zaszczyci nas pani swoją obecnością podczas kolacji?

- Będę zachwycona - powiedziała Alice. - To bardzo miło z waszej strony. Ale, doprawdy, ja nie zasługuję, by wydawać przyjęcie na moją cześć.

Miał radosny śmiech.

- Ależ tak! Chłopcy nie chcą wyjechać bez podziękowania pani. Z całą pewnością ja nie chcę. A zatem około siódmej?

- Dobrze, będę - odparła Alice czując, że jednocześnie chce jej się i śmiać, i płakać.

Wyglądał tak śmiesznie młodo, a pozornie pełnym animuszem zachowaniem usiłował zagłuszyć cierpienie, które odczuwał po stracie trzech członków załogi. Alice poznała tę drugą stronę medalu, kiedy go tu przywieziono. Nauczył się płakać na jej ramieniu. Teraz ona chciała się wypłakać na jego, ponieważ straciła Nicka, którego dziecko w sobie nosiła. Ale uśmiechnęła się i raz jeszcze mu podziękowała mówiąc, że to będzie cudowna zabawa. Zawahał się na moment. Dostrzegła, jak na policzki wypływa mu rumieniec.

- Czy mogłaby pani włożyć dla nas coś szczególnie eleganckiego, *madame*? Chłopcy byliby zachwyceni... gdyby to pani nie sprawiło kłopotu...

- Oczywiście, zrobię tak - odparła Alice. - Znajdę coś specjalnego.

Lily pomogła jej wybrać wieczorową suknię, jeszcze z przedwojennej kolekcji. Była jasnoniebieska, ściśle przylegająca do ciała - na moment Alice wpadła w panikę,

przypomniawszy sobie, jak szybko jej stroje stawały się nieprzydatne, kiedy była w ciąży z Fern. Na szczęście, suknia na nią pasowała.

- Wygląda pani jak swoje własne wspomnienie, *madame* - pochwaliła ją Lily.

Była piękna, bez dwóch zdań. Nigdy nie wyglądałaby brzydko, nawet gdyby ubrała się w stary worek po ziemniakach, pomyślała z dumą Lily. A jakie ma cudowne włosy. Pokojówka uczesała je, ułożyła i znalazła wielki kwiat ze sztucznego jedwabiu, którym z tyłu ozdobiła fryzurę.

- Teraz - powiedziała - może pani iść!

Problem polegał na tym, że Nick nie wrócił. Tydzień przedłużył się do dziesięciu dni, a przez ostatnie trzy nawet nie zatelefonował. Dlatego pani wyglądała tak mizernie - ze zmartwienia i tęsknoty za nim. Były takie chwile, że choć Lily lubiła porucznika Armstronga, to ze względu na dobro pani uważała, że byłoby lepiej, gdyby nie wrócił. Zbyt wiele jej zabrał. Żaden mężczyzna nie był tego wart.

Kuracjusze zgromadzili się w holu na dole i kiedy Alice zeszła ze schodów, powitali ją spontanicznymi okrzykami radości. Dowódca eskadry podszedł do niej i ujął jej dłoń.

- Dziękuję pani - powiedział, wykonując elegancki, lekki ukłon. - Wygląda pani zniewalająco. Lotniczy błękit, czyż nie?

- Najbliższy temu kolor, jaki mogłam dobrać - przyznała.

Znalazł się nawet szampan, Bóg wie gdzie zdobyty, i zaczęto wznosić toasty za nią, za personel w Ashton i za samą posiadłość.

- Zawsze będziemy pamiętać o tym domu - powiedział jeden z obecnych. - Proszę nigdy nie pozbywać się go, dobrze?

- Nigdy - obiecała Alice. - Musicie odwiedzić nas i zobaczyć, jak będzie wyglądał po wojnie!

Rozległy się entuzjastyczne okrzyki. Szybko wypła dwa kieliszki szampana, co bardzo poprawiło jej samopoczucie. Stała się ożywiona i nabrała rumieńców; chłopcy przepychali się, by z nią porozmawiać. Potem ktoś poprosił o ciszę, ale to nie młody kapitan zabrał głos, tylko tylny strzelec pokładowy, który ocalał mając poparzenia trzeciego stopnia rąk oraz tułowia. Wracał do cywilnego życia, jak to nazywał.

- Pragniemy za wszystko podziękować - oświadczył. - Nigdy pani nie zapomnimy, a ponieważ jesteśmy zarozumiałymi syfoniarzami, jak pani zapewne wiadomo - jego słowa na moment zagłuszyła kaskada śmiechu - nie możemy dopuścić, by pani o nas zapomniała. Chcielibyśmy więc, by pani to od nas przyjęła.

Prezent był zawinięty w papier i przewiązany wstążką; odpakowawszy go zobaczyła

grupową fotografię w ładnej, srebrnej ramce, na której wygrawerowano napis: „Pani Vandekar, od chłopców. Lipiec 1942”. Dwudziestu mężczyzn, stojących w dwóch rzędach, wszyscy uśmiechający się do niej. Dwadzieścia nazwisk napisanych po obu stronach fotografii. Popatrzyła na zdjęcie, a potem na nich.

- Postawię je na swoim biurku - powiedziała - i codziennie rano będę na nie patrzeć. To znaczy, że codziennie rano pomyślę sobie o was. Daliście mi prawdziwy skarb. Dziękuję wam.

Dla wielu z nich była to chwila na zawsze zatrzymana w czasie; podczas gdy inne wspomnienia wyblakną, widok Alice, stojącej w niebieskiej sukni u podnóża wysokich schodów, pozostanie w pamięci wielu z nich. Utrwaliła go, odwracając się i wbiegając na górę z fotografią, którą ścisnęła w dłoniach, jakby nie ufała, że jej uśmiech przetrwa tę próbę. Na górze czekała na nią Lily. Nie traciła czasu.

- Telefonował - powiedziała. - Przyjeżdża jutro rano.

- Och! - Alice usiadła na łóżku; nadal trzymała zdjęcie.

Na kilka chwil zupełnie o nim zapomniała. Kilka chwil. Była ósma wieczorem. Przez cały ów czas żyła niezależnie od tego, co robił i gdzie przebywał. Otoczył ją odmienny rodzaj miłości, której smutek był do zniesienia, a duch nie słabł.

- Popatrz, co mi podarowali. - Podała Lily fotografię. - Ma inskrypcję i wszyscy się podpisali. Czy to nie najwspanialsza rzecz, jaką mogli zrobić? Mieli szampana, a biedny Gerry Pitman wygłosił na koniec małe przemówienie. Wzruszające. Musiałam uciec albo bym się rozplakała, Lily.

- Równie dobrze mogła pani to zrobić - padła odpowiedź. - Podejrzewam, że wielu z nich ukradkiem wycierało oczy. Mówiłam pani, że porucznik jutro wraca.

- Tak, mówiłaś - potwierdziła Alice. - Jakie odniosłaś wrażenie - czy u niego wszystko w porządku? Banks mówił, że został zwolniony ze szpitala trzy dni temu. Dlaczego zatem nie przyjechał do domu? Albo nie zatelefonował?

Nagle poczuła się znużona. Znużona i przygnębiona.

- Wiesz, że wraca do służby? - spytała.

- Da sobie radę, proszę się nie martwić. - Lily skinęła głową. - Tak będzie lepiej dla niego.

- Ale nie dla mnie - odparła Alice.

- Ci odjeżdżają, ale przybędą następni. Będziemy miały mnóstwo roboty, *madame*.

Alice wyjęła z włosów niebieski kwiat. Na razie nie zamierzała mówić Lily, że jest w ciąży. Ale stało się inaczej. Możliwe, że za sprawą wypitego szampana. Albo na skutek

silnych emocji, wywołanych przez pożegnalne przyjęcie. Spojrzała na Lily i wyznała:

- Będę miała dziecko.

Czekała na zaskoczenie tamtej lub na wymówkę, że nic jej nie powiedziała. Lecz Lily przyjęła jej wyznanie bez emocji.

- Wiem, *madame*.

- Skąd, na litość boską?

- Ponieważ panią znam - padła odpowiedź. - Zauważyłam, że wygląda pani inaczej - na twarzy, mam na myśli. Coś było na rzeczy i uświadomiłam sobie, że powodem jest oczywiście *to*. Nie wymiotowała pani, ale wyglądała tak samo, jak podczas ciąży z panienką Fern. Mam nadzieję, że tym razem cieszy się pani, *madame*. Pan Hugo z pewnością będzie rad.

- Dziecko nie jest Hugona - powiedziała Alice bezbarwnym tonem. - I cholernie dobrze o tym wiesz.

Lily zaczęła rozwieszać jej sukienkę i układać na krześle koszulę nocną oraz szlafrok, a pod spodem ustawiła białe, satynowe pantofle.

- Musi pani napisać do pana Hugona. Ucieszy się bez względu na to, gdzie teraz jest - powiedziała.

- Lily! - wybuchnęła Alice. - Nie słyszałaś, co powiedziałam?

Tamta obróciła się i wyprostowała.

- Nie, nie słyszałam - powiedziała z naciskiem. - Nigdy nic nie słyszę. Czy mam napuścić wody do wanny, zanim pójdę spać? Kąpiele pomagają zasnąć, jak mówią.

Alice nie odezwała się. Obserwowała Lily, jak kończyła układanie rzeczy, a potem w łazience odkręcała kurki; do wody wlała pachnącej esencji kąpielowej.

- Nienawidzę tego środka! - krzyknęła. - Nie wiesz jeszcze?

- Zmiękcza wodę - odrzyknęła Lily. - Dodałam tylko kilka kropli. Trzeba utrzymywać skórę w jędrności, gdyż inaczej dostanie pani zmarszczek...

- Och, zamknij się! - zawołała Alice. - Chodź tutaj i wysłuchaj mnie!

Lily przyszła posłusznie.

- Ręczniki położyłam obok, a woda jest w sam raz - poinformowała. - I nie mam zamiaru zostawać i wysłuchiwać nonsensów, *madame*. Czeka mnie jeszcze sporo pracy. Zanim się położę, przyjdę sprawdzić, czy pani czegoś nie potrzebuje.

Skinęła głową i energicznym krokiem wyszła z pokoju. Kiedy wróciła, Alice czytała. Ze swobodnie opadającymi włosami wyglądała bardzo młodo. Odpowiedziała na pukanie Lily.

- Proszę. Och, Lily, dzięki, właśnie zamierzałam zgasić światło.

- Przyniosłam pani szklaneczkę gorącego mleka - powiedziała służąca. - Wybrałam je od nocnej pielęgniarki. Brakuje go w kuchni.

- Dzięki - powtórzyła Alice; pociągnęła łyk mleka, a potem zamknęła książkę i położyła ją obok na szafce. - Wygadywałam bzdury - stwierdziła. - Miałś rację.

- Wiem, że miałam - powiedziała Lily cicho. - I proszę się nie gryźć odejściem Armstronga. Przez cały czas będę się panią opiekowała tak, jak poprzednio.

- Dobranoc, Lily - powiedziała Alice.

Pozwoliła, by użycie jego nazwiska przeszło bez strofowania. Zwierzyła się i zwierzenie nie zostało przyjęte. Lily Parker wskazała jej, co musi zrobić. Zgasiała światło. Jutro zjawi się Nick.

- Będę szczęśliwa - powiedziała na głos. - Wykorzystam czas, jaki nam pozostał. Potem kto wie, co może się zdarzyć?

Zasnęła. Kiedy obudziła się, poczuła dziwną lekkość w sercu. Nic jej nie ciążyło, ponieważ Lily już wiedziała. Ale nigdy by się do tego nie przyznała.

*

Nick dostał siedem dni urlopu.

- Cały tydzień razem - powiedział. - Dlaczego nie mielibyśmy gdzieś wyjechać? Spędzić kilka dni w gospodzie? Zamierzam cię stąd zabrać, Alice. Nie chcę się tobą z nikim dzielić.

- Chciałabym - odparła z głową na jego ramieniu - po prostu spędzać cały dzień z tobą i o niczym nie myśleć.

- Mam pomysł. Znam mały zajazd w West Country. Jeździłem tam kiedyś podczas urlopu. Z przypadkową przyjaciółką, muszę przyznać - uśmiechnął się do niej. - Ale nie myśl sobie, że z Janine.

- Nie myślę o niczym - zaprotestowała. - Nie obchodzi mnie, kto był przede mną. Teraz chcę tam być z tobą.

- Zatem w porządku - uznał. - Bardzo dobrze poznałem właściciela oraz jego żonę. To wspaniali ludzie. Na pewno znajdzie się dla nas miejsce. I, kochanie, mam przydział benzyny, starczy na podróż w obie strony, a nawet żeby objechać okolicę, gdybyśmy chcieli coś zobaczyć. Tam jest bardzo pięknie.

- Gdzie? - drażniła się z nim. - West Country zajmuje spory obszar.

- Poole w Dorset. Tuż za Poole. Mówię ci, gospoda jak z obrazka - ze starymi belkami i mosiężnymi łózkami. Amerykanie uwielbiają to! - Teraz on się z nią przekomarzał.

Roześmiała się.

- Znam podobne miejsca. Nazywają je Scalp Inn. Za każdym razem, kiedy się wyprostujesz, walisz głową o powałę. Idź i zadzwoń, Nick. Zobaczą, czy możemy jechać jutro.

Pocałował ją.

- Nie licz na luksusy - ostrzegł. - Bez bieżącej ciepłej wody i bez oschłej Lily pod ręką.

- Jak się dowie, z pewnością zacznie wybrzydzać, ale jeśli o mnie chodzi, wszystko będzie w porządku - stwierdziła Alice.

Myślała leniwie o tym, jak bardzo czuje się szczęśliwa. Ich rozstanie wydawało się nierealne, jakby mogli przedłużyć ten tydzień w nieskończoność i dzień, w którym odjedzie, miał nigdy nie nadejść.

On także jest bardzo szczęśliwy i lekko mu na sercu. Ma w sobie tyle opiekuńczości. Chciałabym móc powiedzieć mu o dziecku. Czulałabym się lepiej, ale wobec niego nie byłoby to w porządku. Zniszczyłoby nasze szczęście. Ani on, ani ja nie chcemy odpowiedzialności. Pragnę wyjechać z nim na kilka dni i udawać, że nie ma niczego za nami ani przed nami.

- Jest pani pewna, że nie chce, żebym z nią jechała? - powtórzyła Lily pytanie. - Kto będzie opiekował się panią?

- Sama zajmę się sobą - powiedziała Alice zdecydowanie. - Nie jestem jakimś przeklętym imbecylem, jak wiesz. Potrafię odkręcać kurki nad wanną i ubrać się. Dzięki. Przypominam, że jestem już dużą dziewczynką, na wypadek, gdybyś tego nie zauważyła.

- Wątpię, żeby w takim miejscu była wanna - padła odpowiedź. - Czy choćby gorąca woda.

- Więc będę brudna - skwitowała ze złością Alice. - Lily, na litość boską, przestań wszystko psuć. Chcę wyjechać, chcę wyrwać się z domu. Przecież to nie potrwa długo.

Zapewne nie potrwa, uznała Lily. Pomyślała sobie, że z panią wszystko będzie w porządku. Odkąd przyjechał, była dużo żywsza, mniej nerwowa. Wyglądali jak para głupich dzieciaków, roześmianych, trzymających się za ręce i odskakujących od siebie, gdy ktoś nadchodził. Ale nie zawsze dość szybko. Fern zeszła raz po coś na dół, zobaczyła ich siedzących obok siebie na sofie i obrzuciła jednym ze swych najsurowszych spojrzeń. Jej matka śmiała się z tego, ale Lily wiedziała lepiej. Dobrze się stanie, jeżeli wyjadą razem na kilka dni. Zdobyła się na uśmiech i powiedziała:

- Przepraszam panią, *madame*, nie mam zamiaru psuć państwu zabawy, ale skoro jest pani w ciąży, nie chciałabym, by znosiła pani niewygody. Dawniej pani tak nie robiła!

- A zatem należy spróbować - odburknęła Alice. - Da się to znieść i przeżyć kilka dni bez osobistej służącej. Co byś powiedziała, gdybym na przykład zamierzała jechać do Londynu, gdzie co noc są naloty?

- Przygotuję pani rzeczy. - Lily nie dała się wciągnąć w rozmowę. - Powie mi pani, co mam spakować.

Wyruszyli do Dorset w piękny bezchmurny dzień. Gospoda była dokładnie taka, jak opisał ją Nick - mała, z niskim wejściem i bardzo przytulna.

Żyli w zupełnie innym świecie przez pięć cudownych dni. Alice roześmiała się, kiedy zobaczyła małą wannę, z wymalowaną w środku obwódką, oznaczającą maksymalny poziom wody, która niezbyt ciepła ledwie ciekła z kranów. Była to jedyna chwila, kiedy pomyślała o Lily, Ashton czy o czymś z jej prawdziwego życia. Pragnęła, żeby dziecko nie ruszało się w niej i nie przypominało o sobie, i oddawała się Nickowi tak często, jak tego chciał. To daje mu szczęście, przekonywała samą siebie, to jest wszystko, co się liczy. *Nie jestem oburzona ani wystraszona, ponieważ kocham go i mogę wyjść na zewnątrz, opuścić swoje ciało i po prostu ofiarować mu je w prezencie.*

Objężdżali okolicę. Pasją Nicka było zwiedzanie starych kościołów. Alice lubiła patrzeć na niego i bawiło ją, kiedy chodził wkoło, odczytując inskrypcje na nagrobkach.

- Nigdy nie sądziłam, że masz takiego kręcka! Kto chce wiedzieć cokolwiek o jakimś starym facecie, który zakończył swoje życie w 1780 roku czy coś koło tego? Chodź, zobaczmy, czy w wiosce jest gospoda. Jestem jak szklanka tego obrzydliwie zwietrzałego, angielskiego piwa!

- Jesteś zazdrosna o to, że przed 1780 rokiem w Ameryce nikogo nie było - wyszczerzył się.

- Byli - oświadczyła Alice. - Niewiele przedtem, jak stłukliśmy wam tyłki!

Ostatni wieczór spędzili przy zaimprovizowanej kolacji w gospodzie. Siedzieli w rogu sali barowej, gdy Nick powiedział nagle:

- Czy wiesz, co czuję, kiedy myślę o ludziach, którzy przeżyli swoje życie i pomarli w tej samej wiosce?

- Że dostaniesz kręcka? - powtórzyła i zachichotała

Piwo było zwietrzałe, ale w końcu polubiła jego smak.

- Nie, wcale nie. Czuję sens trwania. Rodzaj pewności cyklu życia. Nieważne, co się z nami stanie, zawsze będą ludzie żyjący, pracujący i spędzający swoje życia w miejscach takich jak te. Tak długo, jak będzie trwać Anglia.

Spojrzała na niego. Był zupełnie poważny.

- Będzie trwać - powiedziała szybko. - Zwyciężymy w końcu.

- Tak - ujął jej dłoń i przytrzymał. - Zwyciężymy. Musimy zwyciężyć, prawda? Alice, jak ci się wydaje - mogłabyś mieszkać w takim miejscu jak to?

- Co masz na myśli?

- Czy wydaje ci się bardzo posępne po Ashton?

Odstawiła swoją szklanę.

- Do czego zmierzasz, Nick?

- Proszę cię, żebyś po wojnie odeszła od Hugona i mnie poślubiła.

Do baru podeszło dwóch mężczyzn. Byli to starzy bywalcy, którzy swoją wieczorną pintę piwa zawsze wypijali w tym samym miejscu, i ów zwyczaj nie zmieniał się od lat.

- Dla ciebie oznaczałoby to całkowitą zmianę dotychczasowego życia - ciągnął. - Nie mam pieniędzy. Musiałbym znaleźć pracę i spróbowałibyśmy jakoś się urządzić. Nie byłoby Lily ani tego wszystkiego, do czego od tak dawna przywykłaś.

- Nie dbam o to - powiedziała cicho Alice. - Przez kilka ostatnich dni byłam bardziej szczęśliwa niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Ja także nie mam żadnych pieniędzy. Poślubiłam je, taka jest prawda.

- Pomyślisz o tym? - poprosił. - Żadnych obietnic, żadnych zobowiązań, kochanie. Po prostu zachowaj w pamięci moje słowa.

- Tak - obiecała Alice.

Kiedy wojna się skończy. Kiedy dziecko będzie na świecie, a ona uzyska swobodę wyboru. Kiedy Hugo wróci do domu, a na świecie znów wszystko stanie się normalne.

Następnego ranka Nick wręczył jej zapieczętowaną kopertę.

- Co to jest? - zapytała.

Żadne z nich nie uśmiechało się. Koniec idylli. Spakowane bagaże leżały w tyle samochodu; po drodze do Londynu Nick podrzuci ją do Ashton.

- Coś bardzo osobistego ode mnie dla ciebie - powiedział. - Nie otwieraj koperty, dopóki nie znajdziesz się w domu.

- Nie mam nic dla ciebie - rzekła, usiłując powstrzymać łzy.

- Niczego nie potrzebuję - odparł. - Ciebie przechowuję w swoim sercu.

- Mogę powiedzieć to samo - szepnęła, ale zapuszczał właśnie silnik i nie usłyszał.

*

Stała pod wielkim portykiem w Ashton i machała Nickowi na pożegnanie, zanim samochód skręcił z głównej drogi dziedzińca i zniknął poza drzewami. Patrzyła za nim, ściskając kopertę, aż odbywający rekonwalescencję oficer, który wracał z popołudniowej

przechadzki, podszedł do niej, by się przywitać.

- Dzień dobry, pani Vandekar. Robi się chłodno, nieprawdaż?

- Tak - odparła i poczuła dreszcze. - Rzeczywiście.

Weszła do środka.

Otworzyła kopertę, znajdując w niej niewielki notes. Tej nocy czytała jego wiersze. Pisał o swojej miłości do niej i namiętności, o swojej wędrówce poprzez najgłębszą rozpacz i szukaniu promyka nadziei; w jego słowach i w obrazach było tak wiele radości, siły i dumy, że Alice czytała je nie roniąc łez. Dedykacja: „Dla mojej kochanej, która ciemność zamieniła w światło” zdawała jej się tak piękna jak nic innego w tej małej książeczce.

A potem był list, wsunięty pomiędzy ostatnie strony. Niezbyt długi, napisany podczas ich pobytu w Poole.

„Środa rano. Kochana, nie usłyszysz o mnie przez jakiś czas, ale nie martw się. Wyjeżdżam z Londynu. Jest pewne zadanie, które muszę wykonać, ale obowiązuje mnie tajemnica, dopóki nie zostanie skończone. Kocham cię z całego serca i wierzę, że niedługo będziemy razem. Czekać na mnie, Nicholas”.

„Obiecuj mi - powiedziała wówczas. - Obiecuj mi, że nie pozwolisz, żeby cię tam znowu wysłali”.

To nie była Francja. Nie mogła być. Przecież sam powiedział: „Jestem tam spalony. Aresztowano by mnie w kilka godzin”. Nie złamie swojej obietnicy. Na czymkolwiek polega jego praca, musi być bezpieczny. Nie Baker Street, ale coś bardziej tajnego - dlatego nie będzie się mógł z nią kontaktować. To musi być tak. Chodziła w tę i z powrotem, składając list na coraz mniejsze części, aż zaczął się rwać, czego nawet nie zauważyła. Nie mogli wysłać go do Francji. Zadzwoił telefon. W sekundę znalazła się przy aparacie, mając nadzieję, że może usłyszy Nicka. Dzwoniła teściowa, Beatrice, szlochając do słuchawki. Przez chwilę Alice czuła, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Hugo. Ale to chodziło o Phillipa, jego brata, którego widziała w mundurze lotnika, pijącego szampana podczas ostatniego rodzinnego spotkania. Został zestrzelony podczas akcji w Afryce północnej, zaginiony, prawdopodobnie zabity. Beatrice łamał się głos, mówiła niemal bez związku.

- Alice, Alice, co ja mam robić? Och, mój biedny chłopiec, mój biedny chłopiec...

- Gdzie jesteś - spytała. - Beatrice, gdzie jesteś?

- W Londynie. Zadzwoili do Sussex i przeczytali mi telegram przez telefon. Nie mogę tego znieść! Nie mogę tego znieść!

- Zostań tam - powiedziała Alice. - Nie wracaj do domu. Przyjadę po ciebie. Trzymaj się, postaraj się uspokoić. Będę u ciebie jakoś w nocy, jak sądzę. Wyżebrzę, pożyczę lub

ukradnę benzynę albo przyjadę pociągiem.

Doktor Banks dał jej kartki na paliwo i upierał się, że osobiście ją zawiezie.

- Moja droga dziewczynko - powiedział. - Nie ma mowy, żeby pojechała pani sama, i zapomnijmy o podróży pociągiem. Zdążymy dojechać przed nocą, zabierzemy pani teściową i natychmiast wracamy. Nie chcemy chyba znaleźć się w Londynie podczas nalotu i pozostać tam na noc, prawda? Poza tym, podczas drogi będę mógł zająć się teściową, jeżeli jest w złym stanie.

- Lily! Lily!

Pokojówka usłyszawszy przejmujące wołanie biegiem pokonała schody. Wcześniej była w miasteczku po materiały do szycia. Alice nie spodziewała się jej przed wieczorem.

- Co się stało, madame? O co chodzi? O mój Boże!

Błada Alice opierała się o drzwi.

- Pan Phillip zginął - powiedziała. - Nie, przestań robić zamieszanie wokół mnie - przygotuj pokój dla pani Vandekar. Butelki z gorącą wodą, rozpal ogień, jeśli możesz. Jadę do Londynu z doktorem Banksem i przywieziemy ją tutaj. Nie może zostać sama w tym cholernym domu w Sussex.

- *Madame*, nie sądzę...

Jej słowa wywołały wybuch furii.

- Zamknij się! Zamknij się i przestań się sprzeczać. Natychmiast rób co mówię!

Alice zatrzasnęła drzwi. Lily wiedziała, kiedy była ostro skarcona. Nie miała nawet śmiałości powiedzieć choćby jednego słowa. Odeszła i zrobiła, co jej kazano.

Alice nigdy nie lubiła swojej teściowej. Tolerowały się przez te lata i zgodnie z konwenansem prawły sobie miłe słówka. Jednak Beatrice doceniała siłę psychiczną synowej i instynktownie w tragicznej chwili zwróciła się właśnie do niej. Phillip był ulubieńcem matki; łagodniejszy od Hugona, bardziej agresywnego nawet jako dziecko. Jego śmierć złamała Beatrice, która teraz przepelniona rozpaczą oddała się w ręce Alice.

Alice z wielkim poświęceniem starała się koić jej cierpienie; współczuła tej kobiecie, jednak bez rozumienia bóleści matki po stracie dziecka. Starła się pocieszać i pomagać, zapewnić komfortowe warunki pobytu, dbając szczególnie o to, by teściowa nie pozostawała sama.

Ale Beatrice była zupełnie rozbita; nie jadła ani nie spała, nie czesała się ani nie przebierała. Popadła w apatię. Alice naradzała się z doktorem Banksem.

- Jest bardzo przygnębiona - powiedział. - Niektórzy reagują w ten sposób; szczególnie po śmierci bardzo bliskiej osoby; ona straciła ukochanego syna. Wielka szkoda,

że nie ma tutaj pani męża: Gdyby mógł dostać kilka dni okolicznościowego urlopu, spotkanie z nim byłoby dla matki wielką pociechą. Oczywiście, pani także może pobudzić ją do życia.

- Jak? - natarła na niego Alice. - Na litość boską, robię wszystko, co w mojej mocy. Co jeszcze powinnam uczynić?

- Przede wszystkim powiedziec o wnuku - podsunął. - Sądzę, że to by wiele zmieniło. Przywróciłoby jej poczucie sensu własnego życia, pozwoliło na coś czekać.

Alice nie odpowiedziała. Spoglądał na nią przez chwilę, a potem przeprosił i wyszedł. Było coś dziwnego w tym wszystkim i dotarło do niego mnóstwo plotek, by zacząć się domyślać, co powstrzymuje Alice przed ujawnieniem światu tak radosnego faktu. Bardzo prawdopodobne, że dziecko jest Armstronga, ale to nie moja sprawa - pomyślał Banks. Młodszej pani Vandekar poradził, co jego zdaniem należałoby zrobić. Ale decyzja należała do niej. Miała wystarczająco silną wolę.

Beatrice Vandekar wytarła oczy. Alice usiadła obok niej, a teściowa ujęła jej rękę i mocno ścisnęła.

- Tak się cieszę, moja droga, tak się cieszę - powtórzyła. - Gdyby tylko kochany Phillip był żonaty...

- To dziecko będzie także częścią niego. - Alice stać było na wielkoduszność. - Mały bratanek czy bratanica. Pomyśl także w ten sposób.

- Och, tak, pomyślę - zgodziła się Beatrice. - Cieszę się ze względu na ciebie i Hugona. I jesteś niezwykle dzielna, że zdecydowałaś się na dziecko w tak strasznym czasie. Dziękuję, że mi powiedziałaś, moja droga. Dziękuję ci za twoją dla mnie dobroć.

I znowu zaczęła płakać.

Ale teraz inaczej. Alice wyczuła to i błogosławiła doktora za jego dobrą radę. Beatrice jakby odwróciła się od swego smutku. Niezbyt inteligentna, miała jednak na tyle silne uczucia macierzyńskie, by mogły one pokonać jej żal. Miało się narodzić nowe dziecko. Zapaliła się w niej nadzieja i tliła wątlwym płomieniem. Wytarła oczy i spytała:

- Czy Fern już wie?

- Jeszcze nie - odparła Alice. - Jesteś pierwszą osobą, która się dowiedziała. Nie powiadomiłam nawet Hugona. Najpierw sama chciałam się upewnić.

- To będzie cudowne dla niej - zadumała się Beatrice. - Uszczęśliwi ją mały braciszek czy siostrzyczka. Żywię nadzieję, że dla waszego wspólnego dobra będzie to chłopczyk. Chłopcy są wspaniali, szczególnie dla swoich matek. Mój Phillip zawsze był dla mnie taki kochany.

- Wiem - powiedziała Alice. - Ale teraz musisz się pozbierać. Popadłaś niemal w

chorobę. Jemu na pewno byłoby przykro. Dlatego, Beatrice, powinnaś starać się wrócić do normalności. Musisz spróbować już od dzisiaj.

- Będę się starać - powiedziała teściowa. - Chodźmy do Fern i powiedzmy jej o tym.

- Przyrowadzę ją zaraz, by posiedziała z tobą przez chwilę - poddała Alice. - Ja muszę załatwić parę spraw na dole. Zaczekaj tutaj, a ona przyjdzie niebawem.

*

Fern wyjęła blok do rysunków. W porze herbaty miała do odrobienia zadanie domowe, ale to było już skończone. Wróciła po spędzeniu godziny ze swoją babcią, która cały czas płakała, pociągała nosem, i próbowała ją tulić. Cudowne wieści, moja kochana, cudowne wieści, będziesz miała braciszka lub siostrzyczkę.

Obok stała matka, bardzo ożywiona, powtarzająca jak echo po tej głupiej starej babce: „To będzie przyjemne dla ciebie, to ktoś, z kim będziesz się mogła później bawić”.

Mówiła przez nos, czego Fern nienawidziła, ale ton jej głosu nie brzmiał tak przymilnie i słodziutko, jak babki. Żeby tylko tatuś był tutaj. Przepadł jednak na wieki, zostawiając ją z tymi kobietami. Z guwernantką, sentymentalną panną Groves, podlizującą się jej matce; z tą wstrętną Lily, która spoliczkowała ją kiedyś, bo była wobec niej niegrzeczna; i z najgorszą ze wszystkich - jej matką, która całowała się z obcym mężczyzną, potem wypierała się tego, i zabierała go na noc do swojego pokoju. Fern wiedziała wszystko na ten temat, ponieważ stała się mistrzem w szpiegowaniu. Skradała się po domu, podsłuchując pod drzwiami i śledząc ludzi, którym się zdawało, że są sami. Wyobrażała sobie, że jest niewidzialna, jak przenikający przez ściany duch z baśni.

A teraz wyskoczyły z tą okropną niespodzianką i powiedziały, że powinna być z tego powodu szczęśliwa.

- Nie jestem - powiedziała na głos. - Będę go nienawidzić. Nie chcę mieć ani brata, ani siostry.

Narysowała na kartce z bloku koło, jako zarys twarzy, oznaczyła kropkami oczy i kreską usta, a potem zajadłe pokreśliła wszystko ołówkiem.

- Będę cię nienawidzić - obiecała ponownie.

Od Nicholasa nie było ani słowa wiadomości. Minął tydzień, potem drugi. Odczytywała bez końca jego wiersze oraz wystrzępiony list, jakby przez to znajdował się bliżej niej. I był bezpieczny. Często ogarniało ją przerażenie. Dwukrotnie telefonowała do pułkownika Wallace'a, by usłyszeć, że Nicka nie ma w Londynie i jest nieosiągalny. Alice czuła, że jest to wymówka. Nie uległa pokusie, by pojechać do Londynu i nieoczekiwanie wpaść do biura Wallace'a. Nick mógłby się zezłościć, gdyby posunęła się tak daleko. Czekala

więc trapiąca zmartwieniami i bezsennością.

Przez pięć miesięcy, dzięki starannemu ubiorowi, udawało jej się ukrywać swój odmienny stan. Podczas ciąży z Fern bardzo wczesnie zrobiła się gruba. Do Ashton przybyło piętnastu nowych pacjentów i Alice miała pełne ręce roboty. Pewnego popołudnia wyszła na spacer z młodym pilotem w stopniu oficerskim, który został postrzelony w nogę i kuśtykał o lasce. Za kilka tygodni powinien być całkiem zdrowy i pełen nadziei mówił o powrocie do latania. Dla jego własnego dobra Alice miała nadzieję, że nie wróci.

- Sądzę, że wypuściliśmy się dosyć daleko - powiedziała. - Jeżeli jutro będzie ładny dzień, zabiorę pana do różanego ogrodu. Ale nie wolno panu forsować nogi.

Uśmiechnął się do niej. Ale z niej cwaniara, pomyślał. Sprawia, że czujesz się lepiej tylko dzięki temu, że z tobą rozmawia. Bardzo wiele pisał o niej w listach do domu, oczywiście zasmucając swoją narzeczoną. Nie było nic złego w tym, że trochę się podkochiwał w pani Vandekar. Tak naprawdę niemożliwe było nie kochać się w niej. Noga go bolała, ale musiał chodzić. Jak długo szła wraz z nim, nie czuł tego.

Zobaczyła samochód RAF-u zaparkowany na podjeździe. Za kierownicą siedziała kobieta z Żeńskiej Służby Pomocniczej Lotnictwa Królewskiego. Pomogła swemu podopiecznemu pokonać stopnie prowadzące do wejścia, a kiedy weszli do holu, podeszła do nich kobieta z Ochotniczego Towarzystwa Niesienia Pomocy Rannym.

- Dzień dobry. Miał pan miłą przechadzkę? Pani Vandekar, ktoś chce się z panią widzieć. Czeka w saloniku.

- Och, dziękuję pani - odpowiedziała Alice z trudem łapiąc oddech, a potem pobiegła, kierowana jedyną myślą: wrócił Nick, to musiał być on.

Obok kominka stał pułkownik Wallace z rękami założonymi do tyłu. Alice jak porażona zatrzymała się w progu. Odchrząknął. Zanim zdążył przemówić, zapytała:

- Co się stało z Nickiem?

Podszedł do niej. Nic nie mogła wyczytać z jego twarzy.

- Proszę wejść i usiąść, pani Vandekar - powiedział łagodnie. - Obawiam się, że mam złe wieści.

Zrobiła się tak blada, że wyciągnął rękę, by ją podtrzymać. Alice odsunęła ją.

- Nie żyje? To pan ma na myśli? Nie żyje, czy tak?

- Tak - odparł Wallace. - Dlatego osobiście przyjechałem, by pani powiedzieć. Do publicznej wiadomości zostanie to podane dziś wieczorem. Wiem, jak wiele pani dla niego zrobiła i jak bardzo był pani oddany. Nie chciałem, żeby dowiedziała się pani o tym z dziennika.

Podeszła do krzesła i usiadła na nim. Nie żyje. Nick nie żyje. Słyszała tamtego, jak mówił:

- Nic pani nie jest?

A potem jej własny głos, odpowiadający mu:

- Nie, w porządku. Niech mi pan powie. Niech mi pan powie, co się stało...

Przysiadł na skraju sofy. Dzięki Bogu, że pani Vandekar nie załamała się i nie straciła nad sobą panowania. W takich sytuacjach czuł się bezradny. Ale był to winien Armstrongowi. Armstrong wymógł na nim obietnicę, że jeżeli stanie się coś złego, Wallace zobaczy się z nią. Ponownie odchrząknął.

Chciała na niego krzyknąć, ale to mogło tylko splątać mu myśli.

- Wysłał go pan z powrotem, prawda? - spytała. - Nigdy nie było dla niego pracy przy Baker Street?

- Byłaby - odparł - gdyby mu się powiodło. Tylko on jeden potrafił to zrobić, rozumie pani? Nie mógł wrócić do aktywnej działalności nigdzie w okupowanej Francji, to było oczywiste... Ale w grę wchodziła misja specjalna. Proszę pozwolić mi najpierw wszystko wyjaśnić, zanim przeskoczy pani od razu do konkluzji.

Przed sześcioma tygodniami dostaliśmy wiadomość, że gestapo zamierza przenieść z Lyonu do Paryża grupę więzionych członków Ruchu Oporu. Był to pierwszy etap ich wędrówki na aleję Focha. Wśród nich znajdowało się dwóch bardzo ważnych alianckich agentów. Żaden nie zdołał popełnić samobójstwa przed aresztowaniem. Posiadali bardzo ważne informacje, pani Vandekar. Wiedzę, która mogłaby zrujnować lata naszej mrówczej pracy we Francji, gdyby Niemcy wydobyli od więźniów zeznania. A w końcu by wydobyli. Ci ludzie musieli zostać ocaleni.

Przerwał na chwilę.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeżeli zapalę?

Potrząsnęła głową, kiedy i ją chciał poczęstować. Potem mówił dalej:

- Zorganizowaliśmy nalot bombowy na więzienie w Lyonie. Bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, lot na niskim pułapie, dokładne celowanie. Naszym zamiarem było wysadzenie w powietrze głównego muru spacerniaka i precyzyjne trafienie bombami w część budynku, co umożliwiłoby więźniom ucieczkę. Właśnie dlatego Nick był niezbędny. Znał to więzienie, sam w nim siedział. Wiedział dokładnie, w co należy mierzyć i - co ważniejsze - gdzie absolutnie nie wolno. Inaczej usiłujący zbiec więźniowie zostaliby zabici. Może sobie pani wyobrazić, jaką propagandową wartość dla Niemców miałby fakt, gdyby Francuzi uwierzyli, że przylecieliśmy tam i z rozmysłem pozabijali ich ludzi, żeby nie mogli niczego

zdradzić?

Miał nadzieję, że coś powie, ale nie odezwała się ani słowem.

- Nick stanowił klucz do całej operacji. Kiedy została mi ona zlecona, wiedziałem, iż nie możemy próbować bez niego. Kiedy był w Princess Mary, wyjaśniłem mu, czego od niego chcemy. Oczywiście, nie mógł nikomu o niczym powiedzieć przed zakończeniem misji. Wsiadł do prowadzącego samolotu i dzięki niemu akcja uwieńczona została całkowitym sukcesem. Więzienie zbombardowano i większość francuskich więźniów uciekła; w tym dwóch naszych agentów. Tragedia polega na tym, że straciliśmy jeden samolot wraz z załogą. Prowadzący bombowiec został zestrzelony. Rozbił się za Lyonem i nikt nie przeżył.

Zamilkł na chwilę. Siedziała nieruchomo, pogrążona we własnych myślach; nie znajdował słów współczucia. Spróbował jednak.

- Był jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem - powiedział. - Chciał to zrobić. Widzi pani, on nigdy do końca nie wybaczył sobie faktu, że się załamał, kiedy go torturowali. Nie był pewien, ile powiedział i kto przez niego ucierpiał. Ta misja stała się dla niego okazją do odbycia pokuty. Tak uznał. Wiedział, że szansa na szczęśliwy powrót jest niewielka, ale chciał lecieć. Musi pani w to uwierzyć.

Alice spojrzała na niego.

- Wierzę. Dobrze znałam Nicka. Także i pan go znał, kiedy z naręczem kłamstw przyjechał pan tutaj do nas obojga. Nie żyje i jest bohaterem. Mam nadzieję, że może pan z tym żyć. A teraz, czy mógłby pan odejść?

- Pani Vandekar... - zaczął, ale przerwała mu.

- Proszę wyjść. Niech się pan wynosi z mojego domu, jeżeli ma pan choć trochę przyzwoitości...

Zamykając za sobą drzwi zauważył, że spuściła wzrok na ziemię i zaczęła płakać.

Straciła poczucie czasu. Płakała aż do kompletnego wyczerpania i opadłszy na podłogę zapadła w litościwy sen. Obudziła się późno, pokój pogrążony był w mroku.

Nick nie żył. Samolot został zestrzelony i nikt nie ocalał. Alice podniosła się powoli. Zapaliła lampę i opadła bezwładnie na sofę. Ten pokój, widoczny niewyraźnie w miękkim blasku pojedynczej lampy, ten piękny pokój stał się sceną jej największej tragedii miłosnej. Miejsce, w którym wyciągnął do niej ramiona i powiedział: „Kocham cię”. Alice miała wrażenie, że jej życie zaczęło się i skończyło w tym pomieszczeniu. Nic, co miało miejsce przed tamtą chwilą, nie wydawało się realne, nic nie będzie rzeczywiste teraz, pomyślała. Zamknięte koło. I tak krótko. Jakież krótki czas, żeby się dowiedzieć, co to znaczy być kochaną, i poznać, co to znaczy utracić tę miłość na zawsze.

Najwyższe natężenie szoku i smutku już minęło. Teraz pozostał szarpiący ból, który pozostanie na długo. Siedziała tak, aż za oknami zrobiło się zupełnie ciemno i poczuła chłód. Wstała, zgasiła światło i zamknęła drzwi pokoju. Dochodziła dziewiąta. Przypomniała sobie, co powiedział. „Zostanie podane do publicznej wiadomości dziś wieczorem. Nie chciałem, żeby usłyszała to pani w wiadomościach...” Poszła na górę, nie zatrzymując się obok drzwi Lily. Nie chciała jej widzieć; nie chciała widzieć nikogo. W pokoju miała radio. Leżała na łóżku, słuchając. Szczegóły śmiałego rajdu lotniczego na więzienie gestapo w okupowanej Francji zostały zwolnione do podania do publicznej wiadomości. To samo powiedział jej Wallace. Próba ucieczki zakończyła się wielkim sukcesem. Tragiczny los brytyjskiego agenta, który kierował prowadzącym bombowcem. Podali jego nazwisko; odczuła to niczym cios. Od jak dawna, zastanawiała się, był martwy, podczas gdy ona odczytywała jego list oraz wiersze, myśląc że jest żywy, i czekała na wiadomość, która nigdy nie miała nadejść.

- Byliśmy sobie tak bliscy, kochanie - powiedziała Alice na głos. - Dlaczego nie poznałam, że coś się stało... „Noszę cię w sobie”, powiedziałeś. Czy nie jest dziwne, że niczego nie poczułam? Powinnam była to wiedzieć.

- *Madame.* - W drzwiach stanęła Lily. - Właśnie usłyszałam wiadomości.

Zawahała się, jakby nie mając śmiałości wejść.

- Tak - powiedziała Alice. - Wiem o tym od popołudnia. Pułkownik Wallace przyjechał tutaj i powiedział mi, zanim nadano to przez radio. Nie żyje. Co ja mam robić, Lily? Co mam teraz robić?

- Dbać o siebie - padła szybka odpowiedź. - Tego by chciał. Kochał panią, Bóg wie, że tak, ale on nie żyje, a pani jest tutaj. I dziecko, o którym trzeba pomyśleć... Nie powinien był odchodzić - stwierdziła nagle - zostawiając tak panią...

Głos jej się załamał, jakby zdławiony płaczem.

- Nie wiedział o dziecku - cicho odezwała się Alice. - Prosił mnie, bym po wojnie odeszła od Hugona i wyszła za niego. Chciałam to zrobić, naprawdę!

Lily wysiadała nos.

- To nie fair w stosunku do pani - oświadczyła. - Tyle pani zrobiła dla nich wszystkich. To po prostu nie w porządku. Jak mówię, albo Boga nie ma, albo nie powinien pozwolić, by tak się stało!

Alice odwróciła się i zamknęła oczy. Była zmęczona. Biedna Lily też to przeżyła. Usiłowała pomóc swej pani, krzątała się wokół niej, próbowała jakoś ulżyć w cierpieniu. Alice nie chciała jej zranić, ale nie mogła tego znieść.

- Lily - powiedziała. - Chciałabym zostać sama. Tylko teraz. Jutro poczuję się lepiej,

ale nie chcę nikogo koło siebie tej nocy. Więc idź do łóżka i zostaw mnie. Jesteś kochana.

- W porządku, *madame*. W porządku.

Alice wiedziała, że kiedy służąca wyjdzie, będzie płakać. Leżała na łóżku całkowicie ubrana, a jej myśli poczęły dryfować w nieznanne. Dziecko kopnęło ją i dotknęła tego miejsca jedną ręką, pozwalając jej tam spoczywać. Jego dziecko. Mężczyzny, którego kochała. Nie potwierdzenie pozbawionego miłości związku z Hugonem, jak Fern, ale dziecko, które jest jego częścią, żyjącą w niej, przenoszącą go w następne życie. Zasnęła.

*

To była upalna jesień. Trawniki w Ashton pobrązowiały, a powietrze stało się duszne i pełne kurzu. Dziecko rosło w niej, a Alice marniała; po raz pierwszy w życiu czuła się pozbawiona energii, ospała i przygnębiona. Lily tak bardzo się zaniepokoiła, że nadmieniła o tym doktorowi Banksowi, który powiedział, iż pani jest absolutnie zdrowa i kiedy nastąpi zmiana pogody, poczuje się lepiej. Z powodu panującego gorąca mnóstwo kobiet cierpiało na wyczerpanie nerwowe.

Nie ma żadnych powodów do obaw. Nie wspomniał o smutku. Nie musiał tego robić. Lily widziała wiele jej poranków i wiedziała, że Alice płakała przed zaśnięciem.

I nie tylko Lily. Pewnego dnia, kiedy siedziała w swoim pokoju, szyjąc przy otwartych drzwiach, ujrzała wychodzącą z pokoju Alice Fern. Lily przerwała swoje zajęcie. Fern zaczęła oddalać się, idąc niemal na paluszkach. Kiedy przechodziła obok pokoju Lily, ta podeszła i stanęła przed nią.

- A cóż panienka tu robi? Czemu się panienka skrada?

- Przyszłam zobaczyć się z mamą - odparła mała. - Ma wielki brzuch. To dziecko, prawda?

- Tak - odparła Lily nie dbając o to, czy Fern znane są fakty dotyczące powstania ludzkiego życia, czy nie.

- Płakała - oświadczyła Fern.

Obserwowała Lily spod przymrużonych powiek i widziała, jak tamta się wzdrygnęła.

- Czy z powodu zabitego lotnika? Tego, który był tutaj i mama się nim opiekowała?

Lily stała w milczeniu.

- Widziałam w gazecie jego zdjęcie - ciągnął aksamitny głosik. - Wycięłam je i schowałam. Panna Groves powiedziała, że odznaczono go medalem.

Na Lily spojrzały wyblakłe oczy, w których krył się błysk złości. Służąca wyciągnęła rękę i chwyciła ją za ramię. Trzymała mocno, ściskając. Fern zapiszczała.

- Posłuchaj mnie teraz - zasyczała Lily. - Nigdy więcej nie powiesz na temat tego

lotnika ani słowa albo przygotuj się na takie baty, jakich w życiu nie dostałaś! Rozumiesz? Kiedy byłam dzieckiem, mój tata brał pas i lał mnie, a teraz ja spuszczę lanie tobie. Lepiej trzymaj gębę zamkniętą na kłódkę!

Jeszcze raz ścisnęła ją mocno za ramię, a potem odepchnęła od siebie.

Fern cofnęła się, ale - ku zaskoczeniu Lily - nie odwróciła się na pięcie i nie uciekła. Była bardzo blada, a po jej policzkach płynęły łzy.

- Nienawidzę cię - powiedziała. - Pewnego dnia to ja ciebie zbiję...

Potem, szlochając, pobiegła w stronę schodów i do pokoju dzieciennego.

- Mała suka - mruknęła Lily i poszła pomóc Alice.

Telefon ze Stanów Zjednoczonych był do Lily. Alice odpoczywała; była bardzo gruba i cierpiała mocno z powodu bólów kręgosłupa. Już niedługo, dzięki Bogu. Miejmy nadzieję, powiedziała Lily do siebie, że będzie miała lekki poród, nie taki jak pierwszy.

Spodziewała się tego telefonu.

- Pani Holmes Fry? Dzień dobry pani. Tak, bardzo dziękuję. Nie, w tej chwili śpi.

Nastąpiła przerwa, w czasie której mówiła matka Alice. Lily raz czy dwa powiedziała „tak” i skinęła głową, a potem rzekła:

- Och, to będzie dla niej wielką pociechą. Naprawdę. Nigdy wcześniej nie pisałam do pani, ale tak bardzo się o nią martwiłam! Zabije mnie, kiedy się o wszystkim dowie, ale nic na to nie poradzę. Kiedy? Och, dobrze. Nie, nic nie powiem. Próbowaliby jedynie panią powstrzymać. Wie pani, jaka ona jest. Nie może znieść nikogo, kto robi wokół niej zamieszanie. Tak, dziękuję. Dziękuję bardzo. A więc niebawem się zobaczymy.

Odłożyła słuchawkę.

Dzięki Bogu, powiedziała do siebie. Nadeszła pora, by Alice miała obok siebie kogoś bliskiego, kto byłby teraz przy niej i po urodzeniu dziecka. Stara pani Vandekar jest tyleż przydatna co migrena, pomyślała Lily ze złością. Po tym wszystkim, co Alice dla niej zrobiła, kiedy zginął pan Phillip, mogłaby zejść z obłoków i pozwolić dla odmiany, by synowa wsparła się na niej. To samo, kiedy pani miała zapalenie płuc. Beatrice straciła głowę, podnieciła się, goniła wokoło i wyjechała. Dzięki Bogu, że pani Holmes Fry przyjeżdża. Lily dobrze wiedziała, jak zareaguje Alice, dowiedziawszy się, że to jej sprawka. Nieważne, pomyślała ze stoickim spokojem. Postąpiłam słusznie.

*

Alice czytała w swoim saloniku, kiedy ktoś otworzył drzwi. Podniosła wzrok, spodziewając się Lily z herbatą. Straciła poczucie czasu, a dziecko nie kopało ani nie wierciło się od lunchu. Istotnie zobaczyła Lily, tyle że bez tacy; w wyrazie jej twarzy odmalowały się

jednocześnie poczucie winy i triumf.

- Ma pani gościa - zaanonsowała i usunęła się z drogi.

Alice upuściła książkę. Myślała, że śni.

- Mamo! Mamo, nie wierzę w to!

Phoebe podeszła do niej i zatoneły w objęciach.

- Kochanie - powiedziała ściskając córkę. - Kochanie, jak się masz? Pozwól, niech ci się przyjrzę...

- Skąd się tu wzięłaś? - domagała się wyjaśnień Alice.

Brakowało jej tchu, ogarnęła ją wielka radość.

- Pan Am. Mieli lot przez Lizbonę. Musiałam użyć swoich wpływów, żeby dostać się na pokład, ale było to bezpieczniejsze niż drogą morską - wyjaśniła matka.

- Bezpieczniejsze? Mamo, oni zestrzelują także i cywilne samoloty! Boże, po prostu nie mogę uwierzyć. Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

- Chciałyśmy, żeby to była niespodzianka - odparła Phoebe.

- My, to znaczy kto? - spytała Alice cicho.

- Lily i ja - powiedziała Phoebe. - Ale nie bądź na nią zła. Sama nigdy byś mnie nie poprosiła, prawda?

Alice wyglądała na niezadowoloną.

- Nie - stwierdziła. - Z pewnością nie pozwoliłabym ci się narażać na takie ryzyko!

Poczuła, jak jej spokój diabli biorą, i nagle wybuchnęła.

- Jak ona śmie?! Jak śmie podejmować na własną rękę takie decyzje?

W odpowiedzi na zmianę jej nastroju dziecko energicznie dało o sobie znać, co jeszcze bardziej rozzłościło Alice.

- Ty, tam w środku, zamknij się - powiedziała ostro. - Po prostu zamknij się. Miarka się przebrała - wyrzucę tę kobietę... Och, mamó, mamó, tak się cieszę, że przyleciałaś!

Kiedy Lily zjawiła się z herbatą dla nich obu, Alice spoczywała w objęciach Phoebe, która uśmiechnęła się do Lily ponad ramieniem córki. Alice odezwała się stłumionym głosem:

- Lily, dostajesz tygodniowe wypowiedzenie, słyszysz mnie?

- Tak, *madame* - potwierdziła Lily, i zwróciła się do Phoebe: - Z mlekiem i cukrem?

*

Dziecko urodziło się w Ashton w zimne, grudniowe popołudnie. Poród nastąpił szybko i przebiegł bez komplikacji. Obecny był doktor Banks.

- Ma pani synka - powiedział. - Gratuluję. Ładny, zdrowy chłopak.

Potwierdził to głośny płacz i Alice uśmiechnęła się.

- W każdym razie płuca ma w porządku. Mogę go potrzymać?

Akuszerka położyła dziecko w zagięciu jej ramienia; Alice spojrzała na nie. Nadal była jeszcze pod działaniem środków znieczulających, które podano jej w końcowym stadium porodu.

- Jest piękny - szepnęła.

- Blondyn - stwierdził Banks. - Jak pani.

Nie wiedział, jakie włosy ma major Vandekar. Odrzucił tę myśl. Chłopiec był silny, zdrowy, a matka przeszła przez to wszystko bez zbyteńnego dyskomfortu. Narodziny napępiały go zawsze radością. Spojrzał na nich dwoje, zadowolony i spokojny, uśmiechnął się. Od dawna nie praktykował już w tej dziedzinie, bowiem musiał się zająć zszywaniem poszarpanych ciał ofiar wojny. Czuł się szczęśliwy, że znów dane mu było przeżyć fascynujące doświadczenie, jakim zawsze jest zaistnienie na świecie nowego życia; uważał nawet, że to go wewnętrznie odmładza.

Phoebe przekazała dobrą nowinę personelowi oraz pacjentom. Zrobili zbiórkę na kwiaty dla Alice. Pod koniec tygodnia przyjechała Beatrice i wiadomość o narodzinach syna została przekazana Hugonowi za pośrednictwem Ministerstwa Wojny. Odpowiedź dla Alice przetrzymali, aż dziecko skończyło dziesięć dni, a ona sama była w stanie wstać z łóżka. Major Vandekar przebywał w szpitalu polowym w pobliżu Trypolisu po tym, jak został ranny. Wiadomość dla niego została przyjęta i tak szybko, jak tylko będzie w stanie to zrobić, major prześle odpowiedź.

Znajomości są wielką pomocą, nie ma co do tego wątpliwości. Starzy przyjaciele z dobrych przedwojennych czasów zajmowali teraz wysokie stanowiska i Alice nie miała oporów przed tym, by do nich zatelefonować. Nie odczuwała wyrzutów sumienia z powodu wykorzystywania ich pozycji czy kontaktów.

- Dlatego że jakieś biedne kobiety czekają, by się czegoś dowiedzieć, nie znaczy, że i my musimy - upierała się. - Jeżeli Hugo został ranny, natychmiast chcę wiedzieć, jak to się stało, gdzie został kontuzjowany i jakie są rokowania. Beatrice, właściwie nic jeszcze nie wiemy, a płacz w niczym nie pomoże.

Jest zdumiewająca, pomyślała jej matka. Złe wieści zdają się wydobywać z niej energię.

- Byłabym głupia, gdybym zadowoliliła się taką informacją i czekała, aż jakiś idiota spod Trypolisu przyśle mi wiadomość. Jeżeli Hugo jest ciężko ranny, musi zostać przywieziony do domu. A ja znam ludzi, którzy pomogą mi sprawę załatwić.

Ale nie dało się tego zrobić. Nawet jej wpływy, pochlebstwa oraz upór nie były w stanie pokonać wojennej biurokracji i przed określonym czasem wydostać Hugona ze szpitala. Stracił lewą nogę ponad kolanem. Kiedy to usłyszała, zapłakała gorzko. Nad nim, nie nad sobą. Miała ukochane dziecko, zdrowie, siłę ducha i odnalazła cel życia. On na zawsze pozostanie kaleką. Najgorsza rzecz, jaka mogła spotkać tak dumnego i aktywnego człowieka. Żałowała go, poszukując jednocześnie w rysach dziecka podobieństwa do Nicka. Pewien ślad w wyrazie buzi, kiedy dzieciak rósł, grymas podczas zaraźliwego śmiechu; nic więcej. Był jasnowłosy jak słońce, z jej niebieskimi oczyma. Stanowił obraz jej samej.

Na chrzcie otrzymał imiona Richard Phillip. Beatrice uznała, że jest dokładnie taki sam jak jej zmarły syn, kiedy był w tym samym wieku i Alice zdecydowała, że powinien nosić jego imię; chciała sprawić radość Beatrice. Była głupia i irytująca, ale budziła litość swoją bezradnością. Przeciwności losu okradły ją ze wszystkiego, co dawało jej siłę. W swym smutku z powodu nieszczęścia, które dotknęło Hugona, przyłgnęła do Alice. Wnuki stanowiły jej jedyną pociechę. Była oddana Fern i zupełnie zwariowana na punkcie chłopca.

Podobnie jak wszyscy. Nawet Lily, która wobec Fern okazywała surowość i zniecierpliwienie, prześcignęła obie babcie w poświęcaniu się malcowi.

- Pan Hugo będzie zachwycony, kiedy go zobaczy - dodała z mocą. - Jest cudowny, zawsze uśmiechnięty. Łatwo odzyskać siły, kiedy ma się takiego syna.

Znając ją dobrze, Alice powiedziała tylko:

- A dlaczego miałby nie być zachwycony?

- Będzie cię kochał - zapewniała swego małego synka. - Będzie dla ciebie cudownym ojcem, a ty mu wynagrodzisz jego nieszczęście; jestem przekonana.

Pocałowała puszystą główkę i uściskała go.

Miał sześć miesięcy, kiedy Hugo wrócił do Ashton. Do holu wszedł obcy człowiek, zbolały, podpierający się laską. Przez moment on i Alice patrzyli na siebie, ale zanim się ruszyła, Fern pobiegła naprzód z płaczem i otoczyła go w pasie ramionami.

- Kochanie! - Alice pośpieszyła do niego. - Kochanie, witaj w domu.

Pomiędzy nimi stała Fern, mocno do niego przytulona.

- Alice - powiedział. - Jak się masz? Zaczekaj, kochanie, pozwól mamie i tacie się przywitać...

Obejmowała go, a on ją. Pocałował tylko Fern. Zdusiła w sobie zazdrość i rozczarowanie. Czy nie wiedział, ile trudu włożyła, by go tu ściągnąć? Nie wiedział, jak wiele bóleści przeżyli z jego powodu? Jego matka, biedna stara kobieta, oraz Phoebe, która przed powrotem zięcia nie chciała wracać do domu i szła teraz do niego z miłym uśmiechem na

twarzy, mówiąc:

- Drogi, drogi Hugo, dzięki Bogu, że bezpiecznie dotarłeś do domu...

To przekłete dziecko nadal go ścisnęło, trzymając za rękę, podczas gdy drugą kolejno obejmował ich wszystkich.

- Lily - powiedziała Alice, nie zauważając, że w jej głosie pojawia się ostry ton. -
Przynies tutaj Richarda. Kochanie, to jest twój syn.

Musi go zaakceptować, powtarzała sobie w duchu. Musi zobaczyć, jaki z niego cudowny chłopak, i uwierzyć, że ma upragnione dziecko, o które ją błagał, zanim wyjechał na wojnę. Od tego będzie zależała przyszłość Richarda. Dla chłopca zawsze on będzie jego prawdziwym ojcem. Kiedy Hugo patrzył na dziecko w ramionach Lily, zdawało się to trwać wieki; w końcu odezwał się:

- Jest bardzo do ciebie podobny, Alice. Będzie przystojny, kiedy dorośnie.

Chciała wziąć dziecko od Lily i powiedzieć do Hugona: „Masz, potrzymaj go”, ale nie zrobiła tego.

- Uważam, że jest także podobny do ciebie - odparła. - Beatrice się zaklina, że jest obrazem Phillipa, kiedy ten był dzieckiem. Też miał jasne włosy, prawda?

Lily podeszła do niego.

- Chce pan go potrzymać, sir?

Trzymał dziecko raczej niezgrabnie. Richard wydał z siebie gulgotzący, zaraźliwy śmiech. Hugo uśmiechnął się powściągliwie.

- Miły mały facet - stwierdził.

- Tatusiu, tatusiu. - Fern ponownie ciągnęła go za rękę. - Narysowałam dla ciebie piękne obrazki; wszystkie specjalnie pokolorowane. Chodź i zobacz, proszę...

- Oczywiście, przyjdę. - Spojrzył na nią i uśmiech stał się cieplejszy.

- Ale jeszcze nie teraz. Alice, zabierz lepiej chłopca - podał jej dziecko.

Alice wiedziała, jak bardzo pragnęła tego Fern.

- Dobrze być w domu - powiedział. - Bardzo dobrze wszystko prowadziłaś, Alice.

W końcu zostali sami. Kolacja ciągnęła się; Beatrice wspominała Phillipa, a Fern starała się zwrócić na siebie uwagę ojca. Hugo uparł się, że powinna zostać z nimi i towarzyszyć im. Phoebe zdawała się nie zauważać niczego; była zbyt prostolinijna, by dostrzec wrogość, kryjącą się poza fasadą radości z powodu jego powrotu do domu. Alice, która zrobiła spustoszenie w ogrodzie warzywnym i zużyła miesięczną rację mięsa, by przygotować tę uroczystą kolację, czuła się ignorowana. Przez całe miesiące, aż do dzisiaj, wyobrażała sobie jego powrót. Czasami z przerażeniem lub z nadzieją na nowe, wspólne

życie. Bardzo się zmieniła - z pewnością teraz byłoby im łatwiej ze sobą żyć. Mieli syna, to była przyszłość. Wojna zmierzała do pomyślnego końca, ale Hugo nie był tym samym mężczyzną, który od niej odszedł. Nie był tym złym, zranionym mężem, który odwrócił się od niej i znalazł pocieszenie w ramionach innej kobiety; mężczyzną tak rozpaczliwie w niej zakochanym, że błagał ją o to, co z mocy prawa mu się należało. Nie był tym mężem, który wyjechał na wojnę, zostawiając jej liścik z miłosnym wyznaniem. Ten mężczyzna nie wrócił.

Po kolacji przeszli do jej saloniku. Kilku rekonwalescentów, skupionych wokół radioodbiornika, siedziało w wielkim holu. Uśmiechali się do Alice. Wiedzieli, kim jest ten mężczyzna, posługujący się protezą nogi. Szczęśliwym skurwysynem, który wraca do takiej kobiety... Phoebe była pierwszą, która przeprosiła, że odchodzi. Pochyliła się nad swoim zięciem.

- Dobranoc, Hugo. Jestem trochę zmęczona. To był bardzo szczęśliwy dzień.

Rozumiejąc aluzję, Beatrice podążyła za nią. Kiedy go obejmowała, jej oczy zamglily się.

- Dzięki Bogu, że chociaż ty mi zostałeś - powiedziała.

Fern uwiesiła się na nim.

- Dobranoc, tatusiu. Obiecuj mi, proszę, że jutro obejrzysz moje obrazki.

Alice straciła cierpliwość.

- Już wystarczy. Dawno minęła pora, kiedy powinnaś znaleźć się w łóżku, więc bądź grzeczna i idź prosto do panny Groves, dobrze?

- Tak, mamusiu.

Pełen wyrzutu wzrok spowodował, że Alice poczuła się winna.

- Bardzo się cieszę, że wróciłem - powiedział Hugo.

- Wszyscy się cieszymy - odparła Alice i o Fern już nie rozmawiali.

- Dobrze być w domu - powtórzył; wyprostował się w fotelu, starając się przybrać wygodną pozycję.

Alice dostrzegła grymas bólu.

- Nadal boli?

- Czasami. Nie jest tak źle. Mam nadzieję, że kiedyś przyzwyczaję się do tego. Zapomniałem, jaki to uroczy pokój. Śmieszne, że wszystkie dobre rzeczy przyjmuje się za oczywiste. Osiągnięcia cywilizacji, w postaci przyzwoitego fotela czy drinka w szklaneczce, a nie w blaszanym kubku. Takie detale.

Wyglądał na bardzo znużonego, więc Alice powiedziała:

- Kochanie, chcesz drinka? Trochę twojej ulubionej brandy? Przyniosłam ją specjalnie

dla ciebie.

- To bardzo miło z twojej strony - odparł. - Sądzę, że kieliszek przed snem dobrze mi zrobi.

Wstała i naląła mu sporą porcję. Przez chwilę ogrzewała pękaty kieliszek pomiędzy dłońmi. „Miło z twojej strony”. Jakby zwracał się do obcej osoby. Nie zrobił tego celowo, przekonywała się. Był ciężko ranny, stracił kontakt z przeszłością. Podała mu kieliszek i usiadła blisko niego.

- Przeżyłeś straszne chwile, Hugo - odezwała się. - Ale postaraj się zrozumieć, że to już naprawdę minęło. Jesteś teraz w domu, a ja chcę ci powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwa i czuję wielką ulgę. Kochanie, uwierz mi.

- Wierzę - odparł.

Pociągnął łyk brandy.

- Prawie się nie zmieniłaś. Ciągle usiłowałem sobie wyobrazić, jak będziesz wyglądała, kiedy wrócę. Nie, żebym wierzył, że tak się stanie. Pamiętam, że po wybuchu miny, przez jedną rozciągniętą w nieskończoność sekundę myślałem, że to już koniec. Ale nie. Straciłem tylko część nogi. W porównaniu z cierpieniami innych ludzi moje było jeszcze do zniesienia. Nazbyt dużo ofiar, to jest problem. - Pociągnął kolejny, głębszy łyk.

Zdawał się mówić do siebie.

- Nie tylko naszych, ale także i Niemców. Wszyscy zabici są do siebie podobni. Zapominasz, kto jest wrogiem. Myślisz: „Chryste, ile on miał lat?” I ci ranni w szpitalu. Ale rozumiesz to, prawda, Alice? - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Opiekujesz się tutaj ludźmi, którzy zostali poparzeni, okaleczeni czy doznali diabelnych wstrząsów psychicznych... Co się w końcu stało z Nicholasem Armstrongiem?

Odczuła to tak, jakby nagle zacisnął dłoń w pięść i uderzył ją.

- Wyzdrowiał - odparła, a jej twarz zapłonęła. - Potem pracował dla twojego przyjaciela Jamesa Wallace'a i został zabity.

- Przykro mi - stwierdził Hugo. - Byłaś mu bardzo oddana, prawda?

- Tak, sądzę, że tak. Dlaczego pytasz? Z pewnością pisałam ci o nim, był w końcu twoim protegowanym.

Wie, pomyślała. Wie o Nicku. Widzę to w jego oczach, kiedy na mnie patrzy. Ale proszę, Boże, tylko nie o synu...

- Słyszałem, że został twoim kochankiem - powiedział. - Jest jeszcze trochę brandy? Sam bym sobie nalął, ale po dzisiejszym dniu ten cholerny kulas jest mocno obtarty.

- Podam ci. - Wstała szybko, napełniając kieliszek do jednej trzeciej wysokości i sama

pociągając solidny łyk.

- Myślałem, że nie znosisz koniaku. Zawsze tak twierdziłaś.

- Zmieniłam zdanie - odparła. - Proszę.

Zapaliła papierosa. Czas do namysłu; na decyzję, czy podjąć wyzwanie i powiedzieć prawdę - jeżeli właśnie jej oczekuje. Albo pozwolić, aby ta chwila przeminęła. Nie mogła zrobić nic więcej. Dla dobra Richarda; poczętego tutaj, w tym pokoju.

- Wojna to mały świat - odezwał się. - Upiję się, żeby łatwiej mi poszło. Pamiętasz doktora Fergusona? Lekarza, który był tutaj na początku?

- Rudowłosy Szkot? Tak, pamiętam. Wyrzuciłam go stąd.

- Tak też mówił - przyznał Hugo. - Skierowano go do szpitala polowego. Czyż to nie zdumiewający zbieg okoliczności? Został ciężko ranny. Był w ambulansie, który znalazł się pod ostrzałem artyleryjskim. Usłyszał, jak się nazywam, i zaczął mnie wołać. Leżał na sąsiednim łóżku.

„Pańska cholerna żona, powiedział, chciałem wysłać jej kochanka do domu wariatów; tam, dokąd przynależał...” Był, oczywiście, półprzytomny. Majaczył i jęczał, aż zemdlął. Później umarł.

Odczuła nagły spokój.

Żadnej paniki, tylko wypływająca powoli na powierzchnię złość.

- No cóż, nie spodziewaj się po mnie, że będzie mi przykro. Zachował się haniebnie. Sam zapracował na to przeniesienie.

- Tak sądzę. Chciał rzucić cień na twoją reputację. Chyba pójde się położyć. Możesz to wziąć? Dziękuję bardzo.

Poszli powoli, co dla niego było bolesne, w górę po schodach i do ich pokoju.

- Kiedy skończy się wojna - powiedziała - zainstalujemy windę.

- Wtedy nie będzie mi potrzebna - odparł. - To tylko kilka miesięcy, zanim człowiek przyzwyczai się do protezy.

Lily przeszła samą siebie. Uzbierała kwiaty z przekwitłych klombów i ustawiła je na toaletce. Na kominku płonął ogień z drewna, gdyż na użytek domowy brakowało węgla. Ich nocne stroje ułożone były po obu stronach łóżka. Hugo usiadł na nim ciężko.

- Potrzebna ci moja pomoc? - spytała. - Jak wiesz, nie mam nic przeciwko temu.

- Ale ja mam - odparł. - To nie jest miły widok, kiedy się odczepia nogę. Mogłabyś wyjść do łazienki i poczekać, aż cię zawołam? Nie potrwa długo.

Przez chwilę Alice ogarnęła słabość, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Hugo... - zaczęła. - Och, Hugo, tak mi strasznie przykro...

- Z powodu czego? Mojej nogi?

- Wszystkiego. Wynagrodzę ci to, obiecuję.

- Nie przejmuj się - rzekł. - Zawsze robiłaś co w twojej mocy. Cieszę się z naszego syna. Fern potrzebowała brata.

Alice zamknęła drzwi łazienki i oparła się o nie. „Naszego syna”. Dzięki Bogu przynajmniej za to. Przykro mi, Nick, mój kochany, ale on nigdy nie może dowiedzieć się prawdy. Niech myśli o nas, co mu się żywnie podoba, ale nic nie może zranić Richarda. Hugo stałby się bezlitosny, gdyby podejrzewał, że...

Usłyszała jego wołanie i otworzyła drzwi. Leżał już pod kołdrą. Podeszła i wsunęła się do łóżka obok niego. Owładnął ją dawny, chłodny lęk; strach, że chociaż jest kaleką, mógłby chcieć jej dotknąć. Sięgnął do wyłącznika.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Taki zmęczony, że mógłbym spać przez cały rok. Dobranoc.

Tej nocy zostały określone zasady przyszłego wspólnego życia.

*

Hugo zaczął nazywać chłopca Richard Phillip. Czasami Alice miała wrażenie, że czepiał się urojonego podobieństwa do zmarłego brata, ale napominała siebie w myślach, że to tylko reakcja jej nieczystego sumienia. Chodził do pokoju dzieciennego i mówił, że Richard Phillip to wspaniały mały facet, ale chłopiec nigdy nie zdobył jego serca. Najwięcej czasu spędzał z Fern; chwalił jej rysunki, uczył słuchania uwielbianej przez siebie muzyki klasycznej i osobiście nakręcał gramofon, podczas gdy ona siedziała sztywno i obserwowała go, pragnąc, by tylko na nią zwracał uwagę. Była bardzo zazdrosna o swojego małego braciszka, chociaż gruchała do niego i bawiła się z nim, kiedy był tam Hugo.

Lecz Alice nie dała się oszukać. Uściski były nazbyt serdeczne i zawsze potem dziecko zaczynało płakać. Raz zaskoczyła Fern w pokoju dzieciennym, kiedy ta szczypała wściekle Richarda sądząc, że nikt nie widzi. Alice podeszła i odepchnęła ją. Nic nie powiedziała, tylko dała jej tak siarczyście po uszach, że tamta aż usiadła. Zapowiedziała młodej piastunce, że Fern nigdy nie może zostać sama z dzieckiem.

*

Richard Phillip obchodził swoje trzecie urodziny w świecie, w którym zapanował pokój. Odbyło się skromne przyjęcie; nie tak wystawne jak te organizowane dla Fern, kiedy była malutka. Kilkoro miejscowych dzieci i żadnych nianieek w ich schludnych uniformach. Nie w wielkiej jadalni, udekorowanej zwieszającymi się z żyrandola balonikami, z długim stołem przykrytym olśniewająco białym obrusem i zastawionym tortami, galaretkami oraz

małymi kanapkami. Skromny poczęstunek, jak określiła Alice, żartując z niewielkiego tortu i potraw „rodem z herbatki towarzyskiej”. Małe przyjęcie odbyło się w pokoju śniadaniowym, przy współdziałaniu Hugona, Fern, obu babci i kilku berbeci z sąsiedztwa, usadzonych dookoła stołu. Malec opromieniał wszystkich swoim jasnym uśmiechem i próbował zdjąć świeczki ze swego tortu, zamiast je zdmuchnąć. Alice patrzyła na niego z dumą. Był jej skarbem i radością. Uwielbiała zabierać go na spacer w ogromnym, niemodnym wózku Fern, i pokazywać różne rzeczy.

Ashton bardzo powoli wracał do życia. I chociaż świat był teraz inny i nie przypominał tego sprzed wybuchu wojny, kiedy wydała swój ekstrawagancki bal na pożegnanie pokoju, fortuna Hugona nie ucierpiała przez te lata. Stał się on nawet bogatszy. Towarów było mało, ręk do pracy jak na lekarstwo, ale dużo pieniędzy na pokonanie owych trudności, więc energia oraz determinacja Alice działały już cuda. W przyszłym roku nie będzie tak jak teraz, myślała patrząc na swojego syna. Za rok zrobię wielkie przyjęcie, takie jakie miała Fern lub większe. A pewnego dnia będziesz także miał Ashton. To zawsze napawało ją radością. Dom, który kochała, przypadnie komuś, kogo uwielbiała ponad wszystko na świecie. Synowi Nicka.

Hugo dobrze się przystosował do swoich ograniczeń. Wrócił do polowania - skromnego polowania - ponieważ czas wielkich łowów w Ashton przeminął. Nie było gajowych, drzewa wycięto na opał, zniknęły ptaki. Ale wszystko to wróci do poprzedniego stanu, w swoim czasie. Tak uważała Alice. Hugo jeździł do banku w Londynie i zostawał w małym mieszkaniu, które za kilkaset funtów udało mu się kupić przy Eaton Square. Zatrudniono służącego, byłego żołnierza, dzięki czemu Hugo miał dobrą opiekę, kiedy przebywał poza domem.

Alice przyjeżdżała czasem, przywożąc ze sobą chłopca i Lily. Nie chciała zostawiać synka pod czyjąkolwiek opieką. Nadal zatrudniano piastunkę, ale to Alice kąpała go, nadzorowała posiłki dziecka i wszędzie zabierała je ze sobą. W końcu, ku swej wielkiej uldze, mogła się pozbyć Fern, wysyłając ją do szkoły z internatem.

- Co to jest - powiedziała pewnego razu do Lily - że ona doprowadza mnie do szału?

- Bo specjalnie tak się zachowuje - padła odpowiedź. - Wszystko, co czyni, jest celowym irytowaniem pani. To nie jest pani wina.

- Czasami czuję się taka nikczemna. Wiem, że jest okropnie zazdrosna o Richarda, ale kiedy tak się wdzięczy do ojca, doprowadza mnie tym do szaleństwa... Powinnam być dla niej miłsza, Lily.

- Może pani, jeśli chce - Lily wzruszyła ramionami - ale to będzie strata czasu.

Hugonowi brakowało córki. Kiedy odprowadzali Fern, był wyraźnie przygnębiony.

- Mam nadzieję, że nie będzie zbyt tęsknić za domem - zauważył.

- Myślę, że nie - powiedziała Alice - ale musi przez to przejść. Ja przechodziłam - płakałam, ale wkrótce porwał mnie wir szkolnego życia i zupełnie zapomniałam o domu.

- Bez wątplenia, ale Fern nie jest do ciebie podobna - powiedział tylko i nie odezwał się przez resztę powrotnej drogi do Ashton.

Zaskoczył Alice, kiedy oświadczył, że zamierza zająć się polityką.

- Chcesz kandydować w wyborach do parlamentu? - spytała gapiąc się na niego. - Ale jak to zrobisz? Danbourne zajmuje swój fotel od dwudziestu lat. Dynamitem by się go stamtąd nie wysadziło! Nigdy nie wybiorą innego kandydata zamiast niego. Poza tym, chyba już za późno.

- Nie zamierzam walczyć o jego miejsce - zaprzeczył. - Zostałem wybrany na rezerwowego kandydata w Południowym Londynie. Jest tam silny przedstawiciel laburzystowski, a dawny członek torysów odszedł na emeryturę. Wystawiono nawet kandydata komunistycznego. To powinno być interesujące.

- Zostałeś wybrany i nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego, Hugo?

- Ponieważ ty, moja droga Alice - powiedział cicho - kierowałabyś każdym moim krokiem. I w końcu oni wybraliby ciebie, a nie mnie.

- niesprawiedliwie mnie oceniasz - zaprotestowała. - Bardzo lubię pomagać, przecież wiesz. Czuję się naprawdę zraniona.

Wstała od stołu.

- Nie bądź niemądra. - Gestem ręki wskazał, by usiadła. - Nie myślałem tak. Pragnąłem odnieść sukces na własną rękę. I chciałem zabezpieczyć się na wypadek porażki. Postaraj się to zrozumieć.

- Mimo wszystko, nie rozumiem - odparła Alice.

Polityka. Zdumiewające, że zdecydował się na to.

- Nie masz dosyć zajęcia w banku?

- Niezupełnie. Nie jestem tak zainteresowany robieniem pieniędzy, jak kiedyś.

- Nie musisz być. Masz ich tyle, że same się mnożą.

- Chcę czegoś więcej. Pozycja Anglii zmienia się. Tak bardzo, że coraz trudniej nadążać za zmianami i rozumieć je. Jestem przekonany, że na początek będziemy mieli laburzystowski rząd.

Alice spojrzała na niego z przerażeniem.

- Niepodobna! Chcesz powiedzieć, że ludzie pozbędą się Winstona po tym wszystkim,

co dla nich zrobił?!

- Tak. Był odpowiedni do starego porządku. Ci wracający do cywilnego życia mają całkiem odmienne poglądy. Wojsko wiele mnie nauczyło. Chcą tego, co wywalczyli, i nie sądzą, by dostali to od takich ludzi, jak my.

- Och, doprawdy? Więc od kogo?

Wygadywał nonsensy. Bzdury, upierała się ze złością.

- Usunąć Churchilla? Wybrać laburzystowski parlament?

- Nie wiem - odparł. - Dlatego nie jestem w Partii Pracy. Uważam, że mają mnóstwo dobrych pomysłów i parę bardzo złych. Poczekamy, zobaczymy. Przy okazji, gdybyś chciała mi pomóc w kampanii wyborczej, członkowie mojego okręgu wyborczego byliby zachwyceni. Jednak musiałabyś rozstać się z synem. Nie wiem, jakie jest twoje zdanie w tej kwestii.

- Wezmę go ze sobą - oświadczyła Alice. - Będzie zdobywał głosy.

Miała rację. W czasie kampanii wyborczej pani Vandekar, z małym synkiem w ramionach, stała się niezwykle popularną postacią. Zdobywała zwolenników, przemawiała, zasiadała na trybunach obok Hugona i przytulała do siebie dziecko, by przypodobać się wyborcom.

„Chcę przyzwoitego świata, w którym by wzrastał mój syn” - zdeklarowała podczas mitingu, a prasa przekazała dokładnie każde jej słowo.

„Nie dostanie tego z laburzystami”, stało się hasłem Hugona.

Wygrał nieznaczną większością głosów. Jego wrogowie, a podczas kampanii narobił sobie ich wielu w łonie swej własnej partii, rozpowiadali dookoła, że zawdzięcza wybór żonie. Jeśli nawet Hugo słyszał te komentarze, ignorował je.

*

Zanim Alice mogła spełnić złożoną sobie obietnicę, kiedy chłopiec był jeszcze bardzo mały, Richard Phillip miał swoje siódme urodziny. Teraz Ashton został przywrócony do swej dawnej świetności. Obsadzono rozległe ogrody, które cudownie mieniły się barwami kwiatów, a żywopłoty zostały przycięte do swego dawnego, geometrycznego kształtu. Koszono i pielęgnowano trawniki, które wyglądały jak angielska wełna, a Alice namówiła Hugona na kupno kolekcji osiemnastowiecznych rzeźb ogrodowych, które pokazały się na rynku, kiedy rozparcelowano - za nie spłacone podatki - pewną słynną posiadłość. Wnętrze domu zostało odnowione i ostatnie ślady jego wojennej przeszłości zniknęły. Wszystko, co pozostało, to fotografia w srebrnej ramce z dedykacją: „Dla pani Vandekar. Od jej chłopców. Lipiec 1942”; stała na biurku, tak jak im obiecała.

Za jej namową, Hugo kupował obrazy. Wiele rodzin zmuszonych było do wyprzedawania wartościowych rzeczy, z powodu wysokich podatków i nieprzyjaznego klimatu wokół starego porządku bogactwa oraz przywilejów.

- Masz swój cholerny laburzystowski rząd - protestowała Alice. - Ładne rzeczy. Chciałabym wiedzieć, co oni sobie wyobrażają?!

- Nie przeszkadza ci to w zdobywaniu cennych dzieł sztuki - odparł.

Ich ostatnim nabytkiem był wspaniały Van Dyck, specjalnie do biblioteki.

- Co w tym złego, że je posiadamy? - natarła na niego. - W końcu zostają w Anglii.

- Tak, oczywiście - wykpiwał ją łagodnie. - Jestem pewien, że kieruje tobą czysty patriotyzm. Nie zapomnij powiedzieć o tym Winstonowi, kiedy nadarzy ci się taka okazja.

- Nie martw się, nie zapomnę - rzuciła Alice przez ramię.

I rzeczywiście, zrobiła to. Kiedy Churchill następnym razem odwiedził Ashton, powtórnie objął urząd premiera.

Siódme urodziny jej syna przeszły swą wystawnością wszystko, co przed wojną urządzano na cześć Fern. Ta sama wielka oprawa, dwa tuziny chłopców w czystych ubrankach wyjściowych oraz dziewcząt w ładnie plisowanych sukienkach, a po herbacie występ prestidigitatora w bibliotece. Richard Phillip zdmuchnął swoich siedem świeczek i pokazał, jakie ma eleganckie maniere, wszystkim grzecznie dziękując, nie wdając się w bójki z żadnym z chłopców ani nie dokuczając dziewczynkom. Jest doskonały, pomyślała Alice z dumą; a poza tym jaki będzie przystojny, kiedy dorośnie. Wszyscy tak mówili. Jaka szkoda, że Hugo nie może być tutaj, ale z ramienia parlamentu został osobistym sekretarzem nowego ministra rolnictwa. Kupił swojemu synowi zegarek. Od Alice Richard dostał kolejkę, rower i wędkę. Ojciec obiecał, że podczas wakacji nauczy go łowić ryby w jeziorze. Alice postanowiła mu przypomnieć. Pozostał zaledwie jeden cenny rok, zanim Richard zostanie wysłany do kolejnej angielskiej instytucji - do szkoły. Straci go po jego ósmych urodzinach. Żadne prośby czy argumenty nie poruszały Hugona.

„Wszyscy chłopcy w tym wieku odchodzą z domu, niektórzy nawet mając siedem lat - brzmiała typowa dla niego odpowiedź, kiedy Alice usiłowała protestować, oburzona barbarzyńskim zwyczajem. Ty natomiast wysłałaś Fern, co nie jest w zwyczaju, jeśli chodzi o dziewczynki. Richard wyjedzie i nie ma o czym mówić”.

Nie chciała o tym myśleć, a już szczególnie nie w tak szczęśliwym dniu. Kiedy przyjęcie skończyło się i pożegnali goście, wzięła syna do biblioteki i zadzwoniła, by przeniesiono jej drinka. W Ashton była teraz kompetentna służba, mniej niż pełna obsada, ale od czasów wojny zajęcie to obarczało szczególne piętno. Mieli jednakże starego,

emerytowanego majordomusa, który był w stanie wyćwiczyć ów surowy materiał, czyli ludzi przychodzących - niechętnie - z biur pośrednictwa pracy; Lily - przyjęta kiedyś jako pokojówka mająca zajmować się garderobą Alice - pełniła teraz funkcję gospodyni. Jednak w dalszym ciągu szycie delikatnych tkanin oraz dbanie o bieliznę osobistą pani należało do obowiązków Lily, która nie mogła temu wszystkiemu podołać.

- Chciałabym się czegoś napić, Thompsonie. Poproszę o wódkę z tonikiem. Richardzie, kochanie, chcesz coś do picia? Lemoniadę?

- Tak, poproszę, mamusiu.

- I lemoniadę - rzuciła Alice. - No, mamy teraz kilka minut spokoju, żebym mogła poleżeć z uniesionymi nogami. Zadowolony jesteś z przyjęcia? Dobrze się bawiłeś?

Uśmiechnął się do niej. Był wylewnym małym chłopcem i lubił, kiedy go obejmowała.

- Cudownie! Dostałem mnóstwo prezentów!

Alice roześmiała się.

- Powinnam teraz powiedzieć: pomyśl o tych wszystkich listach z podziękowaniami, jakie będziesz musiał napisać!

Skrzywił się.

- Zapomniałem o tym. Muszę?

- Tak, musisz. Ale nie dzisiaj. Kto z gości najbardziej ci się spodobał? James Howard wydaje się miłym chłopcem; i ten drugi, jak on się nazywa, wiesz, kochanie, ten w okularach...

- Peter - powiedział syn. - Jest w porządku. Sztukmistrz był bardzo mądry, prawda? Staralem się bardzo, bardzo zobaczyć, jak robił tę sztuczkę z chusteczką, ale nie udało mi się.

Przyniesiono napoje. Alice czuła, że musi się napić. Zabawianie dzieci było bardziej męczące niż dorosłych. Przyjęcie dostarczyło Richardowi wspaniałych emocji. Był bardzo podniecony występami prestidigitatora, który potrafił robić tyle niesamowitych rzeczy. Jest takim wdzięcznym dzieckiem, pomyślała o synku, cieszy się ze wszystkiego. I wcale nie zepsuty, co graniczyło z cudem. Nie dzięki mnie, powiedziała sobie Alice; psułam go jak wszyscy diabli, co - na szczęście - nie zrobiło żadnej różnicy.

- Jest jedna dziewczynka, która dzisiaj nie przyszła - zauważyła. - Córeczka lady Brayley. Ma chore gardło. Zaproszę ją innym razem. Niebawem zamieszkają w naszym sąsiedztwie. Szkoda, że ominęło ją przyjęcie. A teraz pora, żebyś poszedł na górę i wykąpał się. Ja dopiję drinka, a potem przyjdę ucałować cię na dobranoc. Marsz!

Wstał natychmiast.

- Dzięki za urządzenie przyjęcia. Miałem fajną zabawę. Czy tata przyjedzie na noc do domu?

- Nie, nie dzisiaj. Jest bardzo zajęty w tych dniach. Ale zjawi się w piątek.

Jeżeli nie uda się do swojego przeklętego okręgu wyborczego. Przypuszczam, że będę musiała z nim pojechać.

- Bardzo mi się podoba zegarek - powiedział Richard. - I wszystkie inne prezenty. Mam nadzieję, że przyjedzie do domu.

- Przyjedzie - obiecała.

Dopiła drinka i zdjęła jeden pantofelek, który nie był wygodny. Richard uwielbiał Hugona. Alice czasem naprawdę złościło, kiedy jej mąż nie odwzajemniał tego. Bardziej lubił ponurą córkę, która stawała się dorosła i coraz mniej sympatyczna. Na trzynaste urodziny ofiarował jej naszyjnik z prawdziwych pereł.

Nagle, uświadomiwszy sobie własną winę, doszła do wniosku, że, być może, zbyt wiele wymaga. Hugo nigdy więcej nie wspomniał Nicka Armstronga. Ani razu przez niemal siedem lat. Ale on stał między nimi, i zawsze będzie. Była pewna, że jest związany z jakąś kobietą w Londynie, ale nie interesowało jej to na tyle, by dowiadywać się szczegółów. Miała Ashton, syna i niczego więcej nie potrzebowała.

*

- Nie będę się bawić z dziewczyną - protestował Richard.

- Nonsens - stwierdziła Alice. - Mówiłam ci, że ominęło ją twoje urodzinowe przyjęcie, ponieważ była chora, i przyrzekłam jej matce, że zaproszę ją później. Jak byś się czuł, gdybyś przeprowadził się do nowego domu i nie miał nikogo, z kim mógłbyś się bawić?

- Nie obchodzi mnie to - upierał się. - Nie lubię dziewczyn, mamo.

Alice nie zbesztala go, gdyż wiedziała, dlaczego. Dziewczyny oznaczały Fern, która była dużo większa od niego i znęcała się nad nim przy każdej okazji.

- Richardzie, nie mów tak - zganila go łagodnie. - Dziewczęta mogą być zabawne.

Spojrzał na nią swoimi wielkimi oczami i odezwał się z tą zniewalającą szczerością dziecka:

- Fern jest dziewczyną, a jest okropna. Lily mówi, że ona jest jak wrzód na tyłku.

Alice aż otworzyła usta, a potem wybuchnęła śmiechem.

- No cóż, Lily nie powinna tak mówić. Nie wszystkie dziewczęta są takie. Diana Brayley jest mała, ale na pewno bardzo miła. Więc bądź grzeczny i nie szarp jej, bo i tak zauważę, a mogę się na ciebie bardzo rozłościć. Okay?

Na moment zwiesił głowę. Nie znosiła, kiedy musiała być wobec niego twarda. Potem

rozchmurzył się.

- Okay, mamusiu. Kiedy ona ma przyjść?

- W porze herbaty - odparła. - Możecie się potem bawić, kiedy ja będę rozmawiała z jej matką.

Brayleyowie przenieśli się na wieś całkiem niedawno. Było to stare i sławne nazwisko, ale rodzina - utraciwszy w przeciągu poprzedniego stulecia posiadłości oraz pieniądze - musiała wyprowadzić się ze swego olbrzymiego domu w Sommerset, kiedy został zarekwirowany przez wojsko. Z końcem wojny stał się ruiną i byli wręcz zadowoleni otrzymując z Ministerstwa Wojny mizerne odszkodowanie, a dom odsprzedali budowniczemu. Wkrótce zerwał dach, boazerie, wyjął drzwi i kominki, pozwalając, by konstrukcja się zawaliła. Sami kupili dużo mniejszy budynek farmerski w pobliżu Ashton. Alice odwiedziła ich, kiedy się tylko sprowadzili. Lady Brayley okazała się przyjemną, raczej łagodną osobą, wręcz palącą się do zawierania przyjaźni i przerażająco szczerą. Alice nie widziała jej jedynej córki, chociaż Anne Brayley mówiła o niej i miała nadzieję, że pozna inne dzieci z sąsiedztwa.

- Mogę w tym pomóc - oferowała się natychmiast Alice. - Mój syn ma urodziny. Wyślę pani zaproszenie. Musi ją pani przyprowadzić.

Była w holu na dole, kiedy przybyły. Richard rysował coś w pobliżu.

- Chodź, kochanie - powiedziała. - Wyjdziemy je powitać.

Wyszli na najwyższy stopień schodów pod portykiem i Alice po raz pierwszy zobaczyła dziewczynkę.

Słońce zmieniło jej płomiennie rude włosy w ognistą aureolę. Była malutka niczym figurka z chińskiej porcelany. Miała na sobie jasnoniebieski tweedowy płaszczyk z atłasowym kołnierzem, a jej sandaalki były wypucowane do połysku. Wyglądała jak czarodziejka z bajki; spojrzawszy na Alice wielkimi szarymi oczyma, zaszczębiotała:

- Dzień dobry pani.

- Jakie czarujące dziecko - powiedziała Alice, a jej matka uśmiechnęła się.

- Och, niezupełnie. Jest podobna do Billa, wie pani. Od czasu do czasu w rodzinie ujawniają się rude włosy. A to jest Richard? Jak się masz, mój drogi?

Alice była dumna z jego dobrych manier. Ukłonił się i podał uprzejmie rękę. On i mała spojrzeli na siebie krótko, a potem odwrócili wzrok.

- Diano, przywitaj się z Richardem.

Na moment dotknęli swoich dłoni.

- Najpierw proszę na herbatę - powiedziała Alice. - A potem możemy wziąć dzieci do

ogrodów. Jest tam huśtawka i zjeżdżalnia, które ustawiłam dla Richarda. To bardzo miło, że pani przyszła.

Anne Brayley podążyła za Alice przez hol. Szybko zauważyła piękne obicia na ścianach, cenne meble oraz obrazy. Bardzo zamożni, oczywiście. Bill powiedział, że to typowi nowobogacy, ale ona im zazdrościła.

- Wie pani, Diana jest dzieckiem zaplanowanym. Naszego jedyne go syna straciliśmy podczas lądowania w Normandii. Miał za ledwie osiemnaście lat.

- Przykro mi - mruknęła Alice.

Obejrzała się na Richarda, który kroczył w milczeniu obok dziewczynki. Wychować chłopca prawie do dorosłości, a potem stracić go na jakimś cholernym polu bitwy!

- W co chcesz się bawić? - dociekał Richard.

Wiedział, że będzie nudno; była tak małą dziewczynką i patrzyła na niego z głupim wyrazem twarzy.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami.

Skrzywił się. Mama będzie niezadowolona, jeżeli czymś jej nie zajmie.

- Pokuśtam cię - zaproponował. - Chodź.

Była taka mała, że siedząc nie sięgała stopami ziemi; trzymała się sznurów huśtawki, a Richard huśtał ją w przód i w tył, marząc o tym, by zafundować jej naprawdę mocne pchnięcie i zobaczyć, jak leci w górę.

Spojrzała na niego i zasepleniła:

- Mocniej, pchnij mocniej.

Richard wykrzywił się złośliwie. Sama się dopraszała. To nie był jego pomysł.

- W porządku, trzymaj się mocno.

Poleciała w górę wznoszącym się łukiem, wysoko ponad jego głowę. Na chwilę wpadł w panikę, że spadnie. Nie miał zamiaru pchnąć tak mocno. Spodziewał się jej krzyku i spojrzał szybko na matkę, która siedziała rozmawiając z lady Brayley. I nagle usłyszał śmiech; Diana aż bulgotała z radości. Był tak zdumiony, że zapomniał o kolejnym pchnięciu i huśtawka opadała wciąż niżej i niżej. Dziewczynka miała zaróżowioną buzię, promieniejąca zadowoleniem.

- Jeszcze - powiedziała. - Jeszcze proszę.

Richard nachmurzył się. Był przestraszony i czuł zakłopotanie, gdyż ona nie widziała, że to jest niebezpieczne.

- Nie - powiedział. - Zejdz. Zsiadaj.

- Nie mogę - odparła.

Podszedł i opuścił ją, pozwalając spaść z pacnięciem na ziemię.

- Kochanie! - zawołała Alice. - Pobawcie się z Dianą piłką. Leży tam, obok zjeżdżalni.

Widziała incydent z huśtawką i wstrzymywała oddech, aż dziewczynka znalazła się bezpiecznie na ziemi. Szczęściem Anne Brayley nie zauważyła niczego. Była pochłonięta wyliczaniem wygod życia w przyzwoitym domu po latach skoszarowania w Sommerset.

- Jakim cudem jesteście w stanie ogrzać taki wielki dom? - zapytała. - My zawsze marzyliśmy w zimie. Na kolację schodziliśmy w płaszczach.

- Nie mogłam się z tym pogodzić - odparła Alice. - Amerykanie nie znoszą zimnych domostw. Dobrze, że mój mąż ma podobne zdanie. Wiele zrobiliśmy w Ashton przed wojną, a naprawdę skuteczny system ogrzewania był moim oczkiem w głowie. Jak się pani czuje w tej okolicy? Miejscowa społeczność jest bardzo towarzyska. Spodziewam się, że już to pani poznała?

- Rzeczywiście, ludzie są bardzo mili. Dostaliśmy mnóstwo zaproszeń. Problem w tym, że Bill, mój mąż, nie przepada za rozrywkami. Tak marudzi, że połowę przyjemności zawsze diabli biorą.

- Zatem musicie państwo przyjść do nas - stwierdziła Alice. - Zwykle podczas weekendów nasz dom jest pełen gości. Mąż ma wielu znajomych ze świata polityki, a ja łączę ich z moimi przyjaciółmi. Podczas wojny przeżywaliśmy takie smutne czasy, nieprawdaż? Sądzę, że należy się nam nieco zabawy - trzeba nadrobić stracony czas.

- To byłoby miło - entuzjazmowała się Anne Brayley. - Bill zawsze zrzędzi, ale jestem pewna, że ucieszy go państwa zaproszenie.

- A zatem zajrzę do swego kalendarza i zatelefonuję do państwa - obiecała Alice. - Zrobiło się już chyba zbyt chłodno jak dla dzieci, nie uważa pani?

- Czyżby? Tak, przypuszczam, że tak. Bill mówi, że robię za dużo zamieszania dookoła Diany. Twierdzi, że powinna być traktowana nieco ostrzej. Muszę mu ciągle przypominać, że ona nie jest chłopcem. - Roześmiała się dosyć nerwowo.

Alice wstała i zawołała dzieci. *Chłopiec, też coś.* W całym swoim życiu nie widziała bardziej agresywnej kobiecości niż ta, którą miała w sobie owa filigranowa dziewczynka. Rzadko też miała okazję widzieć dzieci piękniejsze od swego syna i córki Brayleyów; patrzyła na nie w ogrodzie w późnowiosenne popołudnie, jak biegły do niej przez park.

4.

- Nie chcę żadnego przyjęcia - zaprotestowała Fern. - Nie chcę debiutować w towarzystwie i nie zamierzam tracić czasu z głupimi dziewczynami albo na tańcach. Proszę, tato, wiesz, że jestem zdecydowana iść do szkoły plastycznej. Możesz porozmawiać o tym z mamą? Proszę!

Hugo poklepał ją po ramieniu. Była niemal wzrostu Alice, chociaż brakowało jej wdzięku i smukłości. Mocno ją kochał; łączyły ich więzi tego rodzaju, których oboje nie potrafiliby opisać. Możliwe, że najistotniejszą rolę odgrywało wspólne przekonanie, że Alice ich nie kocha. Często analizował ich wzajemne stosunki. Cud polegał na tym, iż teraz i on nie kochał Alice. Swoje wyzwolenie zawdzięczał Fern.

- Spróbuję, lecz nie obiecuję. Wiesz, kochanie, że powinnaś być jakoś wprowadzona w towarzystwo. Tego się wszyscy spodziewają.

Poruszyła się niecierpliwie.

- Och, tato, już nie! Teraz jest inaczej. Nienawidzę głupich prezentacji. Naprawdę nienawidzę. A jeśli nie odniosę sukcesu, rozumiesz, mama będzie rozczarowana.

Hugo objął ją ramieniem.

- Twoja matka pragnie tylko, byś poznała nowych przyjaciół. Jest taką ekstrawertyczką, że nie może zrozumieć, iż ciebie to nie cieszy. Sama była wielką gwiazdą towarzystwa, więc wyobraża sobie, że chyba każdy ma takie marzenia.

- Nie jestem gwiazdą - stwierdziła Fern. - Richard nią jest. Zawiodę jej nadzieje, czego nigdy mi nie wybaczy. Raczej on powinien być dziewczyną - dodała. - Wziął po niej wszystko, tato. Jest dokładnie taki, jak mama. Wszyscy to mówią.

- Wiem - powiedział Hugo spokojnie. - Ale mylisz się co do siebie. Jesteś bardzo ładną dziewczyną. Cieszyłabyś się wielkim powodzeniem, gdybyś tylko zechciała nawiązywać znajomości - jestem pewien. Ale jeżeli naprawdę nie chcesz, porozmawiam z twoją matką.

- Jak pójdę do szkoły sztuk plastycznych, wszystko wam wynagrodzę - obiecała. - Będę bardzo ciężko pracowała i dam wam powody do dumy. Naprawdę, tato, spróbuj z nią porozmawiać, dobrze?

*

- Dlaczego sama do mnie nie przyszła? - nacierała Alice. - Dlaczego skamle za moimi plecami?

Przyjechała z Londynu po całym dniu spędzonym na dwóch spotkaniach komitetów

dobroczynnych i przymiarce u Diora trzech nowych kostiumów. Była zmęczona i zmartwiona - telefonowała do Phoebe do Nowego Jorku i wyczuła, że nie jest z nią dobrze. A teraz Hugo zjawia się przed kolacją, prowadząc kampanię na zlecenie Fern. Nie była we współczującym nastroju.

- Działa skrycie, a ty ją do tego zachęcasz!

- Nie jest fałszywa - zaprzeczył - tylko boi się ciebie. Wiesz, że tak. Nic nie robi za twoimi plecami. Nie chce londyńskiego sezonu, a ja nie widzę powodu, by ją do tego zmuszać.

Alice zapaliła papierosa, a potem gasząc zapalną, sucho stwierdziła:

- Zmuszać, mój Boże! Okręciła sobie ciebie wokół palca. Nie chce tańców, nie chce poznać ludzi, okay, ale nie zostanie także do cholery tutaj, żeby jąrzyć pomiędzy nami! Chce iść do szkoły artystycznej, więc niech idzie, jak tylko nastanie jesień. A teraz nie mówmy o tym więcej. Muszę się napić. Zadzwoń na służbę, możesz?

Poprosiła o wódkę z tonikiem, a Hugo zamówił dla siebie whisky z wodą.

- Jak było w Londynie? - Nie chciał przedłużać sprzeczki.

Nie znosił napięć, a ostatnio Alice nabyła biegłości w wytwarzaniu i utrzymywaniu takiej atmosfery. Stała się wybuchowa i niecierpliwa, nawet wobec Lily. Jak chmura gradowa. Słoneczne promienie zarezerwowane były dla Richarda, kiedy przyjeżdżał ze szkoły.

- Męcząco - odparła. - Spotkania w Czerwonym Krzyżu i w Palladium Gala. Moje cholerne stroje nie były gotowe, więc muszę jechać w przyszłym tygodniu. Dzwoniłam dzisiaj do Phoebe. Odniosłam wrażenie, że źle się czuje.

- Doprawdy?

Lubił swoją teściową. Było mu przykro, kiedy wyjechała do Stanów. Miała kręcka na punkcie Fern i Fern tęskniła za nią. Jego matka zmarła przed dwoma laty. Zostawiła Richardowi sporą sumę pieniędzy. Z powodu tego podobieństwa - prawdziwego czy wymyślnego...

- Co jej jest?

- Nie powiedziała - odparła Alice. - Znasz ją, nie lubi sprawiać kłopotu. Mówi, że w przyszłym tygodniu idzie do lekarza. Traci na wadze i cały czas jest zmęczona. Hugo, może polecę do Stanów przed bożonarodzeniowym zamieszaniem? Chcę sprawdzić, co się właściwie dzieje. Masz coś przeciw temu?

- Nie, oczywiście, że nie. Poleciałbym także, ale nie mogę wyrwać się z parlamentu. Postaraj się nie martwić. Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku. Może powinnaś ją

przekonać, żeby przyjechała do nas?

- Myślałam o tym - przyznała Alice. - Przynajmniej sprawdziłabym, czy dba o siebie.

Fern dołączyła do nich podczas kolacji. Nie padło ani jedno słowo na temat przyszłości. Spoglądała na ojca i ogarnęła ją wielka radość, kiedy zauważyła, że potakująco skinął głową. Zatem wszystko w porządku, rozmawiał z matką. Z twarzy Alice wyczytała, że nie obeszło się bez sprzeczki.

Zwyciężyliśmy, pomyślała; jadła szybko, nie podnosząc oczu, ożywiona pragnieniem natychmiastowej ucieczki stąd. Tata pokonał ją tym razem. Ja też kiedyś pokażę swoją siłę. Pewnego dnia postawię się jej i pójdę swoją drogą. Ponieważ wiem, jaka ona jest naprawdę. Wiem, co to znaczyło, kiedy widziałam ją migdalącą się z tamtym mężczyzną, zabierającą go na noc na górę. Zdradzała ojca. Podczas gdy on walczył na wojnie, ona sypiała z innym facetem. Nie wierzę, by Richard był moim rodzonym bratem...

- Jeżeli będziesz jeść tak szybko, dostaniesz niestrawności - odezwała się nagle Alice.

- A od tego będziesz miała pryszczki.

Fern nie odpowiedziała. Odłożyła razem nóż i widelec, zostawiając na talerzu jedzenie.

- Nie ma powodu się dąsać - stwierdziła matka ostro.

Fern spojrzała na nią.

- Nie dąsam się - odparła. - Po prostu nie mogę już więcej. Dziękuję.

- Z twoją babcią jest nie najlepiej - wtrącił Hugo, wskazując na przyczynę złego humoru Alice.

- Och, nie! Co się stało? - Fern była naprawdę zatrwożona.

- Nie wiemy - powiedziała Alice. - Wybiera się do lekarza i może polecę do Stanów, chcę się z nią zobaczyć.

- Czy mogłaby przyjechać na święta? - poddała Fern. - Bardzo bym się cieszyła.

- Powiem jej to - rzekła Alice.

Czuła się winna z powodu zganienia córki. Fern była zaślepiona na punkcie Phoebe; miło z jej strony, że powiedziała o świętach. Uśmiechnęła się do niej, ale Fern nie odpowiedziała uśmiechem.

- Nie chciałam być tak oschła - powiedziała. - Miałam ciężki dzień i także bardzo się martwię o Phoebe. Weź sobie deser, Fern. To cytrynowa galaretka, którą lubisz.

- Nie, dziękuję - odmówiła córka. - Nie chcę utyć. Albo dostać pryszczki.

*

W tym roku nie obchodzili w Ashton Bożego Narodzenia. Najpierw Alice, a potem

Hugo, Fern i Richard udali się do Stanów. Nowy Rok zaczął się żałobą. Phoebe zmarła w śnie, mając córkę u swego boku. Było to spokojne odejście; rak, który pożerał jej czerwone ciałka krwi, okazał się miłosiernie bezbolesny. Więdną tak gwałtownie, że wywołany zmęczeniem sen przeszedł niepostrzeżenie w łagodną wieczność. Alice trzymała matkę za rękę. Przysnęła, a kiedy obudziła się, dłoń Phoebe była zimna i bezwładna.

Swego smutku nie potrafiła dzielić ani z mężem, ani z dziećmi. Tak jak pogrzyżała się w żałobie po stracie mężczyzny, którego kochała wiele lat temu, tak teraz oplakiwała samotnie śmierć swej matki. Zdawała się unikać kontaktu z ludźmi; nawet syna odsunęła. Nie dzieliła swego bólu z żadnym z nich. Tylko Lily, która widziała, co się działo poprzednio, rozumiała jej potrzebę odosobnienia.

- Wszystkim nam jest tak smutno - skarżyła się Fern, płacząc na ramieniu Hugona. - Dlaczego nie możemy być razem? Dlaczego mama musi się odsuwać?

- Nie wiem, kochanie - odparł Hugo. - Twoja matka nie okazuje łatwo uczuć. Teraz bardzo cierpi.

Objął mocniej Fern, by jej to wynagrodzić.

Richard był bardzo milczący. Mając prawie piętnaście lat uważał, że płacz jest niemęski. Kochał Phoebe, tak jak i kochał Beatrice. Najgorsze, to widzieć swoją matkę z zaciśniętymi mocno ustami, udręczoną i trzymającą się na uboczu. Chciał ją pocieszyć. Potrzebował kogoś, kto by pocieszył jego. Fern miała ojca, a ojciec miał Fern. On był teraz sam i bardzo boleśnie to odczuwał.

- Idę do niej - powiedział nagle, chociaż niezbyt zdecydowanie.

Ojciec i siostra popatrzyli na niego zaskoczeni, jakby w ogóle zapomnieli, że on tu jest. Pobiegł i zastukał do drzwi sypialni Alice.

- Mamo, wpuść mnie. Mamo!

Usłyszała w jego głosie szloch. Otworzyła drzwi i mocno się objęli. Kiedy wyszli razem, Richard opiekuńczo obejmował ją ramieniem i polaryzacja na linii siostra-brat oraz Hugo-Alice dokonała się ostatecznie. Podczas pogrzebu Phoebe stali po przeciwnych stronach grobu.

Fern rozpoczęła pierwszy semestr nauki w szkole plastycznej, a Richard wrócił do Eton. Hugo został podsekretarzem w ministerstwie, natomiast Alice organizowała i prowadziła z ponurą zaciekłością życie towarzyskie. Ciągłe zajmowanie się czymś stanowiło antidotum na ból i żal. Nie chciała pogryzać się w smutku i marnować bezcennych lat. Była to winna matce, dzielnej i łagodnej kobiecie, która odeszła. Śmierć Phoebe bardzo zaważyła na stosunku Alice do Hugona i Fern. Nie musiała już udawać, że ich kocha. Oboje z Richardem

wystarczali sobie całkowicie.

*

Alice nigdy nie zapomniała dnia, w którym Fern oświadczyła, że wychodzi za mąż. Było to w ów pamiętny weekend, kiedy w holu zawisł jej nowy portret. Hugo zlecił namalowanie portretu żony z okazji jej urodzin. Czterdzieści pięć lat, skarżyła się, i wszyscy przyjaciele gremialnie wyrażali niedowierzenie.

Najlepszy wiek dla kobiety, upierał się jeden z jej wielbicieli - doświadczenie łączy się z pięknem, szlachetnością i mądrością. Przez całe lata nie ustawał w wysiłkach, by przyjąć zaproszenie na lunch, a potem do jego mieszkania w Albany. Roześmiała się tylko i powiedziała:

- Jedyna rzecz, mój drogi Robercie, jakiej dostarcza ci doświadczenie, to worki pod oczyma. Jestem cholernie pewna, że będą one widoczne na moim portrecie.

Był to słynny obraz, sensacja tegorocznej Letniej Akademii. Reprodukowano go, pisano o nim, krytykowano i chwalono. Artysta, ponieważ malował portrety pięknych kobiet, cieszył się już pewnym rozgłosem. Udzielał wywiadów, a w jednym z nich stwierdził, że osobowość pani Vandekar jest bardziej fascynująca od jej urody. Powiedział, że inspirowała go. Jej portret uznał za swoją najlepszą pracę i zaledwie kilku spośród najbardziej zajadłych krytyków próbowało nie zgodzić się z tym.

Ich nazwisko zostało umieszczone na noworocznej liście nadanych szlachectw. Alice zdumiewało, kiedy Lily zwracała się do niej „lady”; służąca czerpała z tego większą satysfakcję niż ona sama. Raz czy dwa, szczególnie rozdrażniona, powiedziała: „Zamknij się i nie mów tego za każdym razem, możesz? Nie bądź taką przekłętą snobką! Co złego widzisz w „madame”!

- Nic, poza tym, że jest nie na miejscu - odparła Lily i trwała przy swoim.

Portret podobał jej się.

- Oddaje pani sprawiedliwość - oświadczyła, kiedy przywieziono go do Ashton.

Malarz wpadał w furję, bowiem domagała się oglądania obrazu przed ukończeniem i wygłaszała głośno swoje opinie. Nie powiedziała tego Alice, ale jeździła do Londynu i wystawała godzinami w kolejce do Burlington House, by oglądać go podczas wystawy. Alice śmiałyby się z niej. Stała wraz z Hugonem, Fern i Richardem, podczas kiedy portret zawieszany był na przeznaczonym mu miejscu. Jest wspaniały, pomyślała. Przysięgłbyś, że namalowana kobieta może wyjść z obrazu. Malarz, co prawda nadęty zarozumialec, wiedział jednak, co zrobić, by przedstawić panią jak żywą.

- Dobrze się prezentuje, prawda? - spytał Hugo.

Był bardzo zadowolony. Obraz go zachwyił, poza tym czuł dumę, że dzieło wywołuje tak wielkie zainteresowanie.

- Cudowny - potwierdziła Alice.

Hugo uważał, że powinna mieć na sobie ową wspaniałą biżuterię, którą jej ofiarował, lecz artysta uparł się przy swojej koncepcji; odmówił malowania jej, jeśli miałyby wyglądać niczym wróżka w świecidelkach. Prostota, może pojedynczy ornament, ale te cudowne ramiona i ręce powinny same przemówić. Uwagę musi przykuwać ciało, kontrastujące barwą z ciemnym tłem. Hugo przyznał mu rację. I tak powstało prawdziwe dzieło sztuki.

Fern przyjechała z akademii na weekend. Zagląda do domu zbyt rzadko, myślał Hugo. Tęsknił za nią, ale nie było w jego stylu, by powiedzieć jej lub zasugerować, że powinna wszystko rzucić i spędzać czas z nim. Wydoroślała i nabrała więcej pewności siebie. Byłaby nadzwyczaj atrakcyjna, gdyby nie pozowała na artystkę z cyganerii. Rozpuszczone włosy, bez makijażu, rozciągnięte ubrania, w których im więcej zderzeń kolorystycznych, tym lepiej. Czy był to bunt wobec Alice, zawsze wymuskanej i nie potrafiącej ukryć irytacji z powodu ekstrawagancji córki, czy usiłowanie dopasowania się do swych kolegów ze studiów? Nie był pewny, ale podejrzewał, że chęć dokuczenia matce stanowiła tutaj główny motyw. Nic nie mówił, a Alice już dawno poddała się.

- Dobrze uchwycone podobieństwo - powiedziała Fern, profesjonalnie oceniając dzieło. - Nie ma żadnych błędów w perspektywie, a tło dobrze pracuje.

Przerwała na moment, a potem lekko wzruszyła ramionami.

- Ale nie jest oryginalny, w tym cały problem.

- Owszem, bo nie jest takim cholernym bohodem, jak te śmieci, które malujesz! - wybuchnął Richard. - To piękny obraz, cała mama!

Tak łatwo go było sprowokować - potrafiła sprawić, że tracił nad sobą panowanie, a potem zbywała jego wściekłość lekkim wzruszeniem ramion, które ostatnio stało się jej nawykiem. Miała ostry, złośliwy język i Richard nie mógł się z nią równać.

- Nigdy nie powiedziałam, że nie ma w nim podobieństwa - sprostowała. - Stwierdziłam tylko, że nie jest oryginalny. Przykro mi. Wiem, że myślisz, iż pokłonię się przed nim i będę oddawać mu cześć; mnie, jako malarce, taka konwencja nie odpowiada. Nic na to nie poradzę.

- Fern, kochanie. - Alice postanowiła położyć kres tej sprzeczce. - Wszyscy wiemy, że portret, który by ci się spodobał, musiałby mieć dwie głowy i jedno oko na policzku! Jestem zachwycona, Hugo. Kochanie, dziękuję ci.

Cmoknęła go w policzek.

- Może napilibyśmy się czegoś przed lunchem?

- Czemu nie - zgodził się Hugo.

Ubolewał nad tym, że między bratem i siostrą jest tyle niechęci, wręcz nienawiści. Wystarczyło, żeby przez chwilę znajdowali się w jednym pokoju, a natychmiast dochodziło do kłótni; lecz Alice tak faworyzowała syna, że nie mógł winić Fern, iż była zazdrosna.

- Czy możemy się napić szampana? - spytała Fern, a ton jej głosu zabrzmiał ostro.

- Oczywiście - odparł. - Poświęcimy obraz.

Fern z wyzywającą miną i pełnym tryumfu spojrzeniem oznajmiła:

- Mamy jeszcze coś innego do uczczenia. To dlatego przyjechałam do domu.

Wychodzę za mąż.

Lily stanęła na moment, patrząc na nich. Fern poszła w stronę biblioteki i zamknęła mocno drzwi na wypadek, gdyby służąca spodziewała się, że zostanie zaliczona do rodziny. Lily wzięła głęboki oddech. W całym jej życiu istniała tylko jedna osoba, której nienawidziła - Fern Vandekar. Powiedzieć coś takiego o portrecie, chcąc zranić własną matkę...

Zazdrosna dziwka. Dzięki Bogu, że wychodzi za mąż. Im szybciej odejdzie z domu, tym lepiej. Lily obserwowała ją przez lata i bała się, że pewnego dnia naprawdę może zrobić matce krzywdę.

- Wszystkiego najlepszego - mruknęła półszepem. - Baba z wozu, koniom lżej.

I poszła na górę.

- Ale nigdy o nikim nie wspominałaś - powiedziała zaskoczona Alice. - Nigdy go nie poznaliśmy!

- No cóż, poznacie - odparła Fern. - Zaprosiłam go na jutrzejszy lunch. Pomyślałam, że będzie łatwiej, kiedy sama wam oznajmię.

- Byłoby dużo łatwiej, gdybyś - zamiast wpadać z tą wiadomością jak bomba - powiedziała nam, że łączy cię coś poważnego z jakimś mężczyzną!

Fern splonęła rumieńcem. Spodziewała się oporu ze strony Alice i przygotowywała się do walki z nią, ale to Hugo był naprawdę zły. Pobladł z wściekłości. Powiedział majordomusowi, by wyszedł, więc nie było szampana, a tym samym i szansy dla Fern, by mogła stać się bezczelną.

- Nie pozwalam - powiedział. - Nie zaproszę tego mężczyzny do swojego domu, skoro nawet nie zostałem poinformowany o waszych planach. A jeśli chodzi o małżeństwo, musi mnie zadowolić, zanim w ogóle będzie o tym mowa!

- Hugo - wtrąciła Alice - Fern ma dwadzieścia jeden lat. Nie potrzebuje naszego pozwolenia; może robić, co jej się podoba. Na litość boską, wypijmy coś wreszcie i

porozmawiajmy o wszystkim sensownie!

Spojrzała ostrzegawczo na Richarda, który otwierał usta, żeby coś powiedzieć.

Hugo zareagował tak bardzo spontanicznie i Alice, choć nieco zdumiona, dobrze wiedziała dlaczego. Był zazdrosny. Tak jak ja będę, kiedy to samo zrobi Richard, pomyślała. Zastanawiam się, czy rozumie, dlaczego wywołał tę scenę. I czy Fern wie, jak wielkie kłopoty ściągnęła na siebie, kiedy stała się kimś najważniejszym w jego życiu. Alice bezwiednie powtórzyła gest swej córki - wzruszyła ramionami. Jakie to miało znaczenie? Nie była zła; bardziej zainteresowana, żeby dziewczyna nie popełniła głupstwa, wiążąc się z kimś nieodpowiednim, kto umiał sięgnąć po złotą nagrodę, gdy już ją zobaczył.

- Zawołaj Simpsona, kochanie - powiedziała do Richarda - żebyśmy mogli napić się szampana. A teraz, Fern, opowiedz nam o nim.

- Może na początek, jak się nazywa - natarł Hugo.

Oczy Fern wypełniły się łzami. Gdyby tylko chodziło o matkę, Fern mogłaby się z nią zetrzeć; ale nie z ojcem. Jego zimna złość, jego oskarżycielki wzrok - były nie do zniesienia. Nie wytrzymała i rozplakała się. To Alice podeszła i otoczyła ją ramieniem.

- No, no - powiedziała - weź się w garść. Za chwilę będzie tutaj Simpson. Ogłosiłaś przed całą służbą, że wychodzisz za męża. Co on sobie pomyśli, kiedy zobaczy, jak siedzisz i wypłakujesz oczy? Masz.

Fern wzięła delikatną chusteczkę i wytarła nos. Wyprostowała się, uwalniając z objęć Alice.

- Właśnie dlatego nie przyprowadziłam go wcześniej, żebyście go poznali - rzekła. - Wiedziałam, że tak będzie.

- A zatem zdawałaś sobie sprawę, że nie zaaprobujemy tego? - dociekał Hugo. - Tak, wejdz, Simpsonie. Dziękuję, po prostu zostaw tacę, sami damy sobie radę. Dobrze, Fern, posłuchajmy zatem o nim. Co to za człowiek, że nie mogłaś go tutaj zaprosić na weekend, tak jak innych?

- Ma dwie głowy? - nie wytrzymał Richard.

- Zamknij się - sapnęła Alice. - To nie jest odpowiedni moment na dowcipy.

- Nie jest taki jak ty i twoi ponurzy znajomi. - Fern odwróciła się do niego. - Jest wrażliwy i inteligentny, i pewnego dnia zostanie wielkim malarzem.

Richard wytrzeszczył oczy. Tak bardzo przypominał Alice, że mogłaby doskoczyć do niego i uderzyć go.

- Otworzę butelkę - powiedział.

- Ponieważ jest wrażliwy i inteligentny, nie czułby się dobrze w naszym towarzystwie,

tak? - ironizował Hugo. - Doprawdy, wielce frapujące. Nie sądzisz, Alice?

Jego sarkazm był okrutny.

- Nie jest taki jak wy - zaprotestowała Fern; jej oczy ponownie się zaszkliły. - Nie ma pieniędzy ani niczego i musi pracować, żeby płacić za studia. Czułby się onieśmielony i byłoby mu nieprzyjemnie, nawet gdybyście starali się być mili. A nie jesteście! Nikt z was!

- Poczekaj chwilę. - Alice wstała. - Poza wszystkim, on musi chyba wiedzieć, czego ma się spodziewać? Wie, kim jesteś?

- Oczywiście, że tak - odparła Fern. - Wie. Przeczytał o was wszystko, tato i mamó. Nikt nie mógł pominąć waszych zdjęć w prasie, prawda? Jest gotów przyjechać tutaj i spotkać się z wami, ale powiedziałam mu, że lepiej będzie, jeśli najpierw powiem Wam to sama.

- Jak się nazywa? - spytała Alice. - Ile ma lat?

Fern wolałaby, żeby matka nie zadawała takich rozsądnych pytań - nienawidziła jej za to, iż jest taka spokojna i próbuje mediacji. Chłodna pasja ojca spowodowała, że poczuła złość. Wyobrażała sobie, że będzie ją wspierał. Naprawdę tak uważała.

- Ma dwadzieścia cztery lata - rzekła - i nazywa się Brian Kiernan.

- Irlandczyk? Czy nie jest katolikiem, na miłość boską? - Hugo aż parsknął ze złości.

- A jeśli nawet, to co? - wtrąciła się Alice. - Nikt o zdrowych zmysłach nie bierze takich spraw poważnie. Kiedy zdecydowałaś się zaręczyć?

- Kilka dni temu. Nie jesteśmy zaręczeni. Nie zamierzam nosić obrączki, Brian nie wierzy w takie głupstwa. Po prostu się pobierzemy.

- Czy ktoś ma ochotę się napić, czy nie? - spytał Richard. - Już dosyć się tutaj grzeje.

Alice wyciągnęła rękę. Biorąc kieliszek popatrzyła na syna, a jej spojrzenie zdawało się mówić: nie odbijaj sobie. Nie teraz. Inaczej ojciec zwróci się przeciwko tobie. W odpowiedzi ściągnął twarz. W porządku, nie będę, ale to jest kuszące. Alice podniosła kieliszek i powiedziała rzeško:

- A zatem, wzniesmy toast. Wypijmy, Fern, za ciebie oraz twojego młodego przyjaciela i powściągnijmy swoje emocje do momentu, aż go poznamy, dobrze? - spojrzała na Hugona.

Nie odezwał się. Ledwo skinął głową i nie podniósł kieliszka. Fern odwróciła się od niego i przygryzła usta.

- Dziękuję, mamó - rzekła.

- Jeżeli nie chcemy tego małżeństwa - powiedziała później Alice - nie wolno nam w taki sposób walczyć. Osiągniemy tylko tyle, że Fern odejdzie. Powiesz, że jestem nietaktowna i zbyt bezpośrednia, ale, mój Boże, Hugo, powinienes to lepiej wiedzieć.

Fern wyszła się przejść, a Richard wzięwszy labradora Hugona postanowił zapolować. Atmosfera była tak napięta, że Alice nie potępiła go.

- Nie obchodzi cię to - zarzucił jej Hugo. - Nigdy nie kochałaś Fern i tak naprawdę cholernie mało cię obchodzi, czy narobi sobie w życiu bałaganu, czy nie. Gdyby sprawa dotyczyła Richarda, nie byłaby taka spokojna!

- Richard nie zachowałby się tak - uznała. - Nie możesz się go czepiać, ponieważ jesteś zdenerwowany z powodu Fern. Poza tym mylisz się - obchodzi mnie los Fern. Nie tak samo jak ciebie, ale nie chcę, by stała się ofiarą jakiegoś łowcy posagów - a na to mi wygląda. Hugo, najskuteczniejszym sposobem, by związać ją z tym mężczyzną, jest wrogi stosunek do niego. Kiedy przyjedzie jutro, będę dla niego czarująca i jeżeli masz choć trochę rozumu, ty też postaraj się być serdeczny; zobaczymy, jakiego pokroju jest to człowiek. Nie trzeba aż tak dramatyzować.

- Nie mogę uwierzyć, że trzymała to przed nami w tajemnicy - stwierdził.

Teraz było w nim więcej bólu niż złości.

- Jest bardzo młoda - powiedziała łagodnie Alice. - A on nie jest kimś, kogo chcielibyśmy dla niej za męża. Nie bądź tak rozczarowany. Uspokój się i zaczekaj do jutra.

Wieczorem wzięła Richarda na stronę.

- Posłuchaj, kochanie - jedno słowo ostrzeżenia. Żadnego wyskakiwania z dowcipami jutro. Obiecujesz?

- Ona straciła rozum - zaprotestował. - Poderwała na uczelni jakiegoś dziwaka i chce go poślubić. Nic nie powiem, mamie, będę dla niego uprzedzająco grzeczny, ale tata ma rację. Powinien temu zapobiec!

- Ojciec ma zawsze rację tak długo, jak jesteś tym zainteresowany, prawda? - zauważyła Alice.

W oczach syna, Hugo nie mógł uczynić nic złego. Bardzo to przeżywała, widząc, że jego podziw oraz lojalność nie są odwzajemniane. Uśmiechnęła się do syna.

- Tak, ma rację, Richardzie, ale jego podejście do sprawy jest niewłaściwe. Próbowałam mu to wytłumaczyć i mogę mieć tylko nadzieję, że mnie posłucha. Przy okazji, zrobisz jutro, co do ciebie należy, prawda?

- Nie martw się - objął ją w pasie. - Wszystko będzie w porządku.

*

- Nie bój się tak - powiedziała mu Fern. - Bądź po prostu sobą i nie przejmuj się bzdurami, które będzie wygadywać. Pokochasz mojego ojca; jest zupełnie inny...

Nie chciał pokazać, jak bardzo jest zdenerwowany. Kim, do diabła, są ci

Vandekarowie? Po prostu cholernymi bogatymi bankierami i towarzyskimi nuworyszami. Nie miał zamiaru dać się im stłamsić ani pozwolić, by dręczyli Fern. Pragnął się nią opiekować, a jeśli Vandekarowie sądzili, iż chodzi mu o jej pieniądze, to udowodni im, że jest inaczej...

Widział niepokój Fern, kiedy spotkali się na stacji. W niedzielę było mniej pociągów i kursowały rzadziej, więc wypadło tak, że przyjechał wcześniej. Chwytał ją w ramiona, uniół w górę i namiętnie całował, trzymając w mocnym uścisku. Brian Kiernan nie wierzył w skrywanie uczuć. Nie wierzył w żadnego rodzaju oszustwo.

- Witaj, Ferny! Jak zareagowali? Bardzo to wszystko przeżyłaś?

- Nie było tak źle - odparła.

- A co z twoją matką?

Stanowiła cel, do którego miał mierzyć, i już psychicznie sposobił się do walki. Biedna mała Fern, opuszczona i odepchnięta przez tę krowę. Teraz już ma kogoś, kto będzie się nią opiekować, i nie pozwoli skrzywdzić.

- Och, nie obchodzę jej na tyle, żeby zaprzętała sobie mną głowę - stwierdziła Fern z goryczą. - Ojciec był zdenerwowany, ale potem mu przeszło. Chodź, bo się spóźnimy.

Widok Ashton poruszył go w większym stopniu, niż myślała. Wychylił się przez okno samochodu i wykrzyknął z podziwem:

- Cóż za wspaniały dom! Jezu, to prawdziwa perła architektury!

- Jest olbrzymi - przyznała Fern. - Zimny i wielki, nie taki jak zwykły dom.

Była nieco rozczarowana jego niekontrolowanym wybuchem entuzjazmu.

Reagował bardzo emocjonalnie. Jeśli coś mu się podobało, nie widział w tym żadnej wady. I na odwrót, jeśli czegoś lub kogoś nienawidził, nie dostrzegał nic pozytywnego. „To bardzo irlandzkie - mówił. - Czerń i biel - nic szarego dla nas”.

- Nie wyobrażałem sobie, że będzie tak wyglądał - powiedział, kiedy wchodzili do domu.

Brian miał niebieskie oczy, które teraz pojaśniały z zachwyty. Uwielbiał piękno w każdej formie. Ta namiętność okazała się silniejsza niż zazdrość czy krępujące poczucie niższego statusu społecznego.

Przystawał co chwilę, rozglądając się wokoło, i Fern musiała pociągać go za ramię, by szedł za nią dalej. Zgodził się na ustępstwo: włożył sztruksowe spodnie i sweter zamiast dżinsowego wdzianka, które zwykle nosił, podobnie jak większość spośród ich przyjaciół - ale to było wszystko. Ruszył po schodach w górę, a potem przez hol, gdzie drogę zastąpił mu majordomus; Fern pośpieszyła za nim, mówiąc:

- Wszystko w porządku, Simpsonie; moi rodzice oczekują nas.

A potem otworzyły się drzwi biblioteki i na spotkanie im wyszła Alice. Młody mężczyzna, którego zobaczyła, był wysoki i chudy. Miał niesforne brązowe włosy i bladą drobną twarz; obejmował ramieniem Fern.

Brian Kiernan ujrzał jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć, która witała go z pełnym ciepła uśmiechem.

- Mamo, to jest Brian. Moja matka.

Zimna, zaniedbująca Fern stara krowa, amerykańska snobka, która odrzuciła córkę zaraz po jej urodzeniu. Strzała nienawiści już została wycelowana prosto w serce Alice.

- Bardzo mi miło, że mogę pana poznać. Oczekiwaliśmy tego spotkania. Proszę wejść. Czego się pan napije? Mój mąż już nadchodzi z ogrodu.

Wszystko wyglądało inaczej niż się spodziewał. Było kulturalnie i elegancko, lecz bez formalizmu. Żadnej niechęci ani też śladu bardziej nieznośnej protekcyjności. Ojciec Fern nie przypominał przemilego misia z jej opowieści, jak zauważył Brian, ale prawdę rzekłszy, trudno sobie wyobrazić, by był taki wobec mężczyzny, który odebrał mu córkę. Faworyzowany braciszek, ze swoimi przesadnie dobrymi manierami, okazał się mdły, prowadząc lekkie rozmowy, ale nie nieprzyjemny. Tym, co zburzyło wszelkie wyobrażenia Briana o rodzinie Fern, była Alice Vandekar. Cudowna, tak, został na to przygotowany, ale błysk w jego oczach ostrzegał, iż jest gotów stoczyć bitwę w obronie Fern, jeżeli tylko zostanie rzucona rękawica. Piękna - co do tego nie było dwóch zdań; ale nie miała w sobie kokieterii. Mówiła w sposób bezpośredni, rzeczowo, jak mężczyzna o lotnym umyśle, i dowcipnie - nawet nie wiedział, kiedy zaczął się śmiać. Przyciągała uwagę. Ów osobliwy magnetyzm spowodował, że patrzył na nią i słuchał jej od chwili, kiedy się poznali. Nie padło ani jedno słowo o ewentualnym ślubie.

Fern czuła, że jeżeli nie oderwie go od rozmowy z Alice, cel tej wizyty zostanie zaprzepaszczone. Hugo mówił niewiele; obserwował Briana i Fern widziała, że rejestruje wszystko w pamięci. Nie obchodzi mnie, myślała, nie obchodzi mnie jego zdanie. Kocham Briana, jest cudowny. Wyjdę za niego.

Problem polegał na tym, że rodzice byli tacy swobodni i przyjacielscy. Przygotowała Briana na ostre starcie, żywiąc nadzieję, że w pewnym momencie ujrzy, jak rozdaje w jej obronie ciosy na lewo i prawo, gdyby padły jakiegokolwiek słowa krytyki. Ale wszystko działo się inaczej. Została usunięta w cień, pozbawiona swojej roli. Alice odwróciła się do niej z uśmiechem.

- No cóż, Fern, przypuszczam, że Brian i twój ojciec chcieliby porozmawiać na osobności, więc zostawmy ich samych, dobrze? Chodź, Richardzie.

Zanim Fern zdołała zaprotestować, wymiotła ich z jadalni do jej saloniku. Brian wstał, wahając się, a potem ponownie usiadł. Drzwi zostały zamknięte.

*

- Nie lubisz go, prawda? - zapytała matkę Fern.

Alice spojrzała na nią.

- W zasadzie podoba mi się. Czy odniosłaś wrażenie, że byłam dla niego nieuprzejma?

- Taka uprzejmość niczego nie oznacza. - Fern wzruszyła ramionami. - Widziałam cię, jak niejednokrotnie byłaś miła wobec osób, których widoku nie mogłaś znieść.

- Nie tym razem - odparła Alice. - Naprawdę jest w nim coś niezwykłego. Miałaś rację, zwracając uwagę na jego inteligencję - jest błyskotliwy i z łatwością radzi sobie ze wszystkim. To wiele o nim mówi. Sytuacja, w jakiej się obecnie znajduje, na pewno nie jest dla niego łatwa.

- Ciekawe, o czym mówią - wtrącił się Richard.

Bardzo uważał, by nie zachować się nonszalancko czy wrogo. Chłopak Fern nie okazał się brodatym dziwakiem, jak tego oczekiwał, był tylko nudny i skąpowany. Mama wypadła wspaniale, pomyślał naiwnie. Podbiła go. Zauważył, że Fern nie była z tego zadowolona. Nie miał pojęcia, dlaczego.

- Nie ma powodu, by się martwić - powiedziała Alice. - Nie zamierza pytać chłopaka o jego widoki na przyszłość.

Zapaliła papierosa i dokończyła kawę.

Nauczyciel rysunków bez grosza przy duszy, nędzne życie. Zbyt mało pieniędzy, by kupić dziewczynie pierścionek. Teraz Alice zrozumiała, dlaczego nie było żadnych zaręczyn. W zasadzie szanowała ten rodzaj dumy. Zastanawiała się, czy nie jest łowcą posagów; był przystojny w sposób mogący budzić pożądanie i miał w sobie ów płomienny romantyzm, urzekający dziewczęta; potrafił więc bez trudu zawrócić w głowie komuś takiemu jak Fern. Alice zdusiła niedopałek. Nie wierzyła w to jednak. Wiem co nieco na temat łowców posagów, pomyślała. Sama byłam taką łowczynią... Nie poślubia Fern dla pieniędzy. Może dla innych powodów; Bóg wie, jakie one są, ale na pewno nie chodzi o majątek.

- Długo rozmawiają - stwierdziła nagle Alice. - Mam nadzieję, że nie zaszło nic poważnego i że twój ojciec nie stał się zbyt przykry. Zajrzę do nich.

- Ja to zrobię - uparła się Fern.

Skoczyła na równe nogi, rozlewając kawę na spodeczek. Zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła do matki.

- Nic nas nie powstrzyma - rzuciła. - Ani ty, ani nawet tata. Zdecydowaliśmy już!

Trzasnęła drzwiami.

To był jej obsesyjny dramatyzm, który tak irytował Alice.

- Co jej się stało? - spytał Richard. - Można by pomyśleć, że razem z tatą wyrzuciliście go z domu.

- Być może miała nadzieję, że tak się stanie - chłodno zauważyła Alice. - Jeżeli ten chłopiec chce poślubić Fern, nie będę im stawała na drodze. Wiem, że chciałaby, abym tak uczyniła, ale nie mam zamiaru jej przeszkadzać. W końcu i ojciec nie będzie stawiał przeszkód. Zbyt dobrze zna się na ludzkich charakterach. Zobacz, że Brian jest lepszy od innych gołowąsów-cudaków, którzy mogliby wchodzić w rachubę. Po pierwszym wrażeniu powiedziałabym, że Fern ma szczęście.

To samo stwierdziła Lily, kiedy Alice przebierała się do kolacji. Fern odwiozła Briana do Londynu. Hugo pożegnał go podaniem ręki i pocałował córkę. Wobec Briana był lodowato uprzejmy i to w końcu Alice pożegnała chłopca ciepłym uściskiem dłoni oraz z zaproszeniem, by wkrótce znowu się zjawił i został u nich dłużej.

- Czy sir Hugo udzielił im pozwolenia? - spytała Lily.

- Och, Lily, masz wiktoriański sposób myślenia - nikt nie daje pozwolenia dwudziestoletniej dziewczynie. Podniósł pewne kwestie na temat ich młodego wieku i tego, że chłopak nie ma odpowiedniej pracy; tylko tyle mi powiedział. Jest zbyt wytrącony z równowagi, żeby o tym mówić. Lepiej nie nalegać. Poczul się zraniony, w tym cały problem. Postąpiła głupio i nietaktownie... Włożę tę zieloną suknię z szerokimi rękawami - dziś wieczorem jesteśmy tylko we troje.

- To będzie pierwszy ślub w Ashton - zadumała się Lily. *Szkoda, że właśnie na tę cwaniarę spłynie cały splendor...*

- Nie przypuszczam, żeby pragnęli wielkiego towarzyskiego spędu - stwierdziła Alice - więc nie zaczynaj snuć żadnych planów. Jak się spodziewam, ślub odbędzie się w Londynie i będzie bardzo cichy.

Przeciągnęła się.

- Jestem dziś zmęczona. Nie muszę ci chyba mówić, że był to dzień pełen napięcia.

- Wyobrażam sobie - odparła Lily. - Odpocznie pani w nocy. Cieszę się, że panicz Richard jest w domu.

- Ma przed sobą ostatni semestr - powiedziała Alice. - Boże, Lily, jak ten czas leci. Upłynęło prawie siedemnaście lat, a zdaje się, że nie minęła minuta od chwili, kiedy stawiał pierwsze kroki w tym pokoju!

- Był z niego mały diabeł - rzekła Lily z czułością. - Wszędzie właził i zawsze go

ciekawily pani flakoniki i sloczki. Ale nigdy nie gniewalam sie na niego.

- Wiem - rzekla Alice. - Ani ja.

- No coz, ozeni sie pewnego dnia - stwierdzila Lily, przewieszajac sobie przez ramie suknie, ktora zdjela Alice.

Nie ufała młodej pokojowce, jeśli chodzi o prasowanie drogich tkanin. Wolala sama to robic.

- Ozeni sie? - Alice zapatrzyła sie na nią w zdumieniu. - Lily, on jest jeszcze taki dziecinny! Lata miną, nim sie ozeni.

Później tego wieczoru Richard podniósł wzrok znad książki i nagle powiedział:

- Zapomnialem ci powiedziec, mamu. Spotkalem kiedyś Dianę Brayley; grała w tenisa. Wygląda ciągle tak samo.

- Tak samo jak kiedy? - Alice ogladala sztuke w telewizji; Hugo drzemal.

- Jak wtedy, kiedy bawilismy sie razem. Przyjazniliscie sie dawniej z jej rodzicami, prawda? Ciagle tu przychodzila.

- Tak, oczywiscie. Wiem, o co ci chodzi. Staralismy sie bardzo z nimi zaprzyjaznic, ale Brayley jest okropnym czlowiekiem. Twój ojciec nie mógł go zniec, wiec po prostu odpusciliby sobie. Nadal sie uczy?

- W Szwajcarii - odparl Richard. - W tenisa gra jak noga, jest jednak bardzo ladna.

- Zawsze byla - stwierdzila Alice, nie chcąc wdawac sie w rozmowe; sztuka byla interesujaca.

Spojrzala na siedzacego w koncu pokoju syna i usmiechnela sie, nie dreczona zadnym przeczuciem.

*

- Nie zdarzyloby sie to - powiedzial Hugo - gdybys ich sama nie zachecala.

Mowil do niej, zawiazujac krawat przed lustrem. Widzial odbijajaca sie postać Alice. Wlozyla ciemnoniebieska suknie i kapelusz z szerokim rondem, ktory ocienial jej twarz. Na piersi blyszczalo wielkie diamentowe koło.

- Fern nic by nie powstrzymalo - odparla. - Wszystko, co zrobilam, to staralam sie utrzymac razem rodzine. Bylicie sobie zawsze bardzo bliscy - czemu wiec nie posluchala ciebie?

- Poniewaz stracila glowe, oszalala na punkcie tego czlowieka; oto dlaczego. I zyskala twoje poparcie.

- Nie mialo to nigdy zadnego znaczenia - zaprzeczyla Alice. - Przynosilo wręcz odwrotny skutek.

- Bo miało walor rzadkości.

Odwrócił się od lustra i wsunął do butonierki biały goździk. Jego cięty język wyostrzył się jeszcze przez parlamentarne debaty. Była to niemiła cecha, przysparzająca mu wielu wrogów. Nie mogło to już jednak zranić Alice, która - kiedy posuwał się za daleko - odpowiadała mu brutalną szczerością.

- Wcale nie chodzi ci o Briana - stwierdziła - taki stosunek miałbyś do każdego mężczyzny, który by ci ją zabierał. Kimkolwiek by był, zawsze mógłbyś w nim coś znaleźć; i masz szczęście, iż możesz powiedzieć, że jest biedny i pochodzi z innej sfery. To czyni twój opór bardziej przekonującym. Ale mnie nie oszukasz, Hugo. Córeczka tatusia wyrosła. A teraz lepiej już chodźmy, bo się spóźnimy.

Był to urząd stanu cywilnego. Zaskoczenie wywołał fakt, że rodzice Briana Kiernana nie uczestniczyli w ceremonii.

- Są irlandzkimi katolikami - wyjaśnił. - Dla nich to nie jest ślub. Przykro mi. Może później zmienią zdanie.

Był zdenerwowany, ale robił dobrą minę do złej gry - co dostrzegła Alice. Fern zdawała się tego nie zauważać.

- Później będzie nieco za późno - oświadczyła. - Tak czy inaczej, religia jest zwyczajnym zwracaniem głowy.

Na przyjęciu w mieszkaniu Hugona było dwadzieścia osób. Alice poczyniła przygotowania, rozmyślnie bardzo skromne. Hugo prezentował swą kamienną dezaprobatę, odmawiając omawiania czegokolwiek. I za wszystko winił Alice, ponieważ bolało go to mniej niż potępienie Fern.

W samochodzie, podczas jazdy do Marylebone, powiedział:

- Ich związek nie potrwa długo, jestem pewien. Opamięta się i on będzie musiał za to zapłacić. Oto, co się stanie.

Alice zignorowała go. Rozumiała jednak, że ma powody do frustracji, wiedziała, że czuje się rozczarowany z powodu wyboru, jakiego dokonała Fern. Zięć z klasy robotniczej, niepewny zawód i żadnych odziedziczonych pieniędzy. Dla takiego ojca jak Hugo to musiał być koszmar. A dla matki nawet większy. Ona jednak patrzyła na Briana Kiernana beznamytnie; łatwo przyjąć taką postawę, kiedy nie jest się emocjonalnie zaangażowaną w los własnej córki. Nawet lżej na sercu, że będzie prowadzić własne życie. Alice osądzała to bez uprzedzeń, w przeciwieństwie do męża i syna. Obydwaj uważali, że mąż Fern nie jest dla niej odpowiedni. Alice nie podzielała ich opinii. Hugo widział zarozumiałego parweniusza, pod względem pochodzenia oraz wyznania człowieka drugiej kategorii, który oczarował Fern,

wprowadzając ją w świat seksu. Syn odrzucał nudziarza, starającego się uchodzić za wielkiego znawcę sztuki i piękna, które to sprawy niewiele Richarda interesowały.

Brian Kiernan stanowił wyjątek od zasad, wedle których jej mąż i syn osądzali ludzi. Nie było w nim fałszu. Duma, ale nie arogancja. Poczucie duchowości, niezbędne do spełnienia jego twórczych talentów. Pozbawiony zawiści, raczej bez kompleksów, był bardzo naturalny. Z poczuciem humoru, intelektem oraz bystrością, które rozmowę czyniły błyskotliwą. I, oczywiście, podobała mu się. Wiedziała o tym. Wysiłki Fern, by wpoić mu niechęć do niej, doznawały niepowodzeń za każdym razem, kiedy on i Alice spotykali się. Lody powoli pękały, chociaż nadal bronił Fern. Po dwóch weekendach spędzonych w Ashton i jednym prywatnym lunchu z Alice w Londynie, podczas którego usiłowała mu wytłumaczyć obiekcje Hugona, nie raniąc go przy tym, zaczął ją uważać za swego jedynego sprzymierzeńca. Nic nie mogłoby boleśniej dotknąć Fern niż przyjacielskie stosunki tych dwojga. Jej upór w kwestii cichego ślubu ranił Hugona, nie Alice, której nie potrafiła dokuczyć, bez względu na to, jak bardzo się starała. Otrzymywała zgodę na wszystko, czego się domagała: żadnego eleganckiego hotelu na przyjęcie, tylko kilka osób spośród bliskich krewnych i ich koledzy z college'u. Alice potakiwała, nie dając się sprowokować do protestu, który Fern wykorzystalaby natychmiast, by wywołać kłótnię. Najlepszym prezentem ślubnym, jaki mogłaby jej ofiarować to sposobność, by mogła ze łzami w oczach powiedzieć Brianowi: „Mówiłam ci. Mówiłam ci, jaka matka jest”. Nie zamierzała robić jej tej przyjemności.

Była to bezpretensjonalna, sympatyczna uroczystość. Fern wybrała bladozieloną suknię i miała niewielki bukietik wiosennych kwiatów. Brian wyglądał niezgrabnie w tanim, ciemnym garniturze, który źle na nim leżał. Z trudem opanowywał zdenerwowanie. Nawet Alice musiała przyznać, że jak tylko zawarcie małżeństwa zostało ogłoszone, jej córka promieniała szczęściem. Przyjęcie było udane. Hugo wytęczał się, by udawać zadowolonego, stosując się do dobrych manier, do których wolałby się nie naginać. Richard dobrze się bawił w towarzystwie kilku panien z college'u, przyjaciółek Fern. Było mnóstwo śmiechu i kiedy państwo młodzi powiedzieli w końcu dobranoc, całując Alice i Hugona, Richard oświadczył, że dla niego to nie koniec zabawy i wychodzi z pozostałymi do pubu. Hugo i Alice znaleźli się sami w pustym pokoju z jego kwiatową dekoracją, brudnymi kieliszkami po szampanie i półmiskami nieświeżych zakąsek.

- No cóż - odezwał się Hugo. - Już po wszystkim. Jakie masz plany na wieczór? Wracamy do domu czy świętujemy?

Nagle ogarnęło ją dojmujące poczucie zawodu. Powstrzymała cisnące się do oczu łzy.

Wystarczy, że znowu usłyszysz w jego głosie sarkazm, a popłyną.

- Zamówiłam dla nas trojga stolik w Savoyu - powiedziała - ale Richard wyszedł na całą noc i jeśli wolisz wrócić do domu, ja nie mam nic przeciwko temu.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu. Nadal, przez te wszystkie lata po wojnie, odczuwał bóle.

- Na litość boską, jak mogli zostawić taki bałagan - rzekł. - Nie mam pojęcia, dlaczego musieli wyjść do pubu, kiedy zrobili z tego miejsca chlew.

Alice zaczęła zbierać kieliszki. Podniósł wzrok i powiedział z irytacją:

- Co robisz? Gdzie, do diabła, jest Barron?

Fern uparła się, żeby służący Hugona nie pokazywał się podczas przyjęcia - byłoby to pretensjonalne. Sami sobie poradzimy, powiedziała wtedy.

- Dałam mu wychodne - wyjaśniła Alice. - Fern nie chciała go tutaj, mówiłam ci.

- Mówiłaś. Sądzę, że to był pomysł Briana. Zostaw - Barron posprząta. Chodźmy stąd, dobrze?

- Dokąd? Do domu?

Zawahał się. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego.

- Odczuję jej brak - rzekł. - Bez niej będę cholernie samotny. Nie mam ochoty wracać dzisiaj do Ashton. Chodźmy do Savoyu. Nie byłem tam od wieków.

Alice przełknęła łyżę. Tak bardzo kocham Richarda, że muszę starać się zrozumieć, co znaczy dla niego strata Fern.

- Ona wróci - powiedziała. - Sprawimy, że będą postrzegać Ashton jako swój drugi dom. Tracimy synów, Hugo, a nie córki. Głowa do góry, zjemy wspaniałą kolację i możemy wpaść w nocy do Embassy Club na ostatniego drinka. Powinniśmy tam spotkać jakichś znajomych.

- Przykro mi - powiedział, kiedy jechali w stronę nabrzeża. - Przykro mi, że byłem tak cholernie nieprzyjemny dla ciebie. Wiem, że odczuję brak Fern, ale będą przyjeżdżać. Masz rację, Alice. Jak zwykle.

5.

- Chodź, Diano! Spóźnimy się.

Oglądająca się bokiem w lustrze dziewczyna odparła:

- Jestem gotowa. Nie martw się.

Był to ważny bal, wydany przez jednego z nowobogackich dla córki. Zorganizowanie go w wielkim hotelu kosztowało krocie, jak donosiła prasa, nie szczędząc miejsca na opisywanie owej towarzyskiej sensacji. Diana czytała o tysiącach funtów wydanych na kwiaty dekorujące salę balową, o cenach sukni wstępujących na salony debutantek, o liczbie gości oraz bogactwie wyszukanych potraw i napojów. Ona i jej przyjaciółki chichotały z tego przez cały poranek. „Biedna dziewczyna potrzebowała całego arsenału środków wspomagających” - oświadczyła jedna z dziewcząt. „Tylek ma wielki jak piętrowy autobus”. Diana pomyślała, że to zbyt niegrzeczne. Bardzo czekała na ten wieczór i jednocześnie bała się go. Potem, po fakcie, nastąpił zwykły wybuch niepokoju jej matki i seria gróźb rozczarowanego ojca. W tym sezonie miała wyraźnie określone zadanie: znaleźć sobie kandydata na męża.

Wiedziała, jak wiele kosztowało rodziców wysłanie jej do Szwajcarii, a kupowanie sukni i urządzenie przyjęć, by ją wydać, nadwierało ich zasoby. I wiedziała, dlaczego to robią. Jedynym sposobem uniknięcia skandalu było znalezienie męża. Nie sprzeciwiała się; czas spędzany przez nią na przygotowaniu się wynikał tyleż z niepokoju, co i próżności. Była bardzo, ale to bardzo ładna, wszyscy to przyznawali. I musiała się podobać. Musiała olśniewać młodych mężczyzn, których poznawała, aż wreszcie któryś z nich poprosi ją o rękę. Jeżeli nie uda jej się to do końca sezonu, ojciec będzie wściekły. Czasami słyszała głosy, odzywające się echem w jej głowie. Szczególnie odkąd wróciła do domu i zamieszkała z rodzicami.

- Och, Bill, Bill, proszę, nie rób tego! Ona nic takiego nie miała na myśli, nic nie rozumie!

- Jasne, że nie, opuszczając, cholera, majtki i pokazując się! Nie dopuszczę, żeby moja córka skończyła jak dziwka! Zejdź mi z drogi, Anne. Tym razem musi dostać nauczkę...

- Ona ma tylko dziesięć lat... dzieci bawią się tak, nie mając nic zdrożnego na myśli.

Głosy wznosiły się i opadały; jej krzyki, gdy była bita. Chlipanie w ciemności, pośladki w ogniu.

Ty zepsuta dziewczucho, oduczę cię tych świństw...

Kochanie, nie płacz. Tatuś nie miał zamiaru tracić panowania nad sobą - był

wytrącony z równowagi, widząc co robisz. Mówiłam ci, żebyś nie bawiła się z tymi chłopcami - są ordynarni i brudni. Nie płacz.

Jej ojciec był okrutny i nienawidził jej. Matka starała się jej bronić, starała się wierzyć córce, kiedy kłamała. Teraz nikt jej już nie bił. Od długiego czasu. Nie, odkąd zabrano ją z internatu i wysłano do Szwajcarii. Nauczyciel muzyki został wyrzucony z pracy. W domu nie dowiedzieli się o nauczycielu od zajęć pozalekcyjnych.

W Szwajcarii nie było chłopców ani sposobów, by zdobyć jakiegoś w okolicy - przebywała w takiej szkole. Ale były dziewczęta, więc Diana robiła to z nimi. Strach nauczył ją przebiegłości. Nie została nakryta. Wróciła do domu mając osiemnaście lat - ładna, o słodkiej twarzyczce aniołka i bynajmniej nie powściągliwa w dogadzaniu cielesnym żądom. Jej gorący temperament wprowadził w panikę rodziców. Jedyne rozwiązanie może stanowić małżeństwo, zdecydowali, jeżeli tylko wcześniej dziewczyna nie okryje się hańbą. Świadczenia lekarskie ze Szwajcarii dawały powody do obaw. Czuli, że mają w swoim domu bombę zegarową, mogącą eksplodować i zniszczyć ich, a towarzyszyć temu będzie wielki skandal.

- Diano, chodźże wreszcie!

- Tak, przepraszam, June, już idę....

Chwyliła swoją wieczorową torebkę oraz cienki szal, by zarzucić go na ramiona, i wybiegła z sypialni.

Od powrotu do domu miała dwóch mężczyzn. Obaj dosyć bezpieczni - dużo starsi i żonaci. Nic nie powiedzą. Z młodymi facetami powinna być ostrożna. Słyszała, jak inne dziewczyny mówią: „to prawdziwa mała dziwka...” i ogarniał ją strach na myśl, że mogłoby to być powiedziane o niej.

Była bardzo lubiana. Zaprzyjaźniła się z wieloma dziewczętami. Nie dokuczały jej ani nie konkurowały z nią. Wybaczyły jej nadzwyczajną urodę i atrakcyjność dla mężczyzn, ponieważ okazała się tak niezwykle miła.

Jeden młody mężczyzna już jej się oświadczył. Nie miała śmiałości powiedzieć rodzicom, że mu odmówiła. Był nadęty i brzydki, a na myśl, że musiałaby sypiać z nim, spełniając małżeński obowiązek, wstrząsnęła się z obrzydzenia. Miał pieniądze; problemy rodziców skończyłyby się, ale nie potrafiła przekonać siebie. Wierzyła w miłość. Wiara w romantyczne uczucie nie miała nic wspólnego z przymusem zaspokajania wybujałych potrzeb seksualnych i obsesyjnym pragnieniem doświadczenia przeżyć erotycznych. Ścierały się w niej dwie osobowości. Opętanie wyuzdanymi żądzami łączyło się tylko z osobowością Diany o niepokornym temperamentem. Ta druga wierzyła i miała nadzieję, że kiedy zjawi się

prawdziwa miłość, uciszy i ciało, i duszę.

Na zewnątrz domu w Eaton Terrace rozdzielili się na małe grupki. Dwaj mężczyźni proponowali Dianie swoje samochody. Uśmiechnęła się słodko i powiedziała, że doprawdy nie ma znaczenia, z kim pojedzie, więc jej przyjaciółka, June, podjęła decyzję.

- Może być nudno - powiedziała June, kiedy jechały w późnowieczornym ruchu w stronę Park Lane - te setki ludzi. Wolałabym raczej mały bal gdzieś poza miastem. Przynajmniej można by kogoś poznać.

Diana wymruczała, że się z tym zgadza. Przyciśnięta mocno do mężczyzny, siedzącego obok niej na tylnym siedzeniu, nie mogła skoncentrować się na niczym innym, jak tylko zmysłowej grze wyobraźni.

Sala balowa przedstawiała wspaniały widok. Teraz było modne komponowanie wnętrza tak, by odzwierciedlało jakiś temat. Tutaj przewodziła „wiosna w Paryżu”. Dekoracje stanowiły importowane wiosenne kwiaty oszalałymi obfitością, na tle obrazów ukazujących znane fragmenty paryskiego krajobrazu.

- Jakaż oryginalność - zauważył ktoś złośliwie. - Czy nie jest to czasem wieża Eiffla?

Biedna dziewczyna, pomyślała nagle Diana. Zastanawiam się, czy wie, jak bardzo ludzie potrafią być wstrętni? Przychodzą, napychają się żarciem, dobrze się bawią, a potem szydzą w taki sposób z jej przyjęcia.

Rozejrzała się wokół, widząc w tłumie znajome twarze. Ktoś ujął jej łokieć. Był to młody mężczyzna, który w samochodzie tak mocno przyciskał swoje udo do jej nogi.

- Znajdźmy nasz stolik - zasugerował. - Tom i June są tam, złapali już miejsca. Chodź.

Pozwoliła mu się prowadzić. Ścisnął jej łokieć i to także dawało przyjemne odczucie. Był raczej miły. Duże brązowe oczy, dosyć wysoki... Zapomniała, że podczas obiadu wydawał się nieco nudny, bowiem opowiadał bez końca o sprawach dotyczących jego pracy w londyńskim biurze pośrednictwa nieruchomości. Dołączyli do Toma i June, a potem Diana została nagle porwana do tańca. Tańczyła przez większą część wieczoru. Gdybym wymówiła się i pojechała wcześniej do domu, pomyślała, mogłabym zatelefonować do Johna i zaproponować, byśmy gdzieś wyszli. Mogłabym powiedzieć, że do nocnego klubu... Jego żona wyjechała do Francji.

Popchnięta przez kogoś wpadła na swego partnera. Oblała się szkarłatnym rumieńcem i zatchnęło ją na moment, kiedy ów wypadek wyzwolił w niej orgazm.

- Przepraszam - usłyszała czyjś głos.

Już oddychała swobodnie. Jej partner pomyślał, że intruz musiał nadepnąć jej na nogę.

- Patrz, co robisz, dobrze?

Diana obejrzała się i zobaczyła Richarda Vandekara. Tańczył dosyć żywiołowo z ciemnowłosą dziewczyną.

- Przepraszam - powtórzył.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Diana; uśmiechnęła się. - Witaj, Richardzie, miło cię widzieć po latach.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- I ja się cieszę - odparł. - Zatańcz ze mną następny taniec, dobrze? Gdzie siedzisz?

- Przy stoliku June Fitzroy, tam dalej. Będzie mi bardzo miło.

Jej partner nachmurzył się.

- Niezdarny prostak - burknął i próbował przyciągnąć ją do siebie.

Diana oparła się.

- Usiądźmy. Umieram z pragnienia - powiedziała.

Znowu spochmurniał, kiedy schodzili z parkietu.

Nie przyjdzie, pomyślała. Pamiętam, jaką kretynkę robiłam z siebie na korcie, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem. Był cudowny, uderzał piłkę jak zawodnik na Wimbledonie. Wyglądałam jak idiotka. Nie przyjdzie.

Ale przyszedł.

Diana nie zatelefonowała tej nocy do swego kochanka w średnim wieku. Nie usiadła z matką do śniadania, wymyślając kupę kłamstw, mających wytłumaczyć, dlaczego nie wróciła do domu przed piątą rano. Została na balu z Richardem Vandekarem tak długo, aż na dworze zrobiło się jasno, a ostatni maruderzy poszli do domów. Nigdy wcześniej nie czuła się równie szczęśliwa. Resztę wieczoru spędził z nią. Zabrał ją na kolację, mówił o biletach do teatru na piątek i o wyjściu na lunch do Windsoru w niedzielę. Zakochała się.

Anne Brayley nie potrafiła ukryć swego niepokoju. Czasami, patrząc na Dianę, zachodziła w głowę, co takiego stało się w przeszłości. Była słodką, grzeczną dziewczynką, lubianą zarówno przez starszych, jak i przez rówieśników. Przyjaciółki Anne podkreślały zawsze, jakim czarującym i pięknym była dzieckiem. Czy to możliwe, że jeden z dawnych kumpi Billa został przyłapany na pieszczaniu jej, kiedy miała trzynaście lat, a broniąc się mówił, że próbowała go uwieść?

Anne nie mogła zapomnieć tamtego dnia. Jej mąż był zdruzgotany. Diana wpadła z przerażeniem do swego pokoju i zamknęła się w nim. Ojciec nie zbliżał się do niej. Nie ufał sobie. Musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Ich córka była nimfomanką. Karanie jej nie pomagało - przyznał w końcu po latach stosowania brutalnych środków. Płacząc z wściekłości i wstydu powiedział żonie, że jeśli czegoś z tym nie zrobią, on zabije córkę.

Anne wyperswadowała mu wyjazd do Londynu. Zamówiła wizytę u lekarza specjalisty. Biedną, pobladłą dziewczynkę poddawano badaniom. Kłamała bez końca przekonana, że zwierzenie się spowodziłoby na nią ze strony ojca straszliwe kary. Lekarz wydawał się miły i uprzejmy, nawet współczujący, ale nie ufała mu na tyle, by powiedzieć prawdę. Dostała tabletki, które miały wpłynąć uspokajająco na jej system nerwowy. Po nich była przytępiona i ospała, i diabeł w jej ciele przysnął. To jednak nie mogło tak trwać. Diagnoza brzmiała - specjalna szkoła w Szwajcarii i jak najdalej od ojca. Poddawano ją regularnemu leczeniu, a i tak istniała zawsze możliwość, że jej popędy mogą wyrwać się spod kontroli. Osobiście doktor nie uważał tak i dawał nieszczęśliwej matce pewne nadzieje. Widział wiele przypadków nieposkromionej nadaktywności seksualnej, ale to, co było w tym przerażonym dziecku, z niczym nie dawało się porównać.

Dzisiaj wygląda na bardzo szczęśliwą, pomyślała Anne. Często dostrzegała jej ukradkowe spojrzenie i wówczas wiedziała, że Diana kłamie. Ale nie tym razem. Bal był wspaniały; paplała o nim z entuzjazmem.

- Poznałaś kogoś miłego? - spytała.

Zadawała to pytanie tyle razy, że była zbywana wymijającą i dwuznaczną odpowiedzią: „Och, mammo, oni wszyscy są bardzo mili, wspaniale się bawiłam”.

- Zgadnij tylko! Spotkałam znowu Richarda Vandekara! Cudownie się bawiliśmy. Zabiera mnie do teatru i w niedzielę na lunch do Windsoru. Jest zabójczo przystojny.

- Diano...

- Tak, mamusiu?

- Bądź ostrożna, dobrze? Nie zrób żadnego głupstwa.

Wielkie oczy Diany rozwarły się jeszcze szerzej.

- Och, wiesz przecież, że nie zrobiłabym! To już minęło! Nie wolno ci myśleć, że jeszcze kiedykolwiek będzie tak samo!

- W porządku, kochanie, przepraszam. Po prostu martwię się o ciebie.

- Wiem, ale już nie musisz.

Podeszła do matki i pocałowała ją afektownie w policzek. Dzięki Bogu, że ojciec był nadal na górze.

- Naprawdę bardzo go lubię - powiedziała. - Naprawdę. Jest wesoły, bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy dziećmi. Pamiętam ten pierwszy raz, kiedy pojechaliśmy do Ashton, a on rozbijał mnie na huśtawce tak wysoko, że omal nie spadłam. Przypomniałam mu o tym. Teraz muszę lecieć, umówiłam się z kimś z naszej paczki na lunch.

Anne Brayley nalała sobie filiżankę kawy. Richard Vandekar. Nigdy nie widziała

Diany tak naturalnie szczęśliwej. Lepiej nie wyobrażać sobie zbyt wiele. Ich znajomość raczej nie doprowadzi do ślubu. A jeśli nawet, to jak długo Alice Vandekar da sobie mydlić oczy? Podniosła wzrok, kiedy jej mąż wszedł do pokoju.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział.

Wiedziała, że unikał Diany jak ognia. Czy nigdy nie winił siebie, zastanowiła się? Może miłość i cierpliwość, okazywane w tych wczesnych stadiach, mogłyby pomóc? Zrobiło jej się przykro z powodu własnej nielojalności. Wiedziała, jak bardzo cierpiał, kiedy ich jedyny syn został zabity, jak wielką miał nadzieję, że mała córeczka może będzie zadośćuczynieniem. A potem to ślepe przerażenie, obrzydzenie, prowadzące go do okrucieństwa. Był nieskomplikowanym człowiekiem o sztywnych poglądach i niewielkiej wyobraźni. Mając Dianę dostał więcej, niż zasługiwał.

- Wyszła?

- Jest już gotowa do wyjścia. Zeszłej nocy spotkała Richarda Vandekara. Wydaje się, że przypadli sobie do gustu. Paplała o tym bez przerwy. Weź kawę, Bill. Zrobię świeże tosty.

- Vandekar - powiedział. - Syn owego parlamentarzysty z amerykańską żoną. Nigdy ich nie lubiłem. Zwłaszcza on wydaje się straszliwie nadęty, kutas.

- Uważam, że nie ma powodów, by aż tak się ekscytować - stwierdziła Anne. - Są bardzo zamożni, więc za chłopakiem na pewno ugania się mnóstwo dziewcząt. Masz, kochanie, tosty. Miód jest bardzo dobry.

Spojrzał na nią, a potem nagle wziął ją za rękę. Nie był wylewny, dlatego czuła się tym zaskoczona.

- Bóg jeden wie, co bym zrobił bez ciebie - powiedział. - Jesteś cudowna. Chcę tylko, by poszła spod naszego dachu. Wtedy ja i ty wynagrodzimy sobie wszystko i będziemy szczęśliwi.

- Kocham cię, Bill - odparła. - Chciałabym, żebyś dostrzegł w niej także urok i dobro. Ona nie umie sobie poradzić ze strasznym nieszczęściem, które ją dotknęło.

- Kiedy na nią patrzę - rzekł - myślę o naszym synu; zginął, zanim w ogóle miał szansę zacząć żyć. Ona ciąży na nas jak klątwa. I jest z nas ostatnia. Nigdy więcej o niej nie mów.

*

- Pamiętam tę huśtawkę - powiedział Richard. - Byłem naprawdę wkurzony, że muszę się z tobą bawić. Miałem nadzieję, że zaczniesz płakać.

- Nie miałam zamiaru - rzekła. - Podobało mi się.

To było takie romantyczne z jego strony, że zorganizował piknik i wynajął na cały

dzień motorówkę. Znaleźli ładne miejsce, spokojne i odosobnione, gdzie przycumowali łódź. Pomogła mu wypakować jedzenie i wino. Była taka szczęśliwa, że nie zaprosił nikogo więcej. Motorówkę i rzekę mieli tylko dla siebie.

Łagodne kołysanie łodzi stanowiło śmiertelną udrękę. Męczarnią było siedzieć obok tego pięknego mężczyzny i nie sięgnąć, by go podniecić, i nie poprowadzić, by i on jej to zrobił. Nie wolno mu wiedzieć, co ona czuje. Wypiła zbyt wiele wina i chichotała. Kiedy zaczął ją całować, niemal umierała tonąc w ekstazie. Ale on nie może wiedzieć.

Nie może wiedzieć, co się z nią dzieje, kiedy jest całowana, dotykana czy tylko mocno przytulana.

Richard spojrział na nią. Z zamkniętymi oczami była taka piękna, zdumiewająca, o drobnym, drżącym w jego ramionach ciele, jakby całował najlepiej na świecie. Czuł się tak podniecony, że mógłby ją uwieść w pięć minut; ale nie zrobił tego. Wypiła zbyt wiele wina, lecz on nie chciał wykorzystać takiej okazji - była taka bezradna i niedoświadczona. Wobec innej dziewczyny spośród tych, które znał, zachowałby się inaczej, ale nie wobec Di. Nazywał ją Di, a ona powiedziała, że to urocze, bo nikt inny nigdy tak do niej nie mówił.

- Przestańmy - powiedział. - Tracę panowanie nad sobą.

Po tym wyznaniu uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Naprawdę?

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Pozwól mi to sprawdzić.

- Nie - powiedział Richard. - Chodź, trochę za dużo wypiłaś, kochanie. Uruchomię silnik. To odwróci moją uwagę.

Usiadła prosto. Była wilgotna z podniecenia, zaczerwieniona i pociemniały jej oczy.

- Ile dziewcząt miałeś, Richardzie?

- Kilka. Dlaczego pytasz?

Silnik warczał na wolnych obrotach. Zwinął łańcuch niewielkiej kotwicy.

- Tylko się zastanawiam. Założyłabym się, że miałeś ich mnóstwo.

Znalazła torebkę i przejrzała się w lusterku. Przypudrowała pośpiesznie twarz i uszminkowała wargi. Przestań, powiedziała sobie w duchu. Jeszcze chwila, a coś powiesz. Dasz mu poznać... A on nie jest taki, jak inni. To nie jest John, który chce, żebyś o tym mówiła, i szaleje, kiedy udajesz, że to pierwszy raz. Richard jest inny. Kochasz go. Chcesz, żeby on ciebie kochał. Zanurzyła rękę po łokieć w lodowatej wodzie. Richard zobaczył to i zawołał:

- Nie wychylaj się tak. Ruszę i wypadniesz do wody.

Roześmiała się.

- Nie przeszkadzałoby mi to - odparła. - Świetnie się z tobą bawiłam.

Spojrzał na nią.

- Ja również - stwierdził. - Chcesz, żebyśmy zostali tu na kolację? Jest taka nowa restauracja w Maidenhead. Może poszlibyśmy tam?

- Czemu nie - odkrzyknęła Diana. - Miałam coś innego w planie, ale zadzwonię i odwołam spotkanie z nim.

Richard ustabilizował małą łódkę. Zmarszczył brwi.

- Kto to jest „on”? Ktoś, kogo znam?

Był dosyć zaskoczony, czując zazdrość. Oczywiście, że miała innych chłopaków. Za tak ładną i fajną małą kobietką musiało się uganiać co najmniej pół Londynu.

- Ktoś, kogo znam? - powtórzył pytanie.

- Nie sądzę - odparła. - Jest raczej nudny. Wolę zjeść kolację z tobą.

John czekający na nią dziś w nocy w swoim mieszkaniu przy Knightsbridge, z oddechem cuchnącym whisky i zbiorem sprośnych zdjęć. Potrzebował ich, potrzebował wyuzdanych rozmów z dziewczynami. Richard nie potrzebuje niczego takiego. Był piękny i młody. Uwielbiała jego jasne włosy i niebieskie oczy. Naprawdę boski.

- To dobrze - powiedział; był zadowolony, że tak mało znaczy dla niej tamten mężczyzna, kimkolwiek był.

Był zadowolony, że zmienił plan z lunchu w Windsorze u przyjaciół, którzy mieli miły, gościnny dom w Great Park, na piknik nad rzeką tylko dla nich dwojga. Inaczej wyglądało spotkanie z dziewczyną w tłumie innych ludzi, a czymś innym było spędzenie dnia wyłącznie we dwoje. Jak często się nudził podczas takich randek. Ale nie tym razem. Ona wyzwaliała w nim radość. Jest osobliwa, pomyślał - to niemodne słowo pasuje do niej. Także nietypowa, nie zepsuta. Nie ma w niej złośliwości. Nienawidził złośliwych dziewczyn. Równie mocno, jak nienawidził zachłannych, które zawsze prosiły o szampana i zamawiały najdroższe potrawy z menu, ponieważ wiedziały, że ma pieniądze. Di zdawała się nie dbać o to, co je. Siedząc na burcie motorówki rozczesywała palcami wodę, obserwując kilwater rozpościerający się za łodzią. Jego matka lubiła ją, przypomniał sobie. Jako dziecko, oczywiście. Mówiła zawsze, że jest ładna jak obrazek. Przyjemnie byłoby zaprosić ją do Ashton na weekend.

*

Pierwsza większa wystawa malarstwa Briana Kiernana w Waddington Gallery stała się sensacją w świecie artystycznym. Poważni krytycy ogłosili go nowym Grahamem

Sutherlandem. Bardziej nieprzychylni dziennikarze kolumn plotkarskich czynili aluzje, że część sukcesu zawdzięcza wpływom swych teściów. Hugo kupił nowożeńcom mały dom przy King's Road. Uważał, że jest to okropna, nędzna okolica, ale Fern twierdziła, iż Brian nie zaakceptuje niczego w eleganckiej dzielnicy. Wychodzące na północ poddasze zostało zamienione w wygodną pracownię. Hugo zapłacił, a Fern uściskała go i ucałowała z jej dawnym zapalem. Jest taki cudowny, rozumie, co Brian czuje... Była tak beztrąsko szczęśliwa.

Za wyjątkiem tych chwil, kiedy przyjeżdżała do Ashton. Nawet Hugo, który nie przejmował się nastrojami tak długo, dopóki powierzchnia życia pozostawała gładka, zauważył, jak napięta stawała się Fern, kiedy jej mąż i Alice przebywali razem. Problem polegał na tym, że zbliżyli się do siebie i Alice nie mogła nie przyćmić swej córki. Zupełnie instynktownie zajmowała środek sceny, pozostawiając dla Fern rolę posępnego widza toczącej się między nimi gry słów i wymiany dowcipów.

Sprzeczali się, nie zgadzali ze sobą, debatowali i ich przyjaźń rosła. Hugo pozostawał na uboczu, zadowolony ze spędzania czasu z córką, starając się odtworzyć ich dawną zażyłość. Ale Fern się zmieniła. Oddaliła od niego, a zbliżyła do męża. Hugo próbował to zrozumieć, lecz nie mógł pojąć, co tak naprawdę ich łączy. Być może seks. Ta myśl wywoływała w nim niezadowolenie. Pomniejszała Fern w jego oczach, jeżeli poddawała się Kiernanowi z tego względu. Pocieszał się, że była z nim szczęśliwa, a on wydawał się jej oddany. Jediną skazę na ich związku tworzyły podejmowane przez nią, bez powodzenia, próby zmienienia stosunku Briana do Alice. Fern pragnęła, by jej nienawidził.

- Och, daj spokój, kochanie - mówił, kiedy zaczynała swą tyradę na temat matki. - Jest dla nas bardzo dobra. Robi teraz dla ciebie wszystko, co najlepsze.

- Tata zrobił - zaprzeczała ze złością. - Ona tylko udaje przed tobą. Jest taka próżna i egocentryczna. Nigdy nie sądziłam, że wzbudzi w tobie taki entuzjazm.

Potem płakała, a jego ogarniało poczucie winy, które szybko przeradzało się w złość. Nadal ją kochał, ale była tak niepewna siebie. I zaborcza. Nie przeszkadzało mu to; nie interesowały go inne kobiety. Po pięciu latach małżeństwa z Fern był w niej tak samo zakochany, jak przed ślubem. Czuł, że nawet bardziej, gdyż dużo lepiej ją rozumiał. I był jej tak wiele winien za wspieranie go i entuzjazm dla jego talentu. Wierzyła, że jest wielkim malarzem, i jej wiara nigdy się nie zachwiała. Pewnego dnia zostanie uznany.

Podziwiała jego idee i starała się dorównać mu intelektualnie. Nie było to łatwe, gdyż nie była zbyt mądra. Nigdy nie zasugerowała, że powinien poszukać pomocy we wpływach jej rodziny. Jego wczesne prace, wystawiane w małych galeriach, nie przyciągały uwagi.

Sprzedawał bardzo niewiele. Wrócił do uczenia, a Fern czyniła wysiłki, by wyżyli z pensji Briana. Jej środki powiększały się, nie wydawane, ale nic z tego, co mówili Alice czy Hugo, nie mogło jej zmusić, by upokorzyła Briana przez skorzystanie z własnych pieniędzy.

Kiedy nastąpił przełom, stało się to za sprawą przypadku i było dla niego zaskoczeniem. W lecie, u przyjaciół w Londynie, przebywał liczący się krytyk sztuki współczesnej ze Stanów Zjednoczonych. Owi znajomi lubili patronować nieznanym malarzom, odwiedzając peryferyjne galeryjki oraz wystawy. Krytyk podejrzewał ich, iż robią to powodowani swego rodzaju „antysnobizmem”, ponieważ mnóstwo z tego, co kupowali, było bezwartościowe. Z wyjątkiem jednego nadzwyczajnego aktu, wiszącego w sypialni. Zapytał o autora obrazu, skontaktował się z galerią, która go sprzedała, i odkrył Briana Kiernana. Nastąpiło przedstawienie go dyrektorowi Waddington.

W pracowni na poddaszu znajdowały się stopy płócien. Fern czekała na dole w stanie takiego napięcia, że nasypała kawę do imbryka z herbatą. Czas mijał - zdawało jej się, że nigdy nie zejda na dół. Kiedy wreszcie zeszli, jedno spojrzenie na Briana wystarczyło jej, by wiedzieć, że wiadomości są pomyślne. Galeria zorganizuje mu wystawę jesienią.

Krytyk zaczął o nim mówić w Nowym Jorku. W wybranych gazetach i magazynach ukazało się kilka artykułów. Zanim wyszły na jaw jego koneksje z Vandekarami, obrazy Kiernana sprzedawały się już dla ich własnej wartości.

Wernisaż okazał się sukcesem. Fern zepsuli go fotografowie, tłoczący się wokół jej matki. Gdybyż tylko Alice nie przyszła! Czyniła aluzje, że jest to wieczór Briana i byłoby okropnie, gdyby coś odciągało od niego uwagę, ale niemożliwe było zaprosić samego Hugona bez Alice. A chciała, by ojciec był świadkiem triumfu jej męża. Wiedziała, ile dla Hugona znaczy osiągnięcie sukcesu. Chciała, żeby jej ojciec był z niego dumny. Zostawiła na chwilę męża i wzięła Hugona pod rękę. Kiedy spojrzała na niego, promieniała zadowoleniem i szczęściem.

- Nie mówiłam ci, tato? Czyż to nie cudowne? Już połowa obrazów została sprzedana! Są tutaj wszyscy ważni!

- Bardzo się cieszę - powiedział. - I miałaś rację. Jest naprawdę utalentowany.

Uśmiechnął się do niej.

- Co prawda, ja dalej tego nie widzę, ale wszyscy tak mówią. W każdym razie cieszę się, że jesteś szczęśliwa, kochanie, a to jest najważniejsze. O, popatrz, jest Richard.

Fern ujrzała brata, przeciskającego się przez tłum. Zatrzymał się, by spojrzeć na jeden z obrazów. Na jego ramieniu wisiała drobna, bardzo ładna, rudowłosa dziewczyna.

- Istotnie, to on - stwierdziła.

Znowu Diana Brayley. Była w Ashton ostatnim razem, kiedy i oni tam przyjechali. Fern nie lubiła jej. Nie zaprzętała sobie głowy Dianą czy bratem. Ale zauważyła, że ta dziewczyna goni za nim. Bez wątpienia, chodziło o pieniądze. Wszyscy wiedzieli, że Brayleyowie nie mają grosza.

Fern odwróciła się i ruszyła na poszukiwanie swego męża. Stał otoczony wielbicielami. Zatrzymała się na chwilę. Był w końcu sławny. Teraz mogli zacząć dobrze żyć; już nigdy więcej nie będzie uważał, iż nie dorównuje jej pod względem statusu społecznego, ponieważ ona ma pieniądze. I będą mieli dziecko. Pragnęła dziecka, ale wcześniej nie mogli sobie na nie pozwolić. Myśl o Alice zabiła jej macierzyńskie tęsknoty. Oto ona. Z Richardem i jego dziewczyną. Jest teraz szczęśliwa, pomyślała. Ma swojego chłopaczka pod skrzydłem. Nie ośmieliłam się powiedzieć o tym Brianowi. Ale kiedyś to zrobię. Wtedy przekona się, jaka ona jest naprawdę.

- Kochanie - spytał Richard - co tak naprawdę myślisz o tych obrazach? Ale szczerze.

Diana ściągnęła twarz. Po wystawie mieli zjeść kolację u niego. Byli kochankami od trzech miesięcy i spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Uważała, że jest absolutnie cudowny, i wariowała ze szczęścia.

- Szczerze, to sądzę, że są dosyć brzydkie - stwierdziła, a on, zachwycony, ryknął śmiechem.

- Ja tak samo. Wszyscy ci znawcy sztuki bredzą na ich temat i widziałem, że wiele z nich zostało kupionych, więc wszystko w porządku. Brian jest całkiem miłym gościem, kiedy go poznasz. Z początku nie mogłem go znieść, ale naprawdę nie jest zły. Nawet tata go teraz polubił.

Podobnie jak Alice, Diana również zauważyła, pod jakim wielkim wpływem Hugona był Richard.

- Sądzisz, że mnie lubi? - spytała.

Wyszczrzył się.

- A mógłby nie? Oczywiście, że cię lubi! Tak jak mama.

Najbardziej namiętna, kochająca, cudowna dziewczyna. Sprawiała, że czuł się z siebie dumny. Powiedziała mu, że jest najwspanialszym kochankiem, i udowadniała to za każdym razem, kiedy jej dotknął. Była najbardziej pogodną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie pozwoliła mu nawet, by jej kupił jakikolwiek prezent. Wszystko, czego chciała, to być z nim. I krok po kroku dowiadywał się, że jej życie w domu nie jest łatwe. Bała się ojca. Spotkał lorda Brayleya raz czy dwa, kiedy przyjeżdżał po Dianę, i uważał go za ponurego i groźnego. Jej matka była miła, ale także wydawała mu się nieco „pokrecona”. Powodowało

to, że był w stosunku do Diany bardzo opiekuńczy. Najbardziej się cieszył, że Alice naprawdę ją lubiła. Po tym pierwszym weekendzie w Ashton zostawała tam dosyć regularnie, a atmosfera była zawsze spokojna i przyjacielska. Musieli, oczywiście, być bardzo ostrożni, ale Diana wykazywała wielki spryt w przekradaniu się do jego pokoju, kiedy wszyscy już spali, i wracaniu do siebie bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Nie lubił oszukiwania rodziców i łamania reguł postępowania we własnym domu, ale nie potrafił odmówić Dianie, kiedy stojąc pod drzwiami błagała, by ją wpuścić. Tak wściekle go potrzebowała, by odzyskać zaufanie do siebie samej. Lubiła kochać się z nim długo i czule.

- Di - powiedział - mogę cię o coś spytać?

Zaczerwieniła się. Uważał to za cudowne, że czasami dostawała rumieńców bez żadnego wyraźnego powodu. Serce skoczyło jej ze strachu. Co on chce wiedzieć?

- O co? - wykrztusiła.

Och, Boże, naprawdę go kocham. Gdybym musiała skłamać, pomóż mi...

- Nie domyślasz się?

Czasami się z nią drażnił. Drażni się i teraz. To na pewno nic poważnego. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie.

- Wyjdiesz za mnie?

Zatchnęło ją, a tym razem wszystka krew odpłynęła jej z twarzy.

- Och, Richardzie! Naprawdę? Naprawdę tego pragniesz?

- Oczywiście, że tak. Chciałem już wcześniej porozmawiać, ale musiałem poczekać, aż minie całe to zamieszanie z powodu wystawy mego szwagra.

Wstała i podeszła do niego. Jej oczy były pełne łez.

- Och, kochanie, kochanie, wiesz, że tak.

Przyłgnęła do niego, a łzy spływały jej po policzku.

- Będę najlepszą żoną na świecie - szepnęła. - Obiecuję ci.

*

- Nie mówisz tego poważnie, Richardzie!

Alice podeszła do niego, opierając dłonie na jego ramionach. Był od niej dużo wyższy i patrząc na niego musiała podnosić głowę.

- Kochanie, masz dopiero dwadzieścia dwa lata, a Diana osiemnaście. Oboje jesteście za młodzi. Nie powinienesz być tego robić, nic nam nie mówiąc!

- Próbowalabyś mnie powstrzymać, mamó - odparł. - Dlatego nic ci nie powiedziałem. Chcę poślubić Dianę, a ona się zgodziła. To, że jesteśmy młodzi, nie stanowi żadnej

przeszkody. Ludzie w naszym wieku zawierają małżeństwa. Znamy się nie od dzisiaj.

Alice cofnęła się.

- Muszę usiąść - stwierdziła. - Mój Boże, ale mi zafundowałeś szok. Nie mam pojęcia, jak zareaguje ojciec.

- Tak samo jak ty, spodziewam się. Mamo, proszę. Przepraszam, że tak was zaskoczyłem, ale ona jest tą jedyną, którą chciałbym poślubić. Nie chcę jej stracić.

- Nie stracisz jej, jeżeli cię kocha - momentalnie skontrowała Alice. - Poczekaj, jeśli to prawdziwe uczucie.

- Poczekaj na co? Rok? Sześć miesięcy? Nie ma mowy. Chcemy się pobrać. - Usiadł i zapalił papierosa.

Nie obok matki, jak zwykle, ale naprzeciwko niej. Widziała, jaki był nieszczęśliwy, i jej stanowczość osłabła.

- Richardzie, nie *musisz* jej chyba poślubić, co? - spytała cicho.

Poczerwieniał.

- Chcesz wiedzieć, czy jest w ciąży? Nie, nie jest. A jeśli pytasz, czy sypiamy ze sobą, to nie chcę być nieuprzejmy, ale powiem, że nie powinnaś wtrącać się w cudze sprawy.

- Nie powinnam - przyznała Alice. - Więc nie będziemy do tego wracać. Muszę powiedzieć, iż nie spodziewałam się nigdy, że będziesz tak do mnie mówił.

Wstał i zdusił niedopałek.

- Nie lubisz jej? Czy jest coś innego, co twoim zdaniem stanowi przeszkodę?

- Nie ma innych powodów - odparła Alice - poza tym, że cię kocham i pragnę twego szczęścia. Nie mam nic przeciwko Dianie - jest miłą dziewczyną i wiesz, że zawsze chętnie ją tutaj przyjmowaliśmy. Chcę ci jednak powiedzieć, że ślub jest diabelnym zobowiązaniem, jeśli brać go poważnie; a jestem pewna, że ty właśnie tak sprawę traktujesz. Myślę, że Diana również. Dopiero co rozpocząłeś swoją karierę zawodową. Bywasz w Londynie i okolicach, znasz mnóstwo ludzi, ale to nie jest życie, to nie jest doświadczenie. Poślubiasz po prostu pierwszą dziewczynę, co do której jesteś przekonany, że ją kochasz. Za rok od dzisiaj możesz czuć i myśleć zupełnie inaczej! Ale nie trafia do ciebie ani jedno moje słowo, widzę to.

- Słucham cię. Zawsze cię słuchałem. I wiesz, mamo, że zawsze robiłem to, co chciałaś. Teraz ja chcę, żebyś ty coś dla mnie zrobiła. Chcę, żebyś powiedziała „tak”, była szczęśliwą z powodu moich zaręczyn i przyjęła Dianę do rodziny. Zrobisz to dla mnie? Zrób, proszę!

Przez chwilę Alice nie odpowiadała. Był jej synem, owocem miłości jej życia. Od chwili urodzenia dał jej tyle radości. I, jak powiedział, zawsze robił to, o co go prosiła.

Wybuchnęła płaczem. Od czasów gdy był małym chłopcem, nie widział nigdy jej łez. Teraz nie mógł ich znieść. Jego złość i rozczarowanie nie przetrzymały tej próby.

- Och, mamó, nie płacz...

Objął ją. Trwali tak chwilę.

- Naprawdę ją kochasz? - spytała. *Nie mogę mu odmówić, nie mogę go unieszczęśliwić.*

- Tak, naprawdę.

Wzięła głęboki oddech. Wyjęła chusteczkę i wytarła oczy.

- Przepraszam, kochanie. Może po prostu wydał mi się trudny do przeżycia fakt, że tracę cię tak wcześnie, ale jeżeli pragniesz Diany i sądzisz, że ona cię uszczęśliwi, zgadzam się. Jestem po twojej stronie. Wybaczysz mi?

- Nie bądź niemądra, mamó - odparł. - Powiem ojcu, kiedy przyjedzie dzisiaj na noc. Mam nadzieję, że przyjmie to lepiej niż decyzję Fern.

Alice zmusiła się do uśmiechu.

- Nie sądzę, żeby robił ci wielkie trudności. - rzekła.

Alice chciała, by ślub odbył się na wiosnę, ale - ku jej zaskoczeniu - Brayleyowie woleli dużo wcześniejszy termin. Diana i Richard nie chcą długiego narzeczeństwa - rozumiała to, ale poczuła się nieco rozczarowana, że ślub będzie w zimie. A także, że nie w Ashton. Ojciec Diany odrzucił tę propozycję. Ponieważ dom Brayleyów był zbyt mały na pomieszczenie mnóstwa gości, właściwym kompromisem wydawała się uroczystość w Londynie.

Alice uległa łaskawie, ale była zirytowana. Brayleyowi duma nie pozwalała zgodzić się na wesele córki w Ashton, ale nie zawahał się wymusić na Hugonie niezłego małżeńskiego kontraktu. I, zadziwiające, Hugo okazał się bardziej niż szczodry. Alice ze swej strony przekazała przyszłej synowej wielkie koło z brylantami.

- Myślałem, że zostawisz je dla Fern - stwierdził Hugo.

- Fern nie nosi żadnej biżuterii - odcięła się Alice. - Twoja matka ofiarowała ją mnie, a ja daję broszkę Dianie. Mam mnóstwo innych klejnotów, jeżeli tylko Fern je chce. Cały problem w tym, że jest nieco za duża. Przygniata swą wielkością takie dziecko.

- Spodziewam się, że będzie umiała ją nosić - odparł. - Większość kobiet bez trudu dochodzi do porozumienia.

Jego sarkazm Alice skwitowała wzruszeniem ramion. Jak się spodziewała, wiadomość o ślubie Richarda przyjął z obojętnością graniczącą ze znudzeniem. Kiedy wyraziła swoje zaniepokojenie z powodu pośpiechu towarzyszącemu zawarciu tego małżeństwa, zauważył,

że tak samo łatwo jest popełnić błąd mając trzydzieści dwa lata, jak i dwadzieścia dwa. Oczywiście miał na myśli siebie.

Powierniczką jej wątpliwości i niepokojów była Lily, która robiła co mogła, żeby je rozpraszać.

- Tak, są młodzi - przyznawała - ale zakochani w sobie po uszy, a to najbardziej się liczy.

- Mają raczej głowy w chmurach - sprostowała z irytacją Alice. - On jest taki młody, Lily, a ona niedojrzała. Niektóre dziewczęta w wieku osiemnastu lat są kobietami, ale nie Diana. Szkoda, że wcześniej nie zrozumiałam, że to poważna sprawa. Powinnam położyć temu kres na samym początku.

- Nie może pani za każdego kierować jego życiem - stwierdziła Lily. - Panicz Richard jest mężczyzną - ma prawo powodować się własnym rozumem.

- Och, zamknij się - powiedziała ostro Alice. - I dlaczego ślub ma być w styczniu? To najgorszy miesiąc w roku! Londyn w deszczu!

- Ale pani ją lubi - podniosła Lily. - Co by pani zrobiła, gdyby to był ktoś, kogo nie mogłaby pani ścierpieć?

- Nie wiem - odparła Alice niecierpliwie. - Tak, lubię ją, oczywiście. Jest słodkim maleństwem, ale nie chodzi o mój stosunek do niej. Jestem po prostu niespokojna.

I zazdrośna, pomyślała Lily. Nie potępiam cię, ale zrobiłaś sobie idola z tego chłopca i boli cię, że go tracisz.

Potem wpadła na pewien pomysł. Zaproponowała coś, co zmieniło życie ich wszystkich. Zrobiła to z miłości do Alice, starając się zmniejszyć jej ból.

- Dlaczego nie miałyby pani dać im tutaj apartamentu? - spytała.

- Nie będą mieli innego mieszkania na wsi i to będzie dla nich wygodne. Niech panienka Diana urządzi je dla nich. Jest mnóstwo pokoi, które można by wykorzystać.

Niespodziewanie Alice uśmiechnęła się.

- Lily! Wpadłaś na cudowny pomysł! Richard uwielbia ten dom, a poza wszystkim pewnego dnia i tak w nim zamieszka. Spędzili tutaj większość zimowych weekendów - jest zwariowany na punkcie swoich polowań. I Diana będzie szczęśliwa - zawsze mówiła, że nienawidzi Londynu. Lily, zrobię tak! Powiem im o tym jutro. Przepraszam, że dopiero co kazałam ci się zamknąć. Nie miałam nic złego na myśli.

- Proszę się nie martwić - odparła Lily. - Przywykłam przez te wszystkie lata.

*

W styczniu nie było deszczu, natomiast padał śnieg. W noc przed ślubem Diana i jej

rodzice zatrzymali się w Claridges Hotel. Dostarczono suknię ślubną. Ojciec Diany stwierdził, że córka musi zostać wydana za mąż w odpowiednim stylu. Nie było żadnych oszczędności. Sprzedał blok udziałów i powiedział żonie, by wydała to na wszystko, co niezbędne. Za resztę pieniędzy zabukował dla siebie i żony długi rejs.

Suknia była przepiękna, zaprojektowana przez Diora; śnieżnobiały atlas przybrany białymi norkami. Pożyczono jej diadem Vandekarów; ich własna biżuteria została sprzedana już dawno temu. Był zbyt wielki i ciężki jak dla niej, ale nie chciała obrazić teściów odmową przyjęcia go. Wielka brylantowa broszka od Alice także powinna zostać wyeksponowana.

Zjedli kolację w towarzystwie kuzynek jej matki i Diana poszła wcześniej do łóżka. Jeszcze nie spała, kiedy Anne Brayley zapukała do drzwi jej pokoju.

- Mama? Wejdz!

- Zobaczyłam światło pod drzwiami - powiedziała matka. - Odwieźliśmy Joan i Peggy, a ojciec zszedł na dół na ostatniego drinka. Nie możesz spać?

- Nie, jestem zbyt podniecona. Chodź i usiądź na chwilę koło mnie.

Anne usiadła na łóżku. Wyglądała tak ładnie, pomyślała, z tymi swoimi rudymi włosami, rozrzuconymi na poduszce. Tak ładnie, tak delikatnie i tak młodo.

- Jesteś szczęśliwa, prawda, kochanie? - spytała. - Naprawdę go kochasz, tak?

- Och, tak, mamo, naprawdę. Jest cudowny. Czuję się taka szczęśliwa!

Anne wyciągnęła rękę i ujęła dłoń córki.

- Masz wszelkie szanse, by nią być, Diano. Od jutra wszystko jest dla ciebie. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Tak.

Spojrzała na nią i jej wielkie, szare oczy wypełniły się łzami.

- Przepraszam, nie chciałam cię tak martwić. Ale teraz wszystko jest już w porządku.

- Oczywiście, że tak. - Anne wyciągnęła ramiona i przez długą chwilę obejmowała córkę.

Od jutra Diana znajdzie się pod opieką kogoś innego, a ona i Bill wyruszą w podróż. Istnieje granica, do jakiej mogli znosić cierpienia. Zrobili wszystko, co było w ich mocy. Reszta zależy już od Diany. Nie była kobietą wierzącą, ale w tym momencie ofiarowała milczące podziękowanie Bogu; jeżeli istniał. Potem pocałowała Dianę i wstała.

- Dobranoc, śpij, kochanie. Jutro twój wielki dzień.

Diana zgasiła światło i wślizgnęła się pod kołdrę. Widziała błyszczącą w ciemności białą suknię w okrywającym ją celofanie. Jutro będzie mężatką. A potem miodowy miesiąc. Richard nie powiedział, dokąd jada. Gdzieś, gdzie świeci słońce, jak stwierdził. W każdym

razie to tylko jedna noc. Jedna samotna noc, a potem, po ślubie, będzie miała Richarda i będą się kochać i kochać bez końca, i nigdy więcej nie zatęskni za żadnym innym mężczyzną.

„Śnieżna Panna Młoda”, okrzyknęły ją nagłówki gazet. Ludzie tłoczyli się w kościele, stojąc w dwunastu szeregach, by zobaczyć piękną dziewczynę z towarzystwa, poślubiającą swego milionera. Kiedy stali pod portykiem, pozując fotografom po wyjściu z kościoła, sypał śnieg. Brylanty na jej głowie i szyi rozsiewały blaski. W tłumie rozlegały się pełne podniecenia „ochy”. Uśmiechnęła się i Richard się uśmiechnął, ich ręce zacisnęły się mocno, a potem orszak ruszył i fotografowie ponownie rzucili się do pracy, zwłaszcza że w polu widzenia pokazali się sir Hugo i lady Alice Vandekarowie, wraz z lordostwem Brayley. Znalazło się to na tytułowej stronie każdej krajowej gazety.

Zimowa pogoda potrwała tydzień. Deszcz, który Alice przewidywała, zaczął lać strumieniami i Londyn pogrążył się w błocie.

*

- Jeżeli oni dostaną własny apartament, w takim razie i my powinniśmy go otrzymać. W końcu to jest także i mój dom.

Alice wyszła na przechadzkę. Brian zaoferował jej swoje towarzystwo, co bardzo zdenerwowało Fern. Richard i ta jego wdzięcząca się głupawo żona byli na górze z dwuletnią Nancy Alice. Diana urodziła dziecko od razu w pierwszym roku małżeństwa, pomyślała Fern z goryczą, a my mamy takie kłopoty. Hugo podniósł wzrok znad książki. Weekendy były cenne, kiedy mógł wyrwać się ze swego okręgu wyborczego. Lubił czytać siedząc w spokoju. Kochał swoją córkę i dobrze ją znał, od razu więc zauważył, że czymś się gryzie. Ona i jej mąż często się teraz kłócili publicznie; Hugo uważał to za bardzo nietaktowne, zwłaszcza że ich sprzeczki wprawiały innych w zakłopotanie. Winił swego zięcia za brak wychowania.

- Fern, kochanie - powiedział - oczywiście, dom jest tak samo twój, jak i Richarda. Jeżeli chcesz tutaj mieć jakieś pokoje na stałe, dostaniesz je. Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

Odwróciła się, zapadając głębiej w fotel.

- Ponieważ Brian nie chciał się wpraszać - odparła. - Wiesz, jaki on jest. Częściej przyjeżdżałabym do domu, gdybyśmy mieli tutaj dla siebie salon. Brian lubi niezależność. Chociaż nie sądzę, żeby mama była z tego zbytnio zadowolona.

Spojrzała szybko na Hugona. Wrócił do czytania swojej książki i nie podjął zaczepki. Podniosła się zniecierpliwiona. Dlaczego Brian wyszedł na spacer z jej matką? Nie znosił przechadzek. Nie było ich już ponad godzinę.

- Właściwie może pomysł nie jest najlepszy - stwierdziła.

- Co takiego? - Hugo uważał sprawę za zamkniętą.

- Przebywanie tutaj tak często, jak Diana i Richard - odparła.

Przebywanie z Alice; to miała na myśli. Było jej przykro, że domagała się apartamentu.

- Dlaczego nie, do diabła? - Odłożył na bok książkę. - Lubię, kiedy tu jesteś, przecież wiesz, Fern.

W ostatnich dniach wyglądał na zmęczonego, a podczas tych lat, które upłynęły od jej ślubu, podupadł na siłach. W przeciwieństwie do Alice, której energia i zachłanność na życie zdawały się nigdy nie maleć. Łazić po okolicy w przenikliwie zimny dzień... Fern było przykro, że czuje się z nim niezręcznie.

- Wiem - powiedziała. - Uwielbiam przyjeżdżać do domu, do ciebie, tato. Nie chciałam być natarczywa. Ale wszystko kręci się wokół Richarda. Richard to, Richard tamto. I, oczywiście, oni mają dziecko, a my nie.

- Jesteś śmieszna - zaprotestował Hugo. - Nie robi mi to najmniejszej różnicy. Jeśli chcesz wiedzieć, dla mnie bycie dziadkiem jest po prostu męczące. Więc nie wbijaj sobie do głowy żadnych bzdur.

Wyglądała na zadowoloną. Wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Może nie powinnam ci mówić - stwierdziła - ale czy zauważyłeś, ile Richard pije?

- Nie, nie zauważyłem. Rzeczywiście?

- Jak smok. Jestem zdumiona, że nie dostrzegłeś.

- Nie poświęcam mu zbyt wiele uwagi - zaznaczył Hugo. - Twoja matka robi to za nas oboje. Dlaczego miałby pić? Wcześniej nic takiego się nie zdarzało.

Nie wydawał się zbyt zainteresowany tematem.

- Nie wiem - potrząsnęła głową Fern. - Jestem zaskoczona, że mama nie reaguje.

- To tylko faza przejściowa, jak się spodziewam - powiedział. - Chyba nadeszła pora herbaty. Proponuję, żebyśmy zaczekali na Briana i twoją matkę.

Fern wstała i podeszła do niego. Schyliła się i pocałowała go w policzek. Nagrodą dla niej była rzadko teraz goszcząca na jego twarzy łagodność, kiedy na nią spojrział.

- Jeżeli chcesz herbatę, przyniosę ci - zaproponowała. - Nie mogą zostać dłużej, robi się całkiem ciemno!

W zachodnim skrzydle zapalono światła. Alice zauważyła je, kiedy wraz z zięciem wyszli z za rogu budynku. Odeszli dalej i spacerowali dłużej, niż początkowo mieli zamiar. Planowała zbudować Świątynię Dumania na odległym końcu jeziora i pragnęła zasięgnąć opinii Briana na temat jej umiejscowienia.

On uwielbia Ashton, myślała. Zdaje się instynktownie doceniać i rozumieć jego piękno. I ma oryginalne poglądy, które stymulują moją wyobraźnię.

- No cóż - powiedział. - Będę szczęśliwy mogąc tam pójść i zobaczyć miejsce, jeżeli chcesz. Projekty wyglądają dobrze, ale wiele zależy od koloru kamienia i zwartości zieleni. Pod wpływem warunków atmosferycznych miedź może zwietrzeć rozmaicie.

- Chciałabym, żebyś ze mną poszedł - stwierdziła Alice. - Hugo jest bardzo zajęty i w weekendy nie znosi biegania po okolicy. Gdybym zatelefonowała, moglibyśmy pójść nawet jutro rano.

- Będę się bardzo cieszył - odparł.

Weszli do budynku i przeszli do tylnej garderoby. Brian pomógł zdjąć jej płaszcz.

- Mogłaby mi pani oddać przysługę, lady V?

- Naprawdę wolałabym, żebyś mnie tak nie nazywał. To brzmi niczym nazwa dezodorantu!

Brian roześmiał się.

- Nie, wcale nie. Nie mogę mówić do ciebie po imieniu; Fern zabiłaby mnie. Nie mam także kaprysu, by nazywać swego teścia Hugonem!

- Rozumiem cię - stwierdziła. - O jaką grzeczność ci chodzi?

- Porozmawiaj z Fern, żeby przestała się zadręczać, że nie zachodzi w ciążę. To się nigdy nie stanie, jeśli się nie odpręży.

Alice westchnęła.

- Musisz wiedzieć, że z Fern nie mogę porozmawiać o czymkolwiek. Ona myśli, że się wtrącam. Hugo mógłby to zrobić. Jest jedynym człowiekiem, który potrafi do niej trafić. Przykro mi, ale nie jestem w stanie ci pomóc. Dzieci nie zawsze są błogosławieństwem. Tak czy inaczej, zobaczę, co będę mogła zrobić.

- Dzięki - powiedział. - Chciałbym, żeby nie dowiedziała się o naszej rozmowie. Mogłaby opacznie zrozumieć.

- Jak zwykle - rzuciła Alice. - Miała wielkie szczęście spotykając ciebie, Brianie. Żywię nadzieję, że pewnego dnia nie stracę na tyle panowania nad sobą, żeby jej to powiedzieć.

- Też mam taką nadzieję - przyznał.

- Idź na herbatę - rzekła. - Pójdę na górę zobaczyć, jak się czuje Nancy. Miała dziś rano gorączkę. Zapewne lekkie przeziębienie, ale piastunka zachowuje się tak, jakby to było zapalenie płuc.

Nigdy nie sądziła, że pokocha to dziecko. Cieszyła się za Richarda, ponieważ był

przeżony, że Diana zaszła w ciążę zaledwie kilka miesięcy po ich ślubie. I szczęśliwa za jego żonę, która sama nadal wydawała się dzieckiem. Ale było w tej drobnej dziewczynie coś, co ją niepokoiło. Nie dopatrzyła się w dziecku żadnego podobieństwa do jej syna i nie znajdowała żadnego racjonalnego wytłumaczenia tego faktu. Dziewczynka miała strzechę jasnorudych włosów i pomarszczoną twarz małej małpki. Ku swemu własnemu zdziwieniu, Alice uważała Nancy za cudowne dziecko.

Wszystko wskazywało na to, że małżeństwo jest udane. Obawy Alice nie sprawdziły się. Stanowili doskonałą parę - przystojny Richard i jego piękna żona z ich nowo narodonym dzieckiem. Ale to było dwa lata temu.

Skłamała przed Brianem. Wcale nie szła do pokoju dzieciennego, lecz by zobaczyć się ze swoim synem. Zakrawało na ironię, że wybrali właśnie zachodnie skrzydło domu. Ich apartament mieścił się dokładnie nad pokojem, w którym opiekowała się Nickiem, przywracając mu zdrowie fizyczne i psychiczne tylko po to, by go w końcu stracić. Nie przeszła nigdy obok tych drzwi, by o nim nie pomyśleć. I o jego synu, od którego jechało whisky jeszcze przed śniadaniem. Była w połowie schodów, kiedy spotkała Dianę.

- Och, witam, lady Alice! - Momentalnie pojawił się promienny uśmiech, któremu Alice nauczyła się już nie ufać. - Idę, by dołączyć do was podczas herbaty. Nancy jest nadal trochę niewyraźna, więc pomyślałam, żeby pozostała raczej w tym samym otoczeniu. Niania mówi...

- A Richard nie schodzi? - przerwała jej Alice.

- Boli go głowa. - Odpowiedź padła tak szybko, że wiedziała, iż była z góry przygotowana. - Może zaraził się od Nancy. Zejdzie później.

- Pójdę do niego - rzekła Alice.

Diana nie odsunęła się z drogi.

- Śpi - powiedziała. - Dałam mu dwie aspiryny i położył się. Spał, kiedy teraz zajrzałam do niego.

Trwało to już od roku. Zbyt wiele drinków po kolacji, kiedy spędzali wieczory w rodzinnym gronie. Zbyt wiele drinków w weekendy, gdy do Ashton przybywało wielu gości. Pijany podczas myśliwskich pikników. Diana pojawiała się bez niego z jakimiś wytłumaczeniami. Zapach alkoholu, który nie znikał do rana. Przez cały rok Alice nic nie mówiła, czepiając się nadziei, iż to nic poważnego. Zdarzają się takie okresy w życiu niektórych mężczyzn. Nie należało na siłę doszukiwać się problemu. Był szczęśliwy - dobrze pracował, kochał żonę i dbał o dziecko. Nie było żadnego powodu.

Spojrzała na Dianę. Na jej twarz wypłynął rumieniec winy, a uśmiech zwiął.

- Jest pijany - stwierdziła Alice. - Nie okłamuj mnie. Zejdź mi z drogi!

Nie leżał chory. Był zamroczony, rozwalony w fotelu, ramiona wisiąły bezwładnie poza oparciem, nogi miał wyciągnięte przed siebie, a na podłodze stała pusta szklanka. Chrapał. Przez chwilę Alice stała i spoglądała na niego z góry. Miał rozczochrane włosy, a twarz różową i błyszczącą od potu. Nie wyobrażała sobie nigdy, by jego widok mógł stać się dla niej odpychający, ale tak właśnie było. Czuła obrzydzenie i złość. Nic nie mogła zrobić. Na filmie ktoś brał kubek zimnej wody i cucił pijanego; ale tutaj było prawdziwe życie. Odwróciła się i z drugiej strony zamknęła salonik na klucz. Nikt nie może tu wejść i widzieć go w takim stanie. Potem zeszła na dół i dołączyła do pozostałych osób siedzących przy herbacie. Fern nalewała ją w zastępstwie matki.

- Przepraszam za spóźnienie, ale poszłam sprawdzić, co z Nancy - wyjaśniła Alice.

Dostrzegła błysk szybkiego, przerażonego spojrzenia Diany.

- Mieliśmy cudowny spacer. Hugo, kochanie, sądzę, że Świątynia Dumania na końcu jeziora, skąd roztacza się przepiękny widok, będzie wspaniała.

Wzięła filiżankę z herbatą. Kanapki z sardelą. Powiedziała, że uwielbia sardele, stanowiły odmianę od ogórka.

- Biedny Richard ma grypę - oświadczyła; mówiła bezpośrednio do Diany. - Lepiej, żeby został dziś wieczorem w łóżku. Nie pozwól mu zejść na kolację.

- Oczywiście - padła odpowiedź. - Czuje się fatalnie.

Jest znakomitą aktorką, pomyślała nagle Alice. Czy i ja także? Nikt nie domyśliłby się, że obie kłamiemy.

Kiedy wyszli, by przebrać się do kolacji, Alice wsunęła synowej klucz.

- Zamykaj go - powiedziała szeptem. - Jutro spotkam się z wami obojgiem.

*

- Och, Dick, Dick, dlaczego to zrobiłeś? Co my jej powiemy?

Diana płakała. Kiedy tak reagowała, czuł się nieszczęśliwy. Zrobił co mógł, żeby wytrzeźwieć, ale miał wystarczająco dużo alkoholu we krwi, by upić się natychmiast nawet najmniejszym jego łykiem. Nienawidził, kiedy płakała. Bardziej nawet nienawidził siebie, ponieważ przyczyną wszystkiego było to, że on zawiódł. Poniósł fiasko, pragnąc sprostać jej nienasyconym wymaganiom seksualnym, które w końcu doprowadziły do tego, że stał się impotentem. Z początku kieliszek czy dwa pomagały. Alkohol powodował zwiększenie pewności siebie, pozwalał zapomnieć o zakończonej niepowodzeniem poprzedniej próbie zaspokojenia żony, umożliwiając podjęcie ponownej próby. Mimo to i tak w końcu zawodził. Nie mógł jej sprostać. Czasami, leżąc obok Diany w ciemności, zanim nie zamroczył się

alkoholem, nie był w stanie uwierzyć, że chorobliwe żądania stawiane były przez tę dziewczynę o przemiłym charakterze, nie zepsutą, kochającą jego i dziecko, pod żadnym względem niepodobnej do tej o nienasyconych, rozpasanych żądach. Czuł się zjadany żywcem.

Ale ciągle ją kochał. Kochał ją, kiedy odkrył w Londynie, że wymyka się popołudniami i spotyka ze starszym od siebie kochankiem. Przypadkowo zobaczył ją wychodzącą z bloku mieszkalnego przy Knightsbridge, kiedy przejeżdżał tamtędy taksówką. Tego wieczoru zapytał ją, jak spędziła dzień; usłyszał stek kłamstw. Zajrzał do jej kalendarza i znalazł inicjał „J” oraz wpisaną w tym samym dniu godzinę 2.15.

Kłamała, płacząc i zmyślając, podczas gdy on przełknął dwie szklaneczki whisky, bez końca domagając się prawdy. W końcu poddał się. Poszła do łóżka i szlochała aż do zaśnięcia.

Następnego ranka wyszedł nie budząc jej. Pojechał do owego domu i spisał nazwiska z listy lokatorów. Znalazł numery telefonów każdego z mieszkańców i zadzwonił pod wszystkie. Tylko jedna osoba zareagowała, kiedy powiedział, że ma wiadomość od pani Vandekar. To był mężczyzna. Odłożył słuchawkę. Upił się przed powrotem do domu, gdyż obawiał się bardzo, że mógłby siłą zmusić ją do wyznania prawdy. Próbowwała zamydlić mu oczy. Błagała, by zapomniał o wszystkim, nie pytał i po prostu uwierzył, że kocha go ponad wszystko na świecie; i że nigdy nie powinien czuć się zazdrosny czy podejrzliwy, ponieważ nikt inny nic dla niej nie znaczy. Za wyjątkiem jego. I Nancy. Trzymała kurczowo dziecko, w rozpaczliwym pragnieniu uzyskania wybaczenia. Richard objął je obie, płacząc wraz z nimi.

Nie śledził jej ani nie podpatrywał już więcej. Wiedział, kiedy szła do mieszkania przy Knightsbridge, ponieważ wówczas emanowała szczególnym rodzajem podniecenia, w którym wyczuwał także dręczące ją poczucie winy; nalewała mu drinka i okazywała niezwykłą uprzejmość.

Przerażały go wyjazdy do Ashton. Obawiał się podejrzeń matki, iż nie jest szczęśliwy, i obwiniania o to Diany. Okłamywał sam siebie, że jest w stanie kontrolować swoje picie i przez pewien czas mógł ich oszukiwać. Ale teraz gra była skończona. Powiedział to Dianie.

- Znam swoją matkę, kochanie. Możesz mnie bujać, a ja mogę łąć, ile kieliszków wypilem i gdzie chowam szkocką, ale z nią nam się nie uda!

- Co my jej powiemy? Nie powiesz nic o mnie, dobrze? Obiecuj mi. Proszę, proszę, nie mów nic o mnie, możesz?

- O naszym małym problemie? O moim małym problemie? Nie jest taki mały zresztą. Był już wystarczająco duży, kiedy zaczynaliśmy.

- Och, przestań - błagała go. - Nie mów takich strasznych rzeczy. Znowu piłeś, prawda? Ona pozna. Pozna, jak tylko cię zobaczy.

- Nie powiem jej - obiecał. - Nie powiem jej, że ty po prostu nigdy nie masz dosyć. A kiedy ja już nie mogę, wówczas wymykasz się do innego faceta. Och, na litość boską, czy ty myślisz, że ja nie wiem? Jak tam przy Knightsbridge? Jeszcze go nie zajeżdżałaś? Przepraszam. Przepraszam, przepraszam... Nie powinienem tego mówić. Chciałbym, żebyśmy mogli jej powiedzieć, Di. Ona wiedziałaby, co robić. Chciałbym, żebyś pozwoliła mi jej zaufać.

Skoczyła na równe nogi.

- Nie! Nie! - krzyknęła. - Zabiję się, jeśli to zrobisz! Zabiję się! Dick, proszę, czy nie rozumiesz, co wówczas nastąpi? Rozwiedzie cię ze mną. Wyrzuci mnie...

Wstał i poszedł do łazienki. Whisky stała w szafce z lekarstwami. Sięgnął po butelkę, ale zawahał się. Lepiej nie. Musiał mieć jasną głowę. Miał w oczach łzy. *Matka może nam pomóc. Jestem pewien. Ale nigdy nie wybaczy Dianie. Jeśli przestanę pić, może pozbieramy się jakoś do kupy. Gdyby tylko ona nie kłamała - powiedział ze złością na głos. Gdyby mi tylko powiedziała, a potem żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Ale ona łże i udaje, że to nie ma znaczenia. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem impotentem. Nie mogę powiedzieć tego matce. Nikomu nie mogę powiedzieć, co się stało...*

Wrócił do sypialni. Wziął głęboki oddech i uspokoił się.

- Kiedy ma przyjść?

- Po śniadaniu - szepnęła Diana przygnębiona.

- Lepiej nie siedźmy tutaj, czekając - stwierdził Richard po namyśle. - Chodźmy na dół i porozmawiajmy z nią.

- Och, nie chcę... nie mogę...

- Dobrze, ja pójdę - rzekł. - Zostań. Ona nie chce rozmawiać z tobą. To ja mam stawić jej czoło. Jeżeli zaczniesz opowiadać rozmaite swoje bajki, zaraz pozna, że coś przed nią ukrywamy. Zostaw to mnie.

*

- Kłamie przede mną - powiedziała Alice. - Błagałam go, by powiedział, jeżeli dzieje się cokolwiek złego, ale on bez przerwy powtarzał: „Nie, nie, po prostu wpadłem w nałóg”. Wiem, że nie mówił prawdy, i wiem, że czymś się dręczy! Ale nic nie mogę z niego wydobyć.

Lily patrzyła na nią w milczeniu. Alice mówiła chodząc w tę i z powrotem, zadając Lily pytania i nie czekając na odpowiedzi. Służąca od lat nie widziała jej tak niespokojnej.

- Nie chodzi czasem o pracę?

- Nie - zaprzeczyła natychmiast Alice. - To pierwsza rzecz, o jaką spytałam okrężną drogą Hugona, a on stwierdził, że Richardowi dobrze idzie. I nie mógł się go nachwalić. Ciekawa jestem, jak długo to potrwa, jeżeli nadal będzie pił. Och, Boże! Lily, czułam od niego whisky, kiedy wszedł rano do pokoju. Już pił!

- Jeżeli to nie z powodu kłopotów w banku, zatem musi być coś innego - oświadczyła Lily, starając się być taktowna.

Wiedziała, jak zaborczo opiekuńcza była Alice w stosunku do swego syna, a owa troskliwość obejmowała również jego żonę. Lily lubiła Dianę - łagodną, czarującą dziewczynę i zawsze dla niej grzeczną. Miłą w stosunku do każdego, kto pracował w Ashton. Może trochę zbyt słodką... Lily nie mogła pozbyć się podejrzliwości w stosunku do ludzi doskonałych; wiedziała, że ludzka natura nie jest taka...

Alice przestała chodzić w kółko. Rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Sądzisz, że to z powodu Diany?

- Nie powiedziałam tego - wycofała się szybko Lily.

- Ale tak myślisz? Przestań, cholera, wymigiwać się i mów prosto z mostu!

- A co innego może być? - odparowała Lily. - Panicz Richard nigdy niczego przed panią nie ukrywał. Nigdy też nie przeciwstawił się, za wyjątkiem momentu, kiedy chciał ją poślubić. Jeśli nie jest dobrze, on nie chce się przyznać. Dlaczego z nią pani nie porozmawia?

- Ponieważ nigdy by mi tego nie wybaczył - stwierdziła wolno Alice. - Powiedziałam, że być może chodzi o Dianę, a on wpadł w złość i wykrzyczał, że sam sobie poradzi; nie potrzeba jej wciągać w całą sprawę. Potem załamał się. Siedział i płakał. Powiedział: „Jak sądzisz, mamo, co powinienem z tym zrobić? Pomóż mi...” Myślałam, że mi serce pęknie, kiedy widziałam go w takim stanie.

Odwróciła się od Lily, ale nie na tyle szybko, by tamta nie dostrzegła w jej oczach łez.

- Pójdzie do lekarza - odezwała się Alice po chwili. - Przyrzekł mi, że zrobi wszystko, co mu lekarz poleci. A ja obiecałam dochować tajemnicy przed ojcem.

Odchrząknęła i popatrzyła na Lily. Już wzięła się w garść, ale na twarzy pojawił się grymas, który służąca dobrze знаła. Bez względu na wszystko postanowiła walczyć o swego syna.

- Jeżeli on i Diana są nieszczęśliwi, chcę o tym wiedzieć - powiedziała z naciskiem. - Możesz mi pomóc, Lily? Będziesz mieć na nich oko, kiedy przyjeżdżają tutaj i zostają?

Lily skinęła głową.

- Zobaczę, co się da zrobić - odrzekła.

A potem, tak jak robiła to zawsze, kiedy Alice przeżywała jakiś kryzys, dodała:

- Proszę się nie martwić. Proszę na mnie polegać.

*

Diana czuła się samotna. Richard wyjechał do sanatorium na całe trzy tygodnie. Nie mogła jeździć do Ashton na weekendy, ponieważ oficjalnie przebywali na wakacjach. I nie mogła wymyślić żadnej wymówki, kiedy Alice zaprosiła piastunkę i Nancy, by zostały w Ashton, podczas gdy jej rodzice wyjechali. Diana była sama w eleganckim londyńskim mieszkaniu.

Ich przyjaciółom opowiedziano inną historię. Richard miał jakoby udać się do Ameryki w interesach. Diana nie mogła z nim jechać, ponieważ miała wiele zajęć. Była zajęta zaproszeniami na lunche, koktajle i długi weekend myśliwski w Norfolk.

Bez Richarda czuła się samotna i nawet idąc do łóżka z pewnym mężczyzną, podczas pobytu w Norfolk, nie przestawała tęsknić za mężem. Większość popołudni spędzała w mieszkaniu przy Knightsbridge, ale czasem John wymawiał się od spotkań z nią. Coraz bardziej wydłużał grę wstępna, żeby się podniecić, i często jej własne potrzeby pozostawały nie zaspokojone. Nie wolno jej było odwiedzać Richarda ani nawet telefonować. Musiał brać lekarstwa i borykać się z problemem na własną rękę. I zawsze ten niepokój, że ktoś, widząc ją, mógłby wspomnieć o tym teściowi, który zacząłby się zastanawiać, dlaczego nie są za granicą, tak jak mu powiedziano. Otaczały ją kłamstwa - żyła wśród kłamstw oraz w strachu, że wyjdą na jaw. I żyła w poczuciu winy: wiedziała, że Richard znalazł się w tym okropnym zakładzie w Hampstead z jej powodu, co nie powstrzymało jej przed wydzwanianiem do Johna i błaganiami go, by mogła wpaść. Nie powstrzymało jej także przed uwiedzeniem pewnego mężczyzny w Norfolk i zgodą na potajemne spotkania w Londynie. Im bardziej czuła się winna i strapiona, tym gwałtowniej narastały jej potrzeby seksualne, nad którymi nie mogła zapanować.

Richard wracał do domu za trzy dni. Miała wolne popołudnie i poszła do kina. Była pochłonięta tym, co działo się na ekranie. Wtedy obok niej usiadł mężczyzna i po chwili poczuła, iż dotyka jej uda. Pozwoliła, żeby ją pieścił, i szczytowała. Nie potrafiła się opanować i kiedy wyszedł za nią z kina, wzięła go do domu. Spodziewała się po nim więcej, ale doznała rozczarowania. Kochali się ukradkiem i tylko w ciemności; nie był w stanie inaczej tego robić. Musiała mu zapłacić, żeby sobie poszedł.

Potem wpadła w panikę. Czuła się podła i plugawa. Wiedział, gdzie mieszka. Może przecież wrócić. Mógłby zastać Richarda. Dostała dreszczy i wybuchnęła histerycznym płaczem. Co ona zrobiła? Jak nisko upadła, że zadawała się z taką kreaturą, pozwoliła mu się

międlíč, podniecić, a potem, w jakimś całkowitym zaślepieniu, sprowadziła go do pustego mieszkania? Mógł ją okraść, nawet zamordować.

Nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, nie miała komu się zwierzyć. Jej rodzice od dawna przebywali na stałe w południowej Afryce. Wówczas zrozumiała, że nie jest w stanie kontrolować swoich reakcji. Czuła się przerażona i opuszczona. Kiedy Richard wróci, będzie wyleczony. Koniec z piciem. Nie będzie więcej żalonych scen, podczas których on ją oskarżał, a ona zaprzeczała. Kochał ją. A ona kochała jego. Po twarzy płynęły jej łzy; litowała się nad sobą i jednocześnie odczuwała nienawiść. Ale miłość nie wystarczała. Porażona okrutną prawdą o tym, czym jest jej życie, skuliła się na swym wielkim łóżku, zgarbiona jak osaczone zwierzę. Richard nie wystarczy. Jeden mężczyzna nie wystarczy. Była skazana na oszukiwanie osoby, którą najbardziej na świecie kochała. Jedyne wyjście to opróżnić szafkę z lekarstwami, skorzystać z dobrodziejstwa rozmaitych pigułek, położyć się i umrzeć. Pomyślała, że wreszcie zrobiłaby coś pozytywnego.

To była najsilniejsza motywacja. Wstała z łóżka i już nacisnęła klamkę w drzwiach prowadzących do łazienki, kiedy zadzwonił telefon. Zatrzymała się, gdyż ostry dźwięk przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Przez chwilę się weń wsłuchiwała. Potem zawróciła z krzykiem ulgi i pobięła, by podnieść słuchawkę.

- Diano, kochanie - była to jedna z jej najlepszych przyjaciółek, June Fitzroy, teraz szczęśliwa mężatka, mieszkająca w New Forest. - Diano, jak się masz? Wieki cię nie widziałam...

Diana odpowiedziała głosem ochrypłym, ale rześkim i nawet z entuzjazmem. Tak, jest sama, a Dick przebywa w Nowym Jorku. Bardzo się cieszy, że będzie mogła do nich przyjechać i spędzić z nimi kilka dni, zanim Richard wróci do domu. Nie ma innych planów. Może przyjechać dziś wieczorem, jeżeli June to znieśie. Londyn jest teraz taki ponury...

Spakowała się błyskawicznie. Jak dobrze będzie znowu zobaczyć June. Jej męża także. Był bardzo miły. Wspaniale, że może opuścić to mieszkanie i pokój z pozostałymi w nim wspomnieniami o tym wstrętnym, plugawym człowieku, domagającym się od niej pieniędzy w chwili, kiedy zapinał sobie rozporek. Tak niewiele brakowało, by zrobiła coś strasznego - całkiem straciła głowę... Trzęsła się, pakując rzeczy. Nadal drżała, kiedy wybiegała z mieszkania, rozglądając się wokoło na wypadek, gdyby ten mężczyzna przyczaił się gdzieś w pobliżu. Potem znalazła się w samochodzie, jadąc do przyjaciół, bezpieczna.

Ładny dom na skraju lasu był dla niej promykiem światła i nadziei. Gorące powitanie, pocałunki i uściski, drink i gorąca kąpiel, June i jej miły mąż, troszczący się o nią. Biedne małeństwo, cóż za pomysł, żeby zostawać samej w tym wielkim mieszkaniu w Londynie...

Powinna była zatelefonować i sama się tu wprosić. Życie znowu było cudowne. A ona, kilka godzin temu, chciała przed nim uciec. W przytulnej sypialni, ukołyszana przyjacielską serdecznością, Diana zastanawiała się, jak mogła popaść w taką histerię. Kino było błędem. Nie zrobi tego nigdy więcej. Przez poprzednie lata zmagala się ze swoim wybujałym temperamentem i czuła się całkiem szczęśliwa. To nadal jest ten sam temperament; nie ma problemu. Zasnęła wybiegając myślą w stronę nadchodzących dni. I wracającego do domu Richarda.

6.

- Musi się z nią rozwieść - powiedziała Alice.

Wraz z Hugonem jechali dookoła parku. Było cudowne wiosenne popołudnie. Na przeciwległym krańcu jeziora stała, od czterech lat, osiemnastowieczna świątynia, której miedziana kopuła błyszczała zielenią w promieniach słońca. Alice się zdawało, że od chwili kiedy spacerowała tutaj ze swoim zięciem, Brianem, pytając go o radę w sprawie budowli, minęło całe życie. Życie pełne nadziei oraz rozpaczy, kiedy obserwowała, jak jej syn staje się degeneratem. Nie było już wymienianych szeptem plotek na temat Diany. Wcześniej czy później skandal musiał wybuchnąć i moment ten wreszcie nadszedł. Została współpозwaną w sprawie rozwodowej.

Richard nie pracował już w rodzinnym banku. Jego ciągle nawroty do pijaństwa spowodowały, że nie można go było zatrudniać. Jeździł do ośrodków odwykowych i wracał. Pojechał na trzymiesięczną kurację do Zurychu, a przed Nowym Rokiem był znowu w ciągu. Poza tym nic więcej się nie zmieniło. Miał rodzinę, upierał się, że jest szczęśliwy i kocha swoją żonę. Biedna Diana cierpiała, żyjąc z pijakiem. Hugo spojrział na żonę.

- Nie może się rozwieść - stwierdził.

Alice obróciła kierownicą. Podjechali do skraju trawnika i zatrzymała samochód.

- Nie do wiary - rzekła. - Aż trudno uwierzyć, że wciąż tak uparcie trwasz przy swoim.

Po tym wszystkim, co mu zrobiła?

- Sam sobie to zrobił - odparł Hugo. - Jest beznadziejnym alkoholikiem, a ty nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy. Nic dziwnego, że Diana ma romanse. Wcale jej nie winię.

- Romanse?! - wybuchnęła Alice. - Chyba nie leżała jeszcze tylko pod tramwajem, nie wyłączając męża jej najlepszej przyjaciółki. June Hubbard rozwodzi się z nim - trwa to nie wiadomo od jak dawna! Lily słyszała o niej dużo; krążyły plotki, niania mówiła, że kiedy Nancy była małą, Diana wychodziła w nocy i nie wracała przez wiele godzin.

- Jeśli chcesz, możesz słuchać służących - odciął się. - Ja nie zamierzam. Nie mogą się rozwieść. Jeżeli twój syn jest pijakiem, mnie nie obarczaj winą. Afera z Hubbardem wywołała spore zamieszanie i cholerna prasa miała dzięki temu niezłe używanie; ale jeśli Richard nie uczyni, sprawa umrze. A ja przetrwam. Nie uda mi się, jeżeli będzie się to ciągnąć. Żadnego rozwodu, Alice. Z powodu Richarda nie zamierzam zniszczyć swojej politycznej kariery. Więc nie zachęcaj go do tego. Konsekwencje mogą być bardzo poważne.

- Co masz na myśli? Jak możesz go powstrzymać? - natarła. - Dlaczego on ma sobie rujnować życie z twojego powodu? Jeśli uwolni się od niej, przestanie pić. Wiem, że

przestanie!

- Możliwe, ale nie odziedziczy po mnie domu ani też choćby jednego pensa. Jeżeli uważasz, że rozwód jest tego wart, droga wolna.

- Nigdy nie sądziłam, że jesteś takim draniem, Hugo. - Alice mówiła wolno, cedząc słowa. - Nigdy nie sądziłam, że będziesz grozić własnemu synowi. A co z Nancy?

Kiedy mówił, nie patrzył na nią. Spoglądał przed siebie.

- Mając taką matkę, Nancy prawdopodobnie nie jest jego dzieckiem. A on nie jest moim synem, Alice. Nie moim. Nie doszukasz się w nim ani śladu podobieństwa do mnie.

Widział, jak piękne dłonie, ozdobione ciężkim pierścieniem z brylantem, zaciskają się na kierownicy niczym imadło - i czekał. Jednak nic nie powiedziała. Nigdy nie odpowie, pomyślał. Umrze, lecz niczego nie wyzna, ale jej milczenie starczy za wszystko. Oboje to wiemy.

- Zostawię majątek Fern - oświadczył. - Oczywiście, z zabezpieczeniem dla ciebie. Ale nic dla Richarda, jeżeli przez niego stracę posadę w rządzie. Więc poinformuj go, jeśli chcesz. Jeżeli ty nic nie zrobisz, on, jak sądzę, także niczego nie uczyni. Będzie tonął w wódce, a Diana będzie robić to, co robi. Przynajmniej do czasu. A teraz, czy nie uważasz, że powinniśmy wrócić do domu? Omówiliśmy problemy, dla których załatwienia zaproponowałaś tę wycieczkę, i obejrzelśmy park. Mam kilka listów do podyktowania.

Alice uruchomiła silnik. Zawróciła samochód i długą drogą wzdłuż jeziora ruszyła z powrotem do domu.

- Nigdy ci nie wybaczę - powiedziała tylko.

- Przykro mi to słyszeć, Alice. Sądzę, iż oboje mamy sobie raczej sporo do wybaczenia. - Wszedł do swojego prywatnego biura i zamknął za sobą drzwi.

Alice poszła na górę.

- Lily! Lily! Gdzie się, do diabła, podziewasz?

- Tutaj jestem. Nie ma potrzeby krzyczeć. - Szła pośpiesznie korytarzem.

- Nie usłyszysz tego - powiedziała Alice. - Mogłabym go zabić. Naprawdę mogłabym.

- Proszę lepiej wypić filiżankę herbaty. Jest pani zdenerwowana.

- Jak może grozić wydziedziczeniem Richarda? Jak może przedkładać swoją cholerną karierę polityczną ponad życie własnego syna? - Jej twarz mieniła się od bólu i złości. - On umrze, Lily. Ma tylko dwadzieścia dziewięć lat i zrujnowaną wątrobę - marnieje! A ja powinnam spokojnie siedzieć i patrzeć, co się dzieje. Nic z tego. Uwolnię go od niej. Zmuszę ją, by od niego odeszła! Do diabła z herbatą. Zadzwoni na dół, żeby mi podstawili samochód. Nie będę ani na lunchu, ani prawdopodobnie na kolacji. Wyjeżdżam do Londynu zobaczyć się

z Dianą.

- To nic nie da, *madame* - powiedziała Lily cicho. - Ona nigdy nie odejdzie. Wszyscy wiedzą, jaka jest. Jeśli wyjdzie z tej rodziny, nie będzie miała przyjaciół i zamkną się przed nią wszystkie drzwi; a ja uważam, że ona zdaje sobie z tego sprawę. Proszę jechać i spróbować, jeśli pani chce, ale proszę nie łączyć z tym zbyt nadziei.

*

- Przestań płakać - powiedziała Alice. - Na litość boską, przestań ryczeć; to w niczym nie pomaga.

Wszystko szło nie tak. Z kamiennym sercem i zdecydowana uwolnić od niej swego syna, spotkała się z Dianą w Londynie w ich mieszkaniu. Przygotowana na sterroryzowanie jej, gotowa do przekupstwa lub grózb. Ale skończyło się na bezradnej szamotaninie we współczuciu i przerażeniu. Walka była nierówna. Alice wiedziała, że Diana nie jest dla niej przeciwnikiem. Jej matczyna miłość do Richarda odsuwała na bok jakiegokolwiek skrupuły, ale nie potrafiłaby kopać leżącego. A tutaj była całkowicie pokonana i rozpaczliwie płacząca dziewczyna.

- Nie kłam przede mną - wrzasnęła na nią Alice, kiedy tamta udawała niewiniątko. - Jeden romans, mój Boże! Oszukiwałaś Richarda od czasów, kiedy Nancy była malutka. Zrobiłaś z niego alkoholika, zniszczyłaś go. Ale teraz koniec. Miałaś już swoją szansę... Teraz wynoś się i zostaw go w spokoju!

- Nie zrobię tego - chwila oporu była krótkotrwała i patetyczna. - Nie zostawię go. Nie możesz mnie zmusić!

- Och, mogę, mogę - zagroziła Alice. - Richard posłucha mnie. Jeśli powiem, żeby odszedł od ciebie, zrobi to. Powiem mu, że zabija się nadaremnie. Powiem mu, jaka naprawdę jesteś!

- On wie - powiedziała Diana.

Przez chwilę Alice gapiała się na nią. Popłynęły łzy. Zdawała się kurczyć w sobie.

- Wie o mnie. Nie mogę dać sobie z tym rady. Próbowałam wielokrotnie... Mój ojciec prał mnie, kiedy byłam mała. Zostałam wysłana...

W końcu Alice udało się powstrzymać potok zwierzeń. Czowała się tak wstrząśnięta, że drżała.

- Musi być jakiś sposób - powiedziała. - Musi być jakieś lekarstwo.

- Nie ma - przyszła wyszeptana odpowiedź. - Szwajcarscy lekarze próbowali. Powiedzieli mi, że gdyby ojciec tak bardzo mnie nie bił, może nie byłoby tak źle. Nie wiem. Chciałabym umrzeć. Jeżeli stracę Dicka i Nancy, zabiję się.

Tak po prostu stwierdziła. Alice powstrzymała się przed złośliwym docinkiem. Tamta nie była szantażystką. Wiedziała to.

Przegrałam, pomyślała Alice. Nie mogę wziąć jej życia na swoje sumienie. A gdyby popełniła samobójstwo, zniszczyłoby to mojego syna kompletnie.

- Szkoda, że mi nie powiedział - odezwała się. - Może mogłabym jakoś pomóc. Przestań płakać, Diano. Przestań, na litość boską. Muszę zebrać myśli. Muszę się zastanowić, co będzie najlepsze dla nas wszystkich.

- On cię kocha - stwierdziła w końcu. - Dlatego istnieje problem.

- I ja go Kocham. - To był szept. - Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale mówię prawdę. Nikt inny nic nie znaczy. Proszę, pozwól mi z nim zostać. Błagam, daj mi jeszcze jedną szansę,

- Szansę, na co? Byś wywołała kolejny brudny skandal, jak ostatnio?

- Nie zrobię nic takiego - zaprotestowała Diana; uczyniła wyraźny wysiłek, by zapanować nad sobą. - Nigdy więcej. Uległam mu, ale on tego chciał, a nie było nikogo innego. June była moją najlepszą przyjaciółką. Cały czas czułam się okropnie, ale jak raz zaczęłam, nie wiedziałam, jak to przerwać.

- Muszę się napić - powiedziała Alice.

Diana wstała z wysiłkiem.

- Należę ci. Na co masz ochotę?

- Brandy - rzuciła Alice. - Ty też się napij.

- Nie lubię alkoholu - odparła Diana.

Nie piła, prawie nie paliła. W porównaniu z wieloma innymi młodymi kobietami była niezwykle wstrzemięźliwa. Z wyjątkiem jej pociągu do mężczyzn. Alice poczuła mdłości. Ze wszystkich kobiet ona sama najmniej się nadawała, by roztrząsać i próbować zrozumieć podobne sprawy. Czy odpowiedzialny za to był brutalny ojciec ignorant, który usiłował wypędzić z córki diabła? Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Ale owe rozważania przyprawiły ją o dreszcze.

- Proszę, lady Alice - powiedziała Diana.

Podniosła wzrok na tę nieszczęśliwą twarz, rozmazaną od łez, i poczuła się zupełnie bezradna. Nigdy bym nie sądziła, pomyślała, że będę jej współczuć. Przyjechałam tutaj cała w złości, z zamiarem usunięcia jej z rodziny. Ale nie mogę.

Wzięła kieliszek i pociągnęła łyk brandy. Przypomniała sobie, że po raz pierwszy piła brandy, gdy Hugo wrócił do Ashton. Teraz piła po raz drugi.

- Jeżeli Richard nie przestanie pić, umrze przed trzydziestym piątym rokiem życia -

powiedziała. - Jeśli nie wcześniej. Tak powiedział ostatni lekarz. Gdy zawrę z tobą układ, Diano, to lepiej, żebyś go dotzymała.

- Dotrzymam - głos był cichutki. - Obiecuję.

- Jest jeszcze lekarstwo, którego nie próbowaliśmy - ciągnęła Alice. - Nie chciałam go stosować, bo jest okrutne. Będzie bardzo cierpiał. Rozumiesz to?

Diana ukryła twarz w dłoniach.

- Nie mów tak - błagała. - Nie zniosę tego.

- Ty nie musisz, Richard będzie musiał - odparła Alice. - Jeżeli to ma zadziałać, musicie wyjechać. Teraz, zaraz, na jakiś czas. Jeśli on pozostanie trzeźwy, a ty będziesz się kontrolować, pomogę ci. Ale jeżeli znowu będzie pił przez ciebie, wtedy odejdziesz. Osobiście tego dopilnuję. Zrozumiałaś?

- Tak.

- Nie będzie drugiej szansy. Nigdy. Tylko ten jeden raz.

Nie dokończyła brandy; nie pomagała jej. Wywołała ponowne mdłości.

- A co z sir Hugonem? - Diana zebrała się na odwagę, żeby zapytać. - On nie chce skandalu. Jego kariera zostałaby zniszczona.

- Nie dbam o to. - Ton Alice był zimny. - Obchodzi mnie tylko mój syn. Chcę dla niego jak najlepiej. I dla Nancy.

Potem, widząc przed sobą tę mizerotę, dodała:

- Także dla ciebie. Nic mu nie mów. Pomyślę jeszcze, co trzeba zrobić, i powiem ci. Zanim ta cholerna sprawa rozwodowa trafi do sądu.

Wstała.

- Idę. Na twoim miejscu zrobiłabym coś z twarzą, przed powrotem Richarda. Może być wystarczająco trzeźwy, żeby to dostrzec.

*

- Dick?

Usiłował czytać, ale wciąż gdzieś błądził myślami. Diana powiedziała znowu:

- Dick... Dick, kochanie...

Uśmiechnął się do niej.

- Cześć.

- Witaj.

Sięgnęła poprzez niego i podciągnęła koc wyżej na jego kolana. Wiał zimny wiatr, mimo że pokład pierwszej klasy był osłonięty. Pod nimi morze pęczniało i odpływało w kilwaterze wielkiego transatlantyku.

- Nie chciałam ci przerywać - powiedziała. - Dobra książka?

- Mam nadzieję. Ale niestety zapominam, kto jest kto.

To przez środki uspokajające, pomyślała. Mocno go ogłupiają. Po ostatniej kuracji bardzo schudł. Nazywają to terapią zniechęcania. Podają ci pigułki i alkohol, a ów zestaw powoduje takie wymioty, iż jedynym pragnieniem staje się śmierć. Ale nie przerywają tego. Doprawdy przerażające; spędzała całe dnie we łzach, wyobrażając sobie, przez co on przechodzi. Ominął go rozwód Hubbardów, to była jedyna pociecha. Nigdy nie zapomni wstydu ani plugastwa doniesień prasowych. June dała z siebie wszystko, żeby ją zhańbić. Pokazała ją światu jako kobietę bez żadnych zasad moralnych czy sumienia, oszukującą najbliższych przyjaciół.

Było to przerażające doświadczenie, ale ponieważ Tom Hubbard nie zaprzeczał w sądzie, sprawa nie trwała długo. Diana przebywała w Ashton, gdzie dziennikarze nie mieli dostępu. Nie chciała tam być. Nie po spotkaniu z Alice. Nie chciała widywać ani jej, ani Hugona.

Ale Richard znów się załamał, a ona nie miała dosyć sił, by opierać się ich warunkom. Została w Ashton z Nancy i kiedy sprawa rozwodowa skończyła się, a Richard ponownie wyszedł z sanatorium, wyruszyli w sześciomiesięczną podróż.

Wyrok został ogłoszony i uprawomocniony, a Diana nie opierała się. Była tak zastraszona, że nawet Alice jej żałowała. Cudowny dom był dla niej niczym więzienie. Przyłgnęła do Nancy - bardziej sama jak dziecko, niż jak matka.

W końcu Richard wrócił do domu. Wrak człowieka. Ale był trzeźwy. Przebywała tam również jego znienawidzona siostra z małymi bliźniakami, która uśmiechała się afektownie z samozadowoleniem, gdyż Richard i Diana wypadli z łask. Tylko Brian był miły. Uprzejmy i współczujący. Wszyscy razem zasiadali do ceremonialnej kolacji w olbrzymiej sali jadalnej i prowadzili koturnowe rozmowy, w których nie uczestniczyła. Tylko Brian czynił wysiłki, by traktować ją normalnie. Mówił na temat rejsu, który planowali wraz Richardem. Wywieziono ich z Ashton samochodem Hugona, weszli na pokład w Southampton i podróż się rozpoczęła. Byli sami, wygnani na sześć miesięcy; do czasu aż nastąpi zatwierdzenie Hugona na ministerialnym stanowisku, a skandal zostanie powoli zapomniany. Hugo dopilnował, by prasa dowiedziała się o podróży. To przerwało spekulacje na temat ewentualnego rozwodu. Czuli się dziwnie szczęśliwi. Nie kłopotą niczym Richarda - był taki słaby i mizerny. W ciągu kilku dni znalazła sobie młodego oficera oraz samotnie podróżującego pasażera. Przez resztę czasu opiekowała się mężem i dotrzymywała mu towarzystwa.

- Chciałabym, żeby nie było tak zimno - powiedziała; naciągnęła pled na swoje uda. -

Niebawem znajdziemy się w cieplejszej strefie. Poczujesz się wtedy lepiej.

- To nudne dla ciebie - powiedział wolno. - Dzięki, że popłynęłaś razem ze mną, Di.

Wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

- Dzięki, że jesteś przy mnie.

- Raczej ja powinnam ci dziękować - rzekła. - Po tym wszystkim, co się stało. Ktoś inny porzuciłby mnie. Nie żałujesz, że nie odeszłam, Dick? Gdybym była odważniejsza, zrobiłabym to, co mówiła Alice. Odeszłabym. Ale nie mogłam. Nie mogłabym żyć bez ciebie i Nancy.

- Cholernie mało prawdopodobne, żebym zostając sam zrobił coś dla siebie - stwierdził. - Biedna mama; myśli, że wszyscy są tak samo twardzi, jak ona. Ja nigdy nie byłem. Nigdy nie byłem, w tym cały problem. Gdybyś mnie zostawiła, Di, zapiłbym się na śmierć w ciągu miesiąca. Kocham cię.

- Wiem - odparła pochylając głowę. - I ja cię kocham.

- Nie mogę czytać tej cholernej książki - stwierdził. - Która godzina?

- Prawie czwarta. - Umówiła się na spotkanie z młodym oficerem o piątej trzydzieści.

- Pora na twoje lekarstwo, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Nie muszę zażywać leku. Mógłbym odstawić go na parę dni, a potem spróbować się napić.

- Ale nie zrobisz tego, prawda? Och, proszę, proszę, Dick, obiecaj mi, że będziesz nadal je zażywać. Umrzesz, wiesz o tym. Alice tak powiedziała. Umrzesz, jeśli znowu zaczniesz!

- Nie martw się. - Ścisnął jej dłoń.

Był taki przystojny, pomyślała ze smutkiem. Teraz jest wynędzniały, ma pożółkłą twarz i wielkie worki pod oczami. Wygląda na czterdzieści lat.

- Nie martw się, nie zrobię nic głupiego. Przywyknę do tego. Może podziała.

- Jestem pewna, że tak - upierała się. - Chodźmy do kabiny. Tutaj robi się nieprzyjemnie. Weźmiesz swoje proszki i narkotyki, i zdrzemniesz się. Po kolacji jest dobry film. „Rzymskie wakacje”. Pamiętasz, widzieliśmy go już.

- Tak - powiedział, by sprawić jej przyjemność.

Nie pamiętał, by oglądał jakikolwiek film. Ani żadnej sztuki teatralnej. W ogóle bardzo niewiele pamiętał. Pomogła mu się położyć i schylając się, czule pocałowała.

- Prześpij się, kochanie, obudzę cię.

Potem wymknęła się, pozostawiając go śpiącego. Młody oficer czekał na nią w pustej

kabinie. Miewał zwykle kobiety podczas takich długich rejsów. Bardzo wiele z nich było w średnim wieku, a na koniec podróży obdarowywały go cennymi prezentami. Zaliczył także całe mnóstwo młodych, ale nigdy takiej rozparzonej samicy, jak ta szlachetnie urodzona. Pani Richardowa Vandekar. Jeżeli nie będzie z nią ostrożny, zajeździ go na śmierć.

*

- No cóż - powiedziała Fern. - Zastanawiam się, jak długo to będzie trwać.

- Co? - spytał Brian.

- Stan Richarda, oczywiście - odparła z irytacją.

Brian podniósł swego drinka i zakręcił pływającym w nim lodem. Dobrze ją znał, już nie dawał się zwieść pozorom. Ten ostry ton głosu. Była bardzo atrakcyjną kobietą, ale małoduszność miała wypisaną na twarzy. Zastanowił się, od jak dawna myśli o niej w ten sposób? Od czasu kiedy odkochał się i zobaczył, jaka jest naprawdę.

- Nie pije od roku - sprzeciwił się. - Dlaczego nie miałyby tak zostać?

Wzruszyła ramionami. Coraz bardziej działało mu to na nerwy.

- Może i wytrzyma. Tylko że ja tak po prostu nie uważam. I nie mów mi, że twoim zdaniem ona zmieniała swoje obyczaje!

Odstawił szklaneczkę. Miał za sobą długi dzień w pracowni; był zmęczony, wyczerpany i nie w nastroju do wysłuchiwania uszczypliwości Fern. Nigdy nie była zadowolona. A powinna. Kupili ładny dom przy Porman Square; pieniędzy mieli dość. Otrzymywał więcej zleceń, niż mógł im podolać. W przyszłym roku uczestnictwo w dwóch dużych europejskich wystawach oraz indywidualna wystawa w Nowym Jorku. Stał się sławnym malarzem, fetowanym wszędzie, gdzie się pojawił. Miała swoje długo wyczekiwane dzieci: chłopca i dziewczynkę. Odkąd jej brat został skazany na banicję, była swemu ojcu jeszcze droższa. Nadmieniła nawet, że to ona może wszystko odziedziczyć, więc nie rozumiał, dlaczego reaguje z taką złością. Był dbały, wierny i wielkoduszny, ale już jej nie kochał. Być może wiedziała o tym, choć miał nadzieję, że nie. Kiedy litował się nad nią, zaczynała głądzić o swym nieszczęśliwym dzieciństwie, egoistyczna nudziara. Czasami zastanawiał się, na ile są przesadzone te wszystkie opowieści o Alice. Przy każdej sposobności czepiała się brata i tej nieszczęsnej Diany. Słyszał, jak truła do Hugona o bracie i jego żonie, i aż poczuł obrzydzenie, widząc z jaką złością odnosiła się do nich, kiedy zeszli na dół. Obserwował jej radosne rozkoszowanie się cierpieniem Alice. Być może to stanowiło katalizator. Moment, w którym przestał ją kochać.

- Przestań, Fern. Dlaczego nie zajmiesz się swoim własnym życiem i nie dasz im spokoju? Wszystko, o czym bez przerwy myślisz, sprowadza się do jednego: jak dokopać

swojej matce i bratu. Rzygać mi się chce, gdy to słyszę.

Zrobiła się niemal biała. Przypominała teraz teścia, który bladł, kiedy był zły. „Tchórzliwi”, nazywała takich ludzi jego matka. Stanowiący niebezpieczeństwo; zdolni do wszystkiego, kiedy ogarnia ich wściekłość. Gdy bliźniaki przyszły na świat, przyjechali jego rodzice.

A on uparł się, że dzieci zostaną ochrzczone w obrządku rzymskokatolickim. Fern zaprotestowała z furją.

- Tato się wścieknie! Chyba nie mówisz poważnie...

- To są moje dzieci, a nie jego - odparł. - A moi rodzice mają tyle samo praw, co on. Dzieci będą katolikami i koniec rozmowy. W dniu, w którym pójdziesz do kościoła, będziesz miała prawo się skarżyć!

Alice zachowała neutralność w tej sprawie, za co był jej bardzo wdzięczny. Wiedział, że dzieliła uprzedzenia Hugona, ale z innych względów. To nie był snobizm, tylko kompletna niewiara w jakąkolwiek zinstytucjonalizowaną religię.

Brian zwyciężył i jego rodzice byli na chrzcie, który stał się płaszczyzną pojednania. Od czasu do czasu wpadali odwiedzić wnuki, ale Fern, nie robiąc właściwie nic szczególnego, starała się sprawić, by czuli się źle. Mieli swój honor i rozumieli, że nie ma ochoty widywać ich zbyt często. Było to tyle, ile mógł ścierpieć, ale zdarzały się momenty, że przebywając w Ashton wśród rodziny Fern, mówił, że czuje się tym głęboko dotknięty.

Zobaczył, że wstaje. Spojrzała na niego i znowu miał wrażenie, że stoi przed nim Hugo, zimny i butny w swym gniewie.

- Idę na górę powiedzieć dobranoc Benowi i Filis - oświadczyła. - Wiem, że nie są ulubieńcami Alice, tak jak córka Richarda, ale ciebie w ogóle to nie obchodzi! Mam im powiedzieć, że przyjdiesz do nich, czy będziesz siedział tutaj, ciągnąc dzin?

Brian podniósł na nią wzrok.

- Dlaczego się nie odpierdolisz? - spytał.

Z początku płakała, kiedy się kłócili, a on szybko kruszał, błagając o przebaczenie, ale już od bardzo dawna tego nie robił.

- Czarujące - powiedziała tylko i wyszła trzaskając drzwiami.

Westchnął głęboko, czując wielkie znużenie. I tej nocy nie doszło do pojednania w łóżku. Na to także był zbyt zmęczony.

*

- Mamo, popatrz na mnie.

Diana uśmiechnęła się. Dziewczynka oszalała na punkcie kucyka. Ona sama nigdy nie

przechodziła przez etap fascynacji jazdą konną, kiedy była dzieckiem, natomiast Nancy każdą wolną chwilę spędzała na swoim nowym pony, urodzinowym prezencie od Alice. Łagodny, stary weteran, na którym uczyła się jeździć, odszedł szczęśliwie na zasłużoną emeryturę. W stajni pojawiła się nowa gwiazda, jasna kasztanka z powiewającą grzywą i rozwichrzonym ogonem oraz reputacją zwyciężczyni w swojej klasie na wystawie hrabstwa. Alice i jej wnuczka zawsze były obecne na lokalnych pokazach. Alice widziała małą kasztankę tyle razy mijającą linię mety, że jej się to spodobało. Nancy wzdychała i patrzyła na nią, nie wierząc nigdy, że konik mógłby być jej. Alice zdecydowała, że musi być. Kiedy już coś postanowiła, nie zmieniała zdania. Diana usiłowała wyperswadować jej ów pomysł; była przerażona, że to małe, obdarzone temperamentem stworzenie nie pozwoli Nancy nad sobą zapanować. Alice oddaliła wszelkie obiekcje.

- Dzieciak, który na niej jeździ, nie jest nawet tak dobry, jak Nancy - powiedziała. - Najmę odpowiedniego stajennego, a on ją nauczy. W zasadzie mogłabym spróbować skusić dziewczynę, która teraz się nią zajmuje.

Istotnie, i pony, i opiekunka zostały skuszone ceną, zaoferowaną przez Alice. Podczas siódmych urodzin małej kasztanka czekała na Nancy w stajni, ze wstążkami wplecionymi w grzywę. Alice psuła wnuczkę. Diana nie umiała jej powstrzymać i tak naprawdę nie chciała tego robić. Sama nie była rozpieszczana jako dziecko. Kiedy Alice kochała, była bardziej niż wspaniałomyślna. Swe najgorętsze uczucia dzieliła między syna i jego małą córeczkę.

Richard jeździł teraz do banku dwa razy w tygodniu. Z początku nie robił zbyt wiele, ale zapalił się do pomysłu napisania książki o Vandekarach. Diana była bardzo szczęśliwa widząc, że znowu czymś się zainteresował i jest ożywiony. Oczywiście, że napisze tę książkę, upierała się, kiedy Fern robiła uszczypliwe uwagi, ileż to czasu poświęca na poszukiwanie materiałów. W tych sprawach nie należy się śpieszyć. Zabierze się do konkretnej pracy, kiedy zgromadzi całą faktografię. Kochała go bardzo. Powiedziała mu to i zarazem uznała to za sposób prześlągiwania go, by nie zadawał pytań, nie zastanawiał się i nie dociekał, dlaczego przestało ją interesować współżycie seksualne.

Obietnicę złożyła podczas tej długiej podróży. Była odpowiedzialna za utratę przez niego pewności siebie oraz picie, które potem nastąpiło. Wiedziała, że nie może ryzykować, narażając go na stres. Ze swoim osobistym problemem sama musiała sobie poradzić. I, jak dotąd, los okazał się dla niej łaskawy. Miewała dyskretne przygody i unikała ryzyka zaplątania się w kłopotliwy romans z żonatym mężczyzną. Prowadziła podwójne życie - przez część tygodnia w Ashton kochającej żony i czulej matki, a potem kobiety rozwiązłej, wmykającej się z różnymi mężczyznami do rozmaitych hoteli lub mieszkań. W wieku

dwudziestu sześciu lat była kobietą piękną i atrakcyjną dla mężczyzn. Bez trudu nawiązywała nowe znajomości. Przyciągała mężczyzn, którzy wyczuwali seksualne zaproszenie, wyraźne we wszystkim, co robiła. Powodował nimi ten sam cel. Szczęście na razie jej sprzyjało. Richard był trzeźwy. Nancy rosła jako urocze, szczęśliwe dziecko, a Alice, której obawiała się bardziej niż kogokolwiek innego w rodzinie, czujnie strzegła ich małżeństwa, odkąd Richard przestał pić. Alice stanowiła bezpieczną ochronę i chociaż nigdy nie czuła się swobodnie w obecności teściowej, myślała o niej z wdzięcznością i uznaniem.

Poszła na padok, by obserwować Nancy ujeżdżającą kucyka. Trenowała ją dziewczyna. Diana stanęła przy ogrodzeniu i patrzyła.

- Cześć, Diano.

Odwróciła się zdumiona.

- Brian? Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz. Miło cię widzieć.

Musnął po przyjacielsku wargami jej policzek, ona zaczerwieniła się.

- Fern potrzebowała odmiany. Przywieźliśmy dzieciaki. Jak idzie jazda?

- Bardzo dobrze, jak sądzę - odparła. - Sama nie miałam nigdy kucyka i niewiele o tym wiem!

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- Ani ja. Prezentuje się na nim bardzo dobrze. Obawiam się, że konie to nie jest mój pomysł na rozrywkę.

- Niebezpieczne z obu końców i niepewne pośrodku - skwitowała Diana i oboje się roześmieli.

Po krótkiej chwili wrócili razem do domu.

*

Latem Alice i Hugo pojechali na południe Francji do tej samej wynajętej willi. Przez ostatnie dziesięć lat jeździli do Cap d'Antibes - Hugo nie lubił hoteli. Willa luksusowo wyposażona, z liczną służbą i ze wspaniałym basenem należała do greckiego armatora. Ów magnat wynajmował ją Vandekarom w czasach prosperity, kiedy utrzymywał się popyt na tankowce. Później nie był już tak bogaty i czuł się szczęśliwy mogąc dostać od swoich starych przyjaciół godziwą zapłatę za jej wynajęcie. Alice chętnie tam przyjeżdżała. Wzięła ze sobą Lily, która gderała, ponieważ nie lubiła upałów, ale nigdy by się nie zgodziła zostać w domu.

Czasem zapraszali do siebie przyjaciół. Alice ze zdumieniem patrzyła, jak ambitny i mądry Hugo nadskakiwał tym, którzy mogli mu pomóc. Interesowało go coś więcej niż ministerialny stołek; podejrzewała jedynie, że wysoko mierzy. Mógł to wszakże osiągnąć.

Człowiek bystry, zdeterminowany, oddany sprawie i umiejący przyciągać do siebie ludzi. W parlamencie szybko dał się zauważyć i poznać jako przeciwnik, którego nie należy lekceważyć.

Alice potrafiła być czarująca, towarzyska i gościnna dla każdego, kto u nich przebywał, i Hugo nie znajdował słów, by wyrazić swą wdzięczność. Kiedy zostawali sami, własne towarzystwo sprawiało im przyjemność. Nie było Fern, domagającej się jego uwagi, ani Richarda, napętlającego jej serce bolesnym niepokojem.

Na swój sposób mogliśmy być bardzo szczęśliwi, pomyślała Alice tego lata, siedząc z książką obok niego na brzegu basenu. Kochałam go kiedyś i Bóg wie, że on kochał mnie. Gdybyśmy nie mieli dzieci. Gdyby nie było Nicka. Odłożyła powieść i zamknęła oczy. Słońce mocno grzało; czuła się rozluźniona i senna. Nancy miała przyjechać z nianią, by spędzić tu trzy tygodnie. Powinno być wesoło, pomyślała Alice. Uwielbiała to dziecko. Musiała także przyjąć bliźniaki, gdyż Fern zaczęła już swoją śpiewkę, że nie kocha ich tak, jak Nancy. Ale one były bardzo małe i bardzo słodkie, co znaczyło, że nie będą zbyt przeszkadzać. Może wziąć Nancy do Hôtel du Cap i popływać z nią w morzu. Basen znudzi ją po jakimś czasie, a w morzu jest dużo więcej zabawy. Hugo nienawidził tego i nie chciał się zbliżać do plaży z powodu swej amputowanej nogi. Upierał się nawet przy samotnym pływaniu w basenie. Przeważnie nosił długi płaszcz kąpielowy, a na protezie pantofel. Ale uwielbiał tę willę i klimat odpowiadał mu. Nie był szczęśliwy, pomyślała. Robił dobrą minę do złej gry. Poślubiając mnie. Tracąc nogę. Był odważny, nikt temu nie może zaprzeczyć.

- Hugo - odezwała się.

- Mhm? - zagłębiony był w biografii Lloyda George'a.

- Może zaproponowalibyśmy Stavrosowi, że odkupimy jego willę?

- Dlaczego?

Przeciągnęła się leniwie. Miała tak samo wspaniałą figurę jak wtedy, gdy się pobrali. Popatrzył na Alice, ale nie czuł już pożądania.

- Ponieważ lubisz tu być.

- Chcesz ją mieć?

- Właściwie, nie. Ashton mi wystarcza. Powiedziałam z myślą o tobie. Moglibyśmy przyjeżdżać podczas zimowej przerwy w parlamencie. Pogoda musi tu być cudowna.

- Uważasz, że sam sobie powinienem sprawić taki prezent? - spytał.

- Zaslługujesz na niego. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. - Za znoszenie mnie przez wszystkie te lata.

- Pomyślę - odparł i wrócił do swojej książki.

Nie mógł się skupić. Nadal potrafiła go wzburzyć. Zezłościć do tego stopnia, że aż się trząsał. Umiała powiedzieć coś tak skandalicznego czy oryginalnego, że ryczał ze śmiechu. Lub poruszyć go tak, jak to zrobiła teraz, przez okazanie troski, a nawet czułości. Nie kochał jej już. Nie pragnął dotknąć, chociaż leżała półnaga o wyciągnięcie ręki. Za to płacił w Londynie. Nie Celi Forbes, ale atrakcyjnej profesjonalistce, która zrezygnowała z innych klientów i rezydowała w mieszkaniu przy Regent's Park. Stał się jej jedynym kochankiem. Płacił za wszystko i była najdyskretniejszą kochanką, jaką miał kiedykolwiek, odkąd wrócił z wojny. Musiała taka być ze względu na jego pozycję w rządzie.

Ale nie uodpornił się na Alice. Robak zwątpienia drążył go od czasu, gdy umarło pożądanie; od tak dawna, że całe jego wnętrze zgniło. Ciągłe słyszał te okrutnie bolesne oskarżenia umierającego mężczyzny, przeklinającego Alice za swój los. Nigdy się nie dowiedział, czy miłością, której jemu odmawiała, obdarzyła innego mężczyznę; ani czy syn, którego zobaczył po powrocie z wojny, był owocem cudzołożnego związku, czy też małżeńskiego współczucia, które egzekwował, zanim opuścił Anglię. Starał się ją znienawidzić i przez jakiś czas udawało mu się to. Wiedział, jak w nią uderzać, jak zranić, kiedy ona raniła jego. Nie wahał się przed tym. Ale nadal potrafiła powiedzieć coś, co go poruszało.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko opuszczeniu w zimie Ashton - powiedział po chwili - mogę porozmawiać ze Stavrosem. Lecz tylko pod warunkiem, że ty również będziesz chciała przyjeżdżać.

- Owszem - odparła Alice. - Zimy w Anglii nie męczą mnie tak bardzo jak ciebie, ale pobyt tutaj obojgu nam dobrze zrobi.

Za chwilę zasnęła. Zbliżyli się ku sobie i nie wkładając w to słów pozostali blisko ze sobą przez resztę wakacji. Żadne z nich nie wiedziało, że ich losy mają się wkrótce tak bardzo pogmatwać.

*

Diana wyskoczyła do Portugalii.

- Nie masz nic przeciwko temu, kochanie? Tylko na dziesięć dni. Patsy jedzie - zapytała mnie, czy nie chciałabym do nich dołączyć. Wiem, że nie chcesz się nigdzie ruszać, kiedy zaczęłaś pisać książkę.

- Nie - odparł. - Nie chciałbym teraz przerywać; zmitrężyłem dość czasu na przygotowania. Potrzeba ci trochę odmiany, Di. Pojadę do Ashton i będę tam pracował.

- Jesteś słodki - powiedziała i pocałowała go. - Zaplanujemy coś specjalnego na jesień, dobrze? Do tej pory książka będzie już mocno zaawansowana. Rozejrzę się w Portugalii i

może znaleźć coś, co by ci się spodobało. Październik jest tam wspaniały.

Przyjechała do Ashton, sprawdziła, że naprawdę pracuje - przygotował dyktafon i notesy z zapiskami - a potem odleciała. Miała przyjaciółkę nazwiskiem Patsy Frewen, która udawała się do Portugalii ze swoim mężem i dwójką dzieci, ale Diana nie zabierała się z nimi. Wyjeżdżała samotnie do hotelu w Algarve, gdzie nikt nie powinien jej rozpoznać. Przynęła przecież, że wszystko będzie się odbywać bez skandalu. Miała dziesięć dni i wiedziała, że spotka mnóstwo turystów, a przede wszystkim Portugalczyków, którzy podczas wakacji zaspokajali potrzeby erotyczne samotnych kobiet. Na wiosnę była w Hiszpanii i nikt nie zadawał niewygodnych pytań. A już na pewno nie Richard. Będzie zajęty swoją książką o Vandekarach z Ashton.

Nie spytał o jej adres, a ona obiecała wysłać pocztówki. Rozstali się szczęśliwi. To było wspaniałe lato. Miał cały dom dla siebie, wyjąwszy nielicznych służących. Czuł się tak, jakby posiadłość już do niego należała. Na razie przerwał dyktowanie. Przesłuchał kawałek zapisu pierwszego rozdziału i czuł się zadowolony. Nikt, z wyjątkiem Diany, tak naprawdę nie wierzył, że napisze tę książkę. Fern zawsze go wyszydziała, a ojciec w ogóle pomijał temat. Alice, jak to ona, pytała o postępy, ale tylko dlatego, że pragnęła dodać mu odwagi. Pomyślał o niej i roześmiał się do siebie. Ona powinna to napisać. Na pewno nie miałyby żadnych wątpliwości, tylko z miejsca zaczęła. I skończyłaby całą rzecz, zanim on uporczywie się z zebraniem materiałów.

U niego trwało to jakiś czas, ponieważ chciał jak najwięcej dowiedzieć się o Vandekarach; musiał dotrzeć do rozmaitych dokumentów, weryfikować dane i selekcjonować informacje. Ludzie z tego rodzaju na pewno byli nietuzinkowi. Solidni, poważani holenderscy kupcy, ale nie stroniący w dalekiej przeszłości od drobnego handlu niewolnikami czy szmugłem. Sprytni ludzie interesu, głęboko religijni, którzy grzechu nie widzieli w zysku, tylko w stracie. Wiele czasu poświęcił na poznanie swojego prapradziadka, „ojca założyciela”, czyniąc zeń główną postać tak zatytułowanego rozdziału. Miał wiele fotografii i portret starca o stalowych oczach. Adam Vandekar. Wszystko zawdzięczali jemu.

Bank, interesy w Stanach i Kanadzie, cenną biżuterię, którą zostawiła babka, lecz Diana nie mogła nosić. Dla niej była zbyt ciężka i zbyt ekscentryczna.

Ashton, największy klejnot. Był tak piękny, że kilka pierwszych dni spędził na chodzeniu wokoło, potem odbywał długie przechadzki, podczas których towarzyszył mu pies ojca, oczywiście labrador. Tu zawsze były labradory, miot po miocie. Miłe, uczuciowe psy, bardzo inteligentne. Kochał psy. Kiedy Nancy będzie starsza i potrafi zaopiekować się zwierzątkiem, kupi jej szczeniaka. Może odciągnie ją od tego przeklętego kuca.

Było tak spokojnie, że czuł się zrelaksowany i zadowolony. Musi wziąć się do roboty i zacząć dyktować, gdyż inaczej nie będzie miał nic do pokazania Dianie, kiedy wróci. Będzie w domu za tydzień.

Wiele czasu poświęcił wspomnieniom. Szczęśliwym wspomnieniom. Pomyślał o spacerach z matką nad jeziorem, o łowieniu ryb z małej łódki, czego uczył go ojciec. Kiedy był chłopcem, ojciec głównie zajmował się polityką, nie poświęcał mu dużo czasu, ale nauczył go łowić ryby. Granie w tenisa z przyjaciółmi podczas wakacji. Przyjęcia nad nowym basenem. Jakież to były cholernie dobre czasy. Miejsce, w którym znajdowała się huśtawka. Teraz wisiała nowa, niska, z kołyską, postawiona dla Nancy i bliźniaków. Wtedy huśtał Dianę tak wysoko, że omal nie spadła.

Musiał zabierać się do pracy. To była fascynująca historia, wiedzieć, co doprowadziło do narodzenia się jego i Fern. Wszyscy ci Holendrzy o silnej woli i ich zażywe żony. Jego ojciec ma w sobie wiele z owych mieszczan. Richard zaśmiał się do siebie. Lepiej tego nie pisać. Stary nie byłby zadowolony. Najlepiej nagrać. Rozśmieszyc Dianę. Potem może to skasować.

Wrócił do domu, w górę po schodach i pod wspianiałym portykiem. Wielki hol był zimny, tchnący spokojem po panującym na zewnątrz upale. Kotary nadal poruszały się w przeciągach, których nikt nie potrafił zlokalizować. Kiedy byli mali, Fern straszyla go, że omal się nie zesrał, mówiąc, iż kryje się tam mężczyzna w niemieckiej zbroi z głową świni. Co za krowa, powiedział do siebie i potrząsnął głową. Na górę i do pracy. Czuł natchnienie. Miał pokój z biurkiem i zamykany sekretarzyk na swoją dokumentację i listy - masę listów od ludzi z całego świata, którzy mieli jakieś związki z ich rodziną - swój dyktafon, papierosy; wszystko, czego pisarz może wymagać. Poświęcił na pracę całe popołudnie, a kiedy odtworzył to, co nagrał, był prawdziwie zaskoczony, że było tak dobre. Interesujące i treściwe. Miejscami także zabawne.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zajrzał jeden z młodszych służących.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir. Życzy pan sobie herbatę? Już prawie piąta.

Prawie piąta. Czas szybko minął.

- Nie, dzięki, nie sędzę. Mam jeszcze robotę, ale przynieś mi whisky z wodą sodową.

*

Zapomniał, że Diana wraca w terminie. Pracował gorączkowo nad swoją książką i słuchał nagrania, unoszony radością, że staje się tak oryginalne i zabawne. Po kilku drinkach było to nadzwyczaj łatwe. Dla młodego lokaja, który mu usługiwał, stanowiło rzecz codzienną, że znajdował go rano śpiącego w ubraniu. Nikt nie wiedział, co robić. Czekali,

ponieważ pani Richardowa miała wrócić do domu pod koniec tygodnia.

Podjechała aleją, a majestatyczny dom lśnił w promieniach słońca niczym perła. Tak spragniona spotkania z Richardem! Spragniona krzątań się koło niego i obdarowania go prezentami, które przywiozła. Była bardzo opalona i bardzo, ale to bardzo zmęczona. Ospała po seksualnym maratonie z dziesiątkami poznanych facetów. W chwili kiedy samolot wylądował, zamknęła w pamięci portugalskie wspomnienia. To będzie cudowne zobaczyć Richarda i Nancy. Przywiozła jej bardzo piękną lalkę.

Nie zapomniała o tym, że miała znaleźć jakieś miejsce, dokąd mogliby pojechać na jesieni. Miejscowy pracownik biura podróży rekomendował jej hotel w głębi łądy, który był prywatnym pałacem. Miał cudowne pokoje i balkony ponad tarasami dekoracyjnych ogrodów. Spodoba się Richardowi. Zaparkowała samochód, wbiegła do domu i w górę schodami do ich pokoi.

Siedział przy biurku. Z początku nie zobaczyła ani karafki, ani szklanki.

- Kochanie! Wróciłam!

Podbiegła, by go objąć. Wstał i zatoczył się.

- Di! - Utrzymał równowagę. - Di, kochanie. Witaj...

Dianę zmroziło. Szedł ciężko w jej stronę, z twarzą rozpromienioną uśmiechem.

- Dobrze się bawiłaś? Było wesoło? Mnie tak... Pracowałem i pracowałem...
Posłuchaj, chodź i posłuchaj tylko... jest cholernie dobre, wiesz?

Był pijany. Bardzo pijany. Pozwoliła mu się podprowadzić do biurka, posadzić na jego miejscu i siedziała, podczas gdy on puścił taśmę. To był bełkot. Pochylił się ku niej i spojrzał na nią.

- O co chodzi? Nie podoba ci się? Co się stało?

Diana wstała. Chwiał się na nogach.

- Siadaj, Dick - powiedziała. - Znowu do tego wróciłeś, co?

- Niezupełnie - zaprotestował. - Tylko jeden kieliszek od czasu do czasu. To mi nie zaszkodzi. Nie podoba ci się książka?

- Tak - wymamrotała. - Podoba. Jest bardzo dobra!

Musiała zabrać go z Ashton z powrotem do Londynu. Służący wiedzieli, oczywiście, ale nie było gospodyni, ani - dzięki Bogu! - Lily Parker. Młoda służba nie ośmieli się powiedzieć niczego Alice. Musiała zabrać go do domu. Nie miała pojęcia, co dalej począć.

Wypiwszy stawał się wylewny. Afektowany i przyjacielski, chętny na wszystko, co proponowała. Tego samego wieczoru zawiozła go do domu. Był wystarczająco trzeźwy, by się rozpakować i zachowywać normalnie, kiedy weszli do mieszkania, lecz od razu zaczął się

rozglądać za butelką. Diana nie trzymała nigdy w domu alkoholu.

- Wyskoczę tylko po papierosy, kochanie - powiedział.

Stała, zagradzając sobą drzwi. Trzęsła się. „To kara dla ciebie. Kara boska za to, co robisz”. Tak często krzyczał na nią ojciec. „Bóg wie, że kłamiesz. Wie, jaka jesteś...”

- Nie kupuj alkoholu - powiedziała. - Proszę, Dick, błagam cię. Nie wychodź i nie kupuj wódki. Wystarczy na dzisiaj.

- Nie bądź śmieszna, Di. Nie ma powodu do obaw. Panuję nad wszystkim.

- Nie wolno ci - stwierdziła z rozpaczą. - Nie możesz wypić ani kieliszka więcej. Przecież wiesz! Och, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? Tylko dlatego, że wyjechałam na dziesięć dni?

Wybuchnęła płaczem. Potrząsnął głową.

- Nie dlatego - rzekł. - Posłuchaj, kochanie. Nie jestem zalany. No, może trochę, niewiele. Nie dlatego piłem, że cię nie było, tylko dlatego, że miałem ochotę. Jesteś tutaj, a ja nadal chcę pić. Jeżeli nie napiję się dzisiaj, zrobię to jutro.

Poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała go widzieć, jak będzie wychodził ani kiedy będzie wracał. Potrzebowała pomocy. Musiała przerwać to picie przed powrotem Alice. Był piątek, w Ansaphone dano jej numer na wypadek nagłej konieczności. Zadzwoiła. Zgłosiła się jakaś kobieta. Diana jąkała się z przejęcia. Kobieta po drugiej stronie była przyzwyczajona do takich rozmów.

- Przykro mi - powiedziała - ale mój mąż wyjechał na północ. Nie wróci przed poniedziałkiem. Może pani zatelefonować do niego na Harley Street o dziewiątej rano.

- Co ja mam teraz począć? - krzyknęła Diana. - Jak go powstrzymać?

- Nie sądzę, żeby to się udało - padła odpowiedź. - Po prostu musi pani wytrzymać do poniedziałku. I proszę się nie martwić. Czy nie ma pani nikogo, do kogo mogłaby się pani zwrócić?

- Nie - stwierdziła Diana po namyśle. - Nie mam. Dziękuję pani. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i wyszła z sypialni. Mieszkanie było puste. Poszedł. Zdarzało się, że nie wracał przez dzień czy dwa. Szczególnie wtedy, kiedy okazywała zdenerwowanie czy złość, że pije. Wychodził, zaszywał się w jakimś pokoju hotelowym i pił do nieprzytomności.

O dziewiątej była przekonana, że historia się powtórzy. Miała trzy tygodnie czasu, żeby ocalić siebie i Dicka. Lecz sama nie potrafiła tego zrobić.

*

- Brian, jak dobrze, że przyszedłeś.

- Nie mógłbym postąpić inaczej - powiedział łagodnie. - Kiedy wrócił?

- Pół godziny temu. Jest w okropnym stanie. Położyłam go do łóżka. Tam.

Otworzył drzwi. Richard leżał na wznak. Był nie ogolony i brudny, a w powietrzu wisiał cierpki zapach alkoholu.

- Przewrócił się - usłyszał za plecami głos Diany. - Ma rozdarte spodnie i zakrwawione kolana. Kiedy mnie zobaczył, zaczął płakać. To było straszne, widzieć go w takim stanie.

- Niezbyt zabawne i dla ciebie - zauważył Brian.

Zamknął drzwi. Biedne maleństwo - wygląda tak blade i mizernie. Nie miał współczucia dla tego pijaka leżącego obok.

- Dzięki Bogu, że do mnie zadzwoniłaś - stwierdził. - Sama raczej nie dałabyś sobie rady. Chodź, usiądźmy. Zaparzę kawę. Jadłaś coś?

- Nie mogłam - odparła. - Mdli mnie z niepokoju. Musiałam z kimś porozmawiać!

Zawsze okazywał jej życzliwość. W przeciwieństwie do niesympatycznej Fern. Nie chciała natknąć się na nią, więc zatelefonowała do pracowni i na szczęście zastała tam Briana, mimo że była niedziela. Kiedy z nim rozmawiała, rozplakała się. Richarda nie widziała od piątkowego wieczoru. Kontaktowała się z policją i okolicznymi szpitalami, ale nigdzie nie został przywieziony. Był w ostrym ciągu. Brian nie pytał o nic. Powiedział tylko: „Zaraz tam będę”.

Usiadła, robiło jej się słabo z wyczerpania nerwowego. Wrócił z kawą i polecił:

- Wypij to. Przygotowałem dla nas kanapki. Ja także nie jadłem dzisiaj lunchu.

- Co ja mam robić?

Wzruszył ramionami.

- Oddaj go gdzieś, musi być przetrzymany, dopóki nie otrzeźwieje. To będzie pierwszy krok.

- Ale on znowu zacznie, jak tylko stamtąd wyjdzie - zaproponowała. - Już tak bywało. Nie masz pojęcia, co będzie, kiedy Alice się dowie, że on znowu pije! Po osiemnastu miesiącach. Mnie przypiszą winę, bo zostawiłam go samego.

Dostrzegł w jej oczach strach i rozpacz. Strach przed czym?

- Dlaczego, do diabła, ma ciebie winić? - natarł. - Wie przecież, że to beznadziejny pijak. Nawet gdybyś była z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, czy mogłabyś go powstrzymać? Wcześniej nigdy ci się nie udało.

- Będzie mnie obwiniać - stwierdziła. - Wykopią mnie. Hugo już nie będzie oponował. Nie wiem, co mam robić - powtórzyła.

- Nic - stwierdził. - Zajmę się tym. Zabiorę go dzisiaj gdzieś na noc. Nie możesz być z

nim sama. A ja także nie zostanę, bo Fern urządziłaby mi piekło.

- Nie mów jej o niczym - poprosiła Diana. - Proszę, nie mów jej.

- Nie zamierzałem - odparł. - Mam kumpla, który jest lekarzem. Chodziliśmy razem do szkoły. Dobry, stary Paddy lubi mnie. Trzepie forszę przy Harley Street. Porozmawiam z nim.

Tego wieczoru Richard został przyjęty do prywatnej kliniki. Brian doprowadził go do porządku, umył, ogolił i przebrał. Wprawilo to Dianę w zdenerwowanie, ponieważ obchodził się z nim szorstko. Richard, zamroczony i zdezorientowany, przystawał na wszystko. Wraz z Brianem zawiozła go do Putney. Jego przyjaciel czekał na nich. Był szczupłym mężczyzną w okularach, miał śpiewny akcent z Cork. Zajął się Richardem, który ochoczo przystawał na wszystko, co mu mówiono. Został przyjęty wbrew przepisom, ale po tym, co Brian powiedział Timowi Flanaganowi, ów nie zamierzał przejmować się zbytnio regulaminem. Żona nie mogła być pozostawiona z nim sam na sam. Po wyjściu z kliniki Brian wsadził Dianę do samochodu.

- Nic ci nie będzie? Chciałbym móc powiedzieć, żebyś przyjechała do nas na noc, ale nie mogę.

Zobaczył, że płacze, więc dodał:

- Na litość boską, przestań się nim przejmować. Nie jest tego wart.

- Martwię się - szepnęła. - Martwię się o niego...

- Martw się lepiej o siebie. Poczekaj. Zadzwońię do domu i powiem, że idę do pubu. Spotykam się czasami z dawnymi przyjaciółmi i wypijamy parę kufli. Fern nigdy ze mną nie chodzi, nienawidzi pubów. Wezmę cię dokądś i postawię ci kolację.

Ma dla mnie wiele zyczliwości, powiedziała Diana do siebie. Pomaga mi jako swej szwagierce. Jest bardzo rodzinnym człowiekiem. Wszyscy ci Irlandczycy trzymają się razem. Patrzyła na niego przez stół. Miał piękną twarz. Nie o tak klasycznych rysach, jak Richard, ale wrażliwą, ładnie zarysowaną. I głębokie, inteligentne oczy.

Poszli do małej włoskiej restauracyjki przy King's Road, niezbyt zatłoczonej w niedzielny wieczór. Zajęli stolik w rogu sali. Nie odczuwała głodu, ale jadła, żeby mu sprawić przyjemność. Fern miała szczęście. Był miły, silny i podejmował wszystkie decyzje.

Wpatrywała się w niego tak intensywnie, a on również zaczął patrzeć tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Piękna w pewien nostalgiczny sposób. Cudowny kontrast pomiędzy malowniczymi rudymi włosami i jasną cerą bez jednej skazy. Jaka szkoda, pomyślał nagle. Poświęca się dla tego mistrza picia; aż się prosi, by kopnąć go w dupę i w ogóle przestać się nim zajmować. Nie ma wątpliwości, że zaplątała się w romans z tym

żonatym mężczyzną - jak on się nazywał? Nie mógł sobie przypomnieć... Szkoda, że nie odeszła z nim, powinna zostawić Richarda. Jakież cholerne musi mieć z nim życie!

Poproszę o rachunek. Puby zamykają już o tej porze.

- Czy Fern jest o ciebie bardzo zazdrosna? - spytała Diana.

Zawahał się.

- Zaborcza, nie zazdrosna. Wie, że nie ma żadnego powodu, by być zazdrosną. Nigdy nawet nie patrzę na żadną inną kobietę.

Aż do tej pory, pomyślał, kiedy brał ją pod ramię i prowadził do samochodu. Była lekka jak piórko.

Jako artysta wiedział, że każdy ma swoistą aurę. Jeżeli ją się uchwyci, wówczas powstaje wspaniały portret. A aura Diany działała na niego bardzo mocno. Emanowała erotycznie.

Zawiózł ją do domu i pożegnał się w drzwiach. Nie ufał sobie na tyle, by wejść do środka. Odwróciła się i nadstawiła twarz jak do przyjacielskiego pocałunku. W policzek. Wargi miała lekko rozchylone.

- Dziękuję, Brian. Dzięki za wszystko.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Nie wiedział sam, jakim cudem był w stanie zostawić ją i wrócić do domu.

*

Nie wolno mi. Nie wolno mi tego znowu zrobić, powtarzała sobie Diana wiele razy. Richard jest w zakładzie, poddawany leczeniu. Nie wolno mi się spotykać z Brianem.

Każdego dnia podejmowała to zobowiązanie, kiedy wychodził, a następnego je łamała. Zajmował się wszystkim, biorąc na siebie sprawy związane z lekarzami i ośrodkiem odwykowym oraz polecając jej, by trzymała się na uboczu. A także biorąc ją do łóżka, jakby spodziewał się z jej strony jakiegoś oporu.

Zakochałem się w tobie, stwierdził, i to wystarczyło. Nie musiała go dotykać czy uwodzić. Wystarczyło poddać się jego żądzy i eksplodować razem z nim.

Był cudownym kochankiem. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Fern nie mogła się o tym dowiedzieć. Jej sekret powinien być trzymany wraz z jego tajemnicami. Pomagał jej doprowadzić do porządku Richarda.

- Przez jakiś czas wytrzyma, kochanie - obiecał jej. - Kiedy znowu wróci do chłania, a wróci, stanie się to na ich oczach. Jedźcie do Ashton, jak tylko się zjawią.

- Tak, kochanie - powiedziała Diana i wierzyła, że będzie wystarczająco silna, by tak zrobić.

Alice i Hugona miało nie być jeszcze kilka dni. Kochając się z nim, zapomniała o wszystkim. W końcu nie podejmowała już żadnych zobowiązań.

Kiedy powiedział, że ją kocha, ona także wyznała mu miłość; to oddalało poczucie winy.

Chodziła codziennie odwiedzać Richarda. Był niespokojny i znudzony.

Mówił, że chce wrócić do domu, a ona powtarzała to, co powiedział jej Brian, i perswadowała mu, że jeszcze jeden dzień nie zaszkodzi.

Pozornie wydawało się, że jest dużo lepiej. Jeszcze jeden dzień, i jeszcze jeden. Był słaby i w depresji. Bardzo przygnębiony. Nie myślał o wypisaniu się na własne żądanie, ponieważ Diana powiedziała mu, że na pewno w środę go stąd zabierze, i planowała, że pojedą prosto do Ashton. Jego rodzice z wnukami powinni przyjechać w ten sam wieczór. Stawał się silniejszy i wszystko zdawało się toczyć pomyślnie. A ona kocha go, twierdziła, kołysząc jego opuszczoną głowę w swoich ramionach. Nigdy nie przestanie go kochać. Wiedział o tym.

Dzień przed zaplanowanym wyjazdem do Ashton nerwy ją zawiodły. Przynajmniej tak się tłumaczyła sama przed sobą. Ale naprawdę było to tchórzostwo - strach przed stawieniem czoła Alice i chłodnemu wzrokowi Hugona. Jak mogłaby udawać, że nic się nie stało? Jak mogła dać sobie radę z powtarzaniem kłamstw, które Brian tak szczegółowo i przekonująco dla niej opracował? „Biedny Richard, dopiero co przeszedł okropny atak grypy. To spowodowało spadek wagi ciała i obniżenie nastroju”. Nie dadzą się oszukać. Alice będzie podejrzewać. Zapyta go. Diana zaczynała popadać w panikę.

Zwykle kłamała tak gładko, ale tym razem ogarnęło ją przerażenie. Nie chciała jechać do Ashton i gdyby nie zadzwoniła do Briana, prawdopodobnie by nie pojechała.

- Błagam cię, przyjedź - upierała się. - Zostań przez tydzień, pomóż mi przez to przebrnąć. Kochanie, nie jestem w stanie sama sobie poradzić.

- W porządku, Diano, w porządku, tylko się uspokój. Zaproponuję coś Fern. Nie wiem, jak jej to wyjaśnię, ale wymyślę coś. Zadzwońię do ciebie. Tak, dziś wieczorem. Nie, na litość boską, nie przyjdę, jestem w połowie roboty! Nie chciałem być niemiły, kochanie, oczywiście, że nie... Nie martw się, dam sobie radę.

Odłożył słuchawkę. Zrobiło mu się przykro, że na chwilę stracił panowanie nad sobą. Była bardziej wymagająca, niż sądziła. Jakby nie rozumiała, że nie wolno jej telefonować do niego, przerywać mu i prosić, by do niej przyszedł. Ale szalała z niepokoju, więc zadzwoniła, potrzebowała go. Poczul się samolubny i winny. Jeżeli będzie tam i Fern z dziećmi, to odciągnie nieco uwagę od niej oraz Richarda. Im szybciej tamten nieudacznik się zdradzi i

uwolni z haczyka Dianę, tym lepiej! Swoje niezadowolenie skupił na Richardzie. Przez następną godzinę usiłował coś zrobić, ale nie mógł się skoncentrować. Umył pędzle, zamknął pracownię i pojechał do domu.

- Fern, mam pewien pomysł. Dlaczego mamy odebrać dzieciaki dopiero w weekend? Może pojechalibyśmy tam jutro i poczekać na ich powrót?

- Och, na litość boską - powiedziała Fern zirytowanym tonem. - Kiedy ja zaproponowałam dokładnie to samo, powiedziałeś: nie, zaczekajmy do piątku, muszę skończyć obrazy dla Leadera. Wyjazd wypadł z planu, więc poumawiałam się i nie mogę już tego odwołać. Mam dwa lunchy, a na jutro przyjęliśmy zaproszenie na kolację.

Spojrzała na niego i spytała:

- Skąd te zmiany? Chodzi przecież tylko o dwa dni. Zwykle robisz cyrk, kiedy mamy jechać do Ashton.

- Stęskniłem się za dziećmi - powiedział. - Ty także, jak sądzę. Nieważne, co powiedziałem. Odwołajmy spotkania. Tak czy inaczej, nie zdążę skończyć obrazu. Nie idzie mi dobrze.

- Tak? Nic nie mówiłeś. Ale jeżeli dręczy cię to i chcesz zobaczyć się z dziećmi, mama może je tutaj przysłać samochodem. Dlaczego tak nie zrobimy? Wtedy niczego nie trzeba będzie odwoływać.

Znalazł się w pułapce. Spróbował z innej beczki.

- Nie chcesz jechać? Nie widziałeś rodziców od blisko dwóch miesięcy. Będą urażeni, kiedy się ich poprosi, by po prostu odesłali bliźniaki. Daj spokój, kochanie, pojedźmy. Jutro. Zjawmy się tam i zaskoczmy wszystkich.

To nie było z jego strony normalne, by tak się upierać. Nie wiedziała, co ma zrobić. Dzieci spędziły trzy tygodnie we Francji, razem z Nancy, która stanowiła rzeczywisty powód, dla którego zostały zaproszone. Fern nie dała się oszukać. Matka zaledwie je tolerowała, a Hugo lubił, jednak to dziecko Richarda było tym, które Alice chciała mieć przy sobie. I, dla świętego spokoju, zaprosiła też bliźniaki. Fern pomyślała, że jej mąż wygląda na zmęczonego i niespokojnego. Pewnie z powodu malowania. Chodziło przecież o prestiżową wystawę. Do niedawna bardzo dobrze mu szło. Teraz, kiedy wraca z pracowni, jest milczący i wyczerpany. To także nie było zwyczajne. Zawsze był towarzyski i wesoły. Fern rozumiała jego nastroje, przyzwyczaiła się i dostosowała swoje potrzeby do artystycznej natury Briana. Jego praca była dla niej najważniejsza.

- Pomogłoby ci, gdybyś wyjechał z Londynu? To masz na myśli? Mógłbyś lepiej skupić się na swoich pomysłach?

Nigdy go nie zawodziła. Od dawna uważał jej ustępliwość za samą przez się zrozumiałą. Teraz miał wyrzuty sumienia i poczucie winy, ale, mimo wszystko, postanowił skorzystać ze sposobności.

- Tak, pomogłoby. Chciałbym wyjechać.

- Więc wyjedź - powiedziała Fern. - Wyglądasz na zmęczonego. Idź wcześniej spać. Przygotuję ci drinka.

- Szklankę piwa - poprosił. - Dzięki, dzięki, skarbie.

Czuł pogardę do samego siebie. Znalazł jednak okazję, by wymknąć się na górę i wykonać błyskawiczny telefon do Diany.

- Okay. Będę tam.

Przerwał połączenie, zanim mogła podjąć rozmowę.

*

Lot powrotny przebiegał spokojnie. Hugo opalony i wypoczęty był w doskonałym nastroju. Alice, dbająca o swoją cerę, miała twarz lekko ogorzałą, a bliźniaki przypominały spieczone grzanki i, na szczęście, siedziały trzy rzędy dalej ze swoją piastunką. Weszły w bardzo męczący wiek. Nancy pozostawała pod opieką Lily, która nienawidziła latania i nie chciała miejsca przy oknie, ponieważ widok przepływających za nim chmur wprawiał ją w zdenerwowanie. Była szczęśliwa zajmując się Nancy. Nie mieściło jej się w głowie, by znajdowanie się na takiej wysokości - trzydziestu tysięcy stóp - było czymś normalnym. Nancy miała zapalenie gardła i lekką gorączkę. Lily czytała jej, dopóki mała się nie zdrzemnęła.

Jak zwykle podstawiono samochody na Heathrow. Rolls Hugona z kierowcą, Rover z jednym z młodych lokai dla Lily, niani i dzieci oraz samochód z posiadłości na bagaże.

- Och, czyż to nie cudownie znaleźć się znowu w domu! - wykrzyknęła Alice.

Hugo uśmiechnął się lekko.

- To najlepsza oznaka dobrze spędzonych wakacji - stwierdził. - Miło będzie wrócić.

Kawalkada pojazdów ruszyła do Ashton, tak jak wiele razy przedtem. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

7.

Fern czuła się szczęśliwa, że dzieci wróciły. W przeciwieństwie do Alice, miała silnie rozwinięty instynkt macierzyński. Pogoda była wspaniała, jej ojciec w radosnym usposobieniu - tak łaskawym, że nawet Richardowi starał się okazać sympatię. Jej brat wyglądał okropnie; skurczył się w sobie, a twarz przybrała ziemisty odcień. To musiał być straszny wirus, który doprowadził go do takiego stanu.

Diana krążyła dookoła niego. Większość czasu spędzali w swoich pokojach; Alice zdecydowała, że Nancy musi zostać przeniesiona do głównego skrzydła i zostać w pokoju ze szybkami, dopóki nie wydobrzeje. Richard nie może się narażać na żadną infekcję. Zirytowało to Fern, ponieważ widziała, jak bardzo Alice troszczy się o wnuczkę. Nie przyszła nigdy, by poczytać czy pograć w coś z bliźniakami, kiedy chorowały. Ale poczuła tylko drobne ukłucia. Uznała, iż dobrze postąpiła akceptując propozycję Briana. Nadal pozostawał bardzo spięty, ale działo się tak zawsze, dopóki nie skończył obrazu.

Mieliśmy ostatnio gorszy okres, pomyślała budząc się obok niego. Wcześniej czy później wszyscy przez to przechodzą. Wkrótce zapewne minie. I, na Boga, naprawdę go kocham. Budziła go, z nadzieją że będą się kochać. Nie reagował. Poruszył się i odwrócił od niej mruczając, że jest zmęczony. Udawał, że jest śpiący. Fern wiedziała, kiedy udawał. Leżała bardzo cicho, a potem po jej twarzy popłynęły łzy. Nie spali ze sobą już od prawie trzech tygodni. Gorączka pierwszych lat przeszła w rutynę; nadal sprawiało im to przyjemność, ale podejrzewała, że jej uczucia są silniejsze niż jego. Jednak nigdy wcześniej nie została przez niego odrzucona. Teraz poniżył ją; nie tylko odmową, ale dlatego, że udawał. Coś było nie tak. Nie chodziło tylko o zaabsorbowanie pracą i przemęczenie. Przedtem nigdy mu to nie przeszkadzało w uprawianiu z nią seksu. Nie usnęła już. Leżała obok niego, nasłuchując głębokiego na pokaz oddechu aż do chwili, kiedy pokojówka przyniosła im do łóżka herbatę.

Wzięła bliźniaki na długi spacer. Brian nie zaproponował, że z nią pójdzie. Była pogrążona w myślach, hołubiła swoje upokorzenie. Nic nie powiedziała; on także nie. Przed kolacją siedzieli w bibliotece, sącąc drinki. Obserwowała go w rozmowie ze swą matką, jak zawsze żądlona zazdrością z powodu ich zażyłości. Śmiali się z jakiegoś dowcipu, co działało jej na nerwy. Obserwowała go w rozmowie z Richardem i była zdumiona okazywaną przez niego nieprzychylnością wobec Dicka. Nigdy nie poświęcał mu wiele uwagi, ale teraz był jawnie wrogi. To jakby rzucać się z pięściami na zwłoki, bo tyle ożywienia okazywał jej brat. Założę się, że ucieszyłby się, gdyby ktoś zaproponował mu drinka, pomyślała Fern kwaśno. Już bardzo długo nie pił. Zdumiewające. Nie spodziewała się ani nie miała nadziei, że tyle

wytrzyma. Diana miała nową sukienkę. Bardzo zwiewną, bardzo drogą i bardzo krótką - dobrze eksponującą nogi - z szyfonu w kolorze morskiej zieleni. A broszka Vandekarów przypięta na ramieniu rzucała wokoło olśniewające błyski. Powinna być moja, zadumała się Fern. Wiem, że tata chciał, żebym ją dostała. Matka dała oczywiście Dianie, żeby zadowolić Richarda. Niedobrze mi się robi, kiedy ta mała cwaniara śpi tutaj. Wdzięczy się nawet do taty, chociaż on nie daje się na to złapać. Ciekawe, na kogo teraz zagina parol...

Zaczęła obserwować Dianę bez zbytniego zainteresowania. Unikała po prostu widoku Briana, pogrążonego w rozmowie z Alice. Jej matka wstała. Powiedziała coś do Richarda. Diana przeszła obojętnie przez pokój. Fern patrzyła za nią leniwie. Usiadła blisko Briana. Wszyscy byli czymś zajęci. Hugo na wpół odwrócony od nich. Alice zajęła miejsce obok syna. Fern zapadła głębiej w wielkim fotelu.

Diana wyciągnęła ramię, lekko, niedbale i Fern ujrzała, jak pieści palcami kark jej męża. Nie odsunął się. Siedział tam, podczas gdy ona sekretnie głaskała go, wodząc długimi, pomalowanymi paznokciami po jego szyi, tuż ponad kołnierzykiem koszuli.

„Na kogo teraz zagieła parol?”

Pytanie rozbrzmiało krzykiem w jej głowie; nie potrzeba już więcej złośliwych przypuszczeń. Miała gotową odpowiedź. Tak bardzo erotyczny gest i jego przystanie nań. Głaskała go, tak jak i ona to robiła. Brian. Jej mąż i Diana. Na chwilę pokój zawirował jej przed oczami. Raz i drugi zakręciły się ściany dźwigające półki z książkami, a głosy rozmawiających były kakofonią osobliwych dźwięków. Fern nigdy w życiu nie zemdląca, ale teraz czuła, że za chwilę upadnie.

- Fern? - usłyszała głos ojca; spoglądał na nią z góry. - Dolać ci cherry? Jest bardzo dobra, jak sądzę.

- Tak, proszę - zmusiła się, by przemówić; brzmiało to niesamowicie. - Tak, z przyjemnością. Dziękuję, tato.

Była znowu spokojna. Żadnego załamania, żadnej teatralnej sceny. Czuła wewnętrzne drżenie i szybko piła cherry. Hugo stał blisko niej, chciała, żeby sobie poszedł. Nie mogła na nich patrzeć. Imaginacja. Złudzenie. Znowu widziała Dianę, pochyloną nad Richardem, mruczącą jakieś pytania. Udaje troskę, pomyślała Fern. Nie znajdowała się blisko Briana, nie patrzyła na nikogo zajęta swoim mężem, ale Brian spoglądał na nią. Obserwował Dianę. Nie, Fern wyostrzyła intuicję, raczej pilnując jej. To musi trwać już jakiś czas, powiedziała sobie. Muszę zachowywać się spokojnie. Na razie, mimo wszystko, nie mam absolutnej pewności. Mogę się mylić, mogę widzieć to, co podsuwa mi wyobraźnia. Jestem zdenerwowana po dzisiejszym poranku. Ona klei się do każdego faceta. Ale pieściła jego kark - tego sobie nie

wymyśliłam. Wiem już, kogo muszę obserwować.

Alice podeszła do syna. Była zszokowana, że tak mizernie wygląda; wydał jej się kruchy i niski. Powinien iść w Londynie do lekarza. Przez chwilę obie z Dianą patrzyły na siebie ponad jego głową. W jej zachowaniu Alice wyczuła skrępowanie i pewien niepokój. Wiedziała, o czym to świadczy. Kolejny gwałtowny romans, nie ma wątpliwości. Jak długo Richard niczego się nie dowie, sprawa jest bez znaczenia. Odegnęła dręczące myśli i powiedziała:

- Zamierzam cię nieco podtuczyć, kochanie. Jesteś zbyt chudy. Świetny pomysł, że Diana cię tutaj przywiozła na rekonwalescencję. Małe wakacje dobrze ci zrobią.

- W przyszłym miesiącu jedziemy do Portugalii - powiedział.

Alice wzięła go za rękę. Biedna mama, pomyślał. Di miała całkowitą rację. Gdyby dowiedziała się prawdy, złamałoby to jej serce.

- Di znalazła wspaniały hotel. Jak tam Nancy?

- Lepiej. Wstąpiłam do niej przed kolacją - odparła Alice. - Nic groźnego, tylko zapalenie migdałków. Łatwo na to zachorować we Francji, kiedy jest tak gorąco. Prawdopodobnie przez ten przeklęty basen. Za parę dni będzie zdrowa. Nie martw się, zajmę się małą.

Podniósł na nią wzrok i ścisnął jej dłoń. Poczł w oczach łzy.

- Dbasz o nas wszystkich.

Podano do stołu.

*

W niedzielę padało. Hugo wybierał się na poranne nabożeństwo. Fern oświadczyła, że także ma ochotę iść. Był zadowolony, ale i zaskoczony. Zwykle chodziła z Brianem i dziećmi do miejscowego kościoła katolickiego w miasteczku.

- Nigdy nie byłam na katolickiej mszy. Jak się odprawia? Po łacinie, tak? - spytała Diana.

- Już od lat odbywa się po angielsku - odparł Brian. - To miły, mały kościółek.

- Mogłabym pójść? - spytała Diana. - Chciałabym zobaczyć nabożeństwo. Skoro Fern nie idzie z tobą? - Spojrzała na nią.

- Idę z ojcem - odparła Fern krótko. - On zawsze chodzi sam.

Alice nie było w pokoju, więc Richard swobodnie mógł to powiedzieć:

- Mama jest ateistką. Dlaczego miałyby chodzić? Nie lubi hipokryzji.

Wydawał się mniej apatyczny, bardziej pobudzony. Czy raczej w stanie napięcia. Diana rozpoznawała owe oznaki. Wcześniej czy później załamie się. Nie chciała dać się

osaczyć przygnębiającym myślom. Pragnęła być z Brianem, sam na sam. Może będą mogli wymknąć się z nabożeństwa czy cokolwiek tam było...

*

Na lunchu mieli być goście. Podczas mszy Fern siedziała obok Hugona. Zastanawiała ją, czy kiedykolwiek się modlił. Wiedziała, że uczestnictwo w nabożeństwie uważał za swój obowiązek. Tej niedzieli czytał Pismo od ołtarza.

List świętego Pawła do Koryntian, rozdział drugi, wersety od dwunastego do dwiętnastego. Nie słyszała ani słowa. Diana i Brian. Trzy dni męczarni obserwowania jego, obserwowania jej. Widzieć te ukradkowe, intymne spojrzenia, jakie wymieniali między sobą, szybko maskowane - ale nie dosyć szybko. Przeróżne sposoby, które wykorzystywała Diana, by móc go dotknąć. Ocierając się o niego z uśmiechem; jej palce spoczywające na jego ramieniu dla podkreślenia czegoś, co na to nie zasługiwało. Gapiąca się na niego przezroczytymi oczyma; roztaczająca aurę erotyzmu. Ośmiornica, pomyślała Fern, nienawidząc jej tak, jak nie sądziła nigdy, że byłaby w stanie kogokolwiek nienawidzić. Nienawiść zdawała się ją dusić; nie była w stanie oddychać. Ośmiornica z mackami oplatającymi, dotykającymi, owijającymi się i pożerającymi...

I Brian. Brian, którego poślubiła mimo sprzeciwu ojca, którego wspierała, promowała oraz zachęcała, gdyż wierzyła w jego geniusz. Brian, który trzymał ją za rękę, kiedy rodziła bliźniaki, dawał jej wiarę w siebie, miłość i to gorączkowe pożądanie podczas pierwszych wspólnie spędzonych lat. Został omotany przez tę kreaturę. Nie mógł od niej oderwać oczu. Był tak zauroczony, że niemal nieostrożny. Jego także nienawidziła, lecz nie mogła uwolnić się od bólu miłości i zazdrości.

Celowo poszła z Hugonem na poranne nabożeństwo. W samochodzie, w drodze powrotnej do Ashton, powiedziała mu, że chce z nim porozmawiać na osobności.

- Po lunchu - zasugerował. - Goście nie powinni zostać zbyt długo. Potem pogadamy. Jeśli to coś istotnego.

Przez ostatnie kilka dni nie wyglądała dobrze, wręcz nie była sobą.

- Sądzę, że tak - stwierdziła wolno. - Jesteś jedyną osobą na świecie, z którą mogę rozmawiać o swoich sprawach, ale myślę, że nawet ty chyba nie będziesz mógł mi pomóc.

Dojechali do domu, zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie.

*

Lily znajdowała się w szwalni. Była szczęśliwa, że jest z powrotem w domu, z dala od tego palącego słońca. Jedzenie także jej nie odpowiadało, ale co mogło być złego w wodzie? Nie dało się przygotować przyzwoitej herbaty. Naprawiała jedną z pięknych, jedwabnych

nocnych koszul Alice, przyszywając drobnym ścięciem koronki falbanek. Alice nadal używała bielizny kupionej do swej wyprawy w 1934 roku i nadal miała taką samą figurę. Lily była z tego dumna. Wiedziała, co pasuje jej pani, i mówiła to. Alice odpowiadała jej, żeby się zamknęła, ale raczej rzadko ubierała się po raz drugi w coś, czego Lily nie zaakceptowała.

Żadna z nich nawet się do niej nie umywa, rozmyślała Lily. Córka do pięć jej nie dorasta, chociaż wydaje fortunę na stroje i kosmetyki. Śmieszne, jak sobie przypomnieć, jaką gałganiarką była jako mała dziewczynka. Diana miała wygląd, ale zdaniem Lily była dziwką. Żadnego dostojęstwa. Jej rodzina mogła wywodzić swój rodowód od czasów Agincourt, ale ona była taką samą dziwką jak te, które stały dawniej na Piccadilly. Lily wiedziała o niej wszystko. Widziała kiedyś, jak szelma patrzyła na młodego, przystojnego lokaja. Zrobiło jej się niedobrze.

Biedny Richard. Myślała o nim zawsze jak o złotym chłopcu, którego pomagała wychowywać. Teraz był wrakiem. Lily wiedziała, co z człowieka może zrobić wódka - widziała na przykładzie swoich przyjaciół i sąsiadów rodziny. Nie bez powodu przyrównywano alkohol do diabła. Ale nie winiła Richarda. Obwiniła jego żonę. Ona go tak zniszczyła. Powinien był jej sprawić tęgie lanie i wykopać za pierwszym razem, kiedy została przyłapana, a cały skandal spadł na rodzinę. Pan Hugo nie pozwolił na to. Pragnął utrzymać ministerialną posadę i nie obchodziło go, czy jego synowi i lady Alice popękają serca. Lily nigdy mu tego nie wybaczyła. Nie mogło tak trwać bez końca. Ona znowu wpadnie i wpakuje wszystkich w kłopoty.

Lily wyszła ze szwalni, by odnieść koszulę nocną Alice do jej sypialni. Zachowywała się i poruszała zawsze bardzo cicho; nie robiła hałasu. Ujrzała ich w korytarzu, lecz oni jej nie widzieli. Wchodzili do jednej z pustych sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Koszula nocna wyslizgnęła jej się z rąk. Stała tam, zbyt zszokowana, by była w stanie się ruszyć. Diana i Brian Kiernan.

- Wszechmogący Boże - szepnęła Lily.

Alice była na spacerze. Hugo i Fern w kościele. Richard czytał w łóżku gazety. A oni wyszli z bliźniakami, Lily widziała ich. I wrócili wcześniej. Podnosząc koszulę nocną i zamykając za sobą drzwi, wróciła do szwalni. Teraz rodzina całkowicie zostanie zniszczona.

*

- To on, prawda? - spytał Richard.

- Kochanie, proszę! Nie wiem, o czym mówisz!

- Nie próbuj mnie bujać, Di. Znam cię. Jego także. Tym razem naprawdę nasrałaś na własny próg. Nie próbuj mi wmawiać, że jestem pijany. Bo nie jestem. Jeszcze nie.

- Jak możesz tak mówić? Wiesz, jak bardzo Brian nam pomógł!

Po lunchu Richard uparł się nagle, by wyjść podczas mżącego deszczu na spacer. Znalazłszy się poza zasięgiem obcych uszu, napadł na nią. Pierwszą jej myślą było, że musiał ich widzieć. Nie wiedziała, co robić, ale trzymała się swego i kłamała.

- Pomógł tobie, rozumiem, i wiem dlaczego. Traktował mnie w tym cholernym zakładzie jak gówna. Powiedział, że rozwali mi gębę, jeżeli po wyjściu stamtąd znowu się upiję.

Diana pobladła.

- Nie wiedziałam - wykrztusiła. - Nie powinien był tak...

- Wystarczająco źle się stało, że chłama został mężem mojej siostry, ale ty... Jak mogłaś, Di? Jak mogłaś mi to zrobić?

Zwiesiła głowę. Deszcz przybrał na sile. Włosy miała przylepione do głowy, krople wody wpadały jej za kołnierz.

- Byłam zrozpaczona - wyznała. - Przerażona twoją matką i tym, co zrobi. Nie widziałam ciebie od dwu dni. Zatelefonowałam do niego. Nikomu innemu nie mogłam zaufać.

Zaczął znowu iść. Poszła za nim, ciągnąc go za ramię.

- Przeziębisz się - powiedziała. - Wracajmy, jesteś przemoczony do suchej nitki.

- Nie wiem o innych - mówił, ciągnąc ją za sobą. - Nie znam tego faceta z Knightsbridge i chciałem koniecznie spotkać się z Hubbardem, ale nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy. Nie znam żadnego z pozostałych. Musiały ich być setki. Powinno się nakręcić film o twoim życiu, kochanie. Stulecie mężczyzn w jedną noc. Ale znam tego jednego. Pod samym moim nosem z moim chamskim szwagrem.

Zatrzymał się nagle i wyrwał jej swoje ramię. Stali w ulewie, patrząc na siebie.

- Mam dosyć. Sądzę, że doszedłem do kresu wytrzymałości.

- Dick! - krzyknęła. - Dick, nie mów tak... Proszę...

Odszedł bez odpowiedzi.

Stała w strugach ulewnego deszczu, nie ruszając się z miejsca. Mówił tak do niej po raz pierwszy. Zwykle upijał się i oskarżał ją, ale kończyli w objęciach, z płaczem, dając pociechę swym zgubionym duszom. Od bardzo dawna nie powiedział ani słowa na ten temat. Zapomniała o ostrożności. Brian także nie był ostrożny.

Pobiegła za nim w stronę domu, ale wszedł już do środka i zanim dotarła na górę, zamknął się w łazience. Waliła w drzwi i prosiła go, by otworzył. Słyszała lejącą się wodę, ale nie odpowiadał. Zrzuciła z siebie mokre ubranie i poszła do łazienki bliźniaków, by wziąć

gorącą kąpiel. Nie miał tego na myśli. Nie mógł mieć. Ale powinna ostrzec Briana. Dzisiejszej nocy musiała się z nim zobaczyć.

*

Hugo usiadł. Nagle poczuł się stary; bolała go noga.

- Jak daleko to zaszło? - spytał.

- Nie wiem - odparła Fern. - Tato, nie zauważyłeś nic, nawet kiedy poszła z nim dziś rano do kościoła?

- Nieco się zdziwiłem - przyznał - ale sądziłem, że to głupia, dziecinna zagrywka; że chce zwrócić na siebie uwagę. Jesteś pewna, że nie wyolbrzymiasz sprawy, nazbyt poddając się wyobraźni?

Opadła obok niego na sofę.

- Nie - stwierdziła z ciężkim, ledwo słyszalnym westchnieniem. - Nie wydaje mi się. Od jakiegoś czasu bardzo się zmienił. Późno wraca do domu, wobec mnie jest opryskliwy, bezceremonialny - mówi, że to z powodu zmęczenia pracą nad nowym obrazem, ale nie wierzę mu. Widziałam, w jaki sposób patrzają na siebie. Zawsze go obłapia. Coś jest między nimi. Wiem o tym.

- Jak tylko wróciliśmy, wydała mi się jakaś dziwna - zauważył Hugo. Po chwili dodał: - Nie łączyłem tego z Brianem. Nie okazuj przede mną fałszywej dumy i bądź szczerą. Uważasz, że sypiają ze sobą?

Zagryzła wargi, ale to nie pomogło. Nie mogła powstrzymać łez. Otoczył ją ramionami i przytulił.

- Nie chce się ze mną kochać - mamrotała. - Myślę, że żyje z nią. Nie chcę go stracić, tato. Nie mogę go stracić.

Pozwolił jej płakać, obdarzając milczącym wsparciem. Od lat nie był tak wściekły. Jak on śmie! Jak śmie unieszczęśliwiać Fern? Tylko męt z dublińskich slumsów mógł się tak zabawiać z własną szwagierką. A jeśli o nią chodzi, powinna zostać zamknięta w zakładzie!

- Bliźniaki! - szlochała Fern. - One też nic dla niego nie znaczą?

- Jak rozumiem - powiedział Hugo powoli - nie zamierzasz się z nim rozwieść. Potrafisz mu wybaczyć?

Miał nadzieję, że powie: nie. Miał nadzieję, że przyzna w końcu, że ich małżeństwo było potworną pomyłką. Ale nie zrobiła tego. Spojrzała na niego, a po twarzy nieprzerwanie płynęły łzy; powiedziała otwarcie:

- Nie chcę go stracić. Nie chcę, by odszedł. Nie umiałabym żyć bez niego.

Nauczył się akceptować to, co nieuchronne. Kochał ją tak bardzo, by zrobić coś

więcej, niż tylko litować się nad jej brakiem dumy.

- Pomóż mi - błagała go. - Uwolnij od niej.

- Kochanie - powiedział łagodnie. - Sądzę, że nadszedł czas, by tak się stało. A teraz nie płacz już i nikomu nic nie mów. Załatwię to.

*

Alice ubierała się do kolacji. Tak sobie życzył Hugo, musieli przebierać się - nawet w niedziele. Stała, podczas gdy Lily zapinała na niej bluzkę z bufiastymi rękawami, która miała guziki z tyłu.

- Dzieje się coś niezwykłego - oświadczyła Alice.

Lily zapinała guziki.

- Atmosfera jest tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

- Doprawdy? - zamruczała spoza jej pleców.

Alice obejrzała się w lustrze.

- Diana i Richard nie rozmawiają ze sobą. Ona próbuje, ale on po prostu odwraca się od niej. Nigdy wcześniej nie widziałam, by się kłócili. A potem Diana przychodzi i mówi, że może spać przy Nancy, skoro mała nie czuje się dobrze.

- No cóż - Lily umiała panować nad swymi reakcjami. - Chyba nie ma w tym nic dziwnego?

- Przeciwnie - zaprzeczyła Alice. - Nie zostawiła Richarda, kiedy Nancy miała koklusz i była naprawdę chora. To zwykła wymówka. Na litość boską, jeszcze nie skończyłaś?

Niecierpliwiła się, postukując stopą ukrytą pod długą spódnicą. Normalnie Lily nigdy nie grzebała się tak. Co z nią jest?

- Sir Hugo wygląda niczym burza gradowa, a Fern jest tak mizerna i blada, jak zsiadłe mleko. Chciałabym, żeby wszyscy pojechali w cholerę do domów!

- Już ostatni - oświadczyła Lily. - Jutro poniedziałek. Niania powiedziała mi, że bliźniaki jadą do domu, więc oni także wyjadą.

Nie potrafiła spojrzeć swojej pani w twarz. Bezczelny Irlandczyk, wykradający się do własnej szwagierki... dla Lily było to równoznaczne z kazirodztwem. I zdradzać jej panią, która okazała mu tyle dobroci, kiedy inni traktowali go pogardliwie i nie miał grosza przy duszy... Ogarnęła ją taka wściekłość, że w gardle poczuła smak żółci. Wstrętnei, oboje. Chce spać z Nancy, co? By móc wymknąć się i spotkać z nim...

- Lily - spytała Alice. - Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Nie powiem jej nigdy, pomyślała Lily, ma dosyć nieszczęść, które musi znosić.

Wkrótce sama się dowie. Boże, dopomóż jej.

Spojrzała na nią pewnym wzrokiem, co - Alice już to wiedziała - oznaczało upór.

- Nic takiego - odparła. - Trochę boli mnie głowa.

- Więc weź aspirynę - sapnęła Alice, wiedząc, że nie powie prawdy. - Popatrz, która godzina. Masz na mnie poczekać, pomożesz mi wymotać się z tej przeklętej bluzki. Nie wrócę późno.

Wybiegła z pokoju i pośpieszyła schodami na dół. Dogoniła Hugona, utykającego przed nią. Nie chciał, by zainstalować windę. Zatrzymał się u dołu schodów.

- Alice, wejdź na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

Weszła za nim do jego gabinetu. Zamknął drzwi. Wstrząsnęła się niespokojnie.

- Co się stało? Coś złego?

- Obawiam się, że nawet bardzo złego - odparł.

Dostrzegła jego bezkrwistą twarz i wiedziała, że jest wściekły.

- Co takiego?

Usiadł na skraju fotela.

- Diana i Brian... - zaczął.

Alice zatchnęło.

- Co? Hugo! Nie myślisz chyba...

- Jestem zdumiony, że niczego nie zauważyłaś - zaznaczył. - Zwykle jesteś taka spostrzegawcza.

- Nie wierzę - stwierdziła; odwróciła się od niego. - Nie mogli. Nie mogli zrobić czegoś takiego.

- Dlaczego nie - jego głos brzmiał ostro. - Ona jest degeneratką, o czym oboje wiemy.

A on przybędą, którego nasza rodzina nic nie obchodzi.

- Skąd to wiesz? - natarła Alice. - Fern ci o tym powiedziała?

- Przyszła do mnie dziś po południu. Sprawy nie układają się pomiędzy nimi dobrze.

Twierdzi, że z powodu Diany, i wierzę jej. Uważa, że trwa to już od jakiegoś czasu.

- O mój Boże - powiedziała Alice. - Hugo, jesteś pewny, że się nie myli? Zawsze była zazdrośnicą. Może po prostu coś sobie ubzdurzyła? Niczego nie zauważyłam; powiedziałeś, że i ty także...

- Nie patrzyłaś - przypomniał jej. - Ani ja. Kiedy nie spodziewasz się, że wdepniesz w psie gówno, nie patrzysz pod nogi. Obserwowałem ich i jestem przekonany, że Fern ma rację. Diana jest czasami nieostrożna. Nie sądzi, by ktokolwiek ją podejrzewał. A Brian nie jest zbyt przebiegły, choćby nawet i chciał. Lata za nią jak pies wokół goniącej się suki.

Wulgarność kwestii wzbudziła w niej obrzydzenie. Skrzywiła się.

- Nie musisz mówić w ten sposób - stwierdziła.

- Przepraszam. Wiem, jak bardzo jesteś wybredna, jeśli chodzi o te sprawy. Ale nie myślę o tobie, Alice. Myślę o Fern i o piekle, przez które przechodzi.

- Ja także - odparła. - I o Richardzie. Wygląda na bardzo chorego. Klócili się. Zauważyłam to. Jeżeli cokolwiek sprawi, że znowu zaczniesz pić...

- Cokolwiek, czyli to - dokończył. - A potem twoje święte oburzenie spadnie na nią, prawda, mój skarbie?

- Tak - stwierdziła Alice. - Co zamierzasz zrobić?

- Wiem, co trzeba uczynić - odparł. - Zastanawiam się jeszcze nad sposobami. Nie pozwolę, by ona zrujnowała życie Fern.

- Zrujnowała już życie naszego syna - stwierdziła wolno. - Hugo, masz tutaj coś do picia? Nie wiem, czy będę w stanie stawić im czoło i zasiąść do kolacji.

- Trzymam zawsze odrobinę whisky - powiedział.

Alice spojrzała na niego. Po raz pierwszy zauważył na jej twarzy zmarszczki, których wcześniej na pewno nie miała. Nagle stwierdziła:

- Chciałabym, żeby umarła.

- Ja także. - Przygotował drinka jej i sobie. - Ale nie sądzę, żeby dobry Bóg wyświadczył nam tę uprzejmość. Trzeba będzie pomyśleć o rozwiązaniu. Cokolwiek Fern uważa, zrobię wszystko, by wyperswadować jej odejście od męża. A teraz, jeśli jesteś gotowa, trzeba przybrać pokerowy wyraz twarzy i dołączyć do nich.

Wystrój jadalni kojarzył się Alice z teatralną dekoracją. Pomieszczenie ozdobione zielono-złotymi draperiami rozświetlały palące się świece, których światło mieszało się z blaskiem bijącym od okien. Srebrne błyski na obrusie. Dwaj lokaje w liberiach do usługiwania przy stole. Pomiędzy oknami wielka dekoracja z chryzantem brązowo-złoty, przetykanych żółtymi.

Mężczyźni w smokingach, Brian w jedwabnej koszulce polo. Fern w fiołkoworóżowym, przetykanym srebrem żakiecie. Eteryzna Diana w obcisłej, bladoniebieskiej sukience z dżerseju. Przyszedł jej na myśl dawny toast i było to jak klątwa. Siedzimy tutaj - aktorzy grający farsę. Hugo komentuje smak wina, Fern udaje, że je, i obserwuje spod opuszczonych powiek swego męża oraz jego kochankę. Winowajcy usiłują nie patrzeć na siebie zbyt często, ale nie mogą powstrzymać się od wymieniania ponad stołem nikłych uśmiezków. Jej syn, jej ukochany syn, co do którego miała takie nadzieje, siedzi tak blisko obok niej, o wyciągnięcie ręki, pije z kieliszka wodę i stara się nie podążyć wzrokiem

za karafką z winem.

Był inny tego wieczoru. Drażliwy, zirytowany. Minęło ponure przygnębienie i cokolwiek stanowiło tego powód, zadowalało Alice. Zawsze, nawet w najgorszych okresach nałogu, patrzył na swoją żonę z niewolniczym poddaniem, jakby stanowiła jakiś rodzaj talizmanu. Ale to już minęło. Alice się zdawało, że kiedy spoglądał poprzez stół na Dianę, dostrzegła w jego oczach błysk nienawiści. Ale może nie. Może, pomyślała Alice, widzę to, co chcę zobaczyć. Żeby tylko przestało mu na niej zależeć. Gdyby tylko mógł wyrwać się z zakłętego kręgu picia, poczucia winy i niewiary, który go rujnował... Ona zniszczy i tego drugiego głupca, tego utalentowanego idiotę, któremu przysłoniła świat. Hugo nienawidzi go i obwinia o wszystko, ale to jest stara nienawiść i dawne oskarżenia wywołane poczuciem, że miał rację. Alice także musiałaby nauczyć się go nienawidzić, ale odkryła, że nie potrafi. Dla Hugona było szokiem, kiedy przekonał się, że Brian może pokochać inną kobietę. Ale nie dla Alice. Współczuję jej, pomyślała łapiąc krótkie spojrzenie Fern, ale nie tak bardzo, jak powinienam. Pomijając wszystko inne, wolałabym raczej mieć Briana niż Fern. Kiernan zostanie zrujnowany. Wpływy Hugona sięgają daleko poza sferę polityki i biznesu. Jest mecenasem sztuki, człowiekiem dysponującym takim bogactwem, że nikt nie zechce mu się narazić. Może gnębić Briana Kiernana z bezlitosną mściwością, dlatego, iż tamten zdradził jego córkę. Usłyszała śmiech Diany. Cóż to za śmiech! Pełen wesołości. Wprowadziłam ją do rodziny, przypomniała sobie, przywodząc na myśl widok małej dziewczynki, która przyszła pobawić się z Richardem.

Tak dobrze pamiętam ten dzień, kiedy widziałam ją wchodzącą po stopniach, ze słońcem lśniącym w rudych włosach. Jak wiele małżeństw zawartych w obrębie rodu i jak wiele zrodzonych stąd pokoleń wytworzyło tę genetyczną bombę o opóźnionym zapłonie, przeznaczoną do zniszczenia siebie? Nie wiem, przyznała Alice. W tym momencie Diana obdarzyła ją uroczym uśmiechem. Nie wiem i nie obchodzi mnie to, ale nie pozostało mi już ani odrobiny współczucia. Nie możemy jej znosić ani chwili dłużej.

Mój syn, pomyślała. Dziecko Nicka, wszystko, co pozostało z jego odwagi, poświęcenia i nadziei na przyszłość. Pozwoliłam na to. Chełpiłam się, że mam charakter i odwagę w najlepszym amerykańskim stylu, ale okazałam słabość, posuwając się do próśb, a nawet do gróźb, by nie został wydziedziczony. Czym teraz byłoby dla niego Ashton?

W końcu opuścili jadalnię. Zdawało się to trwać wieczność: jedno danie, potem drugie, rytualne serwowanie potraw, nalewanie wina, proponowanie kawy lub likieru. Richard, obserwujący, jak butelki brandy oraz Cointreau pojawiają się i znikają. Alice wstała.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Hugo, sądzę, że nie pijący mogą pójść do

biblioteki. Chodź, Richardzie, zagramy w karty.

Tak jak przypuszczała, wyzwoliło to jej syna. Wsunęła rękę pod jego ramię. Na moment przycisnęła ją mocniej do swego boku.

- Dzięki - powiedział. - Skąd wiedziałaś?

- Nie jestem ślepa - odparła. - I dopilnuję, by nigdy więcej nie zdarzyło się coś podobnego, obiecuję ci.

- Nie robi mi to różnicy - stwierdził.

Byli sami w bibliotece. Alice zamknęła drzwi. Milczeli przez chwilę. Spojrzała na niego.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Tak - odparł. - Ale nie chcę cię okłamywać, mamó. Nie miałem grypy. Bzdura. Byłem na odwyku. Przepraszam, ale to prawda.

- Jezu! - warknęła.

Mówił dalej, bardzo cicho.

- Obiecałem, że ci nie powiem. Di przeraziła się, że o wszystko ją obwinisz. Ale to nie była jej wina. Czułem się szczęśliwy, pracując, zachwycony, że tutaj jestem. Po prostu postanowiłem napić się szkockiej.

- To jest jej wina. - Alice nie potrafiła pozbyć się goryczy ze swego głosu. - Ostrzegalam ją, że jeżeli jeszcze raz...

- Wiem, powiedziała mi. Na początku ona była powodem. Szalałem na punkcie Diany, wiesz o tym. Ale nie mogłem jej sprostac. Nie mogłem ciągle i ciągle... Pomyślałem, że alkohol mi pomoże. Przeszanę się denerwować, zawodzić. Potem odkryłem, że chodzi do kogoś innego. Kiedy urodziła się Nancy, miałem ochotę ją zabić. Ale zamiast tego zalałem się w trupa. Teraz, cokolwiek robi, dla mnie tylko alkohol się liczy.

- Pomogę ci - obiecała Alice. - Będziemy wspólnie walczyć, wyjdiesz z nałogu. Ale ona musi odejść!

Objął ją i przytulił.

- Nie, mamó. Nie tym razem. Walczyłaś za mnie przez całe życie. Teraz ja muszę sam i pragnę zwyciężyć. Być może, gdybym nie pozwolił ci, byś mi to ułatwiała, sprawy potoczyłyby się lepiej. Nie wiem. Chciałbym, żeby ojciec choć raz był ze mnie dumny. I nie martw się Dianą. Moja sprawa, z którą sobie poradzę. A teraz, chcesz zagrać? Mogą tu wpaść w każdej chwili, więc rozdajmy karty, dobrze?

Grali w bezika. Siedziała tyłem do pokoju, a uwagę skupiła na kartach. Grała tak źle, że Richard wygrał.

*

- W telewizji jest sztuka - powiedziała Fern pełnym napięcia głosem. - Brian, kochanie, może byśmy obejrżeli?

- Jeśli masz ochotę. A o czym?

- Sensacyjna, o radzieckim sabotażyście.

- Mam dość agentów KGB tutaj - odparł i nie ruszył się z miejsca.

- Możemy razem obejrzeć, Fern - rzekł Hugo.

Rzadko oglądał cokolwiek poza programami informacyjnymi i dokumentalnymi. Nigdy nie był zwolennikiem niedzielnego wieczornego teatru.

- Dzięki, tato, ale nie sądzę, żeby to było dobre przedstawienie. Poczytam trochę, a potem pójdę spać.

Alice poczuła przy sobie obecność Diany.

- Powiedziałas, że mogę dzisiaj spać u Nancy - rzekła. - Na wypadek, gdyby źle się poczuła.

Alice spojrzała na nią.

- Różowy Pokój jest już przygotowany dla ciebie. Nie ma nic tuż obok, łóżka nie są właściwie przewietrzone.

- Och, to miło z twojej strony - powiedziała Diana miękko. - Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu.

- Ani trochę - zapewniła ją chłodno Alice, wkładając z powrotem karty do pudełka. - Zawsze jest jakiś pokój, przygotowany na wypadek niespodziewanych gości. Wiesz o tym.

- Nie zapomnij o zamówieniu swojej szklanki mleka - przypomniał jej Richard.

Twarz miał ściągniętą i ponurą, a pod oczami wielkie, czarne worki.

- Diana pije zawsze mleko przed snem - wyjaśnił matce, jakby jego żona nie stała tuż obok.

- Doprawdy? Niech zatem powie o tym Robertowi. Jest gdzieś tutaj.

- Powiem mu - rzekła Diana i oblała się rumieńcem z powodu pogardliwego odprawienia, z jakim się spotkała.

Alice wstała i odwróciła się do niej plecami.

- Dobranoc, Dick - powiedziała Diana.

Nie odpowiedział. Wychodząc wymieniła błagalne spojrzenie z Brianem. Załatwiłam to, mogę przyjść do ciebie.

Nie poruszył się, ale jedna ręka uniosła się o cal z oparcia fotela. To był ich sygnał. Mógł wyjść od Fern. Zmienili miejsce spotkania i ustalili czas. Wyszła, zamykając cicho za

sobą drzwi.

*

Zobaczę, czy z Nancy wszystko w porządku, postanowiła Lily, całkiem zaślepiona na punkcie małej dziewczynki. Miała okropnie rude włosy swojej matki, ale pod innymi względami nie była do niej podobna. Raczej do babki, z tym samym bezpośrednim sposobem bycia i stanowczą odwagą. Jeżeli pony ją zrzucił, podnosiła się natychmiast i wskakiwała mu na grzbiet, by znowu spróbować.

Lily szła wzdłuż korytarza. Była niespokojna i zadowolona z wymówki pozwalającej jej wyjść z pokoju i być z dala od swych myśli. Nie była przesądna; miała zdrową niewiarę w horoskopy i wróżbitów, w przeciwieństwie do innych służących. Ale tej nocy wielki dom stał się miejscem generującym mnóstwo przeczuć. Atmosfera była naładowana jakby na powitanie diabła. Otworzyła drzwi i ujrzała Nancy, siedzącą w łóżku z książką. Mała uśmiechnęła się do niej.

- Witaj, Lily.

- Witaj, panienko Nancy. Czuje się panienka lepiej? Jak tam z gardłem?

- Już mnie nie boli. Babcia dała mi Disprin.

Lily rozejrzała się.

- W każdym razie masz tutaj miło i wygodnie. Nie możesz kichać na bliźniaki. Chcesz czegoś?

- Nie, dziękuję ci, Lily.

Miała cudowny uśmiech Alice. Służącej przypominał czasy, kiedy Richard był chłopcem. Poczula w oczach łzy i mrugając ze złością, starała się je powstrzymać.

- Zgaś światło za chwilkę - powiedziała. - Jest już po dziewiątej.

W istocie dochodziła dziesiąta, dziecko już dawno powinno spać.

Lily podeszła do łóżka i powodowana jakimś impulsem pochyliła się i pocałowała małą. Nancy objęła ją mocno.

- Zgaś światło - przypomniała Lily - albo wpędzisz mnie w kłopoty.

- Zgaszę. Jeszcze tylko jedna strona - obiecała Nancy.

Lily dojrzała tytuł książki. *Czarna piękność*. Mogła się była domyślić. Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Jej pani. Richard, którego pomagała wychowywać, kiedy był dzieckiem. Teraz ta kochana mała dziewczynka.

Sprowadziła przekleństwo na rodzinę, wymruczała na głos.

Wracała do siebie, kiedy ujrzała Roberta, młodego lokajczyka, niosącego na tacce szklankę mleka. Zatrzymała się i powiedziała:

- Jeżeli niesiesz dla panienki Nancy, to powiedziałam jej już, by poszła spać.

Zaczerwienił się. Był gamoniowatym dziewiętnastolatkiem, niedawno przyjętym i nadal bardzo siebie niepewnym.

- Dla pani Richardowej - wyjaśnił.

- A zatem idziesz nie tam, gdzie trzeba - powiedziała. - Nie wiesz, że oni są w zachodnim skrzydle?

- Nie, pani Parker - odparł.

Lily, podobnie jak i kucharce, mówiono „pani”, niezależnie czy była mężatką, czy nie. To wynosiło ją na szczyt domowej hierarchii.

- Pani Richardowa śpi dzisiaj w Różowym Pokoju. W pobliżu panienki Nancy. Poleciała mi, bym jej przyniósł mleko.

- Ach, tak - stwierdziła Lily, odsuwając się z drogi. - Zatem zrób to.

Ruszył przed siebie, a ona odprowadziła go wzrokiem. Różowy Pokój. Oto, gdzie śpi dziś w nocy. Młoda piastunka Nancy spała tuż obok jej sypialni, w pomieszczeniu z prowadzącymi do niej drzwiami. Próbuje różnych sposobów. Chce mieć możliwość wymknienia się w nocy i spotkania z nim. Różowy Pokój. Było dziesięć pustych sypialni w tym korytarzu. Wróciła wolno do swojego pokoju. Wcześniej skłamała Alice, mówiąc, że cierpi na ból głowy. Teraz była to prawda.

*

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział Hugo - będę dzisiaj spał w swojej garderobie.

- Boli cię noga? - spytała Alice.

- Trochę. Nie chcę cię ciągle budzić.

- Chcesz swoje proszki przeciwbólowe?

- Tak - odparł. - Mogę je zażyć.

- Uważaj - ostrzegła Alice. - Nie wiesz, jakie są mocne.

- Po tylu latach nie trzeba mi tego przypominać - odparł. - Jeżeli nie będę mógł spać, poczytam sobie.

- Hugo - odezwała się nagle. - Wydaje mi się, że oni powzięli plan, by wymknąć się dokądś dziś w nocy. Nigdy wcześniej nie spała w tej części domu. Posłużyła się Nancy, dla zamydlenia wszystkim oczu.

- Oczywiście, że tak - potwierdził; stał w drzwiach, patrząc na nią. - Wiedziałem, że to zrozumiesz. Mam tylko nadzieję, że biedna Fern niczego nie podejrzewa. Jesteś zadowolona, że popierałaś zawarcie tego małżeństwa?

- Nie musisz być dla mnie okrutny tylko dlatego, że Fern została zraniona - odparła Alice. - Jeżeli nie chcesz, bym ci przypomniała, jak mało obchodził cię Richard. Nigdy nie chciałam, żeby ją poślubił. Gdybyś mnie poparł, nie musiałby przejść przez to wszystko.

Nacisnęła klamkę.

- Zatem oboje możemy się winić - stwierdził i wyszedł.

Alice zrzuciła pantofle z nóg. Lily miała jej pomóc się rozebrać, ale była taka blada i oczy mrużyła z powodu migreny, że Alice odesłała ją, nie pozwalając nawet uprzątnąć ubrania. Nie tylko to nią powodowało; nie chciała, by Lily kręciła się tutaj. Była zadowolona, że Hugo zostawił ją samą, chociaż nie wierzyła, że dokucza mu noga. Tak jak ona, pragnął być sam. Chciał przemyśleć sytuację, która mogła zniszczyć rodzinę, on zaś nie mógł do tego dopuścić. Richard poszedł do swoich pokoi w zachodnim skrzydle; Diana wymknęła się do Różowego Pokoju. Fern i Brian powiedzieli dobranoc i udali się razem do siebie. Jeżeli miałoby dojść do rendez-vous, Brian musiałby wyjść nie budząc podejrzeń Fern. Alice zastanawiała się, jak to zamierza uczynić. Jej córka brała proszki na sen. Wiedziała, że Fern trzyma je na wypadek, gdyby nie mogła zasnąć. On wymknie się później.

Kocham go, myślała Fern leżąc w łóżku i czekając, aż Brian wyjdzie z łazienki. Kocham go i nienawidzę jednocześnie. Nienawidzę go tak bardzo za to, co robi, że nawet nie chcę obok niego leżeć; wzdragam się nawet przed przypadkowym jego dotknięciem. Ale nie opuści mnie. Nie ośmieszy i nie pokaże wszystkim, że jestem mu obojętna. Nikt o tym nie wie prócz taty. Nie zniosłabym, gdyby mama się dowiedziała. Nie jest lepsza, nic dziwnego, że przypadli sobie do gustu. Robiła to samo, oszukując ojca, kiedy był na wojnie. Nigdy nie zapomnę, jak przyłapałam ją z Armstrongiem. Jest kłamczuchą i oszustką; mój cholerny mąż też. Nienawidzę ich oboje. Ale także go kocham. Mogłabym mu wybaczyć, gdyby tylko Diana, wstrętna mała dziwka, nie kręciła się tutaj nigdy więcej. Za każdym razem, gdy ją widzę, myślę o niej i Brianie, że to robią, kiedy są razem. Zastanawiam się, czy stosują odwrotną pozycję? Ona powinna być na górze, jest zbyt drobna, by przyjąć taki ciężar...

Jej umysł oszalał, produkując obsceniczne wizje, kiedy torturowała się szaleńczą zazdrością. Powodowana nagłym impulsem odrzuciła kołdrę, przebiegła pokój i szarpnęła za klamkę u drzwi łazienki.

- Długo tam jeszcze będziesz? - zawołała.

- Już wychodzę - odpowiedział Brian.

Za zamkniętymi drzwiami zwlekał i zwlekał, zbierając siły do stawienia jej czoła; będzie nalegał, musi przekonać ją, by zażyła środki nasenne; w przeciwnym razie plan się nie powiedzie. Czuł, że atmosfera gęstnieje, i był tym zdenerwowany. Nie mogli wiedzieć. Nikt

nie mógł wiedzieć. Połączyli się przeciwko Dianie, traktując ją chłodno i pogardliwie, ponieważ była obca. Chociaż skakali sobie do oczu, intrygowali pomiędzy sobą, mimo wszystko stanowili jeden szczepek, a Diana nie była jego członkiem - tak jak i on. Vandekarowie zawsze mogli się pogodzić i wspólnie wystąpić przeciwko nim. Nawet Alice, która - miał nadzieję - zdawała się być w pewien sposób ponad tym wszystkim, ponosiła winę. Diana potrzebowała go, a on nie był w stanie jej odmówić. Pragnął jej - podniecał się na samą myśl o seksie z nią. Jego żona stała za drzwiami, szarpiąc za klamkę, jakby był małym chłopcem, któremu każą iść do łóżka. Nie chciał jej dotykać po Dianie. Pomyślał po raz pierwszy, że może powinien się rozwieść?

Fern nie wróciła do łóżka. Krążyła po sypialni, dotykając różnych przedmiotów i odstawiając je na miejsce. Zdjęcia bliźniaków w każdym stopniu ich rozwoju. Fotografie jej i Briana z dawnych, szczęśliwych czasów. Próbowwała tchnąć ducha w ten pokój, uczynić z niego część ich życia. Odsunęła zasłony. Na zewnątrz panowała ciemna noc, ale naturalnej wielkości marmurowe rzeźby Kupidyna i Psyche odcinały się bielą, dopóki włączone były główne światła. To próżność matki powodowała, że je iluminowano. Muszą jej coś przypominać, nagie postaci w swych erotycznych pozach...

Kiedy Brian wrócił do pokoju, zaciągnęła z powrotem zasłony. Weszli razem do łóżka.

- Wyglądasz na zmęczoną, Fern. Mówiłaś, że nie spałaś dobrze poprzedniej nocy - powiedział obojętnie.

Jak mogłam dobrze spać, skoro myślałam o tobie i o niej?

- Weź na noc mogadon.

- Zawsze mówisz, że nie powinnam go brać - sprzeciwiła się.

- Sądzę, że tym razem powinnaś; na pewno lepiej wypoczniesz. Należy tylko uważać, żeby nie popaść w uzależnienie, to wszystko.

Jego głos brzmiał bardzo naturalnie. Kiedy indziej byłaby wzruszona, że tak się o nią troszczy.

- Przyniosę ci - powiedział i podniósł się. - Masz. Tylko jedną. Powinna pomóc.

Przyjęła od niego pigułkę i szklankę wody. Ukryła proszek pomiędzy palcami i wypila długi łyk wody.

- Dziękuję, kochanie.

- Poczytam trochę - oświadczył Brian. - Obróć się na bok; nie będę długo świecił światła.

Fern zrobiła, co proponował. Pigułkę zaciskała w dłoni. „Chciał mnie uśpić, żeby móc

ić do niej. Czeka na niego, tam dalej, w korytarzu”. Kiedy zgasił światło, zaczęła oddychać głęboko i regularnie. Nic się nie stało. Na tyle, na ile była pewna, spał. Główne drzwi domu zostały zaryglowane, włączono nocny system oświetlenia. Kupidyn i Psyche stali teraz w ciemnościach... Nie zdając sobie z tego sprawy, przysnęła. Kiedy obudziła się później ze wzdrygnięciem, miejsce obok niej było puste.

*

Druga w nocy. Powinno być bezpiecznie. Nikogo, kto by widział go, wymykającego się z sypialni i śpieszącego wzdłuż długiego, słabo oświetlonego korytarza. Nie do Różowego Pokoju. To było ryzyko, którego nie śmieli podjąć. Gdyby Nancy się obudziła i ruszyła na poszukiwanie mamy albo piastunka uznała nagle, że trzeba powiadomić Dianę, bo mała gorzej się poczuła, Diana mogłaby jakoś wytłumaczyć swą nieobecność. Brian miał znaleźć jakąkolwiek wolną sypialnię i czekać na nią o drugiej. Nie usnął. Słuchał mocnego oddechu Fern, pewny, że mogadon musiał ją zamrozić.

Kiedy szedł na tę randkę, czuł gwałtowne podniecenie. Sprawdził jedne z drzwi, daleko od pokoju dziecka. Były zamknięte. Na moment zawahał się, zaklął, a potem ruszył dalej. Blżej niżby chciał, ale znalazł otwarte drzwi. Wszedł do środka, zamknął je za sobą i namacał włącznik światła. Zawsze go zdumiewała ilość pokoi znajdujących się w tym wielkim domostwie. Podwójne łóżko, nie zasłane, przykryte białym pokrowcem. Czerwono-zielone draperie na ścianach. Drżał z zimna. Poszukał termostatu i włączył ogrzewanie. Wkrótce powinno zrobić się ciepło. Nie wolno jej się przeziębic. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć druga. Zgasił światło i uchylił drzwi, żeby móc widzieć prowadzący do jej pokoju fragment korytarza. Element ryzyka, w połączeniu z rosnącym seksualnym podnieceniem. W końcu ujrzał ją, kiedy przechodziła przez korytarz i znalazła się w kręgu światła lampy. Była tak lekka, tak szybka, że zdawała się frunąć. Wystawił głowę i zawołał ochryłym szeptem:

- Diano, kochanie, tutaj...

Otworzył szerzej, a ona wślizgnęła się do środka. Zamknął drzwi, przekręcił klucz i wziął ją w ramiona. Peniuar i koszula nocna opadły, jak zdmuchnięty puch. Uniósł ją naga, kołysząc w ramionach niczym lalkę, i położył na łóżku. Wydała z siebie zawodzący krzyk ekstazy.

*

Dziewczynka zamknęła drzwi i przerażona skryła się pod kołdrą. Ktoś, kogo widziała, stał w cieniu i słuchał odgłosów z pokoju, do którego wszedł najpierw mężczyzna, a później kobieta. Potem postać odeszła, starannie omijając plamy światła, i gdzieś zniknęła.

Stracili poczucie czasu. W ogniu namiętności, spalającym tak, że nawet w

najśmielszych wyobrażeniach Brian nie mógłby tego przeżyć, padały nienaturalne słowa, które usprawiedliwiała szaleństwo tej nocy. Zaklęcia, przysięgi, obietnice, powtarzane przez Dianę bez zastanowienia, czy są w stanie wytrzymać próbę światła dziennego. W końcu, niechętnie, opuściła go. Ten mężczyzna stał się dla niej wybawieniem... Wyczerpana i ożywiona, nie czuła ani odrobiny winy. Żadnej winy. Drugi raz w życiu była zakochana. Zarzuciła na siebie pienuar i wymknęła się z sypialni. Szybkie spojrzenie upewniło ją, że cały świat pogrążony jest we śnie. Wróciła do siebie tak szybko i cicho, jak wyszła, i bardzo delikatnie otworzyła drzwi do Różowego Pokoju.

Krzyki dało się słyszeć wzdłuż całego długiego korytarza, rozchodzące się w dół olbrzymiej klatki schodowej. Sprowadziły one męską część służby i w trwodze otwarto drzwi sypialni. Siódma trzydzieści; roznoszono pierwsze poranne tace. Na zewnątrz Różowego Pokoju uspokajano płaczącą pokojówkę. Na środku leżała upuszczona taca z rozbitą porcelaną i płynęła rzeka rozlanej herbaty. Zasłony były odsunięte. Diana Vandekar leżała na wznak na poduszkach. Twarz miała sinoniebieską, a szczękę obwisłą. Nie żyła od kilku godzin. Ciało było już sztywne.

Pierwszy został zawiadomiony Hugo. Nie ubrany poszedł do Alice. Lily, blada, z podkrążonymi oczami, podążała za nimi. Wysłano piastunkę Nancy, by zatrzymała dziewczynkę w jej pokoju. Hugo nakłonił histeryzującą pokojówkę do zejścia na dół; zatelefonowano po lekarza. Hugo zamknął drzwi i schował klucz. Zobaczył Alice, która stała w korytarzu; obok niej była Lily. Nie powiedziała ani słowa. Żadnego pytania, nic. Po prostu tkwiła tam, patrząc w milczeniu. Hugo zaprowadził ją do ich sypialni, zamykając zdecydowanie drzwi przed Lily. Alice była biała jak jej szlafrok.

- Hugo... - zaczęła.

- Znaczy, że dobry Bóg rozwiązał za nas problemy - przerwał jej.

- Nie żyje. Kłopot w tym, że znalazł ją Simpson. Posłałem po Graddera. Usiądź, wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

- Nie zemdleję - odparła Alice. - Umarła w łóżku. Jak strasznie. Jaka straszna rzecz.

- Co w tym strasznego? - spytał. - Nigdy wcześniej nie byłaś hipokrytką, więc nie bądź nią i teraz. To wybawienie, wyjście dla nas wszystkich.

Alice spojrzała na swoje dłonie. Bez przerwy obracała ślubną obrączkę.

- Chyba atak serca - rzekła. - Będzie dochodzenie...

Mówiła do siebie.

- Jak ja powiem Richardowi? - Potem spojrzała na niego. - Stwierdzą, że to był atak serca czy coś takiego, prawda? Naturalna przyczyna?

- Moja droga Alice - odpowiedział Hugo i zdawało się, że ją wykpiwa. - A cóż innego mogliby stwierdzić?

*

To znowu jest sztuka teatralna, pomyślała Alice. Akt trzeci, scena trzecia. Finałowa odsłona ostatniego aktu. Biblioteka. Tylko że to nie jest biblioteka, a mój salonik, w którym wszyscy się teraz tłoczą - mój drogi syn, moja córka Fern i mój zięć, który wygląda tak, jakby cały świat eksplodował mu prosto w twarz. I mój mąż Hugo - opanowany i komenderujący, podający im szczegóły.

- Doszło do rodzinnej tragedii. Jak wszyscy wiecie, znaleziono martwą Dianę. - Mówił tak, jakby zwracał się do członków parlamentu.

Zupełnie nieporuszony, mój mąż. Kiedyś miał serce, ludzkie uczucia. Zabiłam je... taka jest prawda. Rodzina musi zachować swoje dostojeństwo i spokój.

Rozległ się ostry krzyk Briana, zaraz zdławiony. Dziwnie usatysfakcjonowana mina Fern. Richard, o pustym wzroku i milczący.

- Doktor Gradder zbadał zwłoki. Nie jest całkowicie pewny bez przeprowadzenia sekcji, ale uważa, że to było przedawkowanie. Brała proszki nasenne, prawda, Richardzie?

Pogardliwe spojrzenie na syna. Nie podnosząc wzroku, Richard skinął głową.

- Musimy mieć nadzieję, że był to wypadek, a nie przerażający akt szaleństwa. Zostanie przeprowadzone dochodzenie. Bardzo niedobrze, gdyż obawiam się, że ściągnie na nas całą uwagę mediów...

Kiedyż skończy, zastanawiała się Alice. Kiedy zejdzie ze środka sceny i przerwie ten stek bzdur? Nikt mu nie wierzy. Wszyscy znamy prawdę. Nie żyje i wielu z nas nawet odczuwa zadowolenie, że tak się stało. Nie Kiernan - ten jest zdruzgotany i niczego nie udaje. Mój syn, no, nie wiem... był taki dziwny, kiedy mu powiedziałam. Zdawał się ogłuszony, ale nie zaskoczony. Zamknął się w sobie i odwrócił ode mnie. Nie chciał pociechy; nie chciał nic poza tym, żeby pozostawić go w spokoju. Spodziewałam się, że wracając zobaczę go zalanego, ale on tylko tam siedział i był przeraźliwie trzeźwy...

- ...żadnych wywiadów dla prasy - mówił Hugo. - Cokolwiek robicie, nie dajcie się podejść, by cokolwiek skomentować. Fern, sądzę, że byłoby dobrze, gdybyście wraz z Brianem wzięli bliźniaki, natychmiast wrócili do Londynu i pozwolili nam zмагаć się z tym wszystkim.

Odwrócił się, jakby to był koniec wszystkiego. Alice wstała. Hugo spojrzał przestraszony, ale zignorowała go. Przemówiła zdecydowanym głosem.

- Mam wam wszystkim coś do powiedzenia - stwierdziła. - Doszło zarówno do

skandalu, jak i wielkiej tragedii. Diana nie żyje i nie da się zmienić faktów. Osobiście - spojrzała na swego zięcia - nie jest mi przykro. Nie muszę wyjaśniać, dlaczego, bo wszyscy wiedzą. Jesteśmy dorośli i przejdziemy przez wszelkie nieprzyjemności, jakie mogą nastąpić. A jeśli się tak nie stanie, to bardzo źle. Jest tutaj jednak pewna osoba, o której nikt nie wspominał. Mówię o Nancy. Ona nie ma prawa dowiedzieć się o całej sprawie niczego poza tym, co ja jej powiem. Chcę być jasno zrozumiana. Szczególnie przez ciebie, Fern. Jedno słowo, jedna aluzja, mogąca zranić dziecko - wystarczy, by osoba, która się tego dopuści, miała ze mną do czynienia.

Zamierzam dopilnować, by była otoczona opieką. Jakikolwiek okaże się werdykt w tej sprawie, Nancy nie ma prawa o nim się dowiedzieć, dopóki nie będzie wystarczająco duża, żeby usłyszeć to ode mnie.

I jeszcze jedna rzecz. - Spojrzała na nich po kolei; miała wypieki i zacięty wyraz twarzy, który wszyscy znali. - Kiedy już będzie po wszystkim, życie w Ashton wróci do normy, jakby nic się w ogóle nie stało. Żadnych szeptów - ten temat nie będzie nigdy wspominany. Nie, Hugo, zamierzam także powiedzieć służbie. Chcę, żeby wiedzieli, na czym stoją.

Wyszła, a oni odprowadzali ją wzrokiem.

*

- Nie musisz jechać jak wariat - powiedziała ostro Fern. - Mamy z tyłu dwoje dzieci, powinieneś o tym pamiętać!

Brian nie odpowiedział. Spakował się w milczeniu, zabrał bliźniaki wraz z ich piastunką do samochodu i odjechał z Ashton na pełnym gazie.

Fern spojrzała na niego. Był bardzo blady. Zszokowany, bez wątpienia, pomyślała z goryczą. Niespodziewane zakończenie miłosnej nocy.

Nie wiedział, że ona nie spała. Kiedy wczołgał się z powrotem do łóżka, udawała, że śpi. Był zbyt wyczerpany, zbyt rozleniwiony, nasycony seksem, by się co do tego upewnić. Leżała, rozbudzona, słuchając jego chrapania.

Nie będzie już więcej grasował w nocy po domu. Nie będzie więcej kłamstw na temat przesiadywania z jego wulgarnymi irlandzkimi kumplami w pubie, kiedy naprawdę rznął tę wiecznie spragnioną dziwkę... Diana nie żyła.

Fern wyglądała przez okno. Nie widziała uciekających wstecz wiejskich dróg. Obraz Diany, delikatnie pieszczącej długimi, polakierowanymi paznokciami kark jej męża, wystawiał ją na drwinę i sprawiał katusze. Tamta nie żyje, ale ona nigdy nie zapomni. *Myslałam, że uda mi się, ale teraz nie jestem pewna. Możliwe, że już zawsze będzie stała*

między nami. Nawet jeżeli Brian o niej zapomni, ja będę jedyną osobą zamęczającą się tym. Kiedy mnie dotknie, będę myślała, jak to robił z Dianą. A ponieważ ona nie żyje, nigdy się nie dowiem, czy chciał mnie dla niej zostawić.

Kiedy dotarli do ich londyńskiego domu, Brian wniósł bagaże, zaprowadził dzieci na piętro, a potem zamknął się w pokoju rysunkowym. Fern była na górze, zarządzając wszystkim. Słyszał jej upominający kogoś głos. Wstał i nalał sobie dużą porcję whisky bez wody. Diana. Nie mógł w to uwierzyć.

Widział ją, czuł tuż przy sobie. Wyobraźnia oszukiwała go, podsuwając mu wspomnienie silnego zapachu, który rozciągała. Gardenie. Pokój pełen był tej słodkiej, przenikliwej woni.

- Nie wierzę - powiedział.

Do oczu napłynęły mu łzy. W uszach brzmiał cichy głos:

„Dobranoc, kochanie... Kocham cię...”

Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły głośno. Podniósł wzrok; przed nim stała Fern.

- Musisz pić o tej porze? Nie ma jeszcze jedenastej!

- Jestem wstrząśnięty - powiedział. - Dziwię się, że ty nie.

- Z powodu Diany? Dlaczego miałabym być? Nigdy jej nie lubiłam. Była po prostu szmatą. Richardowi będzie lepiej bez niej. Wszystkim nam będzie lepiej.

- Jesteś zadowolona - stwierdził. - Widzę, że jesteś.

Odwróciła się; na jej ustach pojawił się dziwny uśmiezek.

- Nie jest mi przykro - rzekła.

- Nie wierzę w samobójstwo.

Zawahała się, a potem spojrzała na niego.

- Co masz na myśli? Przedawkowała. Gradder tak powiedział. Jesteś pijany, Brian...

- Jeszcze nie - odparł. - Ty także nie wierzysz, że się zabiła. Nikt z was. Widziałem poprzedniego wieczoru; sposób, w jaki wszyscy ją traktowaliście. Ten zgniły pijaczyna, twój brat, nawet się do niej nie odzywał. Zdania przechodziły obok, czyż nie? Vandekarowie chcieli pozbyć się Diany.

- Na twoim miejscu uważałabym - powiedziała Fern cicho. - Nie wiesz, co mówisz. Ile wypileś?

- Zbyt mało - odpowiedział. - Och, wszystko zostanie zatuszowane. Uległy lekarz domowy dobrze wszystkiego dopilnuje. Ale ja znam prawdę. I ty ją znasz.

- Nie zamierzam tego słuchać - powiedziała Fern. - Wygadujesz bzdury. - Pomyślał, że mówi bardzo podobnie do swego ojca.

- Będzie dochodzenie - stwierdził; wysączył resztę whisky. - Zapewne interesujące.

Patrzyła na niego przez chwilę. W jej oczach ujrzła czarną nienawiść.

- A zatem powinieneś się czuć usatysfakcjonowany. Dlaczego nie dostarczysz dowodów, jeżeli masz cokolwiek do powiedzenia w związku ze sprawą?

Potem zostawiła go samego, zamykając z trzaskiem drzwi. Ponownie napełnił swoją szklaneczkę. Nie mógł nic zrobić. Nic, co nie pociągałoby za sobą konieczności ujawnienia prawdy o ich ostatniej wspólnie spędzonej nocy. Zniszczenia małżeństwa, zhańbienia dzieci. Nic. Do końca życia będzie częścią tego kłamstwa.

*

Tak jak Hugo przewidywał, zrobiło się mnóstwo szumu. Mniej wybredne gazety wyciągnęły ponownie sprawę rozwodu Hubbardów. Pewien dziennikarz poleciał do Cape Town i starał się przeprowadzić wywiad z rodzicami zmarłej. Akt zgonu stwierdzał, że to było samobójstwo, w następstwie zaburzeń psychicznych. Podczas sekcji wykryto dużą dawkę barbituranów. Koroner usłyszał zeznania, że Diana Vandekar cieszyła się doskonałym zdrowiem, ale nadmiernie martwiła się o swoją córkę, która miała łagodną infekcję - w związku z czym zmieniła tej nocy sypialnię, by być bliżej niej. Z drugiej strony nie było nic, co by przemawiało na korzyść tezy o połknięciu przez zmarłą śmiertelnej dawki proszków nasennych. Środek został odkryty w pustej szklance, w resztkach mleka, które przyniesiono na jej prośbę.

Anatomopatolog stwierdził także odbycie stosunku seksualnego przez denatkę oraz ślady na ciele, świadczące o uprawianiu seksu na kilka godzin przed śmiercią. Richard Vandekar zeznał pod przysięgą, że wcześniej tej nocy odwiedził swoją żonę, a potem wrócił do ich apartamentów. Koroner przedstawił długą opinię, w której pozwolił sobie zawrzeć kilka uwag o przemijającym bogactwie oraz urodzie, jakby samobójstwo nieszczęśliwej dziewczyny stanowiło rodzaj kary za nie.

W końcu było po wszystkim - fotoreporterzy i dziennikarze przerwali oblężenie Ashton. Zdjęcie Alice, wychodzącej z biura koronera w czarnym kapeluszu z gęstą woalką, ramię w ramię z synem, zostało przedrukowane jak kraj długi i szeroki. Panowało ogólne poczucie satysfakcji, że Vandekarowie dostali kopniaka w zęby - po prostu za to wszystko, co mieli i kim byli.

Diana została pochowana na przykościelnym cmentarzu w Ashton. Odbyło się rodzinne nabożeństwo, bez kwiatów czy listów w kondolencjach. Był wieniec z czerwonych róż od Richarda i osobny od Nancy, oraz od Alice i Hugona, który zamówiła Alice. Fern nic nie posłała. Nie podpisana wiązanka białych goździków była od Briana Kiernana, o czym

wszyscy w rodzinie wiedzieli. Odbyła się prosta posługa, pastor mówił poruszająco o młodym życiu, tak tragicznie zwiędłym. Vandekarowie siedzieli w swojej ławce; nikt nie sięgał po chusteczkę, nawet dla pozorów. Pastor był zszokowany widocznym chłodem i brakiem żalu. Nigdy nie lubił sir Hugona. Uważał go za człowieka wyniosłego i zachowującego się protekcjonalnie, podczas gdy jego żona nigdy nie zachodziła do kościoła. Siedzący za nimi służący okazali się bardziej ludzcy niż cała najbliższa rodzina. Kilka młodszych pokojówek płakało.

Przy grobie pozostali tylko lady Vandekar i jej mąż, by zobaczyć pochówek ich synowej. To także zszokowało pastora. Kiedy było już po wszystkim, na pożegnanie uściśli mu dłoń, podziękowali formalnie i wsiedli do samochodu, by wrócić dwie mile do swego domu. Patrzył za nimi z niesmakiem. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na nowy kopczyk ziemi. Na szczycie leżały wieńce i kwiaty, wyzywająca próba zaimponowania kolorem ciemnej glinie. Stał odmawiając modlitwę za Dianę Vandekar. Nie miał wątpliwości, że umarła pomiędzy nimi nieszczęśliwa i samotna.

Od dnia pogrzebu nie wspomniano śmierci Diany. Dwoje spośród służby zostało zwolnionych, ponieważ gospodyni powiedziała, że plotkują na ten temat, a Robert złożył wymówienie, gdyż nie był w stanie przejść obok Różowego Pokoju bez wrażenia, że zmarła jest tam, co działało mu na nerwy.

*

- Chcę zabrać stąd Richarda - stwierdziła Alice.

Hugo zdjął okulary - był zajęty lekturą. Zbierał się parlament i miał mnóstwo pracy.

- Jeżeli wstrzymasz się trochę - powiedział - to prawdopodobnie będę mógł z tobą pojechać. Ale w tej chwili nie chcę zostawiać Fern samej.

- Jakim sposobem będziesz mógł wyjechać? - Alice była zdumiona. - Chyba niemożliwe, żebyś zrobił sobie teraz urlop?

Bez przerwy otwierał i zamykał etui na okulary, aż zapytała:

- Hugo, co się stało?

- Widziałem się z premierem - stwierdził niemal obojętnym tonem. - Wszystko zostało powiedziane bardzo uprzejmie, oczywiście, ale wrażenie jest takie, że w nadchodzącym roku wyborczym moja osoba stanowiłaby po całej tej historii swego rodzaju zagrożenie dla partii. Złożyłem więc rezygnację i zgodzono się, że najlepszym momentem na moje odejście będzie okres tuż przed feriami bożonarodzeniowymi. Nikt nie chce, żeby to wyglądało, jakbym został zmuszony do powzięcia takiej decyzji. - Spojrzał na nią z kwaśnym uśmiechem i odłożył w końcu okulary.

- Przykro mi - powiedziała Alice. - Uważam, że są cholernie nie w porządku. W tym, co się stało, nie było twojej winy.

- Zawsze się zastanawiałem - odparł - czyja to wina. A ty? Zobaczył, jak jej twarz tężeje.

- Nie wiem, co masz na myśli. Sama dokonała wyboru. I, dzięki Bogu, od tamtej pory Richard nie tknął kieliszka.

- Jeżeli czujesz się usatysfakcjonowana tym, co się stało - zaznaczył - w porządku. Osobiście bardzo mi ulżyło po orzeczeniu koronera. Mogło okazać się zupełnie inne, gdyby nie był takim starym głupcem. Richard zniósł wszystko bardzo dobrze. Jak powiedziałaś, ani razu nie zapragnął poszukać pocieszenia w butelce.

- Dlaczego go tak nienawidzisz? - spytała. - Nigdy cię nie zranił. Zawsze cię kochał, zawsze pragnął cię zadowolić. W noc jej śmierci powiedział mi, że cię zawiódł i bardzo chciałby zrobić coś, co spowodowałoby, że byłbyś z niego dumny.

- Być może zrobi - rzekł Hugo. - Być może zrobi. Nie będę się przejmował odejściem od polityki. Jest mnóstwo innych rzeczy, które mogę robić.

- Będziesz się przejmował - zaprzeczyła. - Dobrze wiem, że dążyłeś do najwyższego stanowiska. Jeżeli przestaniesz mnie atakować, pomogę ci znieść najtrudniejszy okres.

- Uważam, że to bardzo miłe z twojej strony - stwierdził - ale niezbyt realne. Znajdę sobie mnóstwo zajęć, nie martw się. Nie będę ci się plątał pod nogami. A teraz naprawdę muszę zabrać się do pracy. Powiedz mi, jeśli zdecydujesz się przełożyć swój wyjazd. Mam na myśli, gdybyś chciała, żebym z tobą pojechał. Nie zamierzam ci przeszkadzać.

- Nawet gdybym nie chciała, choć chcę - odparła - Richard byłby przerażony. Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało, Hugo, ale nie zamierzam stać i słuchać, jak się nad sobą użalasz. W porządku, nie przeniesiesz się na Downing Street pod numer 10⁴. Nie będziesz nawet przywódcą opozycji, gdyż - jak sądzę - twoja partia przegra w przyszłym roku wybory. Ale inni ludzie będą musieli stawić czoło rozczarowaniu. Na litość boską, uszy do góry!

Ku jej zaskoczeniu, wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak długo, aż w jego oczach pokazały się łzy.

- Moja droga Alice - powiedział w końcu. - Moja droga Alice, cóż za nieprawdopodobne z ciebie stworzenie! Nic nie jest w stanie cię załamać, prawda? Sądzę, że jesteś niezniszczalna. - I znowu zaczął się śmiać. - Uszy do góry, mówisz. Powinnaś być premierem. Samobójstwo - jeżeli rzeczywiście tak było - całe to błoto, jakim nas obrzucono...

⁴ Siedziba premierów brytyjskich. (Przyp. tłum.)

Większość kobiet załamałaby się, ale nie ty. O, nie ty!

- Zawsze można skapitulować, ale jaka z tego korzyść? - natarła. - Życie toczy się dalej, musi się toczyć. Przy okazji - możesz powiedzieć Fern: jeżeli nadal nie będzie dawać spokoju Brianowi, on odejdzie od niej.

- Taką mam nadzieję - sprzeciwił się. - Zachęcam ją, by była dla niego przykra. Widzisz, nie jesteś jedynym bezlitosnym członkiem rodziny.

- Od dawna o tym wiedziałam - rzuciła Alice przez ramię. - Zostaliśmy dla siebie stworzeni, kochanie.

8.

Alice nie pojechała w planowaną podróż z Richardem. Hugo podał się do dymisji, z powodów zdrowotnych, tuż przed Bożym Narodzeniem, zanim parlamentarzyści rozpoczęli zimową przerwę w obradach. Było zrozumiałe, że podczas nadawania honorów w dniu Nowego Roku zostanie członkiem Izby Lordów. Premier wystosował do niego długi list, wyrażając głęboki żal z powodu straty przyjaciela oraz kolegi, który ostatnich trzydzieści lat życia poświęcił służbie publicznej, i podkreślił, jak wiele naród mu zawdzięcza. Richard oprawił list w ramki, jako prezent gwiazdkowy dla ojca.

Nie pił. Ponownie zabrał się do pracy nad historią rodziny Vandekarów. Z dnia na dzień rosły nadzieje Alice, gdyż czuła, że nie myliła się w swoim osądzie. Bez Diany mógł znieść kryzysowe sytuacje. A jaki kryzys mógł być gorszy niż ten po ostatnich przeżyciach: znalezienie martwej żony oraz uzyskanie medycznego dowodu, iż zaledwie kilka godzin wcześniej miała stosunek z innym mężczyzną? Patrząc na niego, Alice czasem zastanawiała się, jakim cudem był w stanie pójść do sądu i z tak nietypowym dla niego spokojem kłamać, by chronić rodzinę oraz dobre imię zmarłej? Nigdy nie miał silnej woli. Nie było w nim stali i ów brak zdumiewał ją przez lata. Jakby nie był synem Nicka. Zawsze niefrasobliwy, przyjacielski, pragnący się podobać. Nie twardy jak ona, ani bezlitosny. Ale widok syna, stojącego za barierką dla świadków, ciągle do niej powracał. Tuż po śmierci Diany był napięty i zszokowany, ale nie pił. Największy kryzys w swoim życiu zniósł sam i bez próby ucieczki w alkohol. Dziwne, ale czuła zbyt wielki niepokój, jak długo to potrwa, by pytać. Nigdy nie wspominała o Dianie i on nigdy o niej nie mówił. Nie przyłgnał do Nancy; trzymał się na uboczu, podczas gdy Alice przejęła rolę obojga rodziców. Wycofał się w swój własny świat, w którym była jego książka o rodzinie i długie, samotne spacerki, odbywane bez względu na pogodę. Naśladowując Hugona kupił sobie labradora i pies stał się jego nieodłącznym towarzyszem. Odzegnał się, bardzo uprzejmie i z wdzięcznymi podziękowaniami, od propozycji matki, by wyjechali za granicę. Nie potrzebował wakacji. Jest zajęty książką, całkiem zadowolony, dziękując; i nie chciał przerywać pracy. Alice sama już nie wiedziała, co o nim myśleć. Nie wracał do butelki, ona nie zamierzała o nic pytać. Mieszkał w Ashton, ale tak, jakby go nie było. Nie Richard, którego znała, a siostra nienawidziła, ponieważ była o niego zazdrosna, i którym jego ojciec pogardzał. Zupełnie inny człowiek. Zamknął się przed wszystkimi, także przed matką.

Konsultował się z Hugonem w sprawie historii rodziny i ojciec współpracował z nim, ale zachowując dystans. Nie myślał o Richardzie ani nie rozważał zmian, które zaszły w jego

osobowości.

Zaraz po pogrzebie zjeżdżali się przyjaciele z wyrazami współczucia i wsparcia; ale część prasy zaczęła bardzo krytycznie pisać na temat Ashton i rodziny Vandekarów, co nie pozostało bez wpływu na przebieg kariery politycznej Hugona. Opinia publiczna otrzymała teraz zupełnie inny wizerunek znanego parlamentarzysty. Pojawiły się artykuły omawiające działania Vandekara w gabinecie ministrów. Przez lata, w dążeniu do władzy, narobił sobie wrogów i teraz ofiary jego ostrego języka brały na nim rewanz, nie przebierając w środkach. Redakcja jednego z prestiżowych miesięczników politycznych miała zostać pozwana do sądu w sprawie o zniesławienie.

Alice zareagowała w dający się przewidzieć sposób. Uznała, że atak jest przejawem tchórzostwa oraz nikczemności.

- Niech się odbędzie proces - doradzała z furią. - Masz dosyć pieniędzy; możesz ich zniszczyć, Hugo!

- Nie - odparł. - Byliby zachwyceni sprawą sądową; większy skandal to więcej sposobności do obrzucania mnie błotem. I pamiętaj, że mamy bardzo wiele rzeczy do ukrycia. Jeśli pozwę Mollinsa, nie spocznie, póki mnie nie wykończy. Ma przyjaciół w prasie brukowej, specjalistów od publicznego prania brudów; na pewno może na nich liczyć.

- Zapewne wszystko dlatego, że nigdy go tutaj nie zaprosiliśmy - odcięła się Alice. - To nędzny, mały szantażysta. Gdybyś lizał mu buty, jak niektórzy z twoich kolegów, nie atakowałby cię teraz.

- A czy chciałabyś przyjmować Davida Mollinsa w naszym domu? - zapytał ją.

- Nie - przyznała. - I nie żałuję, że tak się stało. To najgorszy rodzaj pijawki.

Nędzny, mały człowieczek, pomyślała ze złością. Jako komentator polityczny, pozujący na luminarza i czyniący wokół siebie dużo szumu, posiadał niewątpliwą władzę i wpływy. Od dawna był wrogiem Hugona Vandekara, gdyż nie zapraszano go na przyjęcia do Ashton.

- Masz zamiar siedzieć tutaj i godzić się z ich atakami? Z tego powodu, by oszczędzić rodzinę? Tym się nie kieruj, Hugo. Jeżeli chcesz walczyć z nimi, jestem z tobą.

- Wiem - powiedział - ale wiem też, w jaki sposób ci ludzie działają. Rozkwitają w rozgłosie, w sporach. Wówczas czują, że coś znaczą, stają się wielcy. Natomiast ich ofiary, nawet jeżeli wygrają batalię przed sądem, niestety, tracą na znaczeniu. Zamierzam to zignorować, Alice. Ale nie dlatego, że się boję; nie myśl tak.

- Nie musisz mi mówić - rzekła. - Jedno, co wiem o tobie na pewno, Hugo, to że nigdy niczego się nie bałeś. Po prostu rzygać mi się chce na widok takiej szumowiny, jak Mollins

strzela do ciebie z ukrycia, a potem spokojnie odchodzi.

- Stracą zainteresowanie. Po pewnym czasie zabiorą się za kogoś innego. Cóż to był za straszny rok. - Spojrzał na nią. - Za dużo palisz - powiedział. - Mówiono ci, żebyś ograniczyła palenie.

- Wiem. Nie zrzedź. Pomaga mi, kiedy jestem zdenerwowana. Mam pewien pomysł - oznajmiła.

- Och, z pewnością coś bardziej przerażającego niż cały ten Mollins ze swymi zagrywkami - odparł. - Wiem, co oznacza, kiedy jesteś w takim nastroju. O co chodzi?

Alice usiadła.

- Minął rok, jak powiedziałeś, rok od śmierci Diany. Porzuciłeś politykę, okay. Nadal uważam, że to było cholernie nie w porządku wobec ciebie. Nie pozostawajmy bierni, Hugo. Trzymamy się na uboczu, jakbyśmy mieli jakieś powody do wstydu - uważam, że nadszedł czas, aby wrócić na scenę. I to musi być powrót w wielkim stylu. Chcę wydać przyjęcie - znajdzie się jakaś stosowna okoliczność - jakieś urodziny, rocznica, cokolwiek... Przyjęcie, o zaproszenia na które wszyscy będą walczyć i o którym napisze każda gazeta w kraju. Pokażemy im, że z Vandekarami trzeba się liczyć. Co ty na to?

Hugo uśmiechnął się, jak zwykle, nieco wymuszenie.

- To, co powiedziałem już wcześniej. Jesteś niespotykaną istotą, Alice. Niezniszczalną. Do dzieła. Podoba mi się pomysł.

Tego roku zimę spędzili na południu Francji. Hugo kupił willę, a pogoda była wyjątkowo chłodna i deszczowa. Powstał nowy rząd i nie utworzyli go konserwatyści. Hugo przeziębził się kilka razy i Alice zarządziła, żeby spakować się i pojechać do Francji, gdzie o tej porze roku pogoda powinna być łagodna.

Richard odmówił wyjazdu z nimi. Skończył swoją książkę, która była już przygotowywana do wydania. Jego dawny przyjaciel, pracujący w prestiżowym wydawnictwie, podpisał z nim umowę na podstawie pierwszego rozdziału i szkicu całości; bardziej ze względu na to, że miał nadzieję zbliżyć się z Vandekarami niż dobrze sprzedać książkę. Richard stawał się coraz większym samotnikiem. Przez większość niedziel chodził na poranne nabożeństwa i wybierał zawsze ławkę w tyle kościoła. Nie miał ochoty jechać z nimi do Francji na święta, a Alice nie chciała jechać bez niego.

- Kochanie - powiedziała - nie utrudniaj. Twój ojciec jest wyczerpany i potrzebuje odmiany. Muszę zabrać Fern, Boże, dopomóż mi!, i dzieci - Brian spędza święta ze swymi rodzicami. A co z Nancy? Nie możesz odmówić!

- W porządku, mam - powiedział w końcu. - Pojadę. Pojadę, skoro to tyle dla ciebie

znaczy.

Alice uściskała go. Bardzo często czuła się smutna, będąc w towarzystwie syna. Szczęśliwa z powodu jego ozdrowienia, ale także zatroskana, iż straciła go gdzieś po drodze.

- Wiesz, że tak - powiedziała. - Wiesz, że zawsze czuję się szczęśliwa, kiedy jesteśmy razem. Chciałabym...

Przerwała, a on spytał cicho:

- Co byś chciała? Dokończ, skoro zaczęłaś.

- Chciałabym, żebyś nie spędzał tyle czasu w samotności - rzekła. - Dzień po dniu zamknięty w swoim pokoju, schodząc tylko na kolację - jeżeli mamy to szczęście.

- Pracuję - przypomniał jej.

- Nie teraz - odparła. - Skończyłeś. Co robisz sam, kochanie? Często chodzisz do kościoła, moim zdaniem - zwracanie głowy, ale... Co ci to daje?

- Nie jestem pewny - odrzekł cicho. - To coś, na co czekam, że się dowiem. Nie martw się o mnie, jestem naprawdę szczęśliwy.

Alice przygryzła wargi. Znał ten grymas. Robiła tak zawsze przed powiedzeniem czegoś, co wprawiało ją w zakłopotanie.

- Tęsknisz za Dianą?

Jego wzrok pozostał spokojny i jasny. Potrząsnął głową.

- Nie, nie brakuje mi jej. Mam nadzieję, że odnalazła spokój. Nie myśl w tych kategoriach, dobrze?

- Cieszę się - powiedziała. - Nie będziemy już o tym mówić. Nie chciałam o niej wspominać. Powiem Nancy, że jedziesz z nami. Jest już bardzo podekscytowana z powodu Gwiazdki. Spróbuj spędzać z nią więcej czasu, kiedy tam będziemy, dobrze? Zniosła wszystko bardzo dzielnie, biedne małeństwo, ale sądzę, że cię potrzebuje, Dick.

- Postaram się - odparł. - Ale dla niej tylko ty się liczysz. Jak długo ma ciebie, nie tęskni za Dianą.

*

Doznawała dziwnych odczuć, będąc z dala od Ashton. Czuła niepokój. Irytowała ją gderająca Lily, której pomimo pięknej, słonecznej pogody udało się złapać silne przeziębienie. Nie czuło się Bożego Narodzenia. Fern była ponura i wroga w stosunku do niej; Alice reagowała wzruszeniem ramion. Hugo zdawał się nie zauważać tego i matka z córką odnosiły się do siebie z chłodną uprzejmością. Dzieci uważały wszystko za bardzo ekscytujące. Bliźniaki miały obsesję na punkcie prezentów, licząc je i ruszając, dopóki Alice nie skarciła ich za zachłanność. Nancy chodziła za nią jak pies przez cały długi dzień.

Zdawała się obawiać zostać sama bez swojej babci i znając powód tego, Alice trzymała przy sobie dziewczynkę, ile tylko mogła. Chodziły na spacer na wzgórze ponad willą i robiły wycieczki do miasteczka poniżej. Ale wszystkie sklepy były ciche i opuszczone, a ośrodek wakacyjny zamknięty na zimę, co sprawiało przygnębiające wrażenie. Nie zrobię tego nigdy więcej, postanowiła Alice. Nie jestem w porządku wobec Nancy. Tęskni za swoim pony i do wszystkich znanych rzeczy, związanych ze świętami w domu. Odnalazła Richarda i zmusiła go, by poszedł z nimi na spacer. Jeżeli może łączyć ze swym psem w Ashton, to równie dobrze może, do cholery, dotrzymać towarzystwa własnej córce. Nigdy wcześniej nie była w stosunku do niego krytyczna. W przeszłości zawsze miała dla syna jakieś wytłumaczenie; ale nie teraz, szczególnie jeśli jego postępowanie mogło dotknąć Nancy.

Wielkie rodzinne święto miłości i obdarowywania było celebrowane na swego rodzaju wygnaniu. Otaczały ich takie same wygody, jak gdyby znajdowali się w Anglii; Alice zadbała, by niczego im nie brakowało, ale ciągnęło ją do Ashton. Hugo był w lepszym zdrowiu oraz nastroju. Troje dzieci wyglądało dobrze i spędzało wiele czasu wędrując po ogrodach i wspinając się na okoliczne wzgórza. Fern starała się zagarnąć dla siebie ojca, ale nie czyniła tego w taki sposób, jak dawniej. Richard wiele czytał i wydawał się zadowolony na swój nieobecny sposób. Nancy, powodowana dziecięcą intuicją, czuła, że nie chce, aby mu przeszkadzać; chociaż był miły i czuły, kiedy zwracała się do niego, robiła to coraz rzadziej.

Zbliżał się Nowy Rok. Nowy pod każdym względem, zdecydowała Alice w myśli. Bez żalów i wzajemnego obwiniania się. Życie jest po to, żeby żyć - wspaniałe motto; całą swą siłę, energię i pasję skoncentrowała teraz, aby uczynić go pełnym witalności i wyzwania. Powinno się zacząć od najbardziej wystawnego przyjęcia, jakie wydano od końca wojny. Kontynuowanie dawnej tradycji, która skończyła się wraz z wielkim balem w Ashton, wydanym w przededniu wojny. Jeśli świat sądził, że Alice Vandekar liże swoje rany i trzyma się z dala od publicznego życia, to czeka go szok. Odbędzie się bal z okazji jej sześćdziesiątych czwartych urodzin.

29 grudnia rozszalał się sztorm. Południową Francję ogarnęły ulewne deszcze i spadła temperatura. Czas było wracać do domu.

Data została ustalona na czerwiec, w sobotę, kiedy przypada Królewska Gonitwa w Ascot. Przygotowania rozpoczęły się trzy miesiące wcześniej. Jeżeli prasa jest przeciwko tobie, to znaczy, że trzeba ją podbić. Walka z pismakami była bezcelowa - Hugo przekonał ją. Wynajęła firmy reklamowe, które miały zadbać o skuteczne nagłośnienie całego przedsięwzięcia, stworzyć wokół niego odpowiednią atmosferę i prowadzić kampanię w wielkim stylu na rzecz szlchetnego rodu Vandekarów. Ku zaskoczeniu wszystkich zgodziła

się, żeby punktem kulminacyjnym przyjęcia stała się aukcja dobroczynna na rzecz dzieci. W ten sposób, wyjaśniono jej, uniknie oskarżenia o ekstrawagancję. Nie licząc się z pieniędzmi, wydawała je bez ograniczeń na dekorację wspaniałego domu i jego otoczenia. Przygotowała wystawne menu dla setek prominentnych gości; dostarczając środków na cele dobroczynne, bal pachniał jak róża.

Pomysł zdobycia pieniędzy od ich bogatych przyjaciół odpowiadał przewrotnej naturze Alice.

- Lily - powiedziała. - Zamierzam dręczyć ich, aż wycisnę z nich wszystkie soki! Pomysł tylko o starym Harveyu Watsonie - jest taki skąpy, że nie dałby ci mysiego gówna! Trzeba zmusić tego starego diabła do podarowania czegoś dobrego; nie ośmieli się nie dać, ponieważ nazwiska wszystkich ofiarodawców znajdują się w programie. Lily, nie sądzisz, że pomysł jest naprawdę wspaniały?

- Nie zostanie pani potem wielu przyjaciół - zauważyła Lily. - Szczególnie pomiędzy skąpcami.

- Och, nie, nie opuszczą nas. Będą mieli wspaniałą zabawę i zyskają wielki, oczywiście pozytywny rozgłos, a oni to uwielbiają. Zaś ludzie, których nie zaprosimy, zżółkną z zazdrości.

- Zzielenieją - poprawiła ją Lily.

Alice roześmiała się.

- Zżółkną - uparła się. - Chociaż nie jestem malarką.

Dochodzi do siebie, zauważyła Lily pełna szczęścia. Przez długi czas po „tej historii” mizernie wyglądała, w ogóle nie była sobą. Ciągłe życie w napięciu, zamartwiała się, co musiało nadszarpnąć jej zdrowie. Na własny użytek Lily określała zawsze śmierć Dianę jako „tę historię”. A potem dodawała: chwała Bogu, baba z wozu, koniom lżej. Drogo to kosztowało całą rodzinę. Lord Vandekar stracił swoją pracę i zaczęli wypisywać o nim wstrętne rzeczy. I Richard, który znikował i spędza każdą niedzielę, wysiadując w wilgotnym, starym kościele. On także zasmuca matkę. Szczęście, że ma Nancy. Ona i dziewczynka są sobie bardzo oddane. Pozwala się jej wystroić i uczestniczyć w przyjęciu, na co nigdy nie zezwalała swoim własnym dzieciom, kiedy miały dziesięć lat.

Szkoda, że ma takie rude włosy. Lily wolałaby inny kolor. Z drugiej strony jednak, to dziecko było jak jej babka. Lily uśmiechała się, myśląc o Nancy. Drogie maleństwo, ale śmiałe. Nie jak te bliźniaki. Nigdy nie usiedzą na miejscu. Zawsze kłócą się o coś i płaczą. Wina rodziców. Rozpuścili je i wykorzystują przeciwko sobie. Brian i Fern zawsze ze sobą walczą. Albo nie rozmawiają ze sobą, kiedy tu przyjeżdżają. Lily nienawidziła ich

przyjazdów. On, po tym, co zrobił, nie powinien mieć prawa przestąpić progu domu jej pani.

Bardzo często nie przyjeżdżał z Fern, ale zostawał w Londynie. Wtedy ona chodziła osowiała, z nosem na kwintę, i dzwoniła bez przerwy, by sprawdzić, gdzie on jest. Z nadzieją że go na czymś przyłapie. Małżeństwo, prychnęła Lily, mając na myśli ideę owej instytucji. Jeżeli na tym polega małżeństwo, powinna dziękować Bogu że dał jej dosyć rozsądku, by mogła wybrać samotność. Była podniecona perspektywą balu, chociaż zrzędziła, bo przygotowania wprawiały Alice w zdenerwowanie. Trapiło ją to, a Alice odpowiadała niezmiennie: „Zamknij się, Lily”; co stało się szczególnym rodzajem gry, która stanowiła niekiedy podniecającą i pożyteczną rozrywkę. To odradzało ich związek, powstrzymując Alice przed wejściem służącej na głowę, a Lily przed przyznaniem, jak wiele zależy od Alice, żeby czuła się szczęśliwą. Nikt inny nie rozumiał konwencji ich rozmowy; czy też dlaczego ich drogi dawno się nie rozeszły. Nawet Hugo, słysząc niekiedy, jak kłócą się z powodu jakiejś banalnej sprawy, stawał ogłupiały, niczego nie rozumiejąc.

Lily była doradczynią w sprawie sukni Alice. Jeździła do Londynu na przymiarki, krytykowała, sugerowała, doprowadzając do furii projektanta, lecz Alice upierała się, żeby Lily była obecna, i często przyjmowała jej rady. Lily pamiętała inną suknię, tę z zielonego szyfonu z haftami, w której pani wystąpiła na balu w 1939 roku. Kreacja nadal wisiała w głębi garderoby. Figura Alice nie zmieniła się i dzisiaj mogłaby ją włożyć. Była taka piękna, zadumała się Lily; wracała do wspomnień, gdyż obecne przygotowania przypomniały jej tamto przyjęcie. Jest piękna i teraz, z siwosrebrnymi blond włosami i prawie bez zmarszczek na twarzy. Suknia była niebieska, w tym samym kolorze co szafirowy naszyjnik, który jej lordowska mość ofiarował żonie na urodziny.

I co za lista gości. Lily była snobką. Żywiła nieklamany podziw dla tytułów i majestatu, który nie kłócił się z jej własnym poczuciem godności. Nazywała się Lily Parker i uważała, że ma powody do dumy. Nie musiała nikomu zazdrościć, dzięki Bogu, co pozwalało jej podziwiać innych, jeśli miała na to ochotę.

Znała Alice i rozumiała, że - prócz tego oczywistego - był jeszcze inny powód wydania tak wystawnego przyjęcia. Sytuacja w kraju pogarszała się z dnia na dzień; szalała inflacja i rosło zagrożenie strajkami. Podatki były niebotycznie wysokie. To nie próżność ani ekstrawagancja popchnęły Alice Vandekar do wydania balu w Ashton i zaproszenia znakomitości z najważniejszych sfer życia publicznego. Nie pragnęła też zbyt prowadzić akcji charytatywnej na własnym przyjęciu urodzinowym, z całym tym wrzeniem i bieganiną, gdyby nie istniał szczególnie ważny powód. Odpowiedź Alice na apele dobroczynne polegała na wypisaniu tłustego czeku. Lily wiedziała, że Alice zamierza występować teraz w nowej

roli. Już nie żony polityka, pozostającej w cieniu osobistości z wysokich kół rządowych; zdecydowała, że Ashton stanie się modnym salonem towarzyskim, centrum skupiającym ludzi ze świata polityki, kultury, biznesu - sławne nazwiska w kraju i za granicą. Pragnęła zostać najstojniejszą panią domu w Anglii i bal stanowił pierwszą salwę w tej bitwie.

- Jaka jest prognoza pogody? - spytała Alice.

Był piątkowy wieczór przed balem.

- Słonecznie, bezchmurnie, temperatura w normie - przypomniał sobie Hugo telewizyjną prognozę.

- Dzięki za to Bogu. Miejmy nadzieję, że chociaż raz się nie pomylili. - I zniknęła, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

Jej energia była zdumiewająca. Od drugiej strony domu, poniżej tarasu, zbudowano wielki, zielono-biały namiot, w którym goście mieli tańczyć po aukcji. Ofiarowane na nią przedmioty zostały już wystawione i sądząc po ich wartości, wysiłki Alice nie poszły na marne. Musiano wynająć ochroniarzy, by przez noc i następny dzień niczego nie skradziono. Były tam obrazy, porcelana, brązy, biżuteria, ozdoby oraz skarby wszelkiego rodzaju, a prezes jednego z najznamienitszych londyńskich domów aukcyjnych zgodził się poprowadzić licytację. Był ich starym przyjacielem, zaś Vandekarowie stanowili dobrych klientów. Wszędzie znajdowało się mnóstwo kwiatów - bukiety stały we wszystkich pokojach, ich girlandy zwisały się na zbrojach, dekorowały klatkę schodową i płonęły od nadmiaru barw oraz zapachów w każdym rogu. Od portyku do podjazdu przed wejściem rozpościerała się zielono-biała markiza, a w celu uatrakcyjnienia przejścia gości przez dwie mile meandrującej drogi przygotowano pochodnie. Była orkiestra i, niestety, disco dla młodych oraz tych w średnim wieku, którzy udawali, że w nim nie są. Hugo bolał nad tym, ale wyraził zgodę, gdyż Alice upierała się, że nie wydają przyjęcia dla geriatryków. Oboje nie lubili muzyki młodzieżowej, ale dyskoteka musiała być.

Na prywatną kolację przed otwarciem balu zaprosiła trzydzieści osób, zapewniając obecność księcia i księżnej królewskiego rodu, wraz z trójką bardzo wiekowych ambasadorów, oraz nowo wyznaczonego - czarującego milionera, reprezentującego Stany Zjednoczone. Senior aktorów szekspirowskich stanowił innego rodzaju zdobycz. Alice wcześniej nie poświęcała nadmiernej uwagi teatrowi, ale polegała na ich spotkaniu z zeszłego roku i wystosowała zaproszenie. Zostało skwapliwie przyjęte. Reprezentowani byli politycy różnych orientacji, starannie wybrani spośród parlamentarzystów. Żaden winien najbliższego krytycyzmu czy nielojalności wobec Hugona, bez względu na rangę, nie został włączony na listę Alice.

Dziennikarze kolumn plotkarskich byli o wszystkim dokładnie poinformowani i ślinili się na myśl o wzroście nakładu, który im zapewniała. Pieniądze i władza wywołują szczególną fascynację; w połączeniu z urokiem mogą się stać nieodparte.

Kwadrans przed ósmą w ową czerwcową sobotę Alice była ubrana i gotowa do przywitania pierwszych ważnych gości. Rozległo się pukanie do drzwi. Lily cofnęła się o krok, podziwiając jej wygląd, i zawołała:

- Proszę!

Drzwi otworzyła Nancy. Podeszła bliżej, a potem powiedziała: Babciu, wyglądasz cudownie!

Alice uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję. Ty także bardzo ładnie wyglądasz. Czyż jej sukienka nie jest wspaniała, Lily? Nie cieszysz się?

Lily sama ją uszyła. Nic z tych okropnych zieleni, jakie ludzie łączą z rudymi włosami, ani nic ciemnoniebieskiego. Biała organdyna z lekkimi plamami koloru - z turkusowymi wstążkami. Dziewczynka miała subtelną urodę; bardzo jasną karnację z, litościwie, kilkoma zaledwie piegami. Lily zaprojektowała tę sukienkę i rezultat oczarował; w starym stylu, co do którego ani ona, ani Alice nie uważały, że wyszedł z mody.

- Podejdz, kochanie - powiedziała Alice. - Obróć się. Z tyłu także jest idealna. Podziękowałaś Lily?

Twarz Nancy poróżowiała z podniecenia.

- Dziękuję, Lily. Bardzo ci dziękuję.

Wyciągnęła w górę ramiona i całując objęła ją za szyję. Obie kobiety spojrzały na siebie ponad jej głową, wymieniając uśmiechy. Babcia z wnuczką, trzymając się za ręce, zeszły po schodach na dół, gdzie czekał na nie Hugo, i zajęli miejsce, by witać swych gości.

To była długa noc - niebo w górze zrobiło się przejrzyste niebieskie, kiedy ostatnie samochody zniknęły w alei dojazdowej. Nancy już dawno poszła do łóżka, znużona ogólnym podnieceniem. Kiedy mała szła na górę ze swoją nową francuską guwernantką, spotkała się twarzą w twarz z ciocią.

- Co ona robi tutaj do tej pory? - usłyszała głos Fern.

Francuska guwernantka była miła, ale za krótko pracowała, by wiedzieć cokolwiek o cioci Fern.

- Przepraszam, pani Kiernan, towarzyszyła lady Vandekar.

- To haniebne. Powinna już być w łóżku.

A potem Fern przesunęła się majestatycznie obok nich i niewielka chmurka,

zaciemniająca szczęście Nancy, odpłynęła wraz z nią na dół.

Następny poranek Alice spędziła w łóżku, czytając poranne gazety. Bal okazał się ogromnym sukcesem, a wysokość kwoty, osiągniętej na aukcji dobroczynnej, zajmowała drugie miejsce wśród informacji w kilku ogólnokrajowych dziennikach. Pięćdziesiąt tysięcy funtów. Rekord. Przyjęcie dziesięciolecia. Zdjęcia, anegdota, sprawozdania o tym, kto był, jak wyglądały stroje i co jedna sława mówiła do drugiej. I fotografie Alice oraz Hugona, witających swych książęcych gości na szczycie schodów, wraz z wyglądającą spoza nich małą dziewczynką w eleganckiej sukience.

- To jest sukces! - wykrzyknęła Alice.

Hugo wyszedł z łazienki. Wyglądał na zmęczonego, ale z twarzy można było wyczytać pewną satysfakcję, której nie zdołał całkiem ukryć, chociaż wyśmiewał czytanie wszystkich gazet czy poświęcanie więcej niż jednego spojrzenia fotografiom.

- Oczywiście, że tak - stwierdził. - Gratuluję. To triumf dobrej organizacji.

- I zabawy - podpowiedziała Alice. - Powiedz, że była zabawa, co, Hugo?

- Wspaniała - stwierdził uroczyście. - Jestem zadowolony. Szczególnie z powodu ludzi, których pominęliśmy w zaproszeniach. Sądzę, że ostatniej nocy załatwiliśmy kilka starych porachunków.

- No cóż, teraz będzie zabawnie - zadeklarowała. - Będziemy urządzić najwspanialsze przyjęcia w Anglii. Zastąpiemy z nich.

- Skoro postanowiłaś - przyznał - to tak będzie.

Następnych osiemnaście miesięcy zdawało się przemijać z szybkością górskiej kolejki w lunaparku. Hugo zrezygnował z polowań, gdyż ze względu na protezę nie mógł ani pokonywać dalekich dystansów, ani długo stać. Niemniej wzięli w dzierżawę teren polowań na kuropatwy i wyjechali do Szkocji na Wspaniały Dwunasty.

- Dlaczego to się tak nazywa? - spytała Nancy.

Alice przysłała na górę powiedzieć jej dobranoc. Nancy była podekscytowana perspektywą wyjazdu do Szkocji i wraz ze swoją guwernantką, która także jechała, spędziła popołudnie nad zdjęciami Wyżyny Południowoszkockiej. Były tam jeziora, zwane „loch”, których nazwy brzmiały tak, jakby ktoś kasłał, i powodujące, że chichotała, oraz wspaniałe góry i małe zameczki, niczym ptasie gniazda na odludziu. Ale nikt nie wiedział, co dzień 12 sierpnia uczyniło wspaniałym.

- Bóg wie, o co chodzi - powiedziała Alice. - Pomimo wszystkich lat, które tu spędziłam, nigdy nie zrozumiałam Anglików. Co może być wspaniałego w wystrzelaniu mnóstwa cietrzewi czy kuropatw, to przechodzi moje pojęcie?! W każdym razie, będziemy

miały rozrywkę. I spotkasz na pewno dzieci w twoim wieku, z którymi będziesz mogła się bawić - znamy masę ludzi, którzy tam przyjeżdżają.

Nancy zawahała się na moment.

- Czy tata też jedzie?

- Nie. - Alice postarała się, by jej głos brzmiał obojętnie. - Nie, nie tym razem. Jedzie do Szkocji, ale nie będzie w pobliżu nas. A teraz śpij, okay?

- Okay - odpowiedziała Nancy jak echo i wsunęła się głębiej pod kołdrę. - Dobranoc, babciu. Dokąd idziecie?

- Wychodzimy na kolację. Do Castelford.

- Wyglądasz bardzo ładnie. - Wpatrywała się w nią wielkimi oczyma.

Alice pochyliła się nad małą. Richard nie jechał z nimi na polowanie. Wyjeżdżał do Szkocji, ale nie miał zamiaru nigdy wrócić. Nalegała, że sama powie o tym dziecku. Odsunęła włosy z czoła wnuczki i pocałowała ją delikatnie.

- Nie próbuj mnie zatrzymywać - zbesztła ją. - Śpij!

Poszła wzdłuż korytarza. Minęła Różowy Pokój, który teraz był zawsze zamknięty. Szła niepewnie i obrzuciła zamknięte drzwi nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Niech cię szlag! - powiedziała półszepem.

Potem przyśpieszyła kroku i poszła korytarzem w stronę schodów. Kolacja w Castelford. Jeden z wielkich książęcych domów, otwartych teraz dla ogółu, jak wiele mu podobnych, ale z prywatnymi, osobnymi apartamentami, wytapetowanymi bezcennymi dziełami starych mistrzów; i z ich Książęcymi Mościami, którzy oplakując surowość życia pod rządami laburzystów, nadal jadali na złotej zastawie, jak nakazywał ceremoniał. Weekendowe przyjęcia przez cały letni sezon; zaproszenie na tydzień do Cowes, jako goście komandora królewskiego jachtklubu; Derby, gdzie Hugo, który zaczął się interesować wyścigami, miał lożę; listy od wszystkich prestiżowych towarzystw charytatywnych, proszących, by objąć je patronatem - żadne otwarcie nie było teraz udane bez lady i lorda Vandekarów. Stawali się znanymi mecenasami sztuki. Hugo wstąpił do wielu komitetów, wnosząc pokaźne sumy na wybrane instytucje dobroczynne. Skoncentrował się na organizacjach kombatanckich, sztukę pozostawiając Alice. Okazjonalnie brał udział w debatach w Izbie Lordów, ale nie mógł powstrzymać się od dogadywania, iż Izba Wyższa stanowi ostateczny dowód na istnienie życia pozagrobowego; chociaż nie on to wymyślił.

Byli zajęci, zabiegając i schlebiając; kółko bywalców, regularnie goszczonych w Ashton, znano jako Grupę Ashton. Przypisywano im większe wpływy, niż je prawdopodobnie rzeczywiście mieli, lecz Alice nie dbała o to. Przyjmowali zagranicznych polityków oraz

potentatów finansowych, razem z artystami, śpiewakami operowymi i aktorami.

A potem, pod koniec tego długiego, frenetycznego lata, Richard zszedł na dół na śniadanie i oświadczył im obojgu, że na zawsze opuszcza dom, by zamieszkać na Hebrydach, jako praktykujący brat zakonny w anglikańskim monasterze. Pierwszy przemówił Hugo. Bardzo nieśpiesznie odłożył nóż i widelec, wytarł usta serwetką i powiedział:

- Co zamierzasz zrobić?

- Wstąpić do zakonu - odparł Richard cicho.

Usłyszał westchnienie matki, ale nie spojrzał na nią.

- Kompletnie oszalałeś? - spytał Hugo.

- Nie, nie sędzę - padła spokojna odpowiedź.

- Richardzie. - Alice wrócił głos - Richardzie, kochanie, nie możesz mówić poważnie...

Odwrócił się do niej i uśmiechnął. To był wspaniały uśmiech.

- Dlaczego nie, mamó? - Od bardzo dawna nie mówił „mamo”. - Dlaczego nie miałbym mówić serio? Podjąłem bardzo poważną decyzję. Przykro mi, jeżeli sądzisz, że oszalałem, tato. Ja uważam, że to pierwsza rozsądna rzecz, jaką uczyniłem w życiu.

- Richardzie. - Głos Alice był błagalny. - Nie pijesz, jesteś szczęśliwy, twoja książka została opublikowana... Co ci przeszkadza w życiu, czego ci brakuje?

- Jest puste - odparł.

- Chcesz powiedzieć, że jest próżniacze - stwierdził sucho Hugo. - Gdybyś miał odpowiednią pracę i robił coś pożytecznego...

- Tak jak ty, tato? Robiąc pieniądze lub zajmując się polityką? Nie jestem taki jak ty, nigdy nie byłem. Nie jestem taki jak żadne z was. Nie chcę być niegrzeczny, ale powiedziałbym, że wasze istnienia są całkiem puste. Moje życie będzie teraz miało określony cel.

- Jakież to cel? - sprzeciwiła się Alice. - Ukrywanie się przez resztę życia na odludziu z innymi niedostosowanymi? Richardzie, na miłość boską...

- Właśnie tak, jak powiedziałaś - odparł. - Z miłości do Boga. Mam swój cel, odnalazłem sens, mamó, i nic mnie nie powstrzyma. Miałem mnóstwo czasu, by wszystko rozważyć. Od tej nocy, w której umarła Diana. Zapytałaś mnie kiedyś, czy tęsknię za nią, pamiętasz?

- Tak - odparła Alice. - Ty zaś powiedziałeś, że nie. Uwierzyłam ci.

- Mówiłem prawdę. Nie brakowało mi jej. Nie tęskniłem za cierpieniami i kłamstwami. Nie tęskniłem za powrotami, kiedy byłem pijany w trupa. To jednak nie

oznacza, że wyrzuciłem ją całkiem ze świadomości. Myślałem bez przerwy, że musi istnieć coś więcej, jakiś inny sposób życia, różniący się od tego, w jaki my żyliśmy. Inaczej nic w ogóle nie ma sensu. To był po prostu jeden kurewski bałagan. Wciąż nie znajdowałem żadnych odpowiedzi. Znalazłem je w religii. Ale inaczej do niej podchodzimy, tato; ty chodzisz do kościoła raz od wielkiego dzwonu i dla zachowania form czytasz lekcję od ołtarza, ponieważ mieszkasz tu i wypełniasz swoją powinność, tak jak mama otwierając co roku fetę Brytyjskiego Legionu. W końcu życie zaczęło nabierać dla mnie sensu. Nie zakładałam, że mnie zrozumiecie, ale mam nadzieję, że chociaż podejmiecie taką próbę.

- A co z twoimi obowiązkami? - spytał Hugo. - Co z Nancy?

- Nancy nie potrzebuje mnie - odparł. - Potrzebuje matki. Potrzebuje miłości i bezpieczeństwa, i wszystko to otrzymuje.

- Richardzie - powiedziała Alice. - Dick, dlaczego uciekasz?

- Od niczego nie uciekam - stwierdził. - Raczej biegnę ku czemuś. Zamknięty zakon. Opactwa nie opuszcza się aż do śmierci. Znajduje się w najpiękniejszym miejscu na świecie.

- Kiedy się zdecydowałeś? - spytała go. - Kiedy tam pojechałeś?

A potem z udręką:

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? Dlaczego robisz wszystko za naszymi plecami?

- Dlatego, że nie chciałem, żebyś starała się mnie powstrzymać, a jesteś bardzo władczą kobietą, mamó. Obejrzałem opactwo, kiedy byliście w kwietniu w Deauville. Przeprowadzono ze mną długą rozmowę i zostałem na tydzień, by zobaczyć, jak to jest. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy. Przekonałem się o słuszności swojej decyzji.

- Rozumiem, że spodziewają się, iż dokonasz jakiegoś zapisu na ich korzyść? - spytał Hugo.

Richard zignorował sarkastyczny ton ojca.

- To wielka rzecz w tym wszystkim - powiedział. - Żadnej własności. Żadnych pieniędzy, rzeczy osobistych, niczego. Byłeś dla mnie wspaniałomyślny, tato. Poczyniłem kroki, by wszystko wróciło do ciebie. Zrób z tymi pieniędzmi, co uznasz za stosowne. Zakon ich nie potrzebuje. Proszę, przestań płakać, mamó. Postaraj się być szczęśliwa z mojego powodu.

Spojrzał na nich oboje, obdarzając ich takim odległym uśmiechem, jakby był życzliwym obcym, który wpadł tylko na chwilę i wkrótce odejdzie. Kiedy wyszedł, Alice rozplakała się. Hugo wstał i podszedł do niej. Przez chwilę dotykał uspokajającym gestem jej ramienia.

- Nie smuć się - powiedział. - Jeżeli jest wystarczająco szalony, by wybrać ów rodzaj

zadośćuczynienia, musi to zrobić.

Podniosła głowę, spoglądając na niego.

- Zadośćuczynienia? Co masz na myśli?

Nie odpowiedział.

- Przestań. Nie płacz już. To jest w najlepszej intencji. Dla powetowania sobie straty masz jego dziecko.

*

Dla Nancy było to szczęśliwe lato. Dwoje spośród gości Alice, za jej namową, zabrało ze sobą dzieci, tak więc miała towarzystwo. Wszystkie dzieciaki dokonywały eksploracji wielkich fioletowych wrzosowisk, chlapały się w strumieniach o wodzie tak czystej jak kryształ i codziennie miały pikniki. Czasem pozwalano im obserwować myśliwych, ale Nancy nie podobał się widok zestrzeliwanych z nieba ptaków, a góry opierzonych ciał, gromadzonych pod koniec każdego dnia, wyglądały okropnie.

Jeżeli pogoda dopisywała, odbywali wielkie myśliwskie lunche na wolnym powietrzu; a jeśli nie, przenosili się do domku myśliwskiego. Dzieci szalały z zachwytu, ponieważ dużo wędrowały, a młoda guwernantka Nancy, mademoiselle Druet, była wysportowaną dziewczyną, która zachęcała ich do wspinania się na wzgórze i nie robiła problemu z powodu tego, że się pobrudzą.

Nancy uznała, że zaraz po jeździe konnej w domu najbardziej uwielbia Szkocję. I to pomogło jej zrozumieć, dlaczego ojciec mógł chcieć tutaj pozostać. Alice wytłumaczyła jej wszystko praktycznie, wątek religijny pozostawiając tak bardzo na uboczu, jak tylko się dało. W każdym razie nie potrafiła wytłumaczyć przekonująco. Chciał żyć bardzo spokojnie i znalazł sobie miejsce, gdzie zgromadzili się inni mężczyźni, ponieważ czuli tak samo. Modlili się i pracowali w ogrodach, sami wytwarzając dla siebie pożywienie; i mieli stada owiec. Brzmiało uspokajająco i raczej budziło skojarzenia z bardzo długimi wakacjami.

- Kiedy wróci do domu?

Odpowiedź wymagała od Alice całego jej opanowania.

- Nie wróci przez długi czas, jak sądzę. Zależy od tego, na ile mu się spodoba. Zobaczymy.

I pogoniła Nancy, by zajęła się czymś innym, zanim zdążyłaby zadać kolejne pytanie. Ale Nancy zauważyła, że chociaż babcia była zawsze zajęta i otoczona przez ludzi, to po tym, jak odszedł ojciec, jej oczy dziwnie wyglądały - jakby płakała. I musiała przestać palić, bo lekarz zabronił. A Lily robiła wokół niej wiele zamieszania. Nancy lubiła Lily, ale sekretnie także się jej trochę obawiała. Pewnego dnia usłyszała, jak Lucille Druet rozmawiała z nianią

bliźniaków i powiedziała:

- Nie chciałabym stać po jej przeciwnej stronie... jest prawdziwą klaczą bojową.

Raz na miesiąc nadchodził list ze Szkocji, który Alice jej czytała. Czasami zaadresowany do niej. Ojciec był bardzo szczęśliwy. Przebywa w cudownym miejscu i każdego dnia swego życia modli się za nią i za całą rodzinę. Nancy nie potrafiła sobie wyobrazić klęczącego ojca. Zacierał się nieco w pamięci, bo czasami listy nie nadchodziły przez kilka dobrych miesięcy. Ale zgodziła się z mademoiselle Druet co do jej opinii o Lily, ponieważ właśnie Lily przetłumaczyła babci, że czas, aby Nancy przestała żyć wśród koni i wyjechała do szkoły. Wówczas pierwszy raz w życiu widziała swą babcie płaczącą, kiedy żegnała się z nią na Waterloo Station. I był to też pierwszy raz, kiedy Nancy - przelękając łzy, żeby inne dziewczęta nie widziały - pomyślała, że jej babcia wygląda jak staruszka. Stara kobieta, w futrze z nerek i w kapeluszu, machająca jej chusteczką, kiedy pociąg ruszał.

*

Pomiędzy służącymi zaczęły krążyć plotki. Kiernanowie kłócili się od lat - wszyscy słyszeli podniesione głosy w ich pokoju i wyczuwali napięcie. Żyli jak pies z kotem, chociaż zachowywali się poprawnie, kiedy pani była w pobliżu i nikt nie śmiał niepokoić jego lordowskiej mości. Często pan Kiernan w ogóle nie przyjeżdżał do Ashton. Robiono zakłady, ile czasu upłynie, zanim się rozwiódą. Im wcześniej, tym lepiej. Dzieci były okropnie wychowywane i tolerowano ich niegrzeczność wobec służących, a Fern reagowała tak gwałtownie, wybuchając z byle powodu, że nikt nie czuł się dobrze w jej obecności.

Kryzys nastąpił podczas tej Gwiazdki. Zaczęło się w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, kiedy wezwano doktora Graddera, by zbadał Fern. Mąż był na dole, tonąc w whisky w bibliotece, a jego lordowska mość zszedł na dół z lekarzem. Twarz miał marsową i wchodząc do pomieszczenia trzasnął drzwiami. Z obawy, żeby nie zostać przyłapanym, nikt nie śmiał podsłuchiwać, ale służba domowa wiedziała w przeciągu minut, że wydarzyło się coś bardzo poważnego. Wiedzieli na pewno, kiedy mąż zawezwał swój samochód, spakował walizkę i wyjechał. Wyglądało na to, jakby wreszcie małżeństwo się rozpadło.

- Sądysz, że powinnam iść na górę i porozmawiać z nią? - spytała Alice.

- Dostała środki uspokajające - odparł Hugo. - Gradder powiedział, że uśnie po nich. To było straszne widzieć ją w takim stanie.

- Wyrzuciłeś go, czy sam się wyniósł?

- I jedno, i drugie. Powiedział, że odchodzi od niej, a ja, żeby się natychmiast wynosił.

Alice westchnęła. Hugo był wstrząśnięty. W jego wieku nie powinien przeżywać takich emocji. Nadzwyczajnie się trzymał, jak na mężczyznę po siedemdziesiątce, ale

dokładnie to samo... Chciałaby móc współczuć swej córce. Chciałaby móc pobiec na górę i dać jej pociechę, zamiast ociążać się przed tym i pozostawiać wszystko Hugonowi, ale nie potrafiła. Jeżeli Brian w końcu odszedł, Fern sama jest sobie winna. Nie powiedziała tego mężowi. Musiałam się postarzyć, pomyślała nagle, bo zaczęłam być taktowna.

- Co mu strzeliło do głowy? Ma inną kobietę?

- Tak sądziłem, ale raczej nie. W końcu przyznał się do Diany.

- O mój Boże! - powiedziała Alice z rozdrażnieniem. - Dręczyła go o to od lat. Dlaczego znowu wszystko musi być wyciągane na wierzch?

- Być może podejrzewała, że był tamtej nocy z Dianą, ale w końcu przyznał się. Chępiąc się tym, jak powiedziała. Wyznał jej straszne rzeczy, Alice. Wykończył ją psychicznie.

- Czy wiesz, od jak dawna Diana nie żyje? - nagle spytała Alice. - Od sześciu lat. I ciągle zdarza się coś, co powoduje powrót tej sprawy. Dlaczego, na rany boskie, nie może leżeć w spokoju?!

- Być może Richard nie modli się dosyć żarliwie - mruknął.

Zapadło pomiędzy nimi milczenie. Odchrząknął. Alice nie mogła opanować irytacji.

- Dlaczego zawsze to robisz, zanim cokolwiek powiesz? - natarła na niego.

- Przepraszam. Wiem, ale nie chciałem cię denerwować. Muszę zaangażować dla Fern dobrego adwokata od spraw rozwodowych. On nie dostanie ani grosza. Dopilnuję tego.

- Nigdy nie był ciułaczem - zaproponowała Alice. - Sam zarabia pieniądze. Jego portrety sprzedają się po dwadzieścia tysięcy funtów. Dlaczego nie staniesz z boku? Nikt ci nie podziękuje za wtrącanie się do tego.

Spojrzał na nią. Wyraz jego twarzy odzwierciedlał chłodną nieuprzejmość.

- Jesteś bardzo konsekwentna, prawda, Alice? Nigdy nie zmieniasz się w swoim egoizmie i niechęci wobec tej biednej dziewczyny. Możesz stać na uboczu - ja zamierzam pomóc jej przez to przejść. Nie zwróciłaby się do ciebie, nawet gdybyś sama zaproponowała.

- Wstał i wyszedł z pokoju.

Przez kilka minut Alice patrzyła na puste krzesło. Fern zawsze stoi między nami, pomyślała. Zapomniałam, że po tylu latach może z jej powodu spojrzeć na mnie w ten sposób.

Otworzyła szufladę w stoliku. Na wypadek nagłej potrzeby trzymała tu schowaną paczkę Marlboro. Zapaliła jednego i wypuściła kilka kłębow dymu.

- Głupia - powiedziała sobie. - Co cię, do diabła, to obchodzi po tylu latach? Wyrzucić to z siebie i zrzucić z serca. Lily będzie zachwycona. Zawsze jej nie znosiła.

Lily była przykuta do łóżka z powodu grypy. Żadne argumenty nie przekonały Alice i zdecydowała, że służąca ma zostać w łóżku i zażywać przepisane jej leki. Nastąpił jeden wybuch, którym Alice zakrzyczała ją, po czym Lily poddała się i przyznała, że jest chora. Wprawiało ją w zakłopotanie, gdy Alice przychodziła do niej, siadała przy łóżku i plotkowała z nią, jakby były sobie równe.

- Zarazi się pani - mówiła - i sama się rozłoży.

- Bzdura - brzmiała odpowiedź Alice. - Nigdy nie choruję.

Co, jak obie wiedziały, niezupełnie pokrywało się z prawdą.

- Nie zostanie tutaj na stałe, prawda? - zareagowała Lily na rewelację.

- Nie, jeśli tylko będę mogła o tym zadecydować - powiedziała Alice. - Wydaje mi się, że Fern także nie będzie chciała; ma mnóstwo przyjaciół i bogate życie towarzyskie w Londynie. Jaka idiotka. Jaka z niej idiotka. Łajać go i czepiać się o każdy drobiazg! Nie mam pojęcia, jakim cudem wytrzymał tak długo?

- Też jestem zdumiona, że nie spakował się i nie odszedł już dawno temu - przyznała Lily.

Spojrzała szybko na Alice. Zachowałam swoją tajemnicę, pomyślała. Nigdy nie dałam jej poznać, co widziałam tamtego dnia. I dzięki za to Bogu. Odszedł, i za to też dzięki. Tamta miała lekką śmierć. Przynajmniej wycofał się z gry.

Alice, bawiąc się skrajem narzuty, zwijając ją i rozwijając w palcach, myślała mniej więcej podobnie. Jedyna tajemnica, jakiej nigdy Lily nie wyznała. Nie mogłam zmusić się do podzielenia się sekretem z kimkolwiek, nawet z nią. Hugo i ja jesteśmy związani tym na zawsze; tak jak i Richard, a Brian będzie, bez względu na to, czy odejdzie na dobre od Fern, czy nie. Być może Lily się domyśla. Nie umyka jej nic, co się dzieje w tym domu. Czy w rodzinie. Ale nigdy nic nie powiedziała. Tak jak nigdy nie powiedziała ani słowa o Nicku i dziecku.

- Pójdę już - rzekła Alice wstając.

Poprawiła narzutę i wygładziła ją.

- Och, proszę przestać, *madame* - zaprotestowała Lily.

- Dlaczego? Ty pracujesz dla mnie od ponad trzydziestu lat. Wyzdrowiej szybko. Brakuje mi twojej krzątaniny.

*

To był przykry rozwód. Hugo rozumiał cierpienie córki. Jak powiedział, co innego jest podejrzewać, a co innego doświadczyć brutalnie uświadomionej prawdy Briana, że darzył Dianę miłością i był jej kochankiem. Zranił Fern i upokorzył. Jeżeli nawet Fern kochała go, to

uczucie już nie istniało. Była ogarnięta zazdrością i nienawiścią, opanowana strachem przed samotnością. Przyjaciółki podnosiły ją na duchu, mówiąc, że będą inni mężczyźni, ale odrzucała ten pomysł. Nie mogła wyznać prawdy, więc przedstawiła w sądzie, jako powód rozwodu, nadużywanie przez Briana alkoholu oraz psychiczne okrucieństwo z jego strony, dając do zrozumienia, że rzecz idzie dalej. Wzbudziła tak wiele współczucia, iż Brian był zdumiony, otrzymując zaproszenia od jednej czy drugiej przyjaciółki Fern z propozycją, by wpaść na drinka. Swoimi opowieściami o stosowaniu przez niego przemocy uczyniła go ekscytującym. Nie było potrzeby uciekania się do pomocy doradcy prawnego Hugona. Brian nie chciał niczego poza odzyskaniem wolności i zgadzał się na wszystko, co mu sugerowano, ale obstawał przy prawie do wspólnej opieki nad dziećmi - i tu Fern postanowiła z nim walczyć. Hugo ją poparł. Alice obserwowała owo współzawodnictwo i widziała, jak jej wnuki stają się coraz bardziej nerwowe i niepewne siebie, ponieważ Fern nie zawahała się powiedzieć im, jakim słabym człowiekiem jest ojciec i jak nieszczęśliwą uczynił ich mamusię. Alice zapomniała o swoim własnym postanowieniu. Nienawidziła widoku cierpiących dzieci, a bliźniaki były tylko nieszczęśliwymi, biednymi maluchami. Matko Boska, to nonsens!, napadła na Hugona, który nie dostosował się do jej poziomu rozmowy. Nie zamierzał dyskutować z nią sprawy Fern i temat zawisł pomiędzy nimi; drażliwe tabu, proszące się o to, by je złamać. Kryzys nastąpił pewnego dnia, kiedy Fern chciała przyjechać z dziećmi do Ashton. Musiała je ze sobą zabrać, oświadczyła, ponieważ obawia się, iż Brian mógłby dokonać porwania.

Alice nie miała nigdy wiele cierpliwości wobec tego, co mówiła lub robiła Fern, a straciła ją kompletnie z powodu absurdalności i niesprawiedliwości zarzutu.

- Nigdy w życiu nie słyszałam podobnej bzdury! Brian nie zrobiłby niczego podobnego. Przestań dramatyzować. Natychmiast zabieraj do domu te biedne dzieci. Powinnaś się cholernie wstydzić!

Fern także straciła panowanie nad sobą. Zawsze bała się Alice, ale przeciwności losu zahartowały ją i nagle stawiała swej matce czoło. Jak wrogowi.

- Możesz trzymać jego stronę - oskarżyła ją. - Nie obchodzi cię to, co mi uczynił. Nic dziwnego, że wy dwoje tak dobrze się rozumiecie! Tak samo zdradzałaś ojca z Armstrongiem, jak on mnie z tą małą nimfomanką!

Przerwała, biorąc głęboki - bardzo głęboki - oddech ulgi i triumfu. Powiedziała to. Po latach utrzymywania w tajemnicy nurtującego ją sekretu, przepełniona nienawiścią i frustracją, oddała cios swej matce. I to jaki cios - w swych najśmielszych, najbardziej jadowitych marzeniach nie spodziewała się nigdy, że zobaczy Alice w takim stanie - kiedy

krwem odpłynię jej z twarzy i z przyciśniętą do piersi ręką, jakby miała atak serca.

- Widziałam cię - ciągnęła Fern. - Byłam zaledwie małą dziewczynką, poszłam do tamtego pokoju, otworzyłam drzwi i zobaczyłam was. Byłaś tak zajęta całowaniem go, że nawet mnie nie usłyszałaś. Nigdy tego nie zapomniałam. Zarzygałam całą podłogę.

Alice nie ruszała się. Przez chwilę ból w piersiach nie pozwalał jej mówić. I przez ten moment obraz wykrzywionej nienawiścią twarzy córki rozmazywał jej się przed oczami. Potem minęło. Ból ustał i wyrównał się oddech.

- Nawet nie zamierzasz zaprzeczać, prawda?

- Nie. - Głos Alice brzmiał staro. - Nie, nie zamierzam. Widziałaś mnie, jak pocieszałam chorego człowieka. To, co sobie myślisz, nic mnie nie obchodzi. A teraz zabieraj swoje dzieci i wynoś się z mojego domu.

- Pewnego dnia powiem o wszystkim ojcu - rzuciła Fern w progu.

- Na pewno - przyznała Alice. - Zranisz go tak, jak raniłaś Briana. I swoje dzieci. To i tak nie sprawi, że ktokolwiek cię pokocha. A teraz wynoś się.

Kiedy drzwi się zamknęły, opadła na sofę. Klucze w piersiach minęły, ale teraz pojawiło się uporczywe, drobne drętwienie, przemieszczające się w dół lewego ramienia.

Nie mogła nas widzieć. Sama zamknęłam drzwi na klucz. To musiało być wcześniej, nim zostaliśmy kochankami, i nie miałam jeszcze nic do ukrycia. Nieważne. Nie obchodzi mnie, nawet jeśli powie Hugonowi. Richarda nic już teraz nie zrani. Odszedł od nas wszystkich. Odszedł do swego milczącego świata i równie dobrze mógłby nie żyć. Nie obchodzi mnie już nic z wyjątkiem tego, bym widziała, że Nancy rośnie bezpiecznie.

Minęło dużo czasu, zanim poczuła się na tyle dobrze, żeby zadzwonić po Lily.

Fern nie powiedziała nic ojcu. Z jej strony nie była to poważna groźba; zastanowienie się doradzało ostrożność. Mógł jej nie uwierzyć; nawet mógł jej nie wybaczyć, że mu powiedziała. Obdzwoniła przyjaciół, mówiąc im, że Alice odmówiła przyjęcia jej z dziećmi pod swój dach, i wszyscy zgodzili się, iż jej matka jest nieludzka, i jeżeli biedna Fern potrzebuje się gdzieś przechować, zawsze może skorzystać z ich domu na wsi, willi we Włoszech czy jakiegokolwiek dostępnego schronienia. Fern szlochała do telefonu, dziękując za wszystkie oferty, które jednak sprawiły, że poczuła się lepiej.

Następnego dnia napisała do Alice krótki, pełen jadu liścik. „Muszę to przemyśleć. Nie chcę ranić ojca. Jeżeli kiedykolwiek w przyszłości przyjadę do domu, to tylko do niego. Fern”.

Alice przeczytała go i podarła. Dzięki za to Bogu, powiedziała sobie. Miejmy nadzieję, że niezbyt często. Następnego dnia miała w Londynie umówioną wizytę u lekarza. I

nikt, nawet Lily, nie wiedział, dlaczego tam jechała.

9.

- Miałam osiemnaście lat - powiedziała Nancy. - Skończyłam szkołę i poszłam do Oksfordu zgłębiać języki współczesne. Tamtego roku nie spędziłam świąt Bożego Narodzenia w Ashton. W kilka osób pojechaliśmy do Gstaad na narty. Świetna zabawa i raczej byłam w tym dobra.

- Jestem pewien - stwierdził David.

Obudził się, ale Nancy nie było. Wstała wcześniej i poszła rozejrzeć się. Poczł lekki niepokój. Już mu się wymykała, porwana przez rodzinę i wspomnienia. Poprzedniej nocy nie kochali się. Jego plany na uroczystą kolację, mającą być wstępem do oświadczyn, wzięły w łeb. Nie dotknął jej i zapadli w sen leżąc obok siebie, ale oddaleni.

Z porannej przechadzki wróciła ożywiona i nie odpowiedziała na jego pocałunek. Zeszli na śniadanie do wspaniałej zielono-złotej jadalni. Wydawało mu się, że zapełniają ją duchy dawnych mieszkańców tego domu. Był skrępowany. W ogóle źle się czuł w tej scenarii. Sięgnął ponad stolikiem i ujął jej dłoń.

- Chodźmy na spacer - powiedziała. - Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które chcę ci pokazać, oraz wiele takich, o jakich ci jeszcze nie powiedziałam.

- Dobrze. Jestem gotów.

- Tamtego dnia poszłam z nią na spacer - mówiła Nancy. - Wzdłuż tej drogi, w stronę jeziora. Było bardzo zimno i leżało trochę śniegu. Pamiętam, że mówiłam jej o wyjeździe na narty. Chciała dowiedzieć się wszystkiego, miała dar czynienia z ciebie ważnej osoby i sprawiała wrażenie, że wszystko co robisz, interesuje ją.

„Czyż nie jest to najwspanialszy widok? - spytała mnie. - Kiedy przyjechałam, by wraz z twoim dziadkiem obejrzyć dom, zeszliśmy tutaj na dół, dokładnie w to samo miejsce. Wtedy powiedział, że kupi go dla mnie. Wiedział, że uwielbiam ten dom. Tak bardzo się starałam okazać mu, jaka jestem wdzięczna, Nancy”. Byłam przerażona, Davidzie, ponieważ jej oczy zaszkliły się łzami. Prawie nigdy nie widziałam, żeby płakała. Przeraziło mnie to, gdyż była osobą tak silną psychicznie, że nawet trudno to sobie wyobrazić. Właściwie nie rozumiałam, o czym mówi. Może dlatego to powiedziała. Przez wszystkie lata tała w sobie tyle rzeczy. „On mnie kochał, wiesz. Nie zawsze był taki, jak teraz. Życie źle się z nim obeszło. Szkoda, że nie postarałam się bardziej, by więcej dla niego zrobić”.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Odwróciła się, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. „Biedna Nancy, nie wiesz, o czym mówię. Nieważne. Pewnego dnia zrozumiesz. Teraz już chodźmy, robi się chłodno”.

Kiedy wróciliśmy do domu, zaprowadziła mnie do swego saloniku. „Mam coś dla ciebie, powiedziała. Chcę, żebyś to wzięła i nie otwierała, dopóki ci nie powiem. To coś bardzo szczególnego dla mnie i chcę tobie przekazać”. Z szuflady biurka wyjęła kopertę. Była zapieczętowana i gruba, jakby zawierała książkę. Powtórzyła: „Obiecuj mi, że jej nie otworzysz, aż ci nie powiem, dobrze?” Przynależałam. Nic na świecie nie skłoniłoby mnie do jej otwarcia, Davidzie.

- I co zawierała? - spytał.

Nie wyobrażał sobie, by mając osiemnaście lat mógł się powstrzymać przed zajrzeniem do czegoś takiego.

- Nie wiem - odparła Nancy. - Nigdy jej nie odpieczętowałam. Mam ją nadal w mieszkaniu wraz ze wszystkimi rzeczami, które mi zostawiła. Nie spojrzałam nigdy na żadną z nich. Wracajmy. Chcę ci pokazać tajemniczy ogród.

Obok nich, w jasnym słońcu, spacerowały inne pary. Burza z zeszłej nocy przepadła bez śladu, pozostawiając po sobie świeżość i zieloność. Ujął jej ramię i lekko ścisnął. Cóż to za tajemniczy ogród? Nie zapytał, ale pozwolił zaprowadzić się. Zrozumiał, kiedy przeszli długą ścieżką przez zarośla i nagle się w nim znaleźli. Był otoczony przez ściany strzyżonych cisów i ktoś będący w środku pozostawał całkiem niewidoczny.

- Stały tutaj rzeźby i było dużo małych stawów z fontannami; często bawiliśmy się w chowanym. Uwielbiam ten ogród. Usiądźmy na chwilę, dobrze?

Podprowadziła go do głębokiej, marmurowej ławki, osłoniętej przez wysoki cisowy żywopłot.

- Kochasz to miejsce - stwierdził. - Dom, ogrody, widok... Czytam w twojej twarzy. To miejsce i twoja babka. Co się stało, że stąd odeszłaś?

- Nie odeszłam - powiedziała Nancy. - Zostałam wyrzucona.

Wstała.

- Słońce się schowało. Wracajmy.

- Poczekaj chwilę - powstrzymał ją.

Miała na policzkach wypieki, jakby trawiła ją gorączka.

- Zostałaś wyrzucona?

- Trzy tygodnie po naszym spacerze moja babcia umarła. W dzień po pogrzebie ciotka Fern wyrzuciła mnie. „Twój ojciec był zwykłym bękartem, więc nie należysz tutaj. Także Bóg jeden wie, kim naprawdę był twój ojciec”.

Nancy zaczęła iść tak szybko, że musiał chwycić ją za ramię, żeby zmusić do zwolnienia kroku.

- Miałam osiemnaście lat - powiedziała. - Pozostały mi pieniądze po babci i spadek po matce. Byłam niezależna. Nie zostałam ani jednej nocy. Spakowałam się i odeszłam. Nigdy nie znalazłam się w okolicy Ashton, aż do momentu kiedy przyjechaliliśmy tutaj zeszłej nocy.

- Gdzie jest teraz Fern? - spytał z ociąganiem.

- Nie żyje - odparła Nancy.

- Szkoda - mruknął. - Chętnie powiedziałbym jej kilka słów. Miałaś kuzynostwo, mówiłaś.

- Oni także nie żyją - rzekła. - Lecieli na narty do Szwajcarii. Fern, Ben i Filis. Pamiętasz tę straszną katastrofę lotniczą w Alpach, jakieś sześć czy siedem lat temu? Wszyscy zginęli, wszyscy pasażerowie. Wuj Brian zmarł kilka lat później. Nigdy nie pogodził się z ich stratą - swoich dzieci. Słyszałam, że po prostu zapił się na śmierć.

- Nie oczekuj ode mnie, że powiem, iż jest mi przykro - odparł. - Kto naprawdę żałuje takich ludzi? Kto, do diabła, wie, kto jest kim, albo w ogóle się tym przejmuje? Jesteś Vandekarówna albo nie... To, co powiedziała Fern, nie ma znaczenia. Dlaczego nie przyjmiesz z powrotem swego nazwiska i nie zapomnisz o wszystkim? Zostaw to za sobą, kochanie.

- Nie mogę - odrzekła. - Próbowałam. Zmieniłam nazwisko. Uciekłam, ale tak naprawdę niewiele to dało. Nieważne, co powiedziała ciotka. Nauczyłam się z tym żyć. Może tak jest naprawdę, ale teraz nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- Co zatem je ma? - spytał ją.

- Wracajmy do domu - powiedziała.

Poszli na górę, na pierwsze piętro, do długiego, biegnącego przez cały dom korytarza.

- Tam dalej - powiedziała Nancy i minęła ich apartament. Każde pomieszczenie miało swoją nazwę. Na jednych drzwiach, na małej pozłacanej tabliczce, wygrawerowano „Pokój ze sztychami”. Nancy nacisnęła klamkę - drzwi nie były zamknięte. Weszła do środka, a pokojówka spojrzała na nią i powiedziała:

- Dzień dobry, *madame*, właśnie sprzątam...

Wyglądała narzutę na łóżku, a w rogu rzucony był stos używanej pościeli.

- Proszę się rozejrzeć, ja nie zabawię długo.

Personel był przyzwyczajony do gości zwiedzających inne pomieszczenia. Stanowiło to część hotelowych usług.

- Bardzo ładny pokój, prawda?

Miała miły uśmiech.

- Bardzo ładny - przyznała Nancy.

David nie był zainteresowany wystrojem wnętrza. Z początku sądził, iż zgromadzone tutaj mnóstwo rycin to tapeta.

Dziewczyna zebrała swój toból brudnej bielizny i wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

- Gdyby pani mogła zamknąć je, wychodząc - poprosiła. - Nowi goście przyjeżdżają w porze herbaty, jak sądzę.

- Dziękuję - powiedziała Nancy.

David podszedł bliżej niej.

- Jesteś blada jak prześcieradło - stwierdził. - Co ci jest?

- Spałam tutaj tamtej nocy - odparła. - Miałam zapalenie migdałów i babcia przeniosła mnie na dół z pokoi dziecińczych. W obawie, żebym nie zaraziła maluchów. To był pokój gościnny. Pamiętam, iż czułam się bardzo dorosła i ważna śpiąc tutaj. Babcia miała zwyczaj przychodzić do pokoju i czytać mi albo grałyśmy w karty. Usnęłam czytając. Potem coś mnie obudziło, Davidzie. W pokoju nadal było zapalone światło. To jest takie wyraźne. Czuję, że wszystko wraca, jakby dopiero się wydarzyło.

- Może obudził cię jakiś hałas?

Nie zwróciła uwagi na pytanie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wstałam. Było bardzo późno, pamiętam, że tak sobie pomyślałam. Otworzyłam te drzwi, Davidzie. Są ciężkie, ale uchyliłam je i wyjrzałam na zewnątrz. Tak jak teraz - przeszła przez pokój i otworzyła drzwi na korytarz.

- Usłyszałam, że zegar na dole wybija drugą. Czułam strach, nigdy wcześniej nie obudziłam się w środku nocy. Ujrzałam swoją matkę. Nie było tak jasno, jak teraz. Lamy przyćmiono i paliło się tylko kilka.

- Zobaczyłaś matkę? Co robiła?

- Szła wzdłuż korytarza w moją stronę. Miała dziwny wyraz twarzy. Pełen winy, ale jednocześnie podniecenia... Okropne. Nie widziałam nigdy wcześniej, by ktoś tak wyglądał. A potem usłyszałam męski głos. Byłam przerażona, że mnie zobaczy, znajdowała się tak blisko, a potem usłyszałam: „Diano, kochanie, tutaj”.

Jak tylko przeszła, otworzyłam szerzej drzwi. Widziałam ją, ale ona mnie nie. Miała na sobie powiewną nocną koszulę lub peniuar. Byłam dzieckiem, Davidzie, ale wiedziałam, że cokolwiek robiła, musiało być złe i ja nie powinnam była tego widzieć. Stałam zmroźona, skulona, podglądając przez szparę. Nie widziałam, gdzie weszła ani kto ją wołał. Na pewno nie mój ojciec. Rozpoznałabym jego głos, a ich pokój znajdował się w przeciwległym skrzydle domu.

Ale nie byłam sama. Ktoś jeszcze stał, obserwując ją. Widziałam. Widziałam cień,

skradający się za nią. - Przerwała i wstrząsnął nią dreszcz.

- Kogo? - spytał David.

- Straszne - powiedziała w końcu. - Nie wiem. Widziałam tylko poruszający się cień i nic więcej nie pamiętam. Przemknął obok moich drzwi, tak samo jak ona, ale nie mogłam rozpoznać. Panował półmrok, moją matkę widziałam wyraźnie, bo spowijała ją biel... Nie wiem, czy to była kobieta, czy mężczyzna. Byłam tak przerażona, że zamknęłam oczy...

Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie.

- Następnego dnia znaleziono ją martwą.

- Chryste! - wymruczał.

- Martwą - powtórzyła. - Davidzie, ktokolwiek obserwował ją, śledząc w korytarzu, wiedziałam, że chce uczynić coś złego. Właśnie przeczucie niebezpieczeństwa powodowało, iż byłam tak przerażona... W końcu zamknęłam drzwi i wróciłam do łóżka. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Ale ciągle śniłam. Ów koszmar prześladowuje mnie przez całe życie, nawet nie mogłam nikomu wyznać, co widziałam.

- W jaki sposób zmarła?

- Przedawkowanie. Proszki nasenne. Tak wykazało dochodzenie. Oczywiście, powiedziano mi dopiero po wielu latach. Samobójstwo wywołane zachwianiem równowagi psychicznej. Ale ona nie odebrała sobie życia. Nie po tej nocy, spędzonej z mężczyzną, bez względu na to, kimkolwiek był. Została zabita, a ja widziałam mordercę.

- Chryste! - powtórzył. - Jakież to uraz dla dziecka. Ile miałaś wtedy lat?

- Osiem - odpowiedziała Nancy. - Wtedy nie rozumiałam, co się dzieje. Babcia zrobiła wszystko, by tak było. Przebywaliśmy w pokojach dzieciennych - mieliśmy tam nianię i guwernantkę. Ktoś, kto by powiedział słówko, mógł zostać z miejsca zwolniony. Słyszałam, jak mówiono coś o tym, ale nie pojmowałam sensu. Nigdy nie widziałam gazety, a radio zostało zabrane. Do naprawy, jak powiedziano. Ale wiedziałam, że stało się coś strasznego - dzieci wyczuwają napięcie. Pamiętam, że byłam bardzo niespokojna i zdenerwowana. Moi kuzynostwo zostali wysłani do Londynu. Ludzie zdawali się chodzić wokoło na paluszkach. Dom pełen był szeptów, pełen strachu. Czuję to do teraz. Ale nikogo nie można było zapytać. Tylko babcia przychodziła codziennie na górę, krzątając się przy mnie, zabierając na konne przejażdżki na małym pony, którego mi dała. Mówiłam ci... zabierała mnie na dół, gdzie samotnie piłyśmy herbatę. I przez cały czas wyglądała tak dziwnie, jakby mocno trzymała się w ryzach. Czułam w niej złość i to mnie przerażało. Wiedziałam, że nie kierowała jej przeciwko mnie, ale mimo wszystko bałam się. Kiedy wpadała w złość, wszyscy czuli strach.

- A twoja matka - powiedział. - Nie wiedziałaś, że nie żyje?

- Nie, póki babcia mi nie powiedziała. Matka często wyjeżdżała. Tak jak i ojciec. Czasami nie widywałam ich całe dni czy tygodnie. Żyli swoim własnym życiem.

- Co powiedziała? I jak?

Usiłował wyobrazić sobie świat, w jakim wyrosła; świat, w którym możliwe było ukrycie przed dzieckiem faktu śmierci matki.

- Posadziła mnie sobie na kolanach - odparła Nancy wolno. - Zwykle tego nie robiła. Ale wtedy wyciągnęła do mnie ramiona i powiedziała: „Chodź tutaj, Nancy, i usiądź mi na kolanach. Tutaj. A teraz musisz być dzielną dziewczynką. Będiesz?” A ja odparłam: „Tak, babciu”, i czułam że zaczynam płakać, ponieważ byłam bardzo przerażona. A ona objęła mnie, Davidzie, kołysząc w swoich ramionach. „Twoja mamusia poszła do nieba, powiedziała. Postaraj się nie płakać. Bądź dzielna, tak jak obiecałaś. Odeszła do nieba i jest tam szczęśliwa, więc nie wolno ci się smucić, Nancy”. Słyszę jej głos tak, jakby mówiła to teraz. A potem spytałam: „A gdzie jest tatuś? Czy także poszedł do nieba?” Wokół jej ust pojawił się wyraz napięcia. „Nie, kochanie, jest tutaj. Ale jest zmęczony i doktor powiedział, że powinien mieć spokój, musi dużo odpoczywać. Więc przez jakiś czas nie będziesz mogła go widzieć. Ale posyła ci swoją miłość i wielkiego buziaka”. Uwielbiała go; był bardzo przystojny. Mam stare wycinki prasowe ze ślubu rodziców. Oboje byli młodzi i czarujący. Matka miała dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia jeden. Mam także inne wycinki. „Żona spadkobiercy Vandekarów nie żyje”.

David objął ją ramieniem.

- Chciałbym je zobaczyć. Przeczytajmy razem. Potem spalimy. Obiecuję.

Zdawała się nie słyszeć.

- Dziadek nie lubił mnie - powiedziała. - Odwiedzał moich kuzynów i rozmawiał o nich z ich nianią, głaskał ich albo pytał Bena, jak mu idą lekcje, ale na mnie w ogóle nie zwracał uwagi.

- Dlatego nigdy o nim nie wspominałaś? - spytał David. - Mówiłaś zawsze tylko o niej...

- Nie lubił mnie - powtórzyła Nancy. - Słyszałam kiedyś babcię, jak mu powiedziała w czasie Gwiazdki: „Hugo, nie powinieneś w tak oczywisty sposób pokazywać, że wolisz Bena i Filis. Ona nie jest głupia...”

„Lubię ich, bo są moimi wnukami”. Tak powiedział. Nie rozumiałam, ale czułam, że coś jest ze mną nie w porządku, więc starałam się trzymać na uboczu, kiedy on był w pobliżu, żeby nie zwracał na mnie uwagi. Bogu dzięki, widywaliśmy go bardzo rzadko.

Przed śledztwem w sprawie śmierci mojej matki zostałam wysłana wraz z

guwernantką do Irlandii. Mieszkałyśmy w głębi kraju. Nie dochodziły tam gazety, nie było radia, żadnej szansy, bym mogła czegokolwiek się dowiedzieć. Pamiętam cudowny czas, spędzony w wielkim domu z przepływającą obok niego rzeką. Nie potrafię ci powiedzieć, kim byli gospodarze - przypuszczam, że przyjaciółmi rodziny. To był sposób babci na ochronienie mnie przed czymś, co - jak wiedziała - musi się zdarzyć.

Zobaczył, że nie zdołała pohamować łez i płyną niepowstrzymanie.

- Biedactwo. Widzę ją we śnie, który jest mi tak nienawistny, że dostaję mdłości, ale pamiętam ją. Piękna niczym lalka, z wielkimi oczyma i słodką twarzą. Przychodziła pocałować mnie na dobranoc. A jeśli dokądś wyjeżdżali, przysyłała mi prezenty. Nawet kiedy byłam całkiem mała, czułam, że ona jest bardziej dziecinna od reszty dorosłych. Na pewno nie sądzisz, że dziecko może mieć opiekuńcze uczucia, ale ja miałam. Babcia miała siłę - przy niej świat wydawał się bezpieczny. Moja matka była jak baśń, którą musiałeś wykrzyczeć głośno, żeby w nią uwierzyć - bo inaczej przepadnie. Poszliśmy kiedyś na pantomimę i dzieci musiały wołać jak najgłośniej, by ocalić wróżkę.

- Nie chodziłem na pantomimy - powiedział.

- Zostawiła mi broszkę - ciągnęła Nancy. - I swoje pieniądze. Nie miała wiele, ale kiedy poślubiła mego ojca, spisano intercyzę. Jej rodzina nalegała. Dawali Vandekarom nazwisko z rodowodem i Vandekarowie musieli za to zapłacić. Nie wiedzieli, że wraz z rodowodem dostawali też dziedziczne obciążenie.

Nie czekała na pytania. Opowiadała tak szybko i wyzywająco, iż nie zdołał przerwać.

- Moja matka była chora - powiedziała. - Nic nie mogło jej pomóc. Musiała mieć mężczyzn. Jakichkolwiek. Dlatego ciotka Fern powiedziała, wyrzucając mnie stąd: „Możesz być czymkolwiek dzieckiem; nawet czyścibut nie był przy niej bezpieczny”. Kiedy zmarła, miała dwadzieścia siedem lat. Przez cały czas czułam, jak mi jej brakuje. Winiłam siebie, że nic nie powiedziałam, że udawałam, iż sama się zabiła, chociaż w głębi serca wiedziałam, że tak się nie stało.

Odwróciła się od niego. Wiedział, że płacze. Przyciągnął ją do siebie i objął.

- Jestem całkiem zwyczajnym facetem i wiele z tych rzeczy wydaje mi się koszmarnym snem. To nie jest mój świat i, jasne jak cholera, że to nie są moje wartości ani wartości, pośród których wyrosłem. Istotne jest, co ci zrobiono. Uważam cię za nadzwyczajną kobietę. Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, co się stało z twoją matką, odkryjmy to razem, dobrze?

- Pomóż mi - powiedziała. - Muszę poznać prawdę. Jeżeli nie jest za późno.

- Nie jest - zapewnił ją. - Żyją jeszcze ludzie, którzy byli tutaj, kiedy to się stało.

Znajdziemy ich. I nie odejdziemy bez odpowiedzi, przyrzekam ci. A teraz pocałuj mnie, kochanie; potem pójde uregulować rachunek i wyniesiemy się stąd, do diabła.

Wywiózł ją z Ashton na pełnym gazie. Przy całym swym pięknie dom pełen był zepsucia. Nie mógł zwlekać z zabranieniem jej stamtąd. Wielkie pieniądze, snobizm i zgnilizna. Podczas drogi nie rozmawiali wiele. Nacisnął pedał gazu i powiedział:

- Wkrótce będziemy na miejscu, kochanie.

- Cieszę się - skinęła głową.

Zawiózł ją do swego domu w Holland Park i jak tylko znaleźli się w środku, od razu poczuł się lepiej; jakby zrzucił z siebie wielki ciężar. Byli z powrotem w normalnym świecie; po raz pierwszy, odkąd stąd wyjechali, poczuł się panem sytuacji. Odwrócił ją do siebie.

- Zadowolona, że wróciliśmy?

- Tak, bardzo. Byłeś cudowny, Davidzie, wiesz?

- Zawsze jestem cudowny - odciął się i był wdzięczny za jej uśmiech.

Pocałował ją i odpowiedziała na jego pocałunek, rozchylając usta i przyciskając go mocniej do siebie. Nie dał się oszukać. Namietność rozpaczy, a nie pożądania. Jeszcze nie czas na to; jeszcze nie. Uwolnił się od niej i powiedział:

- Przygotuję ci dzin z tonikiem.

- Davidzie... - zaczęła.

Ale nie słuchał jej.

- Zaraz wracam.

Pasowaliby do siebie, pomyślała, wyobrażając sobie Alice i jego razem. Babcia ceniła ponad wszystko lojalność. To była cecha, którą i sama posiadała. Lojalność oraz odwagę. Wrócił z drinkami i usiadł obok niej.

- Musiała wiedzieć, że umiera - powiedziała Nancy nagle. - Mam na myśli babcię. Spisała testament zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią. Przeczowała, kiedy dawała mi tę kopertę. Mówiła, iż mam otworzyć po jej zgonie. Staralam się nie myśleć o tym dniu, Davidzie. Dla mnie jakby skończył się świat. Piła herbatę w saloniku - w tym z cudowną niebieską porcelaną, który ci pokazywałam - i nagle upadła. Nie było mnie przy niej, ale słyszałam krzyk dziadka i wszyscy pobiegli w tamtym kierunku. Kiedy weszłam, ujrzałam ją leżącą na sofie. Na twarzy miała grymas, jakby cierpiała straszny ból. Dziadek klęczał obok niej trzymając ją za rękę, i przykuśtykała także biedna, stara Lily; słyszałam jej szloch. Wtedy twarz babci zmieniła się, jakby wygładziła.

- Nie płacz - powiedział David łagodnie.

- Od lat cierpiała z powodu serca - powiedziała Nancy wolno. - Nikt nie wiedział.

Pamiętam, że skończyła ze wszystkimi przyjęciami i bieganiem wokół nich, i dopiero później zrozumiałam, że właśnie z tego powodu. Powiedziała do mnie kiedyś: „Chcę zobaczyć, jak wchodzisz w świat. Jak idziesz na uniwersytet, urządzasz sobie życie. Potem, jak sądzę, nie będę się już martwić”.

Myślę, że ona obawiała się o mnie, Davidzie. Wiedziała, co się może zdarzyć, kiedy odejdziesz. I miała rację. Sądzę, że specjalnie dla mnie starała się żyć najdłużej, jak to było możliwe. Tamtej nocy ciotka Fern zeszła na dół. Tego także nigdy nie zapomnę. Ciało babci zostało zaniezione na górę do jej sypialni. Fern weszła tam sama. Nie została dłużej niż kilka chwil, a potem zeszła po schodach do holu. Miała wyraz twarzy, którego nie potrafię opisać. Pomyślałam wtedy, że nie płacze. Że jest zadowolona. Spytała mnie: „Gdzie jest mój ojciec?”

Dziadek był roztrzęsiony. Nie potrafiłam wyobrazić go sobie okazującego jakiegokolwiek uczucia, ale kiedy Alice umarła, załamał się. Płakał. Powiedziała mi, że ją kochał, i wierzę w to.

„Gdzie on jest?”, spytała ciotka, a ja powiedziałam: „Zamknął się w bibliotece. Jest w strasznym stanie. Nie chce nikogo widzieć”.

„Nie będzie długo rozpaczał, powiedziała, nie będzie marnował na nią łez. Zamierzam mu coś powiedzieć”. Weszła do środka. Słyszałam, jak mówi: „Tato, nie...”, a potem zamknęła za sobą drzwi. Poszłam do swego pokoju. Nie wiedziałam, co robić. Nie wierzyłam, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Poszłam odszukać biedną Lily - wiedziałam, co dla niej znaczy utrata Alice.

- Co się z nią stało? - spytał.

- Została wyrzucona w dzień pogrzebu. Była stara i słaba, ale to nie obchodziło Fern. Znalazła się po prostu za bramą.

- A co z dziadkiem? Nie próbował powstrzymać twojej ciotki?

- Powstrzymać Fern? - powtórzyła Nancy z gorzką ironią. - Stali ramię w ramię, podczas gdy biedną staruszkę odwożono na stację. Zanim wyjechałam, poszłam się z nim zobaczyć. Nigdy tego nie zapomnę. Gdyby powiedział jedno miłe słowo albo okazał mi jakiegokolwiek ludzkie uczucia, mogłabym zostać i walczyć z Fern; ale nie zrobił tego. Oznajmiłam, że odchodzę. Po tym, co powiedziała moja ciotka, czuję, że nie mogę tu zostać ani jednej nocy. W sercu miałam nadzieję, że będzie się starał mnie powstrzymać. Byłam bardzo młoda i bardzo zagubiona. Siedział w bibliotece w wielkim skórzanym fotelu przed francuskim oknem i czytał książkę; odłożył ją, zdjął okulary i spojrzał na mnie. „Uważam, że to bardzo mądra decyzja”. Tak powiedział. „Sądzę, że Fern i ja zasługujemy, by mieć ten dom dla siebie; teraz, kiedy Alice odeszła”. Wszystko. Nawet się nie załamałam ani nie zaczęłam

płakać. Pamiętam, jak myślałam: niech cię szlag, niech cię szlag, nie pokażę ci, jak mnie zraniłeś...

Lily wiedziała, co zrobiła moja ciotka. Tej nocy, kiedy umarła Alice, a Fern poszła do pokoju dziadka, wyszedł stamtąd odmieniony. Wyglądał jak wyciosany z kamienia. Na pogrzebie też nie okazał cienia uczucia. Stał przy grobie, trzymając Fern pod rękę. Nie powiedział ani słowa do mnie czy do Lily. My stałyśmy osobno. Lily płakała; ja nie potrafiłam. Czułam się tak, jakby skończyło się całe moje życie. Wróciłam z nią do domu. Powiedziała do mnie: „W końcu to zrobiła. Czekala tyle lat, by wejść pomiędzy nich i oczernić swoją własną matkę. Dużo jej to da!”

Mojemu dziadkowi także nie wyszło to na dobre. Po śmierci Alice nie żył wiele dłużej. W Nowym Jorku przeczytałam w gazecie wiadomość o jego śmierci i sprzedaży Ashton. Dlatego zmieniłam nazwisko, Davidzie, i podjęłam decyzję, by zacząć nowe życie. Pragnęłam pogrzebać swoją przeszłość. Nie chciałam pamiętać, kim jestem. Nie miałam prawdziwej tożsamości. Fern wiedziała o tym.

- Ja wiem, kim jesteś. - Objął ją. - Kocham cię, wiesz o tym?

- Tak - skinęła głową. - Wiem.

- W porządku. Powiem ci teraz, co zrobimy. Jutro zabierzemy się do pracy. Pójdziemy do twojego mieszkania i przekopimy się przez wycinki, o których mi mówiłaś, a także otworzymy kopertę starej damy. To na początek. A przy okazji - kiedy umarła Lily?

- Nie umarła - odparła Nancy. - Kiedy wróciłam, odszukałam ją. Chciałam się tylko upewnić, że nie dzieje jej się krzywda. Przebywa w domu opieki. Powiedzieli mi, że jest złożona chorobą i zgrzybiała. Nawet nie pamięta już własnego nazwiska. W domu mam mnóstwo zdjęć i rozmaitych wycinków. Fern odesłała je z Ashton z resztą moich rzeczy.

- Doprawdy wielkodusznie z jej strony - stwierdził David. - Zaczniemy jutro; mam swoją własną teorię na temat tego, co się naprawdę stało, ale na razie nie zamierzam nic mówić. Chcę najpierw, żebyś się dobrze wyspała dzisiejszej nocy.

Nancy odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Nie jestem zmęczona, Davidzie - powiedziała. - I chcę cię. Wściekle cię pragnę.

Zamknął ją w objęciach. Przez chwilę nic nie mówił. Nie ufał dostatecznie swemu głosowi.

- Myślałem, że już nigdy tego nie powiesz - rzekł w końcu.

- Gdzie ta koperta? - zapytał David.

- W szkatułce - odparła Nancy; dotknęła go i powiedziała: - Może zostawilibyśmy ją na koniec? Nie chcę jeszcze otwierać.

Nie sprzeciwił się, tylko skinął głową.

- Zaczekamy. Możesz przeczytać sama, kiedy będziesz chciała.

Zawahała się.

- Nie - stwierdziła. - Nie chcę. Stanowisz część mojego życia, Davidzie. Wspólnie utworzymy. Ale najpierw przejrzymy tamto.

Na podłodze leżały ciężkie, oprawne w skórę albumy. Obróciła okładkę i ludzie, o których mu opowiadała, ożyli. Zdjęcia Alice jako młodej kobiety. Nawet w nie dodających uroku przedwojennych strojach była zdumiewająco piękna. Hugo Vandekar. Tak, teraz widział go we właściwych proporcjach. Zimne spojrzenie, zacięte usta, przystojny, nieskazitelnie ubrany. Inny na wyretuszowanej fotografii ślubnej. Wyglądał młodo i uśmiechał się pełen triumfującego szczęścia. To był jedyny raz, wyjąwszy fotki z tłusciutką małą dziewczynką w ramionach. Fern i Hugo, 1938.

A potem Lily Parker. Był zafascynowany jej wyglądem. Silna, duża dziewczyna o mocnej, płaskiej twarzy. Ubrana na ciemno, czysto i funkcjonalnie obok błyszczącej, eterycznie szczupłej Alice Vandekar. Nie chciałbym być wrogiem Lily, pomyślał nagle.

I amerykańska prababcia Nancy, Phoebe. Ładna, uśmiechnięta, zupełnie inna niż córka. Przyjęcia, polowania i rauty, podpisane Ascot, Henley, Derby... Grupy zdjęte podczas wakacji w południowej Francji, mężczyźni w niemodnych, jednoczęściowych kostiumach kąpielowych, dziewczyny w strojach zasłaniających uda i noszące brzydkie czepki kąpielowe, przypominające hełmy. Zdjęcia podczas gry w golfa, tenisa, z pikników, w czasie których wszyscy szczerzyli się z zażenowaniem do aparatu, z kieliszkami w rękach. Seria zdjęć Hugona na polowaniach. Wygląda na aroganckiego skurwysyna, pomyślał David, wyobrażając sobie Nancy, którą ignorował; osieroconą Nancy, bezlitośnie wyrzuconą z domu zaraz po śmierci Alice. Znowu Fern, z otępiłą nianią, trzymającą ją na kolanach. Starał się doszukać czegoś w jej okrągłej, płaskiej, małej twarzyczce, co mogłoby zapowiadać kobietę, na jaką wyrosła, ale było to anonimowe dziecko; takie samo, jak wiele innych. Nawet niezbyt ładna.

Potem czas wojny. Alice z Hugonem w mundurze. Ashton i personel z Ochotniczego Towarzystwa Niesienia Pomocy Rannym z ich charakterystycznym ekwipunkiem; Alice pozująca z grupą rekonwalescentów na tarasie przed portykiem. Mężczyźni w mundurach khaki, w lotniczym błękicie. Pomiędzy nimi Alice. 1940. 1941. 1942. Nowo narodzony Richard Phillip Vandekar w ramionach matki. Zawinięty w szal, z uczynionym atramentem podpisem poniżej: „Chrzest w kościele w Ashton, styczeń, 1943”.

Obracali kartki i dzieci rosły. Fern w szkolnym mundurku, trzymająca mocno dłoń

ojca. Już nie z płaską twarzą i zapowiadająca się na ładną dziewczynę, ale z wyrazem zaciętości na twarzy. Richard, uczący się chodzić, jedna ręka ściskana przez niewidoczną na zdjęciu postać, pomagającą mu stać na własnych nogach.

- Jest blondynem, tak? - spytał David.

- Zawsze był - potwierdziła. - Miał włosy i oczy babci. Tak samo jasnoniebieskie.

Zamknęła drugi album.

- Nie oglądałam ich od lat - stwierdziła.

- Brakuje pewnego fragmentu - stwierdził nagle. - Co się stało z twoim ojcem, kochanie?

- Umarł, kiedy byłam w Nowym Jorku - odparła po chwili. - Opat zakonu napisał do moich prawników, a oni przysłali mi list: „Odszedł w pokoju Pana naszego, Jezusa Chrystusa”. Nic więcej.

Podniosła cieńszy album, oprawiony w marokiny, z wytłoczonym na pierwszej stronie herbem.

- Należał do mojej matki - wyjaśniła. - Służył także do przechowywania wycinków z gazet. Stare artykuły, które znalazłam potem, wsadziłam tutaj.

- Więc zrobiłaś to - odparł - a ja powiedziałem, że przejrzymy je razem, a potem rzucimy w ogień.

Objął ją i otworzyli album Diany Brayley, uśmiechającej się do nich od razu z pierwszej strony. David przyjrzał się fotografii, a potem obracał kartki jedną po drugiej. Diana stojąca obok Richarda podczas ich przyjęcia zaręczynowego. Diana w długiej, białej sukni ślubnej i w ciężkim diademie, obejmującym jej pełną zadumy twarz. Bardzo ładną, dziecinną, ale z jakąś tajemniczością i przebiegłością w oczach. Diana trzymająca córkę w ramionach, stojący za nimi Richard. W tle David rozpoznał jedną z draperii ściennych z Ashton. Spojrzał na Nancy, bladą i napiętą, patrzącą na zdjęcia sponad jego ramienia.

- Wiesz co? Wcale nie jesteś do niej podobna. Gdyby to nie było kolorowe zdjęcie, nigdy bym nie pomyślał, że jesteście spokrewnione. Ty na pony, którego podarowała ci Alice?

- Tak - potwierdziła Nancy. - Ja. Pamiętny wyścig - przyszłyśmy drugie. Byłam taka rozczarowana. Davidzie, nie chcę już oglądać. Nie chcę czytać wycinków prasowych i raportu koronera. Proszę - sięgnęła przed siebie i zamknęła album.

- Powiedz mi, czego się obawiasz, kochanie? - spytał.

- Nie boję się niczego, tylko zaczynam się denerwować. Nie sądziłam, że tak będzie po tylu latach, ale jest. Zapomnij o tym. Oboje zapomnijmy.

- Nie, Nancy, nie możemy się teraz zatrzymać. Nie można tak. Jesteś czymś cholernie przerażona i dlatego chcesz to od siebie oddalić. Dlaczego nie otworzysz koperty i nie zobaczysz, co jest w środku?

Nie mogli jej rozerwać; była zapieczętowana w trzech miejscach, w końcu David rozciął kuchennym nożem. W środku znajdował się cienki, niewielki notes i biała koperta podpisana „Nancy”. Na podłogę posypał się plik wycinków prasowych. David podniósł je i wręczył Nancy. Odłożyła je na bok.

- Chcę najpierw zobaczyć, co do mnie napisała.

Pojedyncza kartka papieru, oznaczona na górze słowem „Ashton”. Brak daty.

Moja droga Nancy - charakter pisma był śmiały i zdecydowany. - Żyłam dłużej, niż się tego spodziewałam, ale nie tak długo, jak bym chciała. Ta mała książeczka została napisana dla mnie przez kogoś, kogo bardzo kochałam. Wycinki prasowe powiedzą ci, kim on był. Sądzę, że będziesz dumna, iż był twoim prawdziwym dziadkiem. Mam nadzieję, że zrozumiesz mnie i nie będziesz osądzać. Nigdy nie staraj się sądzić jego. Wiem, że Fern będzie mówić rzeczy, które cię zranią. Kłamstwa. Prawdą jest to i ten mały notes. Moja matka powiedziała mi kiedyś: 'Miłość jest najważniejszą rzeczą w życiu każdej kobiety. Pewnego dnia zrozumiesz to'. Nie wierzyłam jej, zanim się nie przytrafiła mnie samej. Kiedy to przyjdzie na ciebie, bądź dzielna. Nie wahaj się. Nie będziesz żałować. Ja nigdy nie żałowałam. Pomyśl o mnie czasami. Zawsze kochająca babcia.

Nancy wręczyła mu list. Podniosła wycinki prasowe z „Times'a” i zaczęła je czytać na głos.

Wczoraj podano w Londynie do wiadomości, iż Krzyż Jerzego został przyznany pośmiertnie porucznikowi lotnictwa Nicholasowi Armstrongowi z RAF-u, za jego udział w maju tego roku w naprowadzeniu uwięzionego powodzeniem nalotu bombowego na więzienie gestapo w Lyonie. Ekspedycja zaowocowała ucieczką z niemieckiej niewoli przywódców francuskiego Ruchu Oporu.

W poprzednim roku porucznik Armstrong został schwytyany podczas tajnej misji, którą odbywał na terenie okupowanej Francji, i torturowany przez gestapo, a po swej ucieczce do Anglii zgłosił się na ochotnika tak szybko, jak tylko pozwalały na to względy medyczne, by kierować prowadzącym bombowcem. Miał za zadanie określić z maksymalną precyzją strefę zrzutu bomb. Wcześniej przebywał w tym właśnie więzieniu. Rozkazy pochwalne podkreślają, iż bez jego udziału misja nie mogłaby dojść do skutku.

Samolot z porucznikiem Armstrongiem na pokładzie został zestrzelony podczas powrotu do Anglii i nikt z członków jego załogi nie ocalał...

- Davidzie, Davidzie, popatrz na to.

Czytał inne doniesienia. Wszystkie mówiły to samo, zamieszczając tę samą fotografię - ciemnowłosego mężczyzny o szczupłej twarzy i w lotniczej furażerce.

- To musi ci poprawiać samopoczucie. - Spojrzał na Nancy. - Musiał być cholernie odważnym człowiekiem. Może schowasz notes i przeczytasz to później sama? Nie sądzę, by przypuszczała, że będzie go czytał ktokolwiek poza tobą.

- Wiesz, Davidzie, nie uważam, żeby miała coś przeciwko temu. Ale najpierw sama do niego zajrzę. Dziękuję ci, Kochany. Co za ulga w końcu wiedzieć.

- Czegoś się już dowiedziałeś - przyznał. - Ale nadal nie masz pojęcia, kto tamtej nocy podał za twoją matką i wsypał do jej szklanki tabletki nasenne. Myślę jednak, że wiesz, Nancy, i to cię właśnie przeraża. Całe życie starasz się o tym zapomnieć. Z wyjątkiem chwil, kiedy spałaś, budząc się, zanim prawda mogła wyjść na jaw. Posłuchaj mnie. Czy nie tak? Czy to nie jest tak, że po śmierci babci uciekłaś przed tym aż do Ameryki? Miałaś własne pieniądze, mogłaś wyjechać do Oksfordu, ale położyłaś trzy tysiące mil pomiędzy sobą a tym, co się wydarzyło. Ponieważ Alice nie żyła, a ty musiałabyś stawić czoło prawdzie.

*

Wiersze namiętne i tkliwe. Nancy czuła zakłopotanie, jakby podpatrywała kochanków.

Było dziwne myśleć o Alice, że mogła zainspirować mężczyznę do pisania w ten sposób. „Mojej kochanej, która zamieniła ciemność w światło. Ashton, 1942”, brzmiała dedykacja na wolnej stronie. Rok, w którym urodził się jej ojciec. Jak okrutnie to brzmiało, kiedy Fern jej ubliżała. „Twój ojciec jest bękartem i ty nie należysz tutaj...” W miłości pomiędzy mężczyzną, który napisał te wiersze, a kobietą, do której zostały skierowane, nie było nic plugawego.

Jak mądra była babka, przekazując jej tak ważne informacje. Czuła się teraz dumna ze swego prawdziwego dziadka. Dumna także z Alice, gdyż nie obawiała się kochać go i ponieść konsekwencje. A ona, Nancy, obawiała się. David miał rację - wszystko co powiedział, dotyczyło ją do żywego. Ukrywała coś przed samą sobą.

- Nie będę o tym mówił - rzekł. - Pozwolę ci przemyśleć, Kochanie. Ale wiesz, że mam rację. Nigdy nie będziesz szczęśliwa ani my nie będziemy, dokąd nie zrzucisz z siebie poczucia winy. Oboje wiemy, jak bardzo jesteś przerażona możliwością poznania prawdy.

- Nie mów tak, Davidzie - zaprotestowała. - Nie chcę, żebyś tak mówił.

- W porządku. Sama musisz to zrobić. Idę teraz do biura i zadzwonię później. Ty już coś postanowisz, dobrze?

- Tak - odparła. - W tę lub w tamtą stronę.

Kocha mnie i ja go kocham. Ale nie potrafię podjąć decyzji. Tak naprawdę nigdy nie postanowiłam wobec żadnego mężczyzny. Ten żonaty kochanek w Stanach był wystarczająco bezpieczny. Wiedziałam, że to nie jest na poważnie; miał po prostu trochę zabawy na boku. Zrobiłam z tego wielką rzecz, ponieważ uwolnił mnie od odpowiedzialności. Nigdy się w nikim nie zakochałam, jeżeli w grę wchodziła jakakolwiek wspólna przyszłość. Szłam dalej, udając kogoś innego, ze swoim fałszywym nazwiskiem i wizerunkiem robiącej karierę dziewczyny. Jednak sumienie nie pozwalało mi się od tego uwolnić. Powodowało upiorne sny, powstrzymywało mnie przed całkowitym oddaniem się komuś. Muszę wreszcie stawić czoło, bo stracę Davida.

Odłożyła na bok notes z wsuniętym do niego listem Alice.

- Wiem, co ty byś zrobiła - powiedziała na głos. - Napisałaś to w liście: „Bądź dzielna”.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer telefonu biura Davida Renwicka.

*

Lało jak z cebra. Wycieraczki pracowały z największą szybkością, tak jak podczas tej nocy kilka tygodni wcześniej, kiedy David wiozł ją do Ashton. Teraz jednak jechali w dzień i nie było niebezpieczeństwa, że ukołysze ją to do snu. Samochody pełzły wzdłuż Fulham Road. Zdawało się, że trafiają na każde czerwone światło. Nancy wiedziała, jak bardzo David nie znosi spóźniania się. Był zły i kłął pod nosem, a potem powiedział:

- Przepraszam, kochanie. Takie pełzanie doprowadza mnie do szaleństwa. Za każdym razem, kiedy pada, Londyn zatyka się na amen.

- Nic nie szkodzi, jeśli się spóźnimy - stwierdziła. - Powiedzieli, że obojętne kiedy - między piątą a szóstą.

Spojrzał na nią i ścisnął jej dłoń.

- Przestań się martwić - powiedział. - Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, nic nie stracimy.

- Poświęciłeś już wystarczająco dużo czasu oraz pieniędzy - stwierdziła Nancy. - Prywatni detektywi, ogłoszenia, wyjazdy do różnych miejsc, by spotykać się z ludźmi - i nie posunęliśmy się ani o krok. Jeżeli znów wpadniemy w ślepy zaułek, nie zamierzam się tym więcej zajmować!

Nie sprzeczał się z nią. Rozmawiali z gospodynią oraz lokajem Robertem; odnalazła ich agencja detektywistyczna. Gospodyni przebywała na emeryturze w bungalowie w Haslemere. Nie miała nic do dodania na temat nocy, kiedy zmarła Diana. David i Nancy odnieśli wrażenie, że nie chce im pomóc czy być w cokolwiek wplątana. Miała przyrodzony

nawyk dyskrecji.

Robert porzucił pracę służącego. Znalezienie go zabrało dużo czasu. Prowadził warsztat samochodowy w West Country. Długa podróż tam nie przyniosła wiele więcej od rozmowy z gospodynią. Pamiętał Dianę.

- Nie zapomnę jej rudych włosów - powiedział. - Pani matka była piękną kobietą. Dla wszystkich była sympatyczna.

Pamiętał tamten wieczór i biuro koronera, ale nie miał do powiedzenia niczego nowego, chociaż David wypytywał go dociekliwie.

- Jakie były wrażenia w domu, po wydaniu orzeczenia? Czy ktokolwiek sądził, że to nie było samobójstwo?

Robert zawahał się. Przez moment ich nadzieje wzrosły.

- Nie jestem pewny - stwierdził. - Nie była wiele starsza ode mnie. Często zastanawiałem się... dlaczego miałyby zrobić coś takiego? Ale tamtej nocy nie wydawała się sobą. Nie wtedy, kiedy poleciła mi przynieść sobie mleko. Żadnego uśmiechu ani nic.

- Ona to poleciła? Czy ktoś jej może poddał? - spytała Nancy.

Był stanowczy.

- Och, nie. Wyszła, zawołała mnie i poprosiła. Powiedziała mi, gdzie będzie spać tej nocy. Wiecie, to dziwne. Kiedy umarła, nie mogłem dłużej zostać. Nie wytrzymałem nerwowo. Gdyby do tego nie doszło, nadal wnosiłbym i wynosił tace. A tak, mam dobry, mały, własny interes.

Wstał i wyciągnął rękę. Nancy uściśnęła ją.

- Przykro mi, że nie mogłem pomóc - powiedział. - Była cudowną kobietą.

Podczas długiej jazdy powrotnej David powiedział:

- Została nam jeszcze jedna szansa: Lily Parker.

- Beznadziejne - sprzeciwiła się Nancy. - Mówiłam ci, kochanie, że jest zupełnie zramolała. W domu starców powiedzieli, że jeśli przyjadę się z nią zobaczyć, nawet mnie nie pozna.

- Możliwe - przyznał. - Ale nie ma już nikogo innego. Starzy ludzie pamiętają przeszłość, prawda? Miałem kiedyś ciotkę, która mogła opowiedzieć ci wszystko, co wydarzyło się trzydzieści lat wcześniej, ale nie miała pojęcia, jaki jest dzień tygodnia. Tak czy inaczej, warto spróbować.

I tak znaleźli się w drodze do domu starców, mieszczącego się po drugiej stronie Putney Common, gdzie przez ostatnie siedem lat Lily Parker żyła w mroku starczej demencji. Deszcz padał tak mocno, że musieli włączyć światła mijania. W końcu przejechali Putney

Brigde i ruch uliczny nieco się ożywił. Kiedy skręcili w szeroką ulicę prowadzącą do domu starców, Nancy poczuła znajomy nawrót lęku. Wrażenie mdlącego niepokoju, zanim mieli okazję kolejny raz się przekonać, że to do niczego nie prowadziło. Tak jak teraz, poczuła pewność. Ale nadal była zdenerwowana.

- Niezłe miejsce - powiedział David. - Przebywanie tutaj dłużej musi kosztować fortunę.

Przejechali przez wysoką, zdobioną ornamentami bramę, od której prowadził krótki podjazd, ograniczony przez dobrze utrzymane żywopłoty oraz trawniki. Zatrzymali się przed wielkim domem w stylu wiktoriańskiego gotyku. Kiedy wchodzili po stopniach do sali recepcyjnej, David wziął Nancy pod ramię.

- Nie denerwuj się - przypomniał.

W środku było duszno. Nancy spojrzała przelotnie na kilkoro bardzo wiekowych ludzi, siedzących w pokoju za wpółotwartymi drzwiami. Z odbiornika telewizyjnego padała plama kolorowego blasku. W holu wyłożonym ciemnym drewnem stały fotele i sofa. Przystarzałe magazyny ilustrowane leżały starannie poukładane na wielkim stole, pośrodku pomieszczenia. Kilka kwiatów doniczkowych stało jak na warcie.

Na spotkanie im wyszła pielęgniarka. W panującym mroku stanowiła uśmiechniętą, żywą postać.

- Pan Renwick? Panna Percival? Dobry wieczór. Ale pada!

- Tak - przyznała Nancy. - Ponury dzień.

- Powiedziałam panie Parker, że przyjeżdżacie państwo zobaczyć się z nią, ale chyba to do niej nie dotarło. Jest, biedactwo, złożona chorobą. Proszę tędy - pokój jest na pierwszym piętrze. Ma bardzo ładny widok. Tutejsze ogrody są naprawdę cudowne.

- Jestem tego pewna - mruknęła Nancy.

- Kto za nią płaci? - szepnął David, kiedy wchodzili na górę.

- Moja babcia zostawiła Lily znaczną sumę pieniędzy. Chciała być pewna, że Lily będzie niezależna.

- Oto jesteśmy - odezwała się pielęgniarka.

Otworzyła drzwi i weszła do środka, wprowadzając ich za sobą. Podniosła nieco głos, jak to robią ludzie, którzy mają do czynienia ze starcami, nawet jeśli ci nie są głusi.

- Dzień dobry, skarbie. Miła niespodzianka. Ma pani gości.

Gestem zaprosiła Nancy, by podeszła bliżej, i powiedziała na boku do Davida:

- Przyniosę państwu herbatę. Mam nadzieję, że pańska przyjaciółka nie będzie rozczarowana. Ona jej nie pozna. Gdyby stała się niespokojna, proszę na mnie zadzwonić.

Przycisk jest obok łóżka.

Obdarzyła go krótkim uśmiechem i wyszła. Nancy zbliżyła się do łóżka Lily. Nie poznała kobiety opartej o poduszki. Włosy miała białe, a twarz zapadła jej się w pomarszczone fałdy skóry; łzawiące oczy patrzyły z każdej strony wydatnego, kościstego nosa. Usta miała lekko otwarte, ukazując opadającą górną sztuczną szczękę.

Nancy przełknęła ślinę. Lily Parker. Pamiętała ją jako wysoką kobietę, prosto, lecz nieskazitelnie ubraną, kontrolującą w domu wszystko i wszystkich. Nie była w stanie utożsamić jej z tą wyschniętą mumią, leżącą w łóżku. Pochyliła się niżej, mówiąc:

- Witaj, Lily. To ja, Nancy. Przyjechałam cię odwiedzić. Jak się czujesz?

Żadnej odpowiedzi, żadnej reakcji. Oczy starego żółwia były na niej zogniskowane, ale nie pojawił się w nich choćby ślad świadomości. Odwróciła się do Davida.

- Nic z tego - stwierdziła. - Beznadziejne. Chodźmy, kochanie. Po prostu straszne widzieć ją w tym stanie.

Podszedł i stanął obok łóżka.

- Pamiętasz Nancy - powiedział głośno. - Pamiętasz Alice, prawda? Alice Vandekar...

- To beznadziejne - upierała się Nancy. - Chodźmy stąd, proszę.

- Ty nie żyjesz - nie boję się ciebie!

Wydała z siebie głęboki skrzek. Oczy utkwione w Nancy stały się teraz żywe i błyszczące.

- Nie żyjesz i nie możesz tu wrócić - ciągnął chrapliwy głos; słabe ciało odsunęło się nieco od podpierających je poduszek. - Nie boję się ciebie. Wiem, co byś zrobiła! Zniszczyła moją panią i rodzinę... Nie zamierzałam na to pozwolić. Nigdy! Cieszę się, że to zrobiłam! Cieszę się...

Nancy wydała z siebie głośne westchnienie. Staruszka osłabła gwałtownie, wybuch energii wyczerpał ją. Opadła z powrotem na poduszki.

- Moja biedna pani - wymamlała; po jej policzku popłynęła niewielka łza. - Umarli nie wracają... odejdź ode mnie...

- Twoje włosy - szepnął David. - Sądzi, że widzi twoją matkę.

Oczy miała na wpół zamknięte, a usta otwarte; chrapała głośno.

- Jestem - odezwała się za nimi pielęgniarka. - Dwie filiżanki dobrej herbaty... Och, Boże, zasnęła przy was. Teraz często jej się to zdarza. Postawię tutaj herbatę.

David otoczył Nancy ramieniem.

- Nie, dzięki. Musimy już iść. Dziękujemy za herbatę, ale nie zostaniemy dłużej.

Pielęgniarka spojrzała na twarz Nancy. Zauważyła, że zbladła.

- Nie szkodzi - powiedziała. - Sama jedną wypiję. Poprawię ją tylko w łóżku, zsunęła się biedaczka. Traficie państwo do wyjścia?

- Tak, damy sobie radę - zapewnił David.

- Proszę się nie martwić - powiedziała pielęgniarka do Nancy. - Jest jej tutaj całkiem dobrze. Zawsze mówię, że to jest gorsze dla krewnych niż dla nich samych.

Zeszli na dół po schodach do dusznego holu i przeszli obok pokoju oznaczonego jako „Świetlica”. W trakcie ich pobytu na górze ktoś zamknął prowadzące do niej drzwi. Było bardzo cicho, zanim nagle wewnątrz biura z tabliczką: „Obcym wstęp wzbroniony” odezwał się telefon. David pchnął ciężkie drzwi i zbiegli po schodach do samochodu. Deszcz przestał padać. Wokół nich unosił się zapach mokrego lauru i ziemi. Objął Nancy ramieniem.

- Myślałaś, że Alice... To było przyczyną wszystkiego. Myślałaś, że otruła twoją matkę.

- To Lily. Lily szła za nią tamtej nocy - szepnęła. - Och, Davidzie. Dzięki Bogu, że mnie tutaj przywiozłeś!

- Jesteś wstrząśnięta, kochanie - spojrzał na nią i uśmiechnął się - ale nigdy więcej sennych koszmarów. Już wiesz. I możesz z tym żyć. Teraz wracajmy do domu. Wszystko skończone. Jutro będziesz inną kobietą.

Wrzucił bieg i ruszyli, zawracając na krótkim, zamiecionym podjeździe, potem przez bramę i wzdłuż długiej, wysadzonej drzewami alei dzielnicy willowej, aż na ruchliwą ulicę biegnącą dookoła błoni.

- Davidzie - powiedziała nagle.

- Tak, kochanie?

- Sądziłam, że zrobił to mój ojciec - rzekła. - Nie Alice. Wiedziałam, że nie mogłaby uczynić czegoś podobnego. Myślałam, że zabił ją i dlatego odszedł, by resztę życia spędzić w klasztorze. Dlatego uciekałam.

Zachował dla siebie kolejną niespodziankę. Jak na jeden dzień, miała dosyć wrażeń.

- Teraz nie musisz już więcej uciekać - stwierdził stanowczo. - Uważam, że twoja babka byłaby z ciebie dumna.

- Z ciebie także - odparła Nancy.

*

To miał być cichy ślub cywilny. Nancy nie chciała zbyt dużego zamieszania. Tylko najbliżsi przyjaciele, a potem prywatny lunch. Kiedy wrócą z podróży poślubnej, David planował wielkie przyjęcie.

Nigdy wcześniej nie widział jej tak szczęśliwej. Była pełna energii i zapału. Miała

mnóstwo planów dotyczących rozwoju jej firmy. David nie zabierał głosu w tych sprawach. Pozwalał jej mieć własne zdanie, będąc przekonany, że kiedy nadejdzie czas dokonania wyboru pomiędzy *Beker & Percival* a rodziną, wybierze rodzinę.

Nie miał wątpliwości, że fenomenalny zapał babki przeszedł na Nancy. Tylko brzemień obaw oraz poczucia winy wcześniej go hamowały. Teraz już nie. Była w nim namiętnie zakochana i powiedziała mu to. Zaczęła się zmieniać w żywiołową, pewną siebie kobietę.

Pozostawił jej poczynienie przygotowań. Miał interesy w Stanach. Ważne interesy, które mogły doprowadzić do wspólnictwa w jednym z największych konsorcjów w stanie Nowy Jork. Nancy pojechała na Heathrow, by się z nim pożegnać. Concorde czekał na pasie startowym, lśniący i groźny w słońcu niczym wielki, srebrny, drapieźny ptak.

- Do widzenia, kochanie. Miłego lotu. Będę za tobą tęsknić!

- Zadzwoń z Nowego Jorku - obiecał.

Pocałowała go i patrzyła za nim, kiedy przechodził przez salę odpraw. Odwrócił się jeszcze raz i pomachał jej. Lot, wspomagany przez silny wiatr, przebiegł gładko i trwał krótko. Nie lubił stłoczonych foteli i wysokiego tonu silników, ale oszczędzany czas był bezcenny. Uwielbiał Nowy Jork. Uwielbiał żywiołowość i energię wielkiego miasta. Dla Nancy musiało to być obce miejsce, kiedy przyleciała tu pierwszy raz. Zatrzymał się w hotelu Waldorf i przez następnych pięć dni zajęty był spotkaniami biznesowymi oraz podróżami, by zorientować się w rozmaitych przedsięwzięciach wielkiej spółki. Każdego wieczoru dzwonił do Nancy. Wszystko szło dobrze. Na poślubny lunch zamówiła prywatne apartamenty w Ritzu. Roześmiał się i kolejny raz odmówił powiedzenia jej, dokąd pojedą w podróż poślubną. Była szczęśliwa i tęskniła za nim. On tęsknił za nią.

Pod koniec pobytu wyczuł, że umowa zostanie prawdopodobnie zawarta. Mogło go to uczynić bardzo, ale to bardzo bogatym - nawet jak na standardy amerykańskie. Ale nie poleciał do domu, tylko do Waszyngtonu. Samochód już czekał na niego i powieziono go przez miasto do eleganckiej podmiejskiej dzielnicy w Georgetown. Znajdowały się tam ambasady i eleganckie prywatne rezydencje, zarezerwowane dla ludzi bogatych oraz dyplomatów. Samochód zatrzymał się przed domem, stojącym w głębi ulicy. Budynek nie był duży, ale stary i urokliwy.

- Sądzę, że nie zabierze mi to więcej niż godzinę - powiedział kierowcy. - Potem pojedziemy z powrotem na lotnisko.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, że zechciała mnie pani przyjąć, pani Wallace.

Miała czarujący uśmiech. Siedziała wyprostowana w fotelu - kiedyś musiała być uderzająco piękna. Nadal elegancka, modnie ubrana i z polakierowanymi paznokciami. Palila

papierosa w zgrabnej, krótkiej cygarniczce. Nadawało jej to osobliwy, staroświecki wygląd.

- Nie ma problemu, panie Renwick. Przebył pan długą drogę. I zaintrygował mnie pański list. Zabawne, że po wszystkich tych latach ludzie nadal chcą coś o nim wiedzieć. Tylko w zeszłym roku nachodził mnie ktoś, poszukując materiałów do książki o Dowództwie Operacji Specjalnych we Francji.

- Ja nie piszę książki - wyjaśnił David.

- Tak mnie pan poinformował - odparła. - Dlaczego zatem chciał pan się ze mną spotkać? Nie z powodu Nicka i bohaterских czynów?

W ostatnim stwierdzeniu kryła się zgryźliwość. Był zaskoczony; może jednak nie zdawała sobie sprawy z pewnych subtelności obcego języka. Po czterdziestu latach pobytu w Stanach nadal miała silny francuski akcent.

- Wracając do rzeczy - powiedział. - Wiem, że powtórnie wyszła pani za męża. Pragnąłbym porozmawiać z panią o Nicholasie Armstrongu, ale nie chciałbym pani urazić...

- Drogi panie Renwick, jest pan bardzo uprzejmy. Rozmowa o Nicku nie zdenerwuje mnie w najmniejszym stopniu. Od 1943 roku byłam bardzo szczęśliwie zameżna. Niestety, mąż zmarł osiemnaście miesięcy temu. Mój związek z Nickiem nie trwał nawet dwóch lat. Skoro zadał pan sobie kłopot odszukania mnie i przebył całą tę drogę z Anglii, może pan zadawać pytania, jakie pan sobie życzy. Papierosa?

- Nie, dziękuję. Po swojej ucieczce z Francji spędził jakiś czas na rekonwalescencji w miejscu zwanym Ashton. Majątek należał do ludzi o nazwisku Vandekar.

Momentalnie zmienił się wyraz jej twarzy, ale chyba zgaśniła siebie w duchu za brak opanowania.

- Byłam tam. Zaprosiła mnie pani Vandekar. Stała się bardzo sławna, prawda? Czytywałam o niej i jej mężu w amerykańskich gazetach. Ona była Amerykanką.

- Tak - potwierdził David. - Wiedziała pani, że miała romans z pani mężem?

- Podejrzewałam - stwierdziła. - Nie obchodziło mnie to wówczas, więc nie wiem na pewno. Odeszłam od Nicka i żyłam z Chuckiem. Szaleńczo go kochała, to było widoczne jak na dłoni. Niemal jej współczułam.

Prawie, pomyślał David, ale nie do końca. Od pierwszego wejrzenia przyjęły postawę gotowych do walki.

- Dlaczego?

Wzruszyła lekko ramionami, zdusiła papieros i wprawnym ruchem wyrzuciła niedopałek z cygarniczki.

- Ponieważ miała zostać tak zraniona, jak ja. Nie zostawiłam go bez powodu, panie

Renwick. Wiele nas łączyło. Poznaliśmy się we Francji, gdzie ja także pracowałam dla Ruchu Oporu. Nick był przystojny, z fantazją i bardzo odważny...

Ponownie wzruszyła ramionami, jakby dyskredytując własną głupotę.

- Zostaliśmy kochankami i podczas pobytu w Londynie pobraliśmy się. Straciłam odwagę, panie Renwick. Chciałam zostać w Anglii i spróbować normalnie żyć. Moich krewnych schwytało gestapo i zostali zamordowani. Zginęło także wielu przyjaciół. Miałam dwadzieścia trzy lata i nie mogłam już dłużej tego znosić. Nick uważał, że byłam tchórzem.

Wrócił do Francji i przeżyłam piekło, przez trzy miesiące pozbawiona jakiegokolwiek wiadomości o nim, zastanawiając się, co się stało.

I wyobrażałam sobie, oczywiście, wszystko, co najgorsze. Ale wrócił, pełen wrażeń, robiąc mi wymówki, że zrezygnowałam ze służby. Nie w tych słowach, ale wszystko co mówił, każda wzmianka o innych ludziach, pracujących w podziemiu, których oboje znaleźmy - to wszystko były przytyki. Nawet teraz pamiętam, jaka byłam nieszczęśliwa, błagając go, by to zostawił i wrócił do latania, jeżeli tak rozpaczliwie potrzebuje ryzyka i zagrożenia. Chciałam mieć dziecko.

Spojrzała na Davida i westchnęła.

- Nie pasowaliśmy do siebie i nie byliśmy szczęśliwi. Odeszłam od niego tuż przed misją, podczas której został schwyty. Poznałam Chucka na przyjęciu i pomiędzy nami zdarzyło się coś takiego - strzeliła palcami. - Żyłam z mężczyzną zakochanym w bohaterstwie. Spotkałam takiego, który wołał kochać mnie. Nick był bardzo zawzięty. Sądzę, że w końcu mnie znienawidził. Bardzo dzielny, nie zaprzeczam.

I właśnie to, jak sądzą, podziwiała w nim pani Vandekar. Prawdziwy bohater - zginął w blasku chwały, której zawsze pragnął.

- Pani słowa zabrzmiały tak, jakby go pani nienawidziła - stwierdził David.

I nadal nienawidzi, pomyślał, mimo wmawiania sobie, że o to nie dba.

- Podobnie gdy mówiła pani, że nie mieliście dziecka.

- To było niemożliwe - stwierdziła. - Powiedział mi zaraz po ślubie. Zażartował. Może pan sobie wyobrazić? Zachorował na świnkę, kiedy był dorosły. Nie mógł mieć dzieci. Był bezpłodny. Przypuszczam, że nie pozostało to bez wpływu na jego psychikę. I chyba próbował wynagrodzić to sobie w inny sposób.

Po chwili dodała:

- Panie Renwick? Czy jeszcze coś chciałby pan wiedzieć?

- Nic więcej. Bardzo pani dziękuję. Niezwykle mi pani pomogła, pani Wallace. Wyjaśniła mi pani coś, co mnie bardzo dręczyło.

- A o co chodzi, jeśli mogę spytać?

Wstał. Była inteligentna i zrównowazona, ale nie wzbudziła jego sympatii. Miał przed oczami widok spadającego w płomieniach bombowca, a słowa z jej epitafium dla Nicka Armstronga ciągle brzmiały mu w uszach: „Blask chwały, której zawsze pragnął”.

- Przykro mi, ale sprawa nie mnie dotyczy. Nie ma także nic wspólnego z panią. Dziękuję, że mnie pani przyjęła.

Nie podali sobie rąk.

*

- Davidzie - odezwała się w końcu Nancy. - Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego?

- Ponieważ nie chciałem zaczynać wszystkiego od nowa. Byłaś szczęśliwa, zrzuciłaś z siebie przytłaczający ciężar, ale ja nie czułem się do końca usatysfakcjonowany, kochanie. Gdybym się jednak mylił, nie powiedziałbym ci ani słowa. Byłem jednak przekonany od chwili, kiedy na zdjęciach zobaczyłem twego ojca, gdy był już dorosły. Ty nie widziałaś podobieństwa ani twoja babka, ponieważ żywiła przekonanie o czymś zupełnie innym, ale on był kopią Hugona. Wszyscy mówili, że jest podobny do Alice, ponieważ miał jasne włosy. Ty również tak twierdziłaś, ale to było zaślepienie. Spojrzałem na niego i na Hugona, i powiedziałem sobie: ojciec i syn. Na pewno.

Nancy obracała na palcu zaręczynowy pierścionek z brylantem.

- Biedna babcia - rzekła cicho. - Tyle przeszła - na próżno. Umarła, wierząc w to.

- Źle rozumujesz, skarbie - stwierdził. - Kochała Armstronga i kochała twego ojca. Chciała, żeby był synem Armstronga. Powiedziałem ci tamtego dnia w Ashton, że nie ma znaczenia, kim jesteś. Vandekarówna czy nie, do diabła... Pamiętam, jak mówiłem, siedząc z tobą w ogrodzie. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo byłaś niespokojna. Zdenerwowałem się, a ty powiedziałaś po chwili: „Nie wiem, kim jestem, nie mam tożsamości”. Dlatego poleciałem do Waszyngtonu, by się z nią spotkać. Na wypadek gdybym mógł odkryć coś, co na dobre wyjaśniłoby tę kwestię. Jesteś Nancy Vandekar, a za trzy dni będziesz Nancy Renwick. Sądzę, że ci to bardziej odpowiada.

Spojrzała na niego.

- I ja tak sądzę.